

Jonathan Kellerman

KLINIKA

Przekład Marek Rudnik

Dla Beverly Levis

Niewiele ulic, na których popełniono morderstwo, można nazwać ładnymi. Ta jednak zdecydowanie zasługiwała na to miano.

Położona była nieopodal uniwersytetu, ocieniona wiazami, a po obu jej stronach, pośród wystrzyżonych trawników, gładkich niczym stoły bilardowe, wznosiły się wspaniałe hacjendy i kalifornijskie domy w kolonialnym stylu.

Wiązy były rozrośnięte, ogromne. Hope Devane zginęła pod jednym z nich, w odległości zaledwie jednej przecznicy od swego domu.

Ponownie popatrzyłem na to miejsce, oświetlane teraz blaskiem księżyca. Wieczorną ciszę zakłócało jedynie cykanie świerszczy i warkot przejeżdżających od czasu do czasu samochodów.

Okoliczni mieszkańcy wracali do domów. Wszyscy zapomnieli już, co zdarzyło się tu kilka miesięcy temu.

Milo zapalił cygaretkę i wypuścił kłąb dymu przez opuszczoną szybę.

Odkręciłem swoją, ani na chwilę nie odwracając wzroku od wiazu.

Powykręcany pień, gruby jak słup latarniany przy autostradzie, podtrzymywał bujne listowie. Grube gałęzie, przez które prześwitywały promienie księżyca, wyglądały jak konstrukcja lodowa. Część z nich pochylała się, dotykając ziemi.

Władze miasta już od pięciu lat nie obsadzały takich uliczek drzewami, tłumacząc się spadkiem przychodów z podatków. Według najbardziej prawdopodobnej wersji zdarzeń morderca ukrył się wśród gałęzi, chociaż mogły ją potwierdzić jedynie ślady rowerowych kół znalezione nieopodal.

Upłynęły trzy miesiące, a mimo to nadal zamiast konkretów pozostały tylko tego rodzaju teorie.

Ford Milo stał między dwoma mercedesami, które na szybach miały nalepki z pozwoleniem na stałe parkowanie w tym miejscu.

Po dokonaniu morderstwa miasto obiecało przyciąć dolne gałęzie wiaźów, ale skończyło się na deklaracjach.

Milo opowiedział mi o tym z wyraźną goryczą w głosie, psiocząc przy okazji na polityków, ale przede wszystkim na samą sprawę, która ciągnęła się już tak długo, nie rokując nadziei na rozwiązanie.

- Od tamtego czasu żadnego postępu. Przydałoby się coś nowego.

- Wszystko co nowe jest jak fast food - odparłem. - Szybko, tłusto i prawie natychmiast się o tym zapomina.

- Jesteś cyniczny.
- Cecha zawodowa: dążenie do nawiązania kontaktu z pacjentem.

Roześmiał się. Po chwili zmarszczył jednak brwi, odgarnął włosy z czoła i wypuścił kilka kółek dymu.

Ruszył, lecz zatrzymał się zaraz za przecznicą.

- To jej dom - wskazał jedną z budowli w stylu kolonialnym - niewielki, lecz widać, że utrzymany w idealnym stanie. Biały fronton, cztery kolumny, ciemne okiennice, lśniące okucia drzwi. Prowadząca do nich kamienna ścieżka. Drewniana brama na podjeździe.

Z dwóch okien przez zaciągnięte zasłony sączyło się słabe światło.

- W domu jest mąż? - zapytałem.
- Volvo na podjeździe należy do niego.

Jasne kombi.

- Prawie nie wychodzi z domu - dodał Milo.
- Wciąż ją oplakuje?

Wzruszył ramionami.

- Ona miała małego, czerwonego mustanga. Była sporo młodsza.
- Dużo?
- Piętnaście lat.
- Dlaczego tak się nim interesujesz?
- Z powodu jego zachowania podczas rozmowy ze mną.
- Był zdenerwowany?

- Nie, ale przejawiał wyraźny brak chęci do pomocy. Paz i Fellows też doszli do takiego wniosku. Chociaż właściwie ich dokonania nie mają dla nas istotnego znaczenia.

- Cóż, w takich sprawach mąż powinien być pierwszym podejrzanym - uznałem. - Chociaż zadżganie jej na ulicy nie jest typowe dla współmałżonka.

- Masz rację. - Przetarł powieki. - Powinien załatwić ją w sypialni. Ale i takie rzeczy się zdarzają. - Obracał cygaretkę w palcach. - Wystarczy pożyć odpowiednio długo.

- W którym miejscu znaleziono ślady opon rowerowych?

- W kierunku północnym od ciała, ale nie przesadzałbym w ocenach tego tropu. Chłopaki z laboratorium mówią, że czas ich powstania da się określić z dokładnością nie większą niż dziesięć dni. To mógł być jakiś dzieciak z sąsiedztwa, student, ktoś jeżdżący dla sportu... każdy. A nikt z sąsiedztwa nie zwrócił uwagi na niezwykłego rowerzystę. Ustaliłem to, gdy przeprowadzałem rozmowy z okolicznymi mieszkańcami.

- Co to znaczy „niezwykły rowerzysta”?

- Ktoś, kto nie pasuje do tej okolicy.

- Kolorowy?

- Na przykład.

- W takiej spokojnej i cichej części miasta aż dziwne, że nikt nie zauważył ani nie usłyszał niczego o jedenastej wieczorem - stwierdziłem.

- Koroner orzekł, że mogła wcale nie wzywać pomocy. Żadnych obrażeń powstałych wskutek walki, więc zapewne nie doszło do szamotaniny.

- Zgadza się.

Już wcześniej zapoznałem się z wynikami sekcji. Przeczytałem wszystkie związane ze sprawą dokumenty, poczynając od wstępnego raportu pary prowadzących ją wcześniej detektywów, a kończąc na nagranej relacji patologa i fotograficznej dokumentacji miejsca zdarzenia. Jak wiele takich zdjęć oglądałem już na przestrzeni lat? Ale nigdy nie sprawiało mi to przyjemności.

- Żadnych krzyków... Czyżby dlatego, że pierwszy cios zadano w serce? - zapytałem.

- Koroner stwierdził, że mogło to spowodować natychmiastowe zatrzymanie akcji serca.

Pstryknął swymi grubymi palcami, po czym przesunął nimi po twarzy, jakby ją mył. Jego niewyraźny profil przypominał potężnego morsa.

Zaciągnął się głęboko. Wróciłem myślami do fotografii sporządzonych przed sekcją zwłok. Białe jak kreda ciało Hope Devane w ostrym świetle lamp. Trzy głębokie rany w zbliżeniach: pierś, krocze i plecy, tuż nad lewą nerką.

Przeprowadzający sekcję był zdania, iż ofiara została zaskoczona i błyskawicznie obezwładniona ciosem, który sięgnął serca, po czym trafiona nieco powyżej pochwy, aż wreszcie, gdy już leżała twarzą do ziemi, ugodzona w plecy.

- Wyobrażasz sobie, że zrobił to jej mąż - mruknąłem. - Wiem, widziałeś gorsze rzeczy, ale to wygląda na działanie ze szczególną premedytacją.

- Mąż jest intelektualistą, prawda? Mózgowcem. - Dym wydostawał się przez uchylone okno i natychmiast rozplýwał w powietrzu. - Mówiąc szczerze, Alex, chciałbym, żeby sprawcą był właśnie Seacrest, a motywem zazdrość. Bo jeśli to nie on, mamy tu do czynienia z jakimś fantomem.

- Rzeczywiście jest zbyt wielu potencjalnych podejrzanych.

- Mnóstwo ludzi mogło jej nienawidzić.

Poradnik zmienił życie Hope Devane.

„Wilki i owce” nie były jej pierwszą publikacją. Miała już w dorobku monografią z dziedziny psychologii i niemal czterdzieści artykułów. W wieku trzydziestu ośmiu lat - na dwa lata przed śmiercią - uzyskała profesurę.

Praca naukowo-dydaktyczna zapewniła jej stabilizację zawodową i ułatwiła zdobycie popularności dzięki wydaniu książki, która z pewnością nie przypadła do gustu jej męskim współpracownikom.

Poradnik przez miesiąc utrzymywał się na liście bestsellerów, co gwarantowało zainteresowanie mediów osobą autorki i więcej pieniędzy, niż zarobiłaby przez dziesięć lat pracy na uczelni.

Była jakby stworzona do publicznych występów, szczególnie na małym ekranie: wytworna blondynka o miękkim, a jednocześnie znamionującym pewność siebie i rozsądek głosie. Wszystko to sprawiało, że bez trudu potrafiła skupić na sobie uwagę widzów i słuchaczy. Wiedząc o tym, nie wahała się wykorzystywać tych predyspozycji. Mimo podtytułu poradnika „Dlaczego mężczyźni krzywdzą kobiety i jak można tego uniknąć” kreowała się na inteligentną, wymowną i sympatyczną kobietę, niechętnie wkraczającą na publiczną arenę, co nie przeszkadzało jej czuć się tam jak we własnym domu.

Wiedziałem o tym wszystkim, ale w żadnym stopniu nie ułatwiało mi zrozumienia jej osobowości.

Milo udostępnił mi także wszystko, co zebrano na jej temat: życiorys, kasety audio i wideo, wycinki prasowe i książkę. Komplet materiałów otrzymanych od Paza i Fellowsa. Oni orzekli, że nie ma w tym niczego interesującego.

Opowiedział mi, jak ubiegłego wieczora przekazano mu tę sprawę. Byliśmy we troje, wraz z Robin, w Santa Monica, w restauracji gdzie serwowano owoce morza. Przy barze było gwarno, ale połowa miejsc siedzących pozostawała wolna. Usiedliśmy przy stoliku w rogu, z dala od telewizorów przeznaczonych dla kibiców. W czasie posiłku Robin wyszła do toalety, a Milo zapytał:

- Zgadnij, co dostałem na Gwiazdkę.

- Przecież to dopiero za parę miesięcy.

- Może właśnie dlatego to żaden prezent. Stara sprawa. Trup zimny od trzech miesięcy.

Zabójstwo Hope Devane.

- Dlaczego dopiero teraz?

- Właśnie dlatego, że to przyschnięta sprawa.

- Pomyśl tego nowego porucznika?

Zanurzył krewetkę w sosie i całą włożył do ust. Gdy żuł, widać było wyraźnie poruszające się mięśnie żuchwy. Wciąż jakby odruchowo rozglądał się wokół, choć nic ciekawego się nie działo.

Znowu to samo.

Milo był jedynym policjantem w Los Angeles, przyznającym się otwarcie do homoseksualizmu. Jego dwudziestoletniej wspinaczce na stanowisko detektywa towarzyszyły niezliczone upokorzenia, złośliwe niedocenywanie pracy, ignorowanie, a także niestety i otwarta agresja. Jednocześnie był wspaniałym policjantem i chyba tylko dlatego wielu współpracowników powstrzymywało się od okazywania mu wrogości. W jego życiu ważne było jednak, jaki stosunek mieli do niego często zmieniający się przełożeni. Ten nowy był roztargniony i nerwowy, a przy tym zbyt pochłonięty pracą, by zwracać uwagę na Milo.

- Przydzielił ci ją, bo nie widzi zbyt dużych szans na pozytywne zakończenie?

Uśmiechnął się, jakby w odpowiedzi na dowcip.

- Co więcej, przypuszcza, że Devane mogła być lesbijką. „To powinno być coś z twojego... hm... kręgu zainteresowań, Sturgis”, powiedział.

Kolejna krewetka zniknęła w ustach Milo.

Grubo ciosana twarz pozostała nieruchoma, gdy składał na pół serwetkę, by po chwili znów ją rozprostować. Miał okropny, brązowo-żółty krawat, zupełnie nie pasujący do szarej bluzy. Ciemne włosy przetykane siwizną nad skroniami wystrzyżone były niemal do gołej skóry. Góra pozostawała długa.

- Czy masz coś, co jednoznacznie wskazuje na to, że była homoseksualna? zapytałem.

- Nie. Ale mówiła nieprzyjemne rzeczy o mężczyznach, więc ergo ipso facto.

Wróciła Robin. Poprawiła szminkę na ustach i przeczesła włosy. Jej granatowa jedwabna sukienka doskonale komponowała się z kasztanowymi włosami i podkreślała zgrabną sylwetkę. Niedawno spędziliśmy nieco czasu na jednej z wysp na Pacyfiku, więc jej oliwkowa skóra ściemniała jeszcze o kilka tonów.

Kiedyś zabiłem tu człowieka. Bronilem siebie i jej. Wciąż wracają do mnie związane z tym koszmary.

- Wyglądacie na niezwykle poważnych - stwierdziła siadając obok mnie. Nasze nogi się dotknęły.

- Odrabiam pracę domową - powiedział Milo. - Pamiętam, jak Alex bardzo lubił szkołę, więc podzieliłem się z nim robotą.

- Właśnie dostał sprawę morderstwa Hope Devane - wyjaśniłem.

- Sądziłam, że już się poddali.

- Bo tak jest.

- Cóż to za przerażająca sprawa.

Ton jej głosu sprawił, że popatrzyłem na nią uważnie.

- Większe niż inne morderstwa? - zapytałem.

- Pod pewnym względem tak, Alex. Spokojne sąsiedztwo, wychodzisz na spacer przed własny dom, a tu ktoś rzuca się na ciebie i zabija.

Położyłem rękę na jej dłoni. Nie zareagowała.

- Pierwszą moją myślą było, iż zginęła jako ofiara swych poglądów - ciągnęła. - A wtedy byłby to terrorizm. Nawet gdyby zrobił to jakiś świr, na oślepie wybierający przedmiot ataku, można by określić takim mianem. Życie tu staje się coraz niebezpieczniejsze.

Odsunęła się ode mnie, a jej palce nagle wydały mi się soplami lodu.

- Cóż, przynajmniej dobrze, że to ty się tym zajmiesz, Milo - rzekła. - Masz już coś?

- Jeszcze nie. Wszystko trzeba zaczynać od początku. Miejmy nadzieję, że uda się coś znaleźć.

Wyraźnie silił się na optymizm, ale jego słowa nie brzmiały przekonująco.

- Spodziewam się, że Alex będzie w stanie mi pomóc. Przecież Devane była psychologiem - dodał.

- Znałeś ją, Alex?

Zaprzeczyłem ruchem głowy.

Kelner podszedł do naszego stolika.

- Podać jeszcze wino?

- Tak, prosimy - odparłem. - Jeszcze jedną butelkę.

Następnego ranka Milo przywiózł mi komplet zebranych dotychczas materiałów, abym mógł je przestudiować. Na wierzchu leżał życiorys zawodowy.

Nazywała się Hope Alice Devane. Ojciec: Andre. Matka: Charlotte. Oboje nie żyją.

W rubryce stan cywilny wpisała mężatka, ale nie dodała nazwiska Philipa Seacresta.

DZIECI: brak.

Urodziła się w Kalifornii, w miasteczku Higginsville, o którym nigdy wcześniej nie słyszałem. Zapewne gdzieś w środkowej części stanu, ponieważ ukończyła szkołę średnią w Bakersfield. Już tam uzyskała stypendium dla szczególnie uzdolnionych uczniów. Dostała się na Uniwersytet Berkeley. Po każdym półsemestrze jej nazwisko figurowało na dziekańskiej liście

najlepszych studentów. Z wyróżnieniem ukończyła studia z zakresu psychologii i pozostała na uczelni, aby się doktoryzować.

Pierwsze dwie prace opublikowała będąc jeszcze studentką. Wtedy właśnie przeprowadziła się do Los Angeles, by odbyć praktykę kliniczną i nawiązać kontakty z tamtejszym gronem naukowców. Trafiła do Głównego Szpitala Okręgowego. Po pewnym czasie zaczęła prowadzić zajęcia na uniwersytecie. Rok później przeszła do wydziału psychologii, gdzie została asystentką.

Na następnych dziesięciu stronach wyliczano towarzystwa naukowe, do których należała, i wszystkie jej publikacje. Zagadnieniem, którym zainteresowała się początkowo, były różnice w wynikach testów z matematyki między chłopcami a dziewczynkami. Po pewnym czasie zmieniła tematykę swych badań, koncentrując się na zagadnieniach płci i wynikającej z niej różnicy w wychowaniu dzieci. Wkrótce porzuciła i to, by zająć się wpływem seksualizmu na ludzkie zachowania.

Średnio pięć artykułów rocznie zamieszczanych w poważnych pismach stanowiło niewątpliwie dobry wynik. Do tego miejsca jej życiorys był typowy dla setek innych naukowców. Teraz jednak natrafiłem na nagłówek publikacje komercyjne i kontakty z mediami i ten fragment pozwolił mi zorientować się, co robiła głównie w ciągu ostatniego roku przed śmiercią.

Najważniejszym osiągnięciem w tym okresie były „Wilki i owce”, wydawane również za granicą. Za ich sprawą uczestniczyła w wielu programach radiowych i telewizyjnych, a także udzielała wywiadów prasie.

Zapraszano ją do licznych talk-show, którym nadawano tytuły: „Testosteronowa konspiracja”, „Nowe niewolnice”, „Śladami drapieżców”, „Walcz o swoje miejsce”.

Ostatnia część życiorysu odnosiła się znów do uczelnianej szarzyzny.

Jako profesor zasiadała w czterech komisjach, zajmujących się: przydziałem studentom miejsc zakwaterowania, ich orientacją seksualną i obroną zwierząt doświadczalnych. Na pół roku przed śmiercią trafiła jeszcze do Komisji Stosunków Interpersonalnych, o której usłyszałem tu po raz pierwszy.

Czyżby coś związanego z wykroczeniami o charakterze seksualnym? Wykorzystywanie studentów z wydziału? Już w samym tym określeniu drzemał niebezpieczny potencjał. Postawiłem znaczek obok nazwy komisji i sięgnąłem po egzemplarz „Wilków i owiec”.

Oprawa książki była koloru czerwonego. Na okładce tłoczone złote litery układały się w tytuł i nazwisko autorki, a między nimi umieszczono czarne sylwetki dwóch wymienionych zwierząt.

Wilk miał otwartą paszczę najeżoną zębami, zwróconą w stronę malutkiej owieczki. Z tyłu znalazłem kolorową fotografię Hope Devane. Owalna twarz o delikatnych rysach. Hope miała na

sobie beżową, kaszmirową sukienkę, a na szyi sznur pereł. Siedziała w swobodnej pozie na skórzanym fotelu, stojącym na tle regału z książkami. W dłoni trzymała pióro MontBlanc; obok, na blacie biurka, stał ozdobny kałamarz. Długie palce, pomalowane na różowo paznokcie. Włosy koloru miodu opadały jej na ramiona, policzki były lekko zaróżowione. Oczy miała piwne, szeroko otwarte, jakby melancholijne, a jednak pełne wyrazu. Na ustach lekki, może nieco ironiczny uśmiech.

Książka nosiła ślady intensywnego czytania, całe akapity były zaznaczone na żółto, a na marginesach znajdowały się notatki zrobione przez Milo. Przeczytałem cały poradnik, a gdy skończyłem, przejechałem trzy kilometry Beverly Glen na uniwersytet, gdzie udałem się prosto do biblioteki.

Gdy wróciłem do domu, sięgnąłem z kolei po kasety z nagraniami talk-show.

Cztery programy z taką samą hałaśliwą widownią i jednako przymilnymi, udającymi zainteresowanie i przejęcie prowadzącymi.

Show Yolandy Michaels: Jak poznać prawdziwą kobietę?

Hope Devane toleruje chropowatą retorykę antyfeministki, wychwalającej biblijne cnoty i szczycącej się tym, że ma zwyczaj witać męża w drzwiach w przezroczystym szlafrocuku.

Sid na żywo: Niewolnicy seksu?

Hope Devane uczestniczy w debacie z antropologiem, który twierdzi, że wszelkie różnice między płciami są wrodzone i niezmiennie, a skazani na siebie mężczyzna i kobieta powinni nauczyć się zgodnie współżyć. Hope stara się mówić rozsądnie, ale całość wypada dosyć mizernie.

Show Giny Sidney Jerome:

Devane wciągnięta do dyskusji, w której uczestniczą jeszcze trzy osoby: lingwistka marginalizująca psychologię i zalecająca skupienie się na właściwej interpretacji języka, nowojorski dziennikarz zajmujący się plotkami o kobietach, który bezskutecznie stara się włączyć do rozmowy, i mężczyzna sprawiający wrażenie załamanego, który twierdzi, że jest bity przez żonę, a swe cierpienia opisał na trzystu stronach książki.

Również nic ciekawego...

Na żywo z Morry Mayhew: Która płeć jest tak naprawdę słabsza?

Hope Devane rozmawia z przywódcą zupełnie mi nie znanej organizacji walczącej o prawa mężczyzn, który wlepia w nią wzrok z obrzydzeniem znamionującym wroga kobiet.

Ten program znacznie różni się od pozostałych. Z wypowiedzi tego faceta wyraźnie wyczuwa się mizoginizm. Przewinąłem taśmę i obejrzałem go ponownie.

Mężczyzna nazywa się Karl Neese. Ma jakieś trzydzieści lat, szczupły, o miłej powierzchowności, lecz o poglądach neandertalczyka. Bez wątpienia zasługuje na miano świni.

Obiekt niewybrednych ataków, czyli Devane, nigdy mu nie przerywała i nie starała się unosić głosu, nawet gdy jego komentarze wywoływały aplauz publiczności.

MAYHEW: W porządku, panie Neese, zapytajmy teraz panią doktor...

NEESE: Doktor? Nie widzę stetoskopu.

MAYHEW: Nasz gość jest doktorem psychologii...

NEESE: I ma to na mnie zrobić wrażenie? Czy sam tytuł cokolwiek zmienia?

MAYHEW: A więc, pani doktor, proszę powiedzieć nam...

NEESE: Powiedzieć, dlaczego feministki tak głośno krzyczą o swoich problemach, a jednocześnie bez zmrużenia oka dokonują aborcji, bo dzieci są niewygodne...

MAYHEW: ...Dlaczego według pani kobiety padają ofiarą pozbawionych skrupułów...

NEESE: Bo same szukają takich właśnie facetów pozbawionych skrupułów. Ach, ci źli mężczyźni. Zagrożenie. Podniecenie. Dlatego wciąż wracają po więcej. Twierdzą, że tęsknią do miłych. Ale miły znaczy słaby, a takim nie warto się interesować.

[oklaski]

DEVANE: Może rzeczywiście jest w tym cień prawdy.

NEESE: O, na pewno, złotko. Na pewno, [tępie okiem złośliwie]

DEVANE: Czasami rzeczywiście powielamy niebezpieczne wzorce. Według mnie kluczem jest to, czego nauczymy się jako dzieci.

NEESE: Pokaż, co masz, to i ja ci pokażę?

MAYHEW: [uśmiechając się] Czego możemy się nauczyć, pani doktor?

DEVANE: Możemy zaakceptować zachowania, które obserwujemy, a później, czasami zupełnie bezwiednie powielamy je...

Dalsze dwadzieścia minut to ciąg jego nieustających, prymitywnych ataków i jej wyważonych, rozsądnych odpowiedzi. Za każdym razem, gdy on rozbawił reprezentującą ten sam poziom publikę lub przynajmniej wywołał jej aprobatę, czekała na ciszę, by sprecyzować własne stanowisko, nigdy nie usiłując nawet ośmieszyć rozmówcy. I z uporem trzymała się narzuconego tematu.

Wraz z upływem czasu ludzie słuchali jej coraz uważniej, a Neese wyglądał na zbitego z tropu.

Jeszcze raz obejrzałem nagranie, koncentrując całą uwagę na Hope i sposobie, w jaki osiągnęła taki skutek. Odważnie utrzymywała kontakt wzrokowy, co pozwalało systematycznie pogłębiać więź ze słuchaczami, a jej spokój sprawiał, że głoszone przez nią opinie zdawały się niepodważalne.

Charyzma. Czysta charyzma.

Wprost perfekcyjnie potrafiła publikować swe poglądy i nie mogłem powstrzymać się przed refleksją, co byłaby w stanie osiągnąć, gdyby żyła.

Ujęcie dobiegło końca i na ekranie ukazało się zbliżenie twarzy Neese'a. Nie widać już było na niej tego pełnego ironii uśmiešku.

Powaga. A może i złość?

To był szalony pomysł, ale czy rzeczywiście nie tłumił w sobie wściekłości?

Dlaczego nie? Sprawa była już przyschnięta, a Milo prosił, bym nie obawiał się stawiać najbardziej fantastycznych hipotez. Zapisałem sobie nazwisko Neese i sięgnąłem po akta zabójstwa.

Słowa, zdjęcia. Zawsze te fotografie...

Dochodziła już piąta, kiedy zadzwoniłem do Milo, do zachodniego komisariatu, by zawiadomić go, że zapoznałem się ze wszystkim, włącznie z książką.

- Szybki jesteś.

- Łatwo się ją czyta. Miała bardzo przystępny styl. Tak swobodny, jakby siedziała w twoim salonie i dzieliła się posiadaną wiedzą.

- Co sądzisz o treści?

- W większości to prawdy oczywiste, których nie sposób zakwestionować. Egzekwuj swoje prawa, pilnuj własnych spraw, wybieraj cele, kierując się realizmem, by plany życiowe mogły się powieść i byś zyskał szacunek dla siebie. Ale kiedy prezentuje bardziej radykalne poglądy, nie popiera ich przykładami. Rozdział o testosteronie i sadyzmie jest już ewidentnie naciągany.

- Wszyscy mężczyźni to mordercy z pobudek seksualnych.

- Wszyscy mężczyźni mają predyspozycje do stania się mordercami na tle seksualnym, a nawet seks uprawiany za aprobatą obojga partnerów stanowi poniekąd gwałt, gdyż penis jest skonstruowany jak broń, a penetracja pochwy powoduje u kobiety utratę kontroli nad tym, co się dzieje.

- To właśnie zagadnienie owej utraty kontroli tak ją intryguje, prawda?

- Tak. Odwiedziłem bibliotekę i sprawdziłem wyniki badań, na które się powołuje. Nie potwierdzają tego, czego dowodzi. Operuje faktami wyrwanymi z kontekstu, a te nie pasujące pomija. Ale jeśli dokładnie nie sprawdzi się materiału źródłowego, nie jest to wcale oczywiste. Gdy zastanawiam się nad podłożem sukcesu tej książki, dochodzę do wniosku, że przyczyniły się do niego nie tylko jej umiejętności pisarskie. Ma za sobą wsparcie sporej części społeczeństwa, bo to właśnie kobiety niemal zawsze są ofiarami. Słyszałeś wczoraj Robin? Kiedy wróciliśmy do domu, powiedziała mi, że to morderstwo sprawiło, iż nie mogła spać po nocach, ponieważ identyfikowała się z Hope. Nie podejrzewałem nawet, że w ogóle zainteresuje się tą sprawą.

- A co z kasetami wideo?

- I tam była dobra. Spokojna i rzeczowa. Nawet gdy doszło do konfrontacji z tym durniem u Mayhew, ani na chwilę nie straciła nad sobą panowania. Pamiętasz go?

- Tego chudego idiotę? Już na wstępie rzucił się na nią z pazurami, prawda?

- Poradziła sobie z nim jednak po mistrzowsku. Przez cały czas trzymała go na dystans. Według mnie wygrała tę walkę na słowa, a on wyglądał na rozwścieczonego. Co, jeśli zachował do niej urazę?

Cisza.

- Chyba żartujesz.

- Mówiłeś, żebym był kreatywny. Te programy telewizyjne przypominają beczki z prochem. Traktują o delikatnych sprawach i wnikają głęboko w życie intymne ludzi. Właśnie przed takim zachowaniem ostrzegano mnie kiedyś, jako przyszłego terapeuty. Stąd zawsze uważałem, że w podobnych sytuacjach tylko kwestią czasu jest, kiedy dojdzie do rękoczynów.

- Hmm - mruknął. - W porządku, przyjrzę mu się. Kto to był?

- Karl Neese.

Powtórzył dla pewności.

- Nie zaszkodzi sprawdzić... Dobra, coś jeszcze na temat samej Hope?

- Na razie to wszystko. A co u ciebie?

- Nic. Mam wrażenie, że mąż trzyma coś w zanadru, a twoi koleś z uczelni na nic się tu nie zdadzą. Wciąż słyszę, że obecnie jest już za późno na jakikolwiek postęp w sprawie. Poza tym traktują mnie jak kretyna.

Roześmiałem się.

- Powinieneś pokazać im swój dyplom.

- Na pewno. To dopiero zrobiłoby wrażenie na tej bandzie. A co sądzisz o ranach? Ta w okolicach podbrzusza ma według ciebie seksualne podłoże?

- Jeśli została zadana z rozmysłem, z pewnością stanowi wyraz wrogości seksualnej.

- Moim zdaniem tak było. Trzy precyzyjne ciosy i żadnych innych obrażeń. Trafił ją dokładnie tam, gdzie chciał: w serce, podbrzusze i w plecy.

- Jeśli tak uważasz, trzeba przyjąć, że zabójca miał określone zamiary - rzekłem. - Z góry ustaloną sekwencję.

- Czyli?

- Pierwszy cios w serce może mieć romantyczny wydźwięk, oczywiście dla jakiegoś chorego umysłu. Przebicie czyjś serca można interpretować jako swego rodzaju zemstę. Chociaż wybór mógł paść na serce, by spowodować szybką śmierć. Ale z drugiej strony podcięcie gardła gwarantowałyby taki sam skutek przy znacznie mniejszym ryzyku.

- Niewątpliwie. Nie tak łatwo trafić w serce. Ostrze może się przecież osunąć po żebrach. Większość zabójstw przy użyciu noża to właśnie atak na gardło. A pozostałe rany?

- Podbrzusze - zacząłem, myśląc o zimnej krwi Hope i jej zawsze nieskazitelnym stroju. Wszystko w idealnym porządku. A tam pozostawiona swemu losowi na ulicy... - Wbrew pozorom podbrzusze może mieć związek z sercem: zawód miłosny i element erotyczny... Jeśli tak, pchnięcie w plecy byłoby dopełnieniem dzieła zniszczenia. Stanowiłoby ostateczne ukaranie lub może potwierdzenie zdrady.

- Aby zadać ten ostatni cios, zabójca musiał zmarnować sporo czasu na odwrócenie jej na brzuch. To dlatego zdziwiłem się, gdy wspomniałeś o sekwencji. Wyobraź sobie, że stoisz na ulicy i właśnie kogoś zabiłeś. Czy masz wtedy czas na podobne działania? Według mnie to zbrodnia z namietności, ale dokonana z ogromnym wyrachowaniem.

- Zimna wściekłość - mruknąłem. - Czyżby więc łączyła ich jakaś zażyłość? To ktoś, kogo dobrze znała?

- Właśnie dlatego zwróciłem uwagę na męża.

- Ale dla kogoś takiego jak Hope zażyłość mogła oznaczać coś zupełnie innego. Promocja jej książki sprawiła, że stała się znana milionom ludzi. Mogła wzbudzić wściekłość w każdym z nich. Nawet nie mającą racjonalnego uzasadnienia. Może komuś nie spodobała się jej dedykacja, jakieś określone sformułowanie czy występ w telewizji. Sława przypomina rozbieranie się w ciemnym teatrze, Milo. Nigdy nie wiesz, kto na ciebie patrzy.

Milczał przez kilka chwil.

- Cholera, dzięki za rozszerzenie listy podejrzanych do granic nieskończoności... A oto w zamian informacja, która nie pojawiła się w aktach: codziennie wieczorem wychodziła na kilkudziesięciminutowy spacer. Zawsze między dwudziestą drugą trzydzieści a dwudziestą trzecią. Zazwyczaj z psem, rottweilerem, ale tego wieczora zwierzak miał jakieś problemy żołądkowe i był nawet u weterynarza. Ciekawy zbieg okoliczności, prawda?

- Podtruty?

- Skontaktowałem się dziś rano z weterynarzem, który oświadczył, że nie miał okazji dokładniej zająć się psem, bo ten rano czuł się już dobrze. Objawy wskazywały na zjedzenie czegoś, co po prostu mu zaszkodziło. Ale tłumaczył mi jednocześnie, że psy często wyjadają domowe odpadki i to może doprowadzić do takich efektów.

- I co dalej?

- Trudno powiedzieć. Teraz już za późno na jakiegokolwiek badania. O tym także Paz i Fellows nawet nie pomyśleli.

- Zatrucie psa - rzekłem. - A więc zabójca musiał obserwować ją przez pewien czas i dokładnie poznać jej zwyczaje.

- Albo też był to ktoś, kto ją znał. Mąż pasowałby idealnie do zemsty o podłożu erotycznym. Małżonek, któremu zostały przyprawione rogi?

- Czy to mógł być on?

- Nie wiem. Ale należy rozpatrywać i taki wariant. A jeśli Seacrest był sprytniejszy i bardziej wyrachowany niż przeciętny zdradzany mąż, nie było lepszego rozwiązania niż upozorowanie ulicznej zbrodni.

- Ale mówimy przecież o profesorze historii, w średnim wieku, posiadającym nieskazitelną opinię. Nigdy nie przejawiał najmniejszych nawet skłonności do agresji.

- Zawsze może się zdarzyć ten pierwszy raz - stwierdził filozoficznie.

- Wiesz może, jak przyjął fakt, że nagle stała się sławna?

- Nie. Mówiłem już, że trudno nawiązać z nim współpracę.

- To mógł być punkt zapalny w ich stosunkach. On był starszy, miał zapewne większy dorobek naukowy i doświadczenie. Ale to ona wydała książkę, która stała się bestsellerem. Może nie mógł znieść, że wspomniała o jego osobie w telewizji, chociaż z tego, co zauważyłem oglądając taśmy, wypowiadała się o nim dość ciepło.

- Tak - przyznał. - Mówiła: „Philip potrafi zrozumieć kobiece potrzeby, ale jest niewątpliwie wyjątkiem”. Może traktowała go protekcjonalnie?

- Jeszcze jedno: nigdy nie słyszałem, by jakakolwiek feministka oplakiwała śmierć Hope lub zarzucała opieszałość w poszukiwaniach sprawcy jej zabójstwa. Może to dlatego, że nie należała do żadnej organizacji feministycznej. Nie było o tym wzmianki w jej życiorysie.

- To prawda - zgodził się Milo. - Samotny rewolwerowiec?

- Była członkiem rozmaitych komisji i towarzystw akademickich. Ale nie miała styczności z polityką. Mimo oczywistego wydźwięku swej książki. A wracając do jej życiorysu, jeszcze jedna rzecz zwróciła moją uwagę: zasiadała w czymś, co zwano Komisją Stosunków Interpersonalnych.

Sądzę, że może to mieć coś wspólnego z molestowaniem seksualnym. Niewykluczone, iż zajmowała się rozpatrywaniem skarg studentów na kadre, gdy w grę wchodziły tego typu zachowania, co również mogło stanowić kolejne źródło zadrażeń. Przecież w ten sposób była w stanie zniszczyć czyjeś życie.

- Stosunki interpersonalne. Jakoś umknęło to mojej uwagi.

- Na samym końcu była o tym tylko mała wzmianka.

- Dzięki, że zwróciłeś na to uwagę. Tak, niewątpliwie brzmi interesująco. Wyświadczysz mi przysługę i sprawdzisz to w miasteczku uniwersyteckim? Szef wydziału nie odpowiada na moje telefony od czasu naszej pierwszej rozmowy.

- Masz na myśli Eda Gabelle'a?

- Tak. Jaki on jest?

- Typowy polityk. Nie ma sprawy, sprawdzę to.

- Jeszcze raz dziękuję. Posłuchaj teraz, co mnie zaintrygowało. Chodzi o sprzeczność między tym, co napisała, a jej zachowaniem w telewizji. W poradniku, oczywiście upraszczając, uznała wszystkich facetów za męty, więc od razu narzuca się myśl, że nosiła w sobie głęboką nienawiść do nich. Ale w toku swych publicznych występów sprawiała wrażenie kobiety nie mającej nic przeciwko przyzwoitym mężczyznom. Oczywiście uważa, że należy wyjaśnić sobie pewne kwestie, czasem jakby nas nawet nieco żałowała. Ale ogólny stosunek określiłbym jako dosyć przyjazny, Alex. Czuje się nieskrępowana wobec mężczyzn, może nawet i coś więcej. Moim zdaniem z zachowania przypomina panienkę, którą można zaliczyć już po kilku piwach.

- Raczej po kilku kieliszkach szampana.

- Zgadza się. Pasowałaby raczej do baru w hotelu Bel Air niż do podrzędnej knajpki, ale nie zmienia to faktu, że ten kontrast jest widoczny na pierwszy rzut oka. Przynajmniej dla mnie.

- Wiesz, to samo można by powiedzieć o jej życiorysie - dodałem. - Jego pierwsza część prezentowała niczym nie wyróżniającego się naukowca, podczas gdy druga wyraźnie odnosiła się do gwiazdy. Człowiek ma wrażenie, że chodzi o dwie różne osoby.

- I jeszcze jedno: może nie jestem tu autorytetem, ale wydaje mi się, że usiłowała być seksowna. Uwodzicielska. Zwróciłeś uwagę, jak spoglądała w kamerę, jak się uśmiechała? W jaki sposób siedziała? Swym zachowaniem mówiła wiele, nie otwierając ust.

- Psychologowie potrafią to robić lepiej od innych.

- Widać, że ona była w tym naprawdę dobra.

- Tu się zgadzam, ale co wynika z tego, że chciała być seksy?

- Zastanawiam się, czy należała do osób gotowych zaangażować się w coś niebezpiecznego... Nie bujam w przestworzach?

- Masz na myśli to, że oddzielała wyraźnie różne sfery własnego życia? Starła się ich nie łączyć i utrzymywała w tajemnicy.

- A takie tajemnice z czasem mogą stać się niebezpieczne. Z drugiej strony wszystkie te nasze rozważania mogą nie mieć nic wspólnego z zabójstwem. Przecież przyszły morderca, zobaczywszy ją, powiedzmy, w telewizji, mógł wyimaginować sobie, że Bóg każe mu ją zabić. Albo to jakiś psychopata rzucający się na blondynki, a ona znalazła się akurat w nieodpowiednim miejscu w nieodpowiednim czasie. Boże broń... W porządku, jeszcze raz dziękuję za czas, jaki mi poświęciłeś. Gdyby coś jeszcze przyszło ci do głowy, będę dziś pracować do późna.

- Spróbuję wyciągnąć coś od Eda Gabelle'a na temat komisji. Zadzwoń, jeśli to będzie coś naprawdę ciekawego.

- Już jest ciekawe - stwierdził i zaklął siarczyście.

Ed Gebelle był nie wzbudzającym sympatii psychologiem o gęstej, siwej czuprynie, wąskich ustach i śpiewnym głose, w którym pobrzmiwał angielski akcent. Jego specjalność stanowiło wywoływanie zmian patologicznych w neuronach karaluchów i obserwowanie rezultatów. Słyszałem, że ostatnio starał się o fundusze na podjęcie badań związanych z nadużywaniem narkotyków.

Przyjechałem tuż po przerwie na lunch. Znalazłem go opuszczającego stołówkę, ubranego w niebieskie dżinsy, drelichową koszulę i trudny do opisania krawat w żółte ciapki.

- Policja, Alex? - zapytał z żalem. - Dlaczego?

- Wcześniej już z nimi współpracowałem.

- Czy... No cóż, nie jestem w stanie pomóc ci w tej sprawie. Nasz wydział nie ma z tym nic wspólnego.

- A kto ma?

- Powiedzmy, że Hope była... indywidualistką. Wiesz, co mam na myśli. Ta jej książka.

- Nie została tu dobrze przyjęta?

- Nie, nie o to mi chodzi. Hope była niezwykle inteligentna. Jestem pewien, że książka przyniosła jej duże pieniądze, ale nie była zwolenniczką... pracy zespołowej.

- Nie miała czasu dla współpracowników?

- Tak.

- A co ze studentami?

- Ze studentami? - zapytał, jakby wcześniej nie znał tego słowa. - Zakładam, że miała jakichś. No cóż, miło było cię widzieć, Alex.

- A ta komisja? Według ciebie to także był wyłącznie jej pomysł?

Zwilżył spękane wargi.

- Czemu miał służyć, Ed?

- Nie mogę o tym mówić. To już zamknięta sprawa.

- Niestety nie. Morderstwo wszystko stawia na głowie.

- Naprawdę? - zdziwił się i zaczął spacerować.

- Określ przynajmniej...

- Nie, niczego się ode mnie nie dowiesz w tej sprawie - powiedział piskliwie. - Zwróć się do kogoś wyżej.

- Czyli?

- Do dziekana.

Kiedy telefonicznie poinformowałem sekretarkę dziekana, w jakiej sprawie chcę z nim rozmawiać, ta wyraźnie spłoszonym głosem oświadczyła, że porozumie się z szefem i oddzwoni. Tyle tylko, że nie zapytała o mój numer telefonu. Ponownie zadzwoniłem do Milo.

- Kryją swoje dupy - orzekł. - Podoba mi się to. W porządku, sam zajmę się dziekanem. Dziękuję, że tak uważnie przeczytałeś jej życiorys.

- Za to mi płacisz.

Roześmiał się, lecz zaraz spoważniał.

- Widać więc, że Hope dopiekła komuś, działając w tej komisji. A mówiąc już o dopieczeniu komuś, zdobyłem numer telefonu do asystentki producenta show Mayhew. Zajmiesz się tym wątkiem, żebym mógł spokojnie skoncentrować się na prześladowaniu kadry naukowej?

- Jasne - odparłem.

- Nazywa się Suzette Band. Zapewne nie zgodzi się rozmawiać, jeśli nie zostanie przyciśnięta. Możesz być więc szczególnie dokuczliwy.

Dopiero za piątą próbą udało się dotrzeć do Suzette Band, ale gdy wreszcie do tego doszło, byłem mile zaskoczony sympatycznym brzmieniem jej głosu.

- Policja? Adam dwanaście?

Popelnienie wykroczenia poprzez podanie się za prawdziwego policjanta wydawało się łatwiejsze od tłumaczenia, jaką naprawdę rolę odgrywam w śledztwie, więc przeszedłem od razu do sedna sprawy: i - Czy pamięta pani gościa z ubiegłorocznego programu: profesor Hope Devane?

- Tak, oczywiście. To straszne. Czy zabójca został schwytany?

- Nie.

- Proszę nas poinformować, kiedy wam się to uda. Bardzo chętnie przedstawilibyśmy u nas tę sprawę. Mówię poważnie.

Z pewnością.

- Zrobię wszystko co w mojej mocy, panno Band. Teraz jednak to ja proszę o pomoc. W tym samym programie występował jeszcze jeden gość, mężczyzna nazwiskiem Karl Neese...

- O co chodzi?

- Chciałbym się z nim skontaktować.

- Dlaczego... nie, chyba nie mówi pan poważnie. - Roześmiała się. - To niezgodne z naszą etyką. Ale rozumiem, o co panu chodzi. Uważam tylko, że byłoby to marnowaniem czasu.

- Dlaczego?

Długie milczenie.

- Czy chodzi o coś, co jest na taśmie?

- Nie.

Cisza.

- Panno Band?

- Nie jestem nagrywana?

- Nie. Proszę mówić otwarcie w czym rzecz.

- Cóż... Osoba, z którą powinien pan porozmawiać, to Eileen Pietsch, наша producentka.

Ale ona przebywa akurat w podróży służbowej. Dopilnuję, żeby skontaktowała się z panem, kiedy...

- Po co marnować czas, skoro Karl jest kimś, kim nie warto się przejmować?

- Bo to prawda. Otóż my... nasz show... Karl to...

- Zawodowy gość?

- Ja tego nie powiedziałam.

- Więc dlatego nie powinniśmy się nim interesować?

- Proszę posłuchać... W ogóle nie powinnam z panem rozmawiać, ale nie chciałabym narazić nas na kłopoty i ewentualną antyreklamę programu. Bóg jeden wie, jak wiele mamy problemów z tymi z Waszyngtonu, którzy wciąż poszukują kozłów ofiarnych. A my jesteśmy przekonani, że właściwie służymy interesowi publicznemu.

- A Karl był tego częścią?

Usłyszałem ciężkie westchnienie.

- W porządku - mruknąłem. - A więc został opłacony, by zjawił się w studio i stanowił negatywne tło dla profesor.

- Nie ujmowałabym tego w ten sposób.

- Ale jest aktorem, prawda? Jeśli przejrzę stosowne rejestry, i tak go odszukam.

- Proszę posłuchać - powiedziała głośniej, po czym znów westchnęła. - Tak, jest aktorem.

Ale z tego co wiem, rzeczywiście jego poglądy są zgodne z tymi, które prezentował u nas.

- Dlaczego więc nie powinienem się z nim spotkać? Przecież dyskusja z profesor Devane była bardzo ostra.

- Ale to było... kurczę, nic pan nie rozumie. Mówiąc zupełnie szczerze, Karl jest profesjonalistą. Poza tym to naprawdę miły facet. Już wcześniej korzystaliśmy z jego usług, podobnie zresztą jak i inne programy. Sprowadzamy takich jak on, by dodać dyskusjom pikanterii. Szczególnie gdy uczestniczą w nich naukowcy, bo ci są zazwyczaj szczególnie nudni. We

wszystkich talk-show postępują podobnie. Niektórzy organizatorzy przygotowują nawet specjalną publiczność. My nigdy tego nie robimy.

- A więc twierdzi pani, że w rzeczywistości Karl nie był nastawiony wrogo wobec profesor Devane?

- Oczywiście, że nie. To dobronudzny człowiek. W zeszłym roku występował nawet u nas jako wyjątkowo sympatyczna i przyjazna postać. I był w tej roli bardzo dobry. Potrafi się dostosować. I ma twarz, którą szybko się zapomina.

- Nikt więc nie pamiętał, że widział go już w innej roli?

- Zazwyczaj doklejamy wąsy i nakładamy perukę. Ludzie nie są aż tak spostrzegawczy.

- Mimo wszystko chciałbym z nim pomówić. Ma pani gdzieś pod ręką numer do niego?

Znów chwila ciszy.

- Co pan powie na pewien układ?

- Mam zdecydować, czy biorę pieniądze, czy też sprawdzam, co kryje się za bramką numer trzy?

- Bardzo zabawne - odpowiedziała niezmiennie miłym tonem. - Proszę posłuchać: dam panu numer do Karla, jeśli obieca mi pan, że skontaktuje się z nami zaraz po wykryciu sprawy, byśmy mogli zaprezentować całą sprawę w naszym programie. W porządku?

Udałem, że się zastanawiam.

- Zgoda - odparłem wreszcie.

- Wspaniale... Może i pan u nas wystąpi w roli superdetektywa. Jest pan fotogeniczny?

- W oczach odbijają mi się czerwone światła kamer, ale zęby pozostają białe.

- Ha, ha, świetny dowcip. Na pewno wypadłby pan dobrze. Występowali już u nas gliniarze, ale, niestety, z reguły byli dosyć bezbarwni.

- Jak naukowcy?

- Jak naukowcy. Większość ludzi bez zorganizowania dopingu jest nijaka. Chyba że mają do powiedzenia coś naprawdę interesującego.

- Oglądałem nagranie z występem profesor Devane. Bardzo dobrze sobie radziła.

- To prawda. Miała klasę. I wiedziała, jak zainteresować widownię. To naprawdę przykre co się z nią stało. Mogła przecież współpracować z nami na stałe.

Numer Karla Neese'a wskazywał, że mieszka w Dolinie. Na automatycznej sekretarce nagrał wiadomość, że o tej porze jest w pracy. W sklepie z konfekcją męską na Bulwarze Robertsona.

Sprawdziłem, gdzie to jest. Między Beverly a Trzecią. O tej porze dnia jakieś dwadzieścia minut jazdy samochodem.

Sklep był niewielki, pełen luster, przyozdobiony brazylijskimi antykami i obrazami o treści religijnej, zastawiony rzędami stojaków z garniturami po trzy tysiące dolarów każdy. Z głośników sączyła się muzyka, łatwo wpadająca w ucho. Po wejściu do środka dostrzegłem dwoje pracowników ubranych na czarno: blondynkę za ladą i Neese'a składającego kaszmirowe swetry.

Od czasu udziału w programie zmienił się mocno. Zapuścił szczeciniastą brodę i włosy sięgające teraz ramion. Wydawał się młodszy niż w telewizji. Blady i jakby zagłodzony. Szczególnie rzucały się w oczy jego bardzo długie, szczupłe palce.

Przedstawiłem się i wyjaśniłem, co mnie do niego sprowadza.

Skończył układanie i powoli odwrócił się w moją stronę.

- Chyba pan żartuje.

- Chciałbym, panie Neese.

- Wie pan, zaraz po tej zbrodni spodziewałem się, że ktoś mnie odwiedzi.

- Dlaczego?

- Bo rozmowa wypadła dość ostro.

- Ostrzej, niż była zaplanowana pierwotnie?

- Nie, zapłacili mi za to, żebym był taki, jakiego mnie pan widział. „Idź i bądź dupkiem”, polecili. - Roześmiał się. - Jak ocenia pan moje umiejętności aktorskie?

- Co jeszcze panu powiedzieli?

- Dali mi jej książkę i kazali przeczytać, bym wiedział, o co w tym wszystkim chodzi.

Miałem odegrać rolę gburowatego idioty, aby skupić całą uwagę widowni na niej. I chyba nieźle mi to wyszło. Pół roku temu występowałem u Xaviera jako ojciec kazirodca. Wówczas sztuczna broda, okulary przeciwsłoneczne i tandetna koszula zabezpieczały mnie, jak się okazało wystarczająco, przed ewentualnymi atakami na ulicy.

- Często robi pan coś takiego?

- Jak dla mnie zbyt rzadko. Naraz do kieszeni wpada mi pięć, sześć setek, ale nigdy nie wiadomo, kiedy dostanie się kolejną taką fuchę. Właściwie nic w tym niezwykłego, że sprawdza pan, czy jestem złym wilkiem z bajki, ale, jak widać, tak nie jest. Ponadto tego wieczora, gdy ona zginęła, grałem w Costa Mesa w „Człowieku z La Manchy”. Oglądało mnie czterystu znamienitych gości. Uśmiechnął się. - Przynajmniej powinno. Część z nich może nawet była jeszcze trzeźwa. Oto numer do producenta. - Milczał przez moment. - Szkoda.

- Czego?

- Że zginęła. Nie lubiłem jej, ale była ostra i naprawdę świetnie radziła sobie z tym głównym, jakim ją zalewałem. Byłby pan zdziwiony, jak wielu ludzi nie jest w stanie tego zdzierżyć, nawet gdy wiedzą, co jest grane.

- Więc i ona wiedziała?

- Oczywiście. Nie mieliśmy żadnej próby, ale spotkaliśmy się przed nagraniem. W garderobie. Poinformowałem ją, że będę zachowywać się jak potwór Frankensteina, a ona odparła, że nie ma nic przeciwko temu.

- Dlaczego więc nie przypadła panu do gustu?

- Bo próbowała wyprowadzić mnie z równowagi. Tuż przed występem. Zachowywała się w stosunku do mnie przyjaźnie, gdy podczas makijażu towarzyszyła nam producentka. Ale gdy zostaliśmy sami, pochyliła się w moją stronę i niemal uwodzicielsko szeptała do ucha. Oświadczyła, że poznała mnóstwo aktorów, a każdy z nich był wypaczony pod względem psychologicznym. „Nie mogą dać sobie rady z własną osobowością”, powiedziała. „Udają innych, by czuć, że nie utracili nad sobą kontroli”. - Zachichotał. - Może i miała rację, ale kto chce słuchać takich rzeczy?

- Uważa pan, że chciała go onieśmielić.

- Bez wątplenia. Tylko że wszystko od samego początku stanowiło zwykłą mistyfikację. Jak wolna amerykanka. Ja byłem tym złym, ona była dobra. Oboje z góry wiedzieliśmy, że położy mnie na obie łopatki. Po co więc się wysilała?

Odgrywanie ról, by mieć wrażenie, że zachowuje się nad sobą kontrolę.

Oddzielanie poszczególnych aspektów życia.

Może Hope postrzegała samą siebie jako aktorkę.

Wróciwszy do domu, zatelefonowałem do producenta występów w Costa Mesa. Jego asystentka sprawdziła w papierach i potwierdziła, że Karl Neese rzeczywiście był na scenie tego wieczora, gdy popełniono morderstwo.

- To była jedna z naszych najlepszych sztuk - oświadczyła. - Bilety szły jak woda.

- Wciąż jest na afiszu?

- Niestety. Nic w Kalifornii nie trwa długo.

Milo zatelefonował tuż przed siedemnastą.

- Masz w domu coś na ząb?

- Na pewno się znajdzie.

- Więc już zacznij szukać. Czuję się jak myśliwy na polowaniu i jestem cholernie głodny.

Sprawa miała wrażenie wyraźnie ożywionego.

- Opłaciło się odwiedzić dziekana? - zapytałem.
- Nakarm mnie, to ci opowiem. Będę za pół godziny.

Jedzenia miałem pod dostatkiem. Niedawno byliśmy wraz z Robin na zakupach i nowa lodówka, dwukrotnie większa od poprzedniej, była pełna.

Przygotowałem mu kanapkę z wołowiną. Biała kuchnia była przestronna. Zbyt przestronna. I zbyt biała. Wciąż nie mogłem przyzwycząć się do nowego domu.

Wróciłem myślami do poprzedniego. Sto sześćdziesiąt metrów kwadratowych ścian z sekwoi, drewnianych gontów, barwionego szkła i wymyślnych ozdóbek. Powstał ze starych materiałów, zbudowany przez węgierskiego artystę, który po dłuższym pobycie w Los Angeles wrócił do Budapesztu sprzedawać radzieckie samochody.

Kupiłem go wiele lat temu, skuszony przede wszystkim jego położeniem: ukryty na podgórzu, na północ od Beverly Glen, odgradzony od sąsiadów gęstym lasem, zapewniał prywatność, o jakiej marzyłem.

Ta izolacja okazała się idealna dla psychopaty, który pewnej ciepłej letniej nocy podłożył ogień. „Jedna wielka pochodnia”, określił wtedy szef drużyny strażackiej.

Wraz z Robin postanowiliśmy go odbudować. Po perypetiach z nieuczciwymi wykonawcami osobiście zajęła się dopilnowaniem wszelkich prac. Efektem tego był dom o dwustu czterdziestu metrach kwadratowych, z białymi stiukami, szarym dachem ceramicznym, podłogami i schodami z jasnego drewna, mosiężnymi wykończeniami, świetlikami i maksymalną liczbą okien, na jaką zezwalały przepisy związane z oszczędzaniem energii. Na tyłach budynku znajdowała się pracownia, do której rozpromieniona Robin szła każdego ranka w towarzystwie Spike'a - naszego francuskiego buldożka. Kilka starych drzew musiało pójść pod topór, ale zastąpiliśmy je eukaliptusami, kanaryjskimi sosnami i sekwojami, a poza tym zaaranżowaliśmy nowy ogród japoński z sadzawką pełną młodych koi.

Robin była zachwycona. Podobne opinie wygłaszało kilku wybrańców, których tu zapraszaliśmy. Nawet Milo wyraził aprobatę, choć w typowy dla siebie sposób: „Jak tacka pod kurczakiem, ale i tak mi się podoba”. Pokiwałem głową, uśmiechnąłem się, a przed oczami stanęły mi artystycznie rzeźbione okna z kwaterami, wyczułem zapach starego drewna i usłyszałem skrzypienie wytartej podłogi.

Położyłem Milo pikle na kanapkę, zamknąłem ogromną lodówkę, zaparzyłem kawę i sięgnąłem po notatki dotyczące sprawy w sądzie rodzinnym, w której występowałem jako konsultant. Oboje rodzice byli inżynierami. Adoptowali dwójkę chłopców w wieku trzech i pięciu lat. Matka uciekła z jakimś facetem do Idaho, a ojciec był wściekły i wyglądało na to, że nie poradzi sobie z wychowaniem dzieci.

Chłopcy byli aż do bólu grzeczni, ale ich rysunki ujawniały, że bardzo przeżywają całą sprawę. Sędzia, który wcześniej przewodniczył rozprawie, był sympatycznym człowiekiem, ale nowy to bufonowaty ignorant, który nie uznawał jakichkolwiek raportów. Prawnicy obu stron byli urażeni, że nie zgadzam się z ich opiniami. Ostatnio zaczęliśmy wraz z Robin rozmawiać o własnych dzieciach.

Kończyłem właśnie ostateczną wersję raportu, gdy rozległ się dzwonek.

Podszedłem do drzwi frontowych, spojrzałem przez wizjer i gdy ujrzałem okrągłą twarz Milo, otworzyłem je. Jego ford stał zaparkowany ukośnie za pikapem Robin. Z tyłu dochodził warkot piły elektrycznej i szczekanie Spike'a.

- Cześć.

Zerknął na swego timexa. Uśmiechnął się szeroko, wytarł buty o wycieraczkę i wszedł do środka. Nowy perski dywan lśnił od jedwabistych nitek. Pasował do tego wnętrza. Niestety, wszystkie zbierane przeze mnie latami elementy wystroju spłonęły i ściany były teraz idealnie puste.

W każdym domu kuchnia stanowiła dla Milo magnes. Gdy szedł w jej kierunku, na chwilę zalał go potok światła wpadającego z góry. Wyglądał w nim jak potężny śniegowy bałwan.

Kiedy go dogoniłem, siedział już przy stole jadalnym z kanapką w jednym ręku i kartonem mleka w drugim. Połknął ją w trzech kęsach.

- Chcesz jeszcze jedną?

- Nie, dziękuję... A właściwie czemu nie?

Uniósł karton do ust, wlał sobie do gardła resztę jego zawartości i poklepał się po brzuchu. Przed miesiącem rzucił alkohol i schudł nieco, do jakichś stu dwudziestu pięciu kilogramów. Większość tej masy ulokowała się w górnej części jego ciała, w tułowiu, karku i głowie. Długie nogi, które sprawiały, że liczył sobie ponad sto dziewięćdziesiąt centymetrów wzrostu, nie były szczególnie szczupłe, ale w zestawieniu z resztą ciała wyglądały prawie na chude.

Był ubrany w jasnozielony blezer, białą koszulę, czarny krawat, brązowe spodnie i zamszowe traperki. Miał dokładnie wygolone skronie, tylko za lewym uchem pozostała kępka siwych włosów. Grubo ciosane rysy sprawiały, że wyglądał jak nie dokończona rzeźba.

Gdy zabrałem się do przygotowania dla niego drugiej kanapki, sięgnął do swojej teczki i zaczął wyciągać papiery.

- Efekty polowania: lista potencjalnych wrogów. - Otarł usta wierzchem dłoni. - Jedno jest tylko pewne: Nixon nie miał nic do profesor Davane.

Podąłem mu jedzenie.

- Wyśmienite - pochwalił przeżuając. - Skąd bierzesz takie mięso?

- Z supermarketu.

- To ty robisz zakupy? Z takimi kanapkami mógłbyś startować do prezydenckiego fotela. A może zajmuje się tym twoja mała dama.

- Mała dama - mruknąłem. - Spróbuj zwrócić się tak do niej osobiście.

Roześmiał się.

- Mówiąc szczerze, ta sprawa skłoniła mnie do zadumy. Myślałem, że jestem wyłączony z tych damsko-męskich rozsad, jednak wygląda na to, że my wszyscy z chromosomami Y zostaliśmy wychowani na barbarzyńców. Ale wracając do sprawy, dziekan okazał się całkiem miły. Sympatyczny, choć roztargniony. Dotarłem do niego tylko dzięki wymachiwaniu odznaką i groźbom nagłośnienia faktu istnienia komisji. Momentalnie zostałem zaproszony do zacisznego gabinetu. Serdecznie uściskał mi rękę i zaproponował kawę. Od razu oświadczył, że nie ma sensu wracać do „dawno zamkniętych spraw”. Działalność tej komisji „była właściwie tymczasowa” i problem został szybko rozwiązany „w trosce o zachowanie praw konstytucyjnych”.

Sięgnął po teczkę.

- Na szczęście zakładał, że wiem więcej niż w rzeczywistości. Zblefowałem więc oświadczając, że w miasteczku akademickim krążą odmienne opinie. Zaprzeczył zdecydowanie, powtarzając z naciskiem, że cała sprawa to już przeszłość. „Podobnie jak profesor Devane”, zauważyłem. Poleciałem, by zaczął mówić wszystko od początku. Wahał się, ale wreszcie powiedział to, co chciałem z niego wyciągnąć.

Wstrząsnął pustym już kartonem.

- Masz jeszcze mleko?

Sięgnąłem po nie do lodówki. Napił się i otarł usta.

- Miałeś rację, że chodziło o przypadki molestowania seksualnego. Ale nie na linii studenci-kadra naukowa, lecz między samymi studentami. Stworzenie owej komisji było pomysłem Devane. Rozpatrzyli tylko trzy przypadki. We wszystkich oskarżenia wysunęły dziewczyny, które uczestniczyły w jej wykładach i zwróciły się z tym problemem bezpośrednio do niej. Devane nie korzystała z żadnych oficjalnych kanałów. Wysłuchiwała skarg i wysuwała oskarżenia, przewodnicząc czemuś na kształt sądu.

- Studenci nie wiedzieli, że działa nieoficjalnie?

- Dziekan twierdzi, że nie. Cóż za etyczne postępowanie, prawda?

- No proszę. To dopiero dbałość o zachowanie praw konstytucyjnych. Przecież bezprawnie organizowali procesy sądowe.

- Dziekan nie przyznał się do tego, ale i ja odniosłem takie wrażenie. Później zapewnił mnie, że działalność komisji nie może mieć żadnego związku z morderstwem, ale kiedy zapytałem

go, skąd ta pewność, nie potrafił odpowiedzieć. Podkreślił, że poważnym błędem będzie ujawnienie sprawy. Że może narobić to kłopotów także samej policji, ponieważ wszyscy mający kontakt z komisją, zarówno oskarżyciele, jak i oskarżeni, zażądali zapewnienia dyskrecji, więc będą mogli nas zaskarżyć. Kiedy milczałem, zagroził, że skontaktuje się z moimi zwierzchnikami. Usiadłem spokojnie i uśmiechnąłem się. Sięgnął po telefon, lecz po chwili odłożył go i zaczął niemal błagać. Zapewniłem, że rozumiem jego położenie i że nie zamierzam stwarzać problemów. Żądam jednak wglądu do wszystkich posiadanych przez uczelnię materiałów i mogę tylko zapewnić, że postaram się zachować całą sprawę w tajemnicy.

Pomachał plikiem papierów.

- Zapisy wszystkich trzech posiedzeń. Hope je nagrywała.

- Po co?

- Kto wie? Może miała w planach kolejną książkę. Dziekan między wierszami wspominał, że narobiła sporo zamieszania, oburzona na zawieszenie działalności komisji. Jednocześnie ukazały się jej „Wilki i owce”, więc nie miała już czasu zajmować się tą sprawą.

- Może zamierzała wykorzystać posiadane materiały dla zdobycia dodatkowego rozgłosu.

- Dziekan również to podejrzewał. Powiedział, że ostrzegł ją przed znalezieniem się w niebezpiecznej z punktu widzenia prawa sytuacji. Według uniwersyteckich prawników, skoro nie uzyskała oficjalnej zgody, zasiadając w komisji, działała jako niezależny psycholog, a nie członek kadry dydaktycznej. Gdyby więc opublikowała zdobyte w ten sposób informacje, naruszyłaby prawo do prywatności pacjentów i naraziła się na odebraniem uprawnień. W odpowiedzi zagroziła zatrudnieniem własnego prawnika, ale widocznie zmieniła zdanie.

- To wprost zadziwiające, że żadna z tych spraw nie wypłynęła dotychczas w toku śledztwa.

- Widocznie wszystkim zależało na zachowaniu tego w tajemnicy. Administracji, studentom... szczególnie studentom.

Wręczył mi przywiezione akta.

- Zapoznaj się z nimi, kiedy będziesz miał wolną chwilę, i powiedz, co o tym sądzisz. Ja zajmę się tymczasem jej mężem. Jest coraz bardziej podejrzany, od momentu gdy zapoznałem się z ich rozliczeniami podatkowymi.

- Książka przyniosła jej duże pieniądze?

Kiwnął głową.

- Ale i wcześniej miała intrygujące dodatkowe przychody. Słyszałeś kiedyś o Robercie Barone?

Zaprzeczyłem.

Znany prawnik. Zajmuje się obroną w procesach kryminalnych, cenzurą, aferami, rozrywką... W zeszłym roku zapłacił jej czterdzieści kawałków jako konsultantce. Rok wcześniej dwadzieścia osiem tysięcy. Barone ma biura tutaj, w Century City i w San Francisco. Nie odpowiada na moje telefony. - Łyknął mleka i ciągnął: - Jej drugim klientem, któremu także służyła jako konsultantka, jest doktor z Beverly Hills, Milan Crivic. Jest ginekologiem specjalizującym się w leczeniu bezpłodności. Masz jakiś pomysł, dlaczego ktoś taki w ciągu jednego roku zapłacił psychologowi trzydzieści sześć tysięcy? I tak przez dwa lata z rzędu?

- Może przeprowadzała badania kandydatek do leczenia bezpłodności?

- Czy to powszechnie stosowane postępowanie?

- Leczenie nie jest łatwe. Dlatego lekarz może zdecydować się na sprawdzenie kondycji psychicznej potencjalnych pacjentek i wybrać wyłącznie te, z którymi nie powinien, przynajmniej od tej strony, mieć kłopotów.

- Dlaczego więc nie kierował tych kobiet do Devane, tylko płacił jej bezpośrednio z własnej kieszeni?

- Dobre pytanie.

- Kiedy zatelefonowałem do gabinetu Crivica, jego sekretarka poinformowała mnie, że szef pracuje w jednej z kobiecych klinik. A to może oznaczać, że zajmuje się aborcjami. Kolejny możliwy punkt zapalny, jeśli i Hope była w to zaangażowana. Co prawda fala agresji przeciwników aborcji nie dotarła jeszcze do Los Angeles, ale prędzej czy później to nieuniknione. Dodatkowo ten Neese z telewizji sprawił, że Devane zaprezentowała się jako zagorzała feministka, opowiadająca się zdecydowanie za swobodą wyboru kobiety, czy chce mieć dzieci czy też nie. Kto wie, może jakiś świr się wściekł.

- Na pewno nie sam Neese - zapewniłem i zrelacjonowałem, czego się o nim dowiedziałem.

- O jednego mniej - skwitował. - Uważał, że chciała go onieśmielić?

- Tak powiedział. Starła się go zdominować.

- No cóż... sądzisz, że warto się zainteresować wątkiem aborcji?

- Raczej nie. Hope nie występowała otwarcie za aborcją, więc zabójstwo na tym tle nie miałyby właściwie żadnego sensu, bo nie zwróciłyby powszechnej uwagi na ten problem.

- Zgadza, się... Ale trzeba sprawdzić, co faktycznie robiła dla Crivica i Barone'a. Przecież w ciągu dwóch ostatnich lat dostała od nich łącznie dwieście tysięcy. Co prawda po wydaniu książki pieniądze nie były jej aż tak potrzebne.

Sięgnął po jeden z dokumentów.

- Jej ostatnie zeznanie podatkowe. Dochód brutto sześćset osiemdziesiąt tysięcy dolarów, z czego większość to honoraria autorskie i dochody z występów publicznych. Po zapłaceniu

podatków pozostaje prawie pół miliona, które znalazło się na rachunku w Merrill Lynch, stanowiącym współwłasność jej i Seacresta. Nie miała żadnych długów, już wcześniej kupiła sobie czerwonego mustanga, a Seacrest odziedziczył po rodzicach dom, w którym mieszkają, wart kolejne pół miliona.

- Jak długo byli małżeństwem?

- Dziesięć lat.

- Jak się poznali?

- On zeznał, że w uniwersyteckim centrum sportowym. Na pływalni.

- Był już wcześniej żonaty?

- Nie. Pazowi i Fellowsowi powiedział, że był zatwardziałym kawalerem. Wracając do dochodów, dodatkowo przypadnie mu znacznie więcej niż te pół miliona, które ma na koncie. Agent literacki Hope nie operował żadnymi kwotami, ale powiedział, że i w tym roku można się spodziewać okazałych honorariów autorskich. Poradnik nadal dobrze się sprzedawał jeszcze przed jej śmiercią i prowadzone były rozmowy z wydawcą o kolejnej książce z tej dziedziny. Hope i Seacrest pozostawali we wspólnocie małżeńskiej, by zmniejszyć obciążenia podatkowe, więc mąż pozostaje jedynym spadkobiercą. Osobiście zarobił w zeszłym roku sześćdziesiąt cztery tysiące, wszystko z tytułu pensji profesorskiej. Ma ośmioletnie volvo i część dochodów odkłada na uniwersytecki fundusz emerytalny. No i do tego dom. Pisze także jakieś książki, ale nie przynosi mu to pieniędzy. Nie da się ukryć, że charakterystyka okresu średniowiecza nie może się równać problemowi fallusa jako śmiertelnej broni.

- Zarabia więc dziesięć razy mniej niż ona - zauważyłem.

- Kolejny możliwy powód do zazdrości. A jeśli zamierzała go opuścić dla innego faceta? Zazdrość, żal, a poza tym ta kupa forsy. Z pewnością stanowiła pokusę. A kto mógł lepiej znać jej zwyczaje niż mąż? Komu najłatwiej było podtruć psa? Hope w jednym miała niewątpliwie rację: więcej kobiet ginie z ręki tak zwanych bliskich niż nawet najgorszych szumowin.

- Seacrest nigdy więc nie dysponował dużymi pieniędzmi. Czy ostatnio zaczął żyć na wyższym poziomie?

- Nie, w jego trybie życia praktycznie nic się nie zmieniło. Każdego dnia wychodzi do pracy i regularnie o tej samej porze wraca do domu. Nigdzie nie wyjeżdża na weekendy. Twierdzi, że czyta wtedy i ogląda telewizję. Nie wypożycza nawet kaset wideo. Jeśli go więc oszukiwała, taki konserwatywny, zatwardziały kawaler mógł bardzo ostro zareagować. Zawodowo zajmuje się romantyzmem, a przypomnij sobie ten cios w serce. Ponadto ma pięćdziesiąt pięć lat, Alex. Może przechodzi kryzys związany z wiekiem? I jak już mówiłem, według mnie coś ukrywa.

- Po czym tak sądzisz?

- Rzecz w tym, że nie potrafię tego wyjaśnić. Odpowiada wyłącznie na zadawane pytania, nie dodając nic od siebie. Ani razu nie skontaktował się z Pazem i Fellowsem, by spytać, jak postępuje śledztwo. Kiedy przydzielono mi tę sprawę, natychmiast zatelefonowałem do niego i już na początku rozmowy odniosłem wrażenie, że mu przeszkadzam i marnuję jego cenny czas. Jakby myślami był zupełnie gdzie indziej.

- Może wciąż nie potrafi otrząsnąć się z szoku?

- Według mnie ma raczej coś ważniejszego na głowie. Jeśli ktoś, kogo kochasz, w takich okolicznościach odchodzi z tego świata, jak byś zareagował? Posłuchaj, może sam mu się przyjrzyysz? Zamierzam odwiedzić go dziś wieczorem. Oczywiście nie mam zamiaru cię wyzyskiwać... Jeśli zaangażujesz się w tę sprawę, możemy ci zapłacić.

Sięgnął do kieszeni na piersi.

- Niespodzianka od wujka Milo.

Odnaka policyjna i kontrakt konsultanta na moje nazwisko. Policja zgodziła się zatrudnić mnie przez nie więcej niż pięćdziesiąt godzin za mniej niż ćwierć tego, co zarabiałem prywatną praktyką. Drobnym drukiem informowano, że gdybym poślizgnął się na skórcie od banana lub został postrzelony, policja będzie mi ogromnie współczuć, ale nie ponosi za to żadnej odpowiedzialności.

- Zapewne dla ciebie to żadna gratka - rzekł - ale dla mnie to nie lada osiągnięcie.

- Jak udało ci się załatwić takie papiery?

- Skłamałem, że posunąłem się naprzód w sprawie tej feministki lesbijki. Ale jeśli naprawdę się nie postaramy, możemy skończyć postawieni przed policyjną komisją. Oświadczyłem szefowi, że zaangażowanie właśnie ciebie pomoże mi wejść w środowisko takich jak ona.

- Niezwykle twórcze podejście.

- Poprosiłem go przy okazji o nowy komputer, ale ty okazałeś się tańszy. Wchodzisz?

- Pięćdziesiąt godzin - mruknąłem. - Czy to obejmuje także dokarmianie ciebie?

- A jak sądzisz?

Podszedł do lodówki i wyjął kawałek słodkiego placka.

- Mimo twoich podejrzeń wobec Seacresta, należy poważnie zastanowić się, czy nie mamy do czynienia z kimś na pozór obcym.

- Dlaczego?

- Sposób popełnienia zbrodni sugeruje wyrachowane działanie. To musiał być ktoś pałający nienawiścią do kobiet. A wiemy już, że Hope potrafiła być bezwzględna i kto wie, kogo jeszcze uraziła? W prawdziwym życiu lub z telewizyjnego ekranu. Sprawdziłeś zabójstwa o podobnym modus operandi

- Zajrzałem do wszystkich naszych spraw z trzech ostatnich lat i nic. Jutro sprawdzę jeszcze gdzie indziej, ale wiem, że Paz i Fellows już to zrobili i niczego nie znaleźli. A więc jesteś gotów odwiedzić dziś ze mną Seacresta? Oczywiście jeśli nie macie z Robin żadnych planów na wieczór. Aha, przy okazji przywitam się z twoją małą damą.

Gdy szliśmy przez ogród do jej warsztatu, Milo przystanął na chwilę, by popatrzeć na ryby pływające w sadzawce. Po chwili poczłapał dalej ze zwieszoną głową i zgarbionymi plecami. Zastanawiałem się, kiedy ostatnio miał okazję naprawdę się wyspać.

Robin siedziała na krześle i wyginała akurat pudło rezonansowe gitary. Nowa klonowa podłoga była czysta, tylko w rogu dostrzegłem kupkę wiórów. Spike spał u jej stóp, lecz gdy wchodziliśmy, obudził się i uniósł swój szeroki, płaski łeb.

Milo posłał mu pozornie groźne spojrzenie, lecz nie zraziło to zwierzaka, który podszedł, by się przywitać.

Robin jeszcze przez chwilę nie odrywała się od pracy. W pomieszczeniu miała kilkanaście innych instrumentów do naprawy, ale ten, nad którym pracowała, nie był ani reperowany, ani przeznaczony na sprzedaż. Wiele lat temu podarowała mi piękną gitarę, która niestety spłonęła razem z domem. Teraz postanowiła, że zrobi mi nową, wierną kopię tamtej.

Wreszcie dokręciła uchwyty, wytarła ręce, wstała i wspięła się na palce, by pocałować Milo w policzek. Nie zapomniała i o mnie. Pod fartuchem miała czarny podkoszulek i dżinsy, a włosy schowała pod czerwoną chustą. Na jej szyi wisiały zakurzone gogle i maska przeciwpyłowa.

Spike zaczął skomleć i położył się na grzbiecie. Przykucnąłem i gdy drapałem go po brzuchu, mrucał zadowolony. Francuskie buldożki są miniaturami angielskich, lecz mają spiczaste uszy, są jeszcze lepiej zbudowane, a odwagą nie ustępują większym braciom. Gdybym miał go krótko opisać, powiedziałbym, że to bostoński terier poddany kuracji sterydowej, o umyśle raczej szympansa niż psa. Pewnego dnia pojawił się w naszym życiu i już z nami pozostał, uznając, że odpowiada mu takie towarzystwo. Kiedy jest niezadowolony, udaje, że się krztusi. Teraz też zachował się w ten sposób, uznając widać, że Milo nie okazał mu dostatecznego zainteresowania.

Policjant zrehabilitował się jednak natychmiast, sięgając do kieszeni po torebkę. W środku była suszona wątróbka.

- Czas na przekąskę, tłusciuchu - rzekł.

Spike usiadł i zamarł w bezruchu. Milo rzucił mu kawałek i pies chwycił go w locie, pogryzł i połknął. Obaj patrzyli sobie prosto w oczy. Zniecierpliwiony Spike zaszczekał. Milo mruknął coś pod nosem i rzucił kolejny kasek.

- Odejdź.

Spike trącił nosem jego nogę. Policjant udawał, że tego nie zauważa, lecz wreszcie pochylił się i pogłaskał go.

Szczekanie, trącanie nosem i karmienie. Na koniec Milo pokazał psu puste opakowanie. Ten rzucił się na nie i potrząsnął łbem, rozpryskując wokół ślinę.

- Dość tego! - krzyknęła Robin.

Spike popatrzył na nią z wyraźną dezaprobatą swymi wielkimi brązowymi oczami. Spojrzenie Orsona Wellesa - geniusza, któremu śmie się przeszkadzać.

- Siad - poleciła cicho. Pies posłuchał. Objęła mnie wpół i zapytała: - Co tam nowego, Milo?

Jej zainteresowanie to coś więcej niż tylko dobre maniery. Już wczoraj wieczorem rozmawialiśmy o tym morderstwie.

- Na razie idzie ciężko - odparł. - Zgodzisz się wypożyczyć mi Alexa dziś wieczorem? Oczywiście, jeśli go bardzo nie potrzebujesz.

- Zawsze go potrzebuję. Ale zgoda, tylko dopilnuj, by wrócił w jednym kawałku.

- Będzie. A na dodatek zatankuję go, umyję i nawoskuję.

Kiedy Milo wyszedł, zająłem się czytaniem zapisu przebiegu obrad Komisji Stosunków Interpersonalnych.

Na każdej stronie dokumentu znajdowała się czerwona pieczęć poufne oraz ostrzeżenie firmowane przez prawników uniwersyteckich o zakazie wykorzystywania do jakichkolwiek celów całości lub choćby fragmentów tekstu.

Wraz z profesorem Hope Devane w komisji zasiadały jeszcze dwie osoby: profesor nadzwyczajny chemii Julia Steinberger oraz słuchacz studiów podyplomowych psychologii nazwiskiem Casey Locking.

Przekreśliłem stronę. Zaskoczyła mnie forma obrad - konfrontowanie osoby oskarżającej z oskarżoną. Czyżby akademicka wersja talk-show, zorganizowana przez Devane?

Sprawa pierwsza:

Deborah Brittain, dziewiętnastoletnia studentka drugiego roku romanistyki - oskarżyła Patricka Allana Huanga, studenta drugiego roku inżynierii, o śledzenie jej w bibliotece i czynienie „lubieżnych i jednoznacznych” propozycji. Huang zaprzeczył, by w jakiegokolwiek formie przejawiał zainteresowanie erotyczne panną Brittain, oświadczając, że zaczepiała go, prosząc o pomoc w obsłudze bibliotecznego komputera, i wielokrotnie wyrażała podziw dla jego umiejętności oraz inteligencji.

Brittain przyznała, że rzeczywiście poprosiła Huanga o pomoc, bo wyglądał jak ktoś znający się na komputerach”, i pochwaliła jego wiedzę z tego zakresu, bo tak nakazywały „dobre zwyczaje”. „Poza tym dlaczego kobieta ma nie być miła?”

DEVANE: Co pan na to powie, panie Huang?

HUANG: Powiem, że ona jest rasistką, która zakłada, że można bezkarnie szkalować każdego Azjatę. Przecież to ona czegoś ode mnie chciała, a nie odwrotnie. Ale przyznają, że zapytałem, czy się ze mną umówi. Wtedy jednak nie byłem już jej potrzebny, obruszyła się więc i doniosła na mnie. Po co mi te wszystkie kłopoty? Nie po to szedłem na studia.

DEVANE: A po co?

HUANG: Aby studiować inżynierię. Chcę się tylko uczyć i pilnować własnych spraw. A ona jest rasistką.

BRITTAİN: To kłamstwo! Owszem, że zaproponował mi pomoc. Ale potrzebowałam jej tylko na początku, bo nie znałam programu. Później dawałam sobie radę już sama. A on za każdym razem, gdy mnie zobaczył, napastował mnie. Nawet chciał się ze mną umówić i mimo kilkakrotnej odmowy nie potrafił zrozumieć, że nie mam na to ochoty. Przecież mam prawo się nie zgodzić, prawda? Doszło do tego, że przestałam odwiedzać bibliotekę. A musiałam napisać pracę o Moliere. Poza tym co on tam właściwie robił? Wydział inżynieryjny ma przecież własną bibliotekę. Przychodził do naszej chyba tylko po to, żeby zaczepiać dziewczyny.

Dalsze wzajemne oskarżenia nie były poparte żadnymi dowodami ani zeznaniami świadków. Devane sama zadawała wszystkie pytania i od razu oceniała odpowiedzi. Stwierdziła, że Brittain „niewątpliwie cierpiała z powodu ogromnego stresu wywołanego postępowaniem Huanga”.

Potwierdziła, że dziewczyna ma prawo uczyć się gdziekolwiek zechce, nie narażając się na molestowanie przez mężczyzn. Delikatnie zasugerowała skarżącej się, by „uważała na rasowe stereotypy, które mogą wywoływać nieporozumienia”. Pospiesznie dodała, że nie twierdzi, iż coś takiego wystąpiło w tym konkretnym przypadku.

Następnie zrobiła Patrickowi Huangowi wykład na temat poszanowania praw kobiet. Huang stwierdził tylko, że doskonale o tym wie. Devane poradziła, by wziął sobie sprawę do serca, i ostrzegła, że w przypadku kolejnych skarg grozi mu zawieszenie, a nawet usunięcie z uczelni. Tym razem jeszcze nie zostały jednak podjęte wobec niego żadne sankcje dyscyplinarne.

Sprawa druga:

Studentka pierwszego roku anglistyki, Cynthia Vespucci, podczas ferii bożonarodzeniowych uczestniczyła w imprezie stowarzyszenia Chi Pi Omega, gdzie zobaczyła studenta wydziału administracji i zarządzania - Kennetha Storma juniora. Znała go już ze szkoły średniej, więc zatańczyła z nim. „Choć większość innych chłopaków piła na umór i zachowywała się nieprzyzwoicie, on tego wieczoru był dżentelmenem”, powiedziała.

Vespucci i Storm zaczęli się spotykać. Nic, co miałoby związek z erotyką, nie zdarzyło się między nimi aż do czwartej randki. Wtedy to, jak twierdziła Vespucci, Storm wywiózł ją do Bel Air i zażądał odbycia stosunku płciowego. Kiedy odmówiła, zdecydowanie chwycił ją za ramię. Wyczuła od niego odór alkoholu. Zdołała się oswobodzić. Ale on wypchnął ją z samochodu i rzucił w nią jej torebką. Zerwał poza tym pasek i spowodował uszkodzenie lub zniszczenie części zawartości. Odjechał, zostawiając ją własnemu losowi. Próbowiła dostać się do którejś z okolicznych rezydencji, ale wszystkie były zamknięte i nikt nie odpowiadał na dzwonki. Została zmuszona do przejścia samotnie pięciu kilometrów. Zniszczyła sobie przy tym buty i „przeżyła nieopisany strach”.

Gdy Kenneth Storm został poproszony o wyjaśnienia, rzekł tylko:

- Gówno prawda.

Na dalsze indagacje ze strony profesor Devane odparł:

- Czego, do diabła, się spodziewacie?

W tym momencie do przesłuchania włączył się zasiadający w komisji Casey Locking:

- Słuchaj, jestem facetem, ale nie cierpię takich, którzy nie szanują kobiet. Jeśli to, co ona mówi, jest prawdą, trzeba nauczyć cię rozumu i powinieneś się cieszyć, że otrzymasz tę lekcję będąc tak młodym. Jeśli masz odmienne zdanie, możesz je teraz wyrazić. Ale jeśli nie będziesz się bronił, wyjdzie na to, że jesteś winien zarzucanych ci czynów.

Storm burknął coś pod nosem.

I wtedy nagle Cynthia Vespucci radykalnie zmieniła swe zachowanie.

- W porządku, zapomnijmy o całej sprawie. Tylko niech to się skończy powiedziała płacząc.

DEVANE: Proszę wziąć chusteczkę, panno Vespucci.

VESPUCCI: Nic mi nie jest. Zapomnijmy o tym.

DEVANE: Jest pani pewna, panno Vespucci?

VESPUCCI: Nie... Nie wiem.

DEVANE: Kiedy zwróciła się pani do mnie, była pani bardzo przygnębiona.

VESPUCCI: Wiem. [ponownie zaczyna płakać] Aleja... teraz chcę się wycofać. Proszę...

DEVANE: Oczywiście. Występujemy przecież w pani interesie. Powinna jednak pani pamiętać, że postępowanie zostało już wszczęte.

STORM: Nie wierzę własnym uszom! Przecież powiedziała, że to koniec! Co zrobicie, wyrzucicie mnie? Dobra, zróbcie to. Zróbcie to, do kurwy nędzy, bo nie zależy mi...

LOCKING: Spokojnie, człowieku...

STORM: Nie, to ty sobie odpuść, dupku! To wszystko gówno. Wychodzę stąd!

LOCKING: Ostrzegam cię...

STORM: Przed czym, dupku? Myślisz, że boję się ciebie i tych twoich pieprzonych profesorek? Odwalcie się wszyscy! Ty też, Cindy... Jak mogłaś tak postąpić? Pierwszą rzeczą, jaką zrobię po wyjściu stąd, będzie telefon do twojej matki...

VESPUCCI: Kenny! Proszę, nie... Przepraszam... Kenny, proszę!

STEINBERGER: Co ma wspólnego ze sprawą matka panny Vespucci, panie Storm?

STORM: Niech ona wam powie.

STEINBERGER: Cindy?

STORM: To nie żarty! No, powiedz im!

LOCKING: Zanim przejdziemy dalej, ten chłopak musi...

STEINBERGER: Czy między wami jest coś, o czym nie wiemy, Cindy?

VESPUCCI: [płacząc] To wszystko moja wina.

STORM: Pieprzona...

LOCKING: Uważaj, co mówisz!

STORM: Pie...

STEINBERGER: Udzielimy panu głosu. Ale teraz proszę pozwolić jej mówić. Dziękuję.

VESPUCCI: Wszystko to moja wina.

DEVANE: Co takiego, Cindy?

VESPUCCI: Byłam... byłam na niego wściekła... może po części przez moją mamę.

DEVANE: Zrobił coś twojej mamie?

STORM: Tak, jestem gwałcicielem. No powiedz im wreszcie, Cindy. Co jest, postradałaś mowę? Kiedy dostałem wasze zawiadomienie, myślałem, że już jestem zawieszony. Co to za kompletne gów...

VESPUCCI: Cicho! Proszę!

STORM: Więc im powiedz. Albo ja to zrobię.

DEVANE: Powiedz o czym?

VESPUCCI: To głupie.

STORM: Na pewno! Jej matka i mój ojciec mieli... spotykali się. Dopóki nie zerwali ze sobą, bo ona miała radykalnie lewicowe poglądy. To była jej wina, a Cindy obarczyła całą winą mojego ojca. Kiedy więc spotkaliśmy się na tej imprezie, postanowiła się na mnie zemścić.

VESPUCCI: Nie! To nieprawda! To ty pierwszy do mnie podszedłeś! Zatańczyłam z tobą, bo zachowywałeś się jak dżentelmen...

STORM: Bzdura! Miałaś na sobie tylko tę krótką...

DEVANE: Chwileczkę. Kiedy powiedział pan „lewicowa”, chodziło o poglądy polityczne?

STORM: A o co innego? Poza tym jest radykalną feministką. To eksternistka. Nienawidzi mężczyzn i nauczyła tego Cindy. A ona zaplanowała to, żeby...

VESPUCCI: To nieprawda, Kenny! Byłeś dżentelmenem. Nie jak...

STORM: Jak mój ojciec? Jak śmiesz go do tego mieszać!

VESPUCCI: Nie, nie to miałam na myśli. Jak inni chłopcy...

STORM: Na pewno...

VESPUCCI: Kenny...

STORM: Pieprzyć to!

STEINBERGER: Kenny, czy twój ojciec zgadza się, byś używał takiego słownictwa?

STORM: W porządku. Przepraszam. Jestem po prostu wkurzony. Bo to niesprawiedliwe. Mój ojciec i jej matka mieli problemy i dlatego ona mści się na mnie. To...

VESPUCCI: Nie zrobiłam tego! Przysięgam!

STORM: Na pewno. Wybrałaś mnie, bo mój urok...

DEVANE: Skupmy się na sprawie. Bez względu na motywy, jakie stały się przyczyną waszego pierwszego spotkania, spotykaliście się później. A panna Vespucci twierdzi, że próbował pan ją zmusić do odbycia stosunku.

STORM: Gów... To nieprawda. Oczywiście, że się spotykaliśmy. A dlaczego nie? Ale nie robiłem niczego bez jej zgody, prawda, Cindy? Zapytałem, czy chce to zrobić. Teraz to przestępstwo?

DEVANE: Wyrzucenie z samochodu, gdy odmówiła, z pewnością nie jest w porządku.

STORM: Tak, tylko że wcale jej nie wyrzuciłem. Coś ją napadło i sama wysiadła. Przewróciła się. Właściwie starałem się ją powstrzymać... nawet chwyciłem za rękę.

DEVANE: Nie taki przebieg zdarzeń został nam przedstawiony, prawda, panno Vespucci?

VESPUCCI: Zapomnijmy o tym.

DEVANE: Cindy, naprawdę...

VESPUCCI: Proszę.

DEVANE: Pomówmy o tej torebce, Cindy. Czy naprawdę została rzucona?

STORM: Nie, do diabła! Kiedy wysiadła, oddałem tylko jej własność...

DEVANE: A więc rzucił pan w nią?

STORM: Nie w nią, ale do niej. Po co mi torebka? Jezu. Nie próbowała jej łapać, więc upadła na ulicę.

VESPUCCI: Ale później powiedziałam, że chcę, żebyś mnie odwiózł. A ty odjechałeś!

VESPUCCI: Nie słyszałem cię.

VESPUCCI: Nie byłeś przecież aż tak daleko!

STORM: Mówię jeszcze raz, Cindy, nie słyszałem cię. Prosiłem chyba z dziesięć razy, a ty wciąż odmawiałaś. Odjechałem więc. Zrobiłaś mi świństwo, Cindy. Wystawiłaś mnie i doskonale o tym wiesz. Teraz dowie się o tym twoja matka.

DEVANE: Proszenie grozić...

STORM: A czym innym jest to, w czym uczestniczę? Pieprzę...

VESPUCCI: Przepraszam... przepraszam. Pani profesor, chcę natychmiast to przerwać. Proszę!

STEINBERGER: Może...

DEVANE: Cindy, wszyscy jesteśmy pod presją. W takim stanie lepiej nie podejmować tak poważnych decyzji.

VESPUCCI: Nie obchodzi mnie to. Chcę to przerwać! Wychodzę, [wychodzi]

STORM: [śmieje się.] Co teraz?

DEVANE: Czy coś jeszcze chciałby pan powiedzieć na swoją obronę?

STORM: Na swoją obronę nie. Ale powiem jedno: pieprz się! I ty też, klaunie. Co, nie podoba ci się to? Chodź ze mną na zewnątrz, to wyjaśnimy sobie parę spraw.

LOCKING: Nie orientujesz się chyba, z kim masz do...

STORM: Więc wyjdźmy, inteligenciku. Co, boisz się? Pieprz się. Pieprzyć całą tę uczelnię i wszystkie feministki. Zaraz dzwonię do ojca. On zna mnóstwo prawników. Zobaczycie, że dobierzemy się wam do tyłków, [wychodzi]

Pismo radców prawnych uniwersytetu świadczyło o tym, że Kenneth Storm senior rzeczywiście skontaktował się z adwokatem o nazwisku Bateman. Ten cztery tygodnie później wystosował skargę, w której domagał się natychmiastowego rozwiązania komisji, pisemnych przeprosin i stu tysięcy dolarów dla Kennetha Storma juniora. Chłopak zrezygnował z nauki na uniwersytecie i poprosił o przeniesienie do Redland, do College of the Palms. Prawnicy uniwersyteccy natychmiast zwrócili uwagę na fakt, iż w pierwszym półsemestrze miał tak niską średnią, że został jedynie warunkowo dopuszczony do uczestnictwa w zajęciach. Stopnie w drugim

półsemestrze nie uległy poprawie i poważnie zagrażało mu usunięcie z uczelni. Mimo to jednak uznano, że najlepszym sposobem rozwiązania problemu będzie ugoda. Rodzina Storma zgodziła się wycofać skargę w zamian za opłacenie trzech i pół roku nauki juniora w College of the Palms.

Co więcej, uznano, że Komisja Stosunków Interpersonalnych powinna przestać istnieć.

W obu przypadkach rozpatrywanych przez komisję chodziło o poważne sprawy. Szczególnie w tej drugiej doszło do ostrych scysji.

Kenneth Storm junior niewątpliwie był źle wychowany, biorąc nawet pod uwagę kłopoty, jakie miał wtedy na uczelni.

Czyżby ugoda nie zadowoliła jego urażonej dumy?

Paz i Fellows nie dowiedzieli się nawet o istnieniu komisji. Także Milo, choć zapoznał się z zapisami przebiegu obrad, widział Philipa Seacresta jako głównego podejrzanego.

Motywował to sprawą pieniędzy i przekonaniem o jego nieszczerości.

Ale Storm bez wątpienia nienawidził Hope Devane.

Czy jednak dziewiętnastolatek byłby w stanie posunąć się aż tak daleko, by popełnić morderstwo?

Ale przecież na miejscu zbrodni znaleziono ślady opon rowerowych. A studenci często używają tego środka lokomocji.

Zapisałem „K. Storm junior” i zająłem się trzecim opisem dokumentów. Komisja zebrała się w tydzień po rozpatrzeniu sprawy Vespucci-Storm, na trzy tygodnie zaś przed wpłynięciem pisma prawnika Storma, które bezpośrednio przyczyniło się do przerwania jego działalności.

Tym razem zasiadali w niej tylko Devane i Casey Locking. Czyżby profesor Steinberger straciła ochotę na uczestnictwo w czymś w rodzaju inkwizycji?

W miarę czytania uświadamiałem sobie, że mam przed sobą najpoważniejszą z trzech rozpatrywanych skarg.

Studentka drugiego roku psychologii, Tessa Ann Bowlby oskarżała słuchacza studiów podyplomowych aktorstwa Reeda Muscadine’a o gwałt. Oboje zgodzili się co do wstępnych faktów: poznali się podczas lunchu i umówili się na wieczór. Poszli do kina na „Speed”, a później na kolację do włoskiej restauracji Pinocchio w Westwood Village. Następnie udali się do mieszkania Muscadine’a w dystrykcie Mid-Wilshire, by napić się wina i posłuchać muzyki. Tam doszło do gry wstępnej i częściowego wzajemnego rozbierania się. Od tego momentu ich relacje przestawały być zgodne. Bowlby twierdziła, że na tym chciała skończyć, ale Muscadine obezwładnił ją i zgwałcił. Chłopak upierał się, że bez oporu zgodziła się na współzycie.

BOWLBY: [płacze i drży] Ja...

DEVANE: Co, kochanie?

BOWLBY: [obejmuje się rękami i kręci głową]

DEVANE: Czy ma pan coś do powiedzenia, panie Muscadine?

MUSCADINE: Że ten proces ma iście kafkowski wymiar.

DEVANE: W jakim sensie?

MUSCADINE: W takim, że zostałem oskarżony bez powodu i do tego zupełnie bezprawnie. Tesso, jeśli to, co się zdarzyło, sprawiło ci ból, to szczerze przepraszam. Ale nie jesteś w porządku. Może teraz zmieniłaś zdanie, ale wówczas oboje chcieliśmy tego... Ani przez chwilę nie dawałaś poznać, że tak nie jest.

BOWLBY: Prosiłam, żebyś przestał!

MUSCADINE: Nie, nie robiłaś tego, Tesso.

BOWLBY: Prosiłam! Przecież prosiłam!

MUSCADINE: Chyba nie uda nam się dogadać. Ty twierdzisz, że protestowałaś, a ja jestem przekonany, że tego nie robiłaś. Gdyby tak rzeczywiście było, na pewno bym przestał.

DEVANE: Skąd ta pewność?

MUSCADINE: Bo nigdy nie przymuszam kobiet. Nawet do swojego towarzystwa. To nie jest konieczne.

DEVANE: Dlaczego?

MUSCADINE: Dlatego, że jestem w stanie zdobyć kobietę bez zmuszania jej do czegokolwiek.

DEVANE: Zdobyć kobietę?

MUSCADINE: Przepraszam za nieodpowiednie określenie. Jestem wstrząśnięty całą tą sprawą. Potrafię utrzymywać dobre stosunki z kobietami. Jestem w stanie skłonić kobiety do zainteresowania moją osobą bez uciekania się do przymusu. Dlatego właśnie cała ta sprawa...

LOCKING: Jest pan studentem aktorstwa, prawda?

MUSCADINE: Tak.

LOCKING: A więc musi pan umieć ukrywać swoje uczucia.

MUSCADINE: Do czego zmierza to pytanie?

LOCKING: A jak pan sądzi?

MUSCADINE: Przyszedłem tu z postanowieniem, że będę zachowywać się spokojnie i racjonalnie, ale gdy wkracza się w moje prywatne życie, staje się to coraz trudniejsze.

DEVANE: To konieczne w sprawie takiej jak ta.

MUSCADINE: Po części to prawda, ale powiedziałem już...

LOCKING: Czy ma pan kłopoty z zapanowaniem nad sobą?

MUSCADINE: Nie. Nigdy nie miałem. A dlaczego?

LOCKING: Wygląda pan na rozwścieczonego.

MUSCADINE: [śmieje się] Nie, wszystko w porządku... Może jestem troszeczkę zdenerwowany.

LOCKING: Z jakiego powodu?

MUSCADINE: Tego procesu. Ponieważ tu się znalazłem. Czy jestem zły? Oczywiście, że tak. A pan by nie był? Nic więcej nie mam do powiedzenia.

DEVANE: Stosunek. Czy zakończony orgazmem?

MUSCADINE: U mnie tak. Wydawało mi się, że i tobie przyniósł przyjemność, Tesso.

BOWLBY: [płacze]

MUSCADINE: Najwidoczniej się myliłem.

DEVANE: Czy używał pan prezerwatywy?

MUSCADINE: Nie. To było... spontaniczne. Porywające. Naprawdę byliśmy co do tego zgodni... tak mi się przynajmniej wydawało. Nic nie było zaplanowane. Po prostu się zdarzyło.

DEVANE: Czy był pan kiedykolwiek badany na nosicielstwo wirusa HIV?

MUSCADINE: Nie, ale jestem pewien...

DEVANE: Zgodzi się pan poddać takim testom?

MUSCADINE: Po co?

DEVANE: Dla świętego spokoju Tessy. I pańskiego.

MUSCADINE: Ależ...

DEVANE: Utrzymuje pan dobre stosunki z kobietami. Musiał pan, jak to nazywa, „zdobyć” ich całe mnóstwo.

MUSCADINE: Nie w tym rzecz.

DEVANE: A w czym?

MUSCADINE: W sposobie, w jaki do tego doszło.

DEVANE: A więc to był gwałt?

MUSCADINE: Nigdy nikogo nie zgwałciłem.

DEVANE: Skąd więc ta niechęć przed zwykłym badaniem krwi?

MUSCADINE: Muszę... muszę nad tym pomyśleć.

DEVANE: Czy jest coś, co panu w tym przeszkadza?

MUSCADINE: Nie, ale...

DEVANE: Ale co?

MUSCADINE: Sam nie wiem.

DEVANE: Oto fakty: odbył pan stosunek bez żadnego zabezpieczenia z kobietą, która twierdzi, że została zgwałcona. Powinien więc pan przynajmniej...

MUSCADINE: Ale to takie... drastyczne. Uprawiasz seks, to udowodnij, że jesteś zdrowy. Spałem z wieloma innymi kobietami i nigdy nie było to konieczne.

DEVANE: W tym właśnie rzecz. W rezultacie wygląda to tak, jakby panna Bowlby miała kontakty seksualne z każdą z owych kobiet. Szczegóły tamtej nocy mogą nigdy nie zostać wyjaśnione, ale pewne jest, że panna Bowlby doświadczyła poważnego urazu.

MUSCADINE: Nie ja jestem tego powodem.

BOWLBY: Zgwałciłeś mnie!

MUSCADINE: Tesso, nie zrobiłem tego. Przykro mi. Zmieniłaś...

BOWLBY: Przestań! [płacze]

MUSCADINE: Tesso, gdyby istniał jakikolwiek sposób naprawienia tego, co się stało, wierz mi, zrobiłbym to. Nie musieliśmy posuwać się tak daleko, mogliśmy tylko...

DEVANE: Proszę przestać. Dziękuję. Nic ci nie jest, Tesso? Casey, daj jej świeżą chusteczkę... dziękuję. Jak mówiłam, panie Muscadine, szczegóły zapewne nigdy nie zostaną do końca poznane, gdyż nie było żadnych świadków. Ale panna Bowlby wyraźnie cierpi z powodu urazu psychicznego i zamyka się w sobie. Biorąc pod uwagę pańskie imponujące doświadczenia seksualne, będzie się czuć znacznie lepiej, gdy podda się pan testom na obecność wirusa HIV, które, miejmy nadzieję, dadzą wynik negatywny. Nasza komisja także będzie zadowolona.

MUSCADINE: Czy to prawda, Tesso? Tesso?

BOWLBY: Przecież sam powiedziałeś, że zaliczyłeś mnóstwo dziewczyn!

MUSCADINE: No, no. Od Kafki przechodzimy do Drakuli. Teraz chodzi o moją krew. W porządku, nie mam nic do ukrycia. Czy będę musiał za to zapłacić?

DEVANE: Testy mogą zostać przeprowadzone w uczelnianej placówce zdrowia za darmo. Mam tu stosowny druk.

MUSCADINE: Proszę... Dobra, naprawdę nie mam nic do ukrycia. Ale ona także powinna się przebadać.

BOWLBY: Już to zrobiłam. Tuż po. Jak dotąd, na szczęście, wynik jest negatywny.

MUSCADINE: I taki pozostanie. Przynajmniej z mojej strony. Posłuchaj, Tesso, naprawdę przepraszam, że to się zdarzyło, ale... nie, już nic. W porządku, jutro pójdę na to badanie. Mam nadzieję, że to wystarczy.

DEVANE: Powinien pan także zastanowić się poważnie nad problemem gwałtu.

MUSCADINE: Nie ma takiej potrzeby.

DEVANE: Czasami nie jesteśmy nawet świadomi...

MUSCADINE: Powtarzam... No dobrze, pomyślę o tym. Czy teraz mogę już iść?

DEVANE: Proszę o złożenie podpisu na tych dokumentach i zgłoszenie się w ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin w studenckiej placówce zdrowia, by poddać się testowi.

MUSCADINE: Dobrze, dobrze. Co za doświadczenie... dzięki Bogu, że jestem aktorem.

DEVANE: Dlaczegoż to?

MUSCADINE: Dla aktora wszystko ma materialny wymiar. Może kiedyś to doświadczenie jeszcze mi się przyda.

DEVANE: Mam nadzieję, że nie. Jak został pan na wstępie poinformowany, wszystko, co się tu zdarzyło, ma poufny charakter.

MUSCADINE: Ach tak, oczywiście. Lepiej niech tak będzie. Także dla mojego dobra.

DEVANE: Chodzi o to, że nie wolno panu wykorzystać uzyskanych tu informacji. To część umowy.

MUSCADINE: Nie chodziło mi o bezpośrednie posłużenie się nimi, ale podświadome. Nieważne... żegnaj, Tesso. Lepiej trzymajmy się od siebie z daleka. Najlepiej, gdybyśmy żyli na dwóch różnych planetach.

Wieczorem, kiedy wraz z Milo jechałem, by złożyć wizytę Philipowi Seacrestowi, powiedziałem:

- Kenneth Storm.

- Pomyślałem, że możesz go polubić. Ostre rozmowy, prawda?

- Czy Storm rzeczywiście przeniósł się do College of the Palms?

- Nie mam pojęcia, a dlaczego pytasz?

- Mogli go nie przyjąć? Albo dostał się tam i zrezygnował? Pozostałby wówczas z bolesnymi wspomnieniami i głęboką urazą do komisji. Wynikałoby z tego, że pozostali dwaj jej członkowie także są zagrożeni. Choć z drugiej strony zemsta na całej trójce byłaby zbyt oczywista i podejrzana. Jeśli jedna ofiara wystarczy do zaspokojenia żądy odwetu, niech będzie nią przywódca.

Pokiwał głową.

- A nim z pewnością była właśnie Hope, jej zaś podlegał doktorant Locking. Zauważ, że robił wszystko pod jej dyktando. Trzeci członek komisji, profesor Steinberger nie mówiła wiele i nie uczestniczyła w trzecim posiedzeniu.

- Może została pozbawiona wszelkich iluzji - stwierdziłem. - Casey Locking nie miał żadnego wyboru. Był studentem psychologii i nie zdziwiłbym się, gdyby jego dalsza kariera zależała od Hope.

- Tylko w trzecim przypadku dziewczyna twierdziła, że rzeczywiście doszło do czegoś poważniejszego. Co sądzisz o żądaniu Hope, by ten student wydziału aktorskiego, Muscadine, poddał się badaniom na obecność wirusa HIV?

- Może była przekonana, że gwałt miał rzeczywiście miejsce. Wiedziała, że nie ma na to żadnych dowodów, i zdecydowała się zrobić wszystko co możliwe dla domniemanej ofiary. Dziewczyna, Tessa, już została zbadana. A więc musiała być mocno zaniepokojona.

- Dziwne - stwierdził. - Co za przedstawienie. I nigdy nie trafiło to do gazet. Zatrzymał się na czerwonym świetle i obserwował przejeżdżające samochody.

- Ale twoim zdaniem Seacrest mimo wszystko jest bardziej podejrzany niż Kenneth Storm?

- Gotów jestem rozważyć również inne warianty, ale to prawda. Pół miliona to cholernie poważny powód. Seacrest jest wystarczająco inteligentny, a ponadto miał okazję, by zaplanować morderstwo. Weź pod uwagę unieszkodliwienie psa. Zgadza się, że spośród tych trzech studentów Storm miał najbardziej przekonujący motyw, ale to dziewiętnastolatek, który na uczelni nie błyszczał. Czy porywczy, o czym wiemy, chłopak o niewyparzonej gębie był w stanie w tak

drobiazgowy sposób zaplanować zbrodnię? Osobnik taki jak on pod wpływem emocji zadałby z pięćdziesiąt ciosów na ośle. Albo po prostu roztrzaskałby jej czaszkę. Poza tym Storm już próbował zemsty, informując o wszystkim ojca i uruchamiając prawników.

- Właśnie dlatego pytałem, czy nadal się uczy. Może te kroki okazały się dla niego niesatysfakcjonujące. I nie zapominaj o śladach opon rowerowych.

- Chłopak na rowerze? - Światło zmieniło się na zielone i Milo skręcił na wschód; jechaliśmy powoli w sporym tłoku, po czym skręciliśmy w prawo, na bulwar. Znaleźliśmy się w pobliżu miejsca popełnienia zbrodni. Biorąc pod uwagę specyfikę Los Angeles, mogliśmy uważać się za sąsiadów Hope. Robin zapewne też o tym pomyślała.

Znaleźliśmy się w rozległym osiedlu zwanym Holmby Hills i teraz mijaliśmy wysokie mury otaczające posiadłość, stare drzewa i nie rzucające się w oczy oznaki przypominające o obecności uzbrojonych patroli. Jechaliśmy wciąż na południe. Rezydencje ustąpiły miejsca nieco skromniejszym domom, gdy wjechaliśmy na teren Westwood.

- Sprawdzę ślad Storma juniora - rzekł Milo. - Właściwie wszystkich trzech „oskarżonych”. Niestety, spowoduje to niewątpliwie sporo zamieszania i odnowi przykre wspomnienia.

Zaparkowaliśmy w cieniu wielkiego wiązu i jeszcze przez chwilę rozmawialiśmy o morderstwie i innych sprawach. Obaj zaczęliśmy przypatrywać się domowi. Żadnego ruchu za zaciągniętymi zasłonami, przez które przebijało nikłe światło. Ani śladu życia.

- Przygotowany na spotkanie?

- Nieco podekscytowany.

- Jakby to był ekscytujący facet.

W momencie gdy mieliśmy właśnie wysiąść, w głębi ulicy rozbłysły reflektory samochodowe i przed dom Devane oraz Seacresta zajechał samochód. Skręcił na podjazd i zaparkował za volvo.

Czerwony mustang.

- No proszę - powiedziałem. - A jednak wieczorami gdzieś wychodzi. Urządza sobie przejażdżki sportowym samochodem.

- Jej sportowym samochodem - podkreślił Milo, zaciskając usta i uważnie rozglądając się wokół.

Reflektory zgasły, a z wozu wysiadł mężczyzna i podszedł do drzwi wejściowych.

- To nie Seacrest. On jest wyższy.

Przybyły skorzystał z dzwonka. Było zbyt ciemno, by rozpoznać jego rysy, ale był zdecydowanie niski - jakiś metr siedemdziesiąt - i miał na sobie długi płaszcz. Dłonie wcisnął w kieszenie i był odwrócony do nas plecami.

W domu, na dole, zapaliło się światło i uchylły się drzwi. Mężczyzna wślizgnął się do środka.

- Kolega? - zapytałem. -Niewątpliwie ktoś, komu Seacrest pożyczył samochód?

- Jeśli jest aż tak uczynny, mógłby postępować podobnie i wobec nas.

Na efekt naszego dzwonka trzeba było czekać znacznie dłużej. Wreszcie zza drzwi dało się słyszeć:

- Tak?

- Tu detektyw Sturgis, profesorze.

Znow tylko uchylone drzwi. Philip Seacrest rzeczywiście był wyższy od człowieka w płaszczu. Bliżej stu dziewięćdziesięciu centymetrów, a więc wzrostu Milo, ale ponad trzydzieści kilo lżejszy, znacznie węższy w ramionach i o pociągłej, kanciastej twarzy z nierówno przyciętą siwą brodą. Miał mały, lecz szeroki nos, wyglądający jakby kiedyś był złamany. Włosy siwe, dość gęste na skroniach, ale na czubku głowy już mocno przerzedzone. Miał na sobie szaro-zieloną kraciastą koszulę, szare spodnie dobrego gatunku, lecz wyraźnie wytarte na kolanach, a na nogach kapcie. Podwinięte rękawy odsłaniały pozbawione włosów szczupłe przedramiona.

Tylko jeden element nie pasował do wizerunku safandudy naukowca: niebieski, tandemy tatuaż w kształcie kotwicy na lewym przedramieniu, będący prawdopodobnie pamiątką pozostałą ze służby w marynarce. Wiedziałem, że Seacrest ma pięćdziesiąt pięć lat, ale wyglądał na starszego. Może postarzał go żal po stracie najbliższej osoby. Albo to dziedziczne. A może takie piętno wycisnęła na nim praca naukowca.

- Detektywie -przywitał go spokojnym tonem, nieco tylko głośniejszym od szeptu. Jeśli również w ten sposób prowadził wykłady, studenci tylnych rzędów z pewnością nie byli w stanie go usłyszeć.

Za plecami gospodarza widziałem stare, zniszczone meble, kwiecistą tapetę, a obok wąskich schodów, prowadzących na górę, stojący zegar. U sufitu wisiał mosiężny, dawno nie polerowany żyrandol. Powietrze wypełniała woń nie dogotowanego jedzenia z mikrofalówki.

Nigdzie ani śladu kierowcy mustanga.

- Profesorze - rzekł Milo.

Seacrest wpatrywał się w niego dużymi piwnymi, jakby dziecięcymi oczami, ciemniejszymi od oczu żony.

- Co mogę dla pana zrobić, panie Sturgis?

- Czy aby nie przeszkadzamy?

To „my” spowodowało, że wreszcie zwrócił i na mnie uwagę, lecz nie na długo.

- Nie.

- Możemy wejść?

Seacrest wahał się przez moment.

- Proszę - powiedział głośno, jakby kogoś ostrzegał. Chwilę jeszcze stał w drzwiach, lecz wreszcie się cofnął.

Brak kontaktu wzrokowego. Od razu wyczuwałem ową rezerwę, na którą zwrócił uwagę Milo.

Gospodarz wreszcie popatrzył na nas, ale bez wyraźnego zainteresowania.

Czasami między gliniarzami a rodzinami ofiar nawiązuje się pewna więź, ale tutaj z pewnością nic takiego nie nastąpiło. A nawet przeciwnie, w powietrzu dominowały chłód i rezerwa.

Niewykluczone, że nie lubił nagłych odwiedzin. Albo też wyczuwał, iż od samego początku policja traktowała go jak podejrzanego.

Może na to zasługiwał.

Tkwił w holu, oblizując wargi i masując jabłko Adama. Wreszcie popatrzył przez ramię w stronę schodów. Czyżby ten niski ukrywał się właśnie tam?

Milo zrobił krok naprzód i Seacrest odruchowo się cofnął.

- Co mogę dla pana zrobić? - zapytał powtórnie.

- Chciałem się panu pokazać.

- Żadnego postępu?

- Obawiam się, że nie.

Seacrest pokiwał głową, jakby spodziewał się złych wieści.

Rozejrzałem się po domu. Hol zajmował centralną przestrzeń parteru. Był wyposażony dość skromnie, z winylową podłogą imitującą biały marmur. Prowadzące na górę schody wyłożono jasnozielonym chodnikiem.

Z prawej strony znajdował się salon, a z lewej jadalnia. Znów stare meble, choć z całą pewnością nie antyki. Odziedziczył dom po rodzicach. Zapewne w tym właśnie otoczeniu dorastał. Za schodami widać było niewielki, wyłożony boazerią pokój pełen książek. Leżały także na podłodze. Obok kraciasta kanapa. Stojący zegar nie był nakręcony, jego wahadło bowiem pozostawało nieruchome.

Na piętrze dały się słyszeć czyjeś kroki.

- To jeden ze studentów Hope - wyjaśnił Seacrest, gładząc brodę. - Zabiera jakieś materiały. Zdobyłem się wreszcie na uporządkowanie jej rzeczy, po tym jak policja się nimi interesowała. Ci pierwsi detektywi po prostu wszystko porzucali... chwileczkę.

Wspiął się na półpiętro.

- Skończyłeś już?! - zawołał. - Jest tu policja!

Ten na górze odpowiedział coś niewyraźnie. Seacrest zszedł powoli, jakby z ociąganiem.

- Chodzi o wyniki badań? - zapytał Milo. - Stanowią własność tego studenta?

- Współpracowali. To normalne.

- Jak wielu miała studentów? - zapytałem.

- Nie wydaje mi się, żeby było ich dużo.

- Z powodu książki?

- Słucham?

- Nie miała na to czasu?

- Tak, chyba tak. Ale chyba i z tego powodu, że była wyjątkowa. - Profesor znów zerknął na schody. - Wciąż jest tam bałagan... Podejście Hope było... nie była... pedantką. Co nie znaczy, że nie była osobą zorganizowaną. Z pewnością tak. I to wyjątkowo. To jeden z jej szczególnych talentów. Może właśnie w tym rzecz.

- Nie rozumiem.

Seacrest wskazał schody, jakby była to tablica w sali wykładowej.

- Mam na myśli to, że zawsze zastanawiałem się, czy pracuje w bałaganie dlatego, że była tak wewnętrznie zorganizowana, iż nie musiała dbać już o ład zewnętrzny. Nawet jako studentka potrafiła uczyć się przy włączonym radiu lub telewizorze. Dla mnie było to niepojęte. Ja potrzebuję idealnego spokoju. - Pokręcił głową. - Była znacznie inteligentniejsza ode mnie. - W oczach zalśniły mu łzy.

- Dzisiaj nie jest pan sam - zauważył Milo.

Seacrest wysilił się na uśmiech. Nie było w nim jednak ani cienia wesołości.

- A więc żadnych nowych śladów - stwierdził. - Żałuję, że i ja nie jestem w stanie pomóc. Ale szaleństwo to szaleństwo. Jest takie banalne.

- Schodzę! - dobiegło z góry.

Na schodach pojawił się dość niski mężczyzna, dźwigający przed sobą karton.

Miał dwadzieścia kilka lat, długie, ciemne, proste włosy zaczesane do tyłu, odsłaniające tak przystojną twarz, że James Dean wyglądałby przy nim jak Quasimodo. Urodę tę podkreślały pełne usta, płaskie policzki, gładka skóra i grube, ciemne brwi. Długi płaszcz, na który wcześniej zwróciliśmy uwagę, uszyty był z czarnej skóry. Na nogach miał również czarne buty na grubych podeszwach, z ciężkimi, chromowanymi sprzączkami.

Zatrzymał się, jak gdyby zaskoczony. Jego brwi zmarszczyły się nad granatowymi oczami. Pomyślałem o wyraźnym ostrzeżeniu Seacresta skierowanym do niego i że prawdopodobnie nie przyszedł tu po to, aby odebrać materiały naukowe.

Jeździł przecież samochodem Hope... co dla studenta niewątpliwie było przywilejem. Ale jeśli był nowym przyjacielem gospodarza...

Zerknąłem na Milo. Nie zareagował na moje spojrzenie.

Młody człowiek zszedł na dół i postawił na podłodze kartonowe pudełko z napisem na boku: badania nad problemami samokontroli, część 4, wyniki wstępne. W środku widać było komputerowe wydruki.

Miał długie, delikatne palce. Na palcu wskazującym prawej ręki nosił potężny sygnet w kształcie trupiej czaszki, z czerwonymi kamieniami w miejscu oczu. Taki, jaki można kupić w byle sklepie.

- Dobry wieczór, jestem Casey Locking. - Jego głos był głęboki i wzbudzający sympatię, idealny dla radiowca.

Milo przedstawił się.

- Rozmawiałem z dwoma innymi detektywami tuż po tym, co się stało - rzekł Locking.

Milo zacisnął zęby. O tej rozmowie nie było nawet wzmianki w otrzymanych przez niego materiałach.

- Dowiedzieliście się już czegoś? - zapytał podopieczny Devane.

- Jeszcze nie.

- Była wspaniałym nauczycielem i fantastyczną osobą.

Seacrest westchnął.

- Przykro mi, profesorze - powiedział Locking.

- Pańskie nazwisko nie jest mi obce - mruknął Milo. - Mam. Zasiadał pan w Komisji Stosunków Interpersonalnych, prawda?

Brwi Lockinga niemal się połączyły.

- Tak, zgadza się.

Profesor z nagłym zainteresowaniem zwrócił się ku rozmawiającym.

Locking sięgnął do klapy płaszcza, odsłaniając znajdujący się pod nim biały podkoszulek.

- Chyba nie myśli pan, że komisja miała coś wspólnego z... tym, co się stało?

- A według pana nie istnieje taka możliwość?

- Boże, nigdy nie przyszło mi to nawet do głowy.

- Dlaczego nie?

- Po prostu... Wszyscy ci faceci sprawiali wrażenie tchórzy.

- Powiedziałbym, że profesor Devane została zabita właśnie przez tchórzliwego sprawcę.

Staralem się ukradkiem obserwować Seacresta. Wciąż zgarbiony, nie odrywał wzroku od podłogi.

- Chyba tak - zgodził się student. - To pan jest detektywem, ale... czy wiedział pan, że dziekan wydał specjalną dyrektywę? Wszystkiemu, co związane z komisją, nadano status poufności. Nie mogę więc rozmawiać na ten temat.

- Wiele się zmieniło.

- Tak, zapewne ma pan rację. Ale nic więcej nie mam do powiedzenia. Locking schylił się i podniósł karton. - Powodzenia.

Milo zrobił krok naprzód. Często jego wzrost i postura sprawiały, że ludzie cofali się przed nim. Locking pozostał jednak na miejscu.

- A więc prowadził pan badania wraz z profesorem Devane?

- Była moją opiekunką. Współpracowaliśmy.

- Znalazł pan już nowego opiekuna?

- Jeszcze nie.

- Iloma studentami zajmowała się jeszcze?

- Tylko mną i jedną dziewczyną.

- Jak ona się nazywa?

- Mary Ann Gonsalvez. Od roku jest w Anglii. - Locking zwrócił się do Seacresta. - Samochód jest w porządku, profesorze. Potrzebował tylko wymiany oleju i nowego filtra powietrza. Kluczyki zostawiłem na górze.

- Dziękuję ci, Casey.

Student podszedł do drzwi, uwolnił jedną rękę i otworzył je, jednocześnie przyciskając karton do piersi.

- Ładny sygnet - zauważył Milo.

Locking przystanął i uśmiechnął się lekko.

- A, to. Nieszczęśliwy, prawda? Dostałem go w prezencie. Chyba powinienem się go pozbyć.

Milo zamknął za nim drzwi.

- To ładnie z jego strony, że zajął się pańskim samochodem, profesorze.

- Transakcja wymienna - odparł Seacrest. - Ja wyszukałem jego materiały, a on sprawdził samochód. Czy chodzi panu o coś konkretnego, panie Sturgis?

- Nie, chciałem się tylko upewnić, czy nic nowego nie przyszło panu do głowy. Poza tym pragnąłem przedstawić doktora Delaware. Jest naszym konsultantem z dziedziny psychologii.

Łagodnie oczy popatrzyły na mnie z ukosa.

- Doprawdy?

- Biorąc pod uwagę zainteresowania zawodowe pańskiej żony, uznałem, że doktor Delaware może okazać się pomocny.

- Tak, ja też sędzę, że to dobry pomysł.

- A przy okazji, gdzie jest pies?

- Słucham?

- Pański rottweiler.

- Hilde? Oddałem ją. To była suka Hope.

- A pan nie jest miłośnikiem psów?

Profesor wciąż nie spuszczał ze mnie wzroku.

- Mówiąc szczerze, jestem zmęczony. Jakoś nie mogę odzyskać dawnej energii. I nie mógłbym poświęcać Hilde tyle uwagi, ile wymaga. Poza tym nie chciałabym, by przypominała mi, jak jeszcze do niedawna wyglądało moje życie.

- Komu ją pan oddał?

- Organizacji noszącej nazwę „Ratunek dla rottweilerów”.

- Jakim psem była Hilde?

- Miłym, ale nieco nieposłusznym.

- Czy była w stanie obronić właściciela?

- Raczej tak, chociaż Hope kupiła ją nie w tym celu. Potrzebowała towarzystwa, gdy chodziła na spacer.

Profesor przetarł oczy.

- Czy nigdy nie spacerowaliście we dwoje? - zapytał Milo.

- Nie, ja się do tego nie nadaję. Hope kochała ruch, podobnie jak Hilde, która zawsze była zapatrzona w Hope. Dlatego to była okropna... złośliwość losu, że tym razem nie była w stanie obronić swojej pani. - Poskrobał się po brodzie. Znow patrzył szeroko otwartymi, jakby

podświetlonymi od wewnątrz oczami. Po śmierci Hope pies był nieszczęśliwy. Ja zaś przygnębiony.

- A kto zajmował się Hilde podczas wyjazdów profesor Devane?

- Ja, ale Hope nigdy nie pozostawała poza domem zbyt długo. W najgorszym wypadku dwa, trzy dni, kilka dni na miejscu i znów krótki wyjazd.

- Czy Hilde już wcześniej miała problemy żołądkowe?

- Nie. - Wzrok Seacresta odplynął gdzieś w bok. - Ci pierwsi policjanci zastanawiali się, czy została zatruta przez mordercę. Gdybym o tym pomyślał, spowodowałbym jej przebadanie. Chociaż nie wydaje mi się, żeby mogło to mieć istotne znaczenie.

- Dlaczego nie?

- Załóżmy, że jej coś podano. I tak nie mamy pojęcia, kto mógł to zrobić. Profesor znów na mnie popatrzył. - Policyjny psycholog. Tej pracy Hope nigdy nie chciała się podjąć.

- Dlaczego?

- Nie dowierzała władzom.

- Nie lubiła policji?

- Była przekonana, że wszelkie organizacje są z założenia... nieskuteczne.

- A pan się z tym nie zgadzał?

- Mam pewien... respekt do ustawodawstwa. Może dlatego, że jestem historykiem.

- Zajmuje się pan także historią wymiaru sprawiedliwości?

- Właściwie nie. Koncentruję się na średniowieczu, ale interesuje mnie także okres elżbietański. Powiem panom coś ciekawego. Wtedy kara śmierci była wymierzana za wiele różnych przestępstw. Nawet zwykli złodzieje byli wieszani. Później do władzy doszli łagodniejsi rządzący, którzy wycofali się z tak surowych kar. Proszę zgadnąć, do czego to doprowadziło.

- Do wzrostu przestępczości? - spróbował Milo.

- Wspaniale, detektywie.

- Czyżby był pan więc zwolennikiem kary śmierci, profesorze?

Zapytany poskrobał się po brodzie.

- Trudno mi powiedzieć, czego jestem zwolennikiem. Strata żony bardzo mną wstrząsnęła...

Co zamierza pan robić, by pomóc w ujęciu mordercy, doktorze Delaware?

- Będę analizować dane. Rozpoczną prawdopodobnie od rozmów ze współpracownikami pańskiej żony. Może podpowie mi pan, od kogo powinienem zacząć?

Pokręcił głową.

- Hope i ja unikaliśmy tematyki związanej z naszym życiem zawodowym.

- Nie zna więc pan jej kolegów z pracy?

- Nie, raczej nie.

- A co z przyjaciółmi?

- Nie mieliśmy żadnych. Wiem, że trudno w to uwierzyć, ale oboje lubiliśmy raczej samotniczy tryb życia. Praca, pisanie, Hilde, odrobina prywatności.

- Musiało być nieco inaczej, trudniej, gdy wydała swoją książkę.

- Dla Hope z pewnością. Mnie starała się jednak w to nie angażować.

Ograniczone życie... dokładne rozdzielenie poszczególnych aspektów życia...

- Profesorze, czy znane jest panu nazwisko Robert Barone? - zapytał Milo.

Powolne przeczące ruchy głową.

- A Milan Crivic?

- Nie. Kim są ci ludzie?

- Współpracownikami pańskiej żony.

- No właśnie. Nigdy o nich nie słyszałem.

- Nie wiedział pan zupełnie, czym się zajmowała?

- Tak było dla nas najlepiej. - Seacrest odwrócił się w moją stronę. - Kiedy będzie pan już rozmawiał z jej kolegami z pracy, wiem, co powiedzą.

- Co mianowicie?

- Że była niezwykle inteligentną, lecz jednocześnie wyjątkową samotnicą. Naukowcem i dydaktykiem najwyższej klasy. Wybaczcie, że to mówię, ale nie sądzę, by te czynności do czegokolwiek prowadziły.

- Jakie czynności, profesorze? - zapytał Milo.

- Badanie akademickiej kariery Hope. Nie tu trzeba szukać przyczyny jej śmierci. To ta książka. Z jej powodu stanęła przed tak zwanym prawdziwym światem. Miała odwagę, by stać się kontrowersyjna, i to właśnie sprowokowało jakiegoś szaleńca.

Milo zapytał, czy możemy zapoznać się z materiałami naukowymi Hope.

- Proszę bardzo. Nie mają panowie nic przeciwko temu, jeśli zostanę na dole? Napiję się herbaty.

- Ależ skąd.

- Schodami na górę i pierwsze drzwi na lewo. Zresztą rozglądajcie się, gdzie chcecie.

Na górze usytuowano trzy niewielkie pomieszczenia i łazienkę. Pokój po lewej był zastawiony regałami pełnymi książek i pism. Półki aż uginały się pod ich ciężarem. W obu oknach znajdowały się zaciągnięte obecnie rolety. Meble sprawiały wrażenie przypadkowo zebranych: dwa nie pasujące do siebie krzesła, biurko i komputer z drukarką. Wokół leksykony psychologii, encyklopedie i słowniki.

Obok komputera leżało kilka kopii artykułu autorstwa Hope Devane, opublikowanego w ubiegłym roku w „The Journal of Personality and Social Psychology”. Artykuł, którego współautorem był Casey Locking, nosił tytuł „Samokontrola jako funkcja tożsamości płciowej”.

Przeczytałem go pobieżnie. Wynikało z niego, że nie ma żadnych znaczących różnic między mężczyznami i kobietami w zdolności panowania nad swoimi zachowaniami. Nie znaleziono żadnych związków między prawdopodobieństwem odniesienia sukcesu a poglądami na miejsce poszczególnych płci w hierarchii społecznej i równość między nimi. W „Wilkach i owcach” Hope dowodziła, że kobiety mają wyraźną przewagę nad mężczyznami w pokonywaniu złych nawyków, ponieważ estrogen pełni rolę „uśmierzacza impulsów”. Istnieje jeden tylko wyjątek: chorobliwe objadanie się, ale w grę wchodzi tu szczególne uwarunkowania społeczne.

W artykule dowodzono czegoś wprost przeciwnego. Rzuciłem okiem na przypisy na końcu pracy. Hope i Locking zastrzegali wyraźnie, że wyniki mogą okazać się nie w pełni wiarygodne, gdyż przebadano zbyt małą grupę ludzi.

Kiedy Milo zaglądał do szuflad i czytał tytuły z grzbietów książek, ja przyjrzałem się całemu pomieszczeniu. Pisma i książki w bezładzie leżały na podłodze. Czerwona, wełniana tkanina przykrywała częściowo jakiś karton. Taki sam jak ten, który zabrał Locking, również z informacją o zawartości, wypisaną równymi, drukowanymi literami.

W rogu stało pięć zamkniętych pudeł od wydawcy Hope Devane z pieczęciami: „wilki i owce”, egzemplarze autorskie. Obok nie rozpakowane ryzy papieru komputerowego.

Opisany karton mieścił kolejne opublikowane prace Devane. Jak zauważyłem, Locking był współtwórcą dwóch z nich. Nigdzie nie wymieniono nazwiska drugiej studentki - Mary Ann Gonsalvez.

Czyżby Locking był jedynym pupilem pani profesor?

Sądząc z zapisu przebiegu obrad komisji, najwidoczniej tak.

A może to coś więcej?

Był młody, inteligentny, przystojny.

Młodszy mężczyzna, starsza kobieta.

Najpierw myślałem o Lockingu i Seacrest'cie, teraz skłaniałem się bardziej do heteroseksualnego romansu.

Co ci chodzi po głowie, Delaware?

Ale przecież miejsca zadania ran sugerowały związek z grzechem.

Serce, krocze, plecy.

Gorączka namiętności w połączeniu z zimnym wyrachowaniem.

Seacrest wyglądał na faceta o zimnej krwi.

Czyżby w pewnym momencie ją utracił?

Milo porozglądał się jeszcze przez jakiś czas i wreszcie zapytał:

- Masz coś?

Powiedziałem o wyraźnej rozbieżności poglądów zaprezentowanych w artykule i książce.

- Jak mówiłeś, nagina prawdę do aktualnych potrzeb. - Wyrzwał na korytarz i schody. Na palcach przeszliśmy do gabinetu Seacresta.

Także pełen książek i także umeblowany bez wyraźnego planu, ale za to idealnie czysty.

Obok sypialnia profesora. Teraz, kiedy miał ją tylko dla siebie, i tutaj utrzymywał ład. Stało tam isticie królewskie, mosiężne łóżce, na którego narzucie nie dało się zauważyć nawet najmniejszej zmarszczki.

Zeszliśmy na dół. Seacresta nigdzie nie było widać.

- Profesorze! - zawołał Milo i ten pojawił się w jadalni mającej połączenie z kuchnią, z kubkiem ozdobionym emblematem uniwersytetu w dłoni.

- Chcą panowie zobaczyć coś jeszcze?

- Gdzie jest dokumentacja działalności klinicznej doktor Devane? Na przykład akta jej pacjentów.

- Jeśli nie ma ich w jej gabinecie, muszą być w miasteczku akademickim.

- Sprawdziliśmy tutaj i nie znaleźliśmy nic, co dotyczyłoby pacjentów.

- Więc nie wiem, co mam odpowiedzieć.

- Czy miała gdzieś jeszcze prywatne biuro?

- Nie.

- A czy przyjmowała tu pacjentów?

- Nie.

- Czy praktykowała prywatnie?

- Nigdy nie rozmawialiśmy o jej pracy.

- Nie mam na myśli szczegółów, profesorze. Tylko czy w ogóle miała własnych pacjentów.

- Jeśli tak, nigdy mi o nich nie wspominała. Staraliśmy się nie poruszać spraw naszej pracy.

Wspominaliśmy tylko o... wydarzeniach ze świata naukowego.

Nieświadomie dotknął swego tatuażu.

- Z czasów służby w marynarce? - zainteresował się Milo.

- Ze straży przybrzeżnej - odparł Seacrest z uśmiechem. - Chwila słabości.

- Gdzie pan służył?

- Przy Catalinie. Muszę przyznać, że bardziej przypominało to wakacje.

- Więc pochodzi pan z Kalifornii?

- Tutaj się wychowywałem. W tym domu. Jako uczelniany dzieciak. Ojciec był profesorem chemii.

- A Hope?

- Oboje jej rodzice nie żyją. Podobnie jak moi. Żadne z nas nie miało rodzeństwa. Obawiam się, że jestem ostatnim przedstawicielem obu rodzin.

Wiedziałem, o czym w tym momencie pomyślał Milo: „jedyne spadkobierca”.

- Czym zajmował się jej ojciec? - zapytał.

- Był marynarzem. Na statku handlowym. Zmarł, kiedy Hope była jeszcze dzieckiem. Nie mówiła wiele na jego temat.

- A matka?

- Pracowała w restauracji. - Seacrest ruszył w stronę drzwi. - Jak już mówiłem tamtym detektywom, ona także dosyć wcześnie umarła i Hope została sierotą.

- To raczej niezwykle - rzekł Milo.

- Co takiego?

- Takie oddzielenie waszych spraw zawodowych. I w ogóle brak zainteresowania życiem drugiego.

Profesor zwilżył wargi.

- Ależ skąd. Gotów jestem twierdzić, że wprost przeciwnie.

- Czyżby?

- Oczywiście. To wyłącznie przejaw wzajemnego szacunku. - Otworzył drzwi i wyciągnął przed siebie rękę. - Ciepła noc. Kiedy tamto się zdarzyło, było znacznie chłodniej.

Milo jechał Bulwarem Wilshire, mijając posiadłości rozrzucone na zboczach wzgórz.

- Twoja diagnoza? - zagadnął.

- Nie jest zbyt przyjazny, ale ma powody do przygnębienia. Niewykluczone, że może coś ukrywać albo po prostu niewiele wiedzieć. Nie stwierdziłem jednak niczego wyraźnie rzucającego się w oczy.

- A Locking?

- Ten sygnet w kształcie czaszki był milutki. Najpierw zastanawiałem się, jakie stosunki panują między nim a Seacrestem, później zaś, co łączyło go z Hope.

- Locking i Hope? Dlaczego?

- To, że jeździł jej samochodem, wskazywałoby na wyraźną zażyłość, chociaż tłumaczenie Seacresta wypadło dość wiarygodnie. Poza tym profesor długo zwlekał z wpuszczeniem nas do

środku, a później bez wątpienia ostrzegł chłopaka, że przyjechała policja. Czyżby dawał mu czas na ubranie się? Wszystko to jednak tylko przypuszczenia.

- W porządku... dlaczego Locking i Hope?

- Sam zastanawiałeś się, czy w grę nie wchodził romans. Na ogół nawiązuje się je w pracy, a przecież Locking był jej bliskim współpracownikiem. Może pozostając w związku z kimś takim jak Seacrest, chciała wreszcie przeżyć chwile prawdziwej ekscytacji.

- Czarny skórzany płaszcz i sygnet w kształcie trupiej czaszki - mruknął z powątpiewaniem, bębniąc palcami w kierownicę, gdy zmierzaliśmy ku Westwood Village. Jak w innych dzielnicach Los Angeles, tu także księgarnie, które znałem z czasów swoich studiów, zniknęły, a w ich miejsce pojawiły się salony gier i inne przybytki taniej rozrywki.

- Muszę przyznać, że zaintrygował mnie sposób, w jaki Seacrest zasugerował, że przyczyną morderstwa była książka. I był przeświadczony, że otoczenie akademickie nie odegrało w tym żadnej roli, co automatycznie odsuwa podejrzenia także i od niego. Spotykałem już zabójców, którzy byli przekonani, że są tak sprytni, iż potrafią podsunąć alternatywne scenariusze zdarzeń. W ten sposób sprawiają wrażenie pomocnych, a jednocześnie wydaje im się, że odwracają od siebie wszelkie podejrzenia. No i ta suka. Któż łatwiej mógłby podsunąć jej kawałek mięsa nafaszerowanego jakimś świństwem? A teraz szybko ją oddał.

- Stara się pozbyć wspomnień.

Milo parsknął głośno i rozluźnił krawat.

- Locking i Hope, Locking i Seacrest. Chyba wykorzystam swoje hm... prywatne kontakty. Może porucznik rzeczywiście miał rację mówiąc, że jestem jakby stworzony do tej sprawy.

- Ciekawe, dlaczego Locking zwlekał tak długo z odebraniem tych materiałów naukowych - zauważyłem. - Przecież Hope nie żyje już od trzech miesięcy. To ogromna strata czasu, w sytuacji kiedy prowadzi się prace naukowe. Poza tym Locking nie znalazł jeszcze nowego promotora, więc niewykluczone, że był z nią naprawdę w jakiś szczególny sposób związany. Może nie tylko w relacji uczeń-nauczyciel. Ale nie wiemy, czy to nie jest po prostu obibok, który niezbyt się spieszy z zakończeniem edukacji. Chociaż zwróć uwagę, że w rozmowie z Kennethem Stormem sprawiał wrażenie dojrzałego.

- Co sądzisz o tym, że Hope włączyła swojego studenta do komisji?

- Kompletowała skład sędziowski. Wybór zapewne tłumaczyła tym, że należy usprawnić działanie i zapewnić właściwą reprezentatywność. Seacrest powiedział, że nie dowierzała wszelkim organizacjom, a i szereg innych faktów z jej życia wskazuje na to, że nie lubiła pracy zespołowej.

- Właśnie dlatego chciałbym poznać ludzi, z którymi pracowała. Barone wciąż nie odpowiada, ale doktor Cruvic zostawił wiadomość. Zgodził się spotkać ze mną jutro rano, o dziesiątej trzydzieści. Chcesz mi towarzyszyć i ocenić go jako psychiatrę?

- Jasne.

Następnego dnia rano spotkałem się z Milo, zjedliśmy śniadanie u Nata i Ala w Beverly i pojechaliśmy do biura doktora Cruvica na Civic Center Drive.

Interesująca lokalizacja dla prywatnego gabinetu. Większość lekarzy w Beverly Hills ulokowała się w budynkach utrzymanych w stylu dawnych siedzib federalnych wzdłuż North Bedford, Roxbury i Camden lub w lśniących odbijanym światłem wieżowcach Wilshire.

Centrum komunalne znajdowało się na pomocnym krańcu przemysłowej dzielnicy, pośród kilku nie wyróżniających się niczym kwartałów w okolicach Santa Monica Boulevard. Ulicę przecinały nie używane tory kolejowe. Za nimi znajdował się kompleks biurowy z różowego granitu, centrala firmy fonograficznej oraz zespół budynków administracyjnych w nieokreślonym stylu, mieszczące ratusz Beverly Hills, bibliotekę, komisariat policji oraz remizę strażyacką.

Rozwój miasta nie sięgnął jeszcze jednak drugiej strony torów, gdzie budynek Cruvica w hiszpańskim stylu, z różowymi stiukami, stał wśród jedno i dwupiętrowych budowli w opłakanym stanie, zbudowanych zapewne jeszcze przed pierwszą wojną światową. W bezpośrednim sąsiedztwie doktora znajdowały się salon piękności, serwis telekomunikacyjny i budynek nie wyróżniający się niczym, nie oznakowany, wyglądający na jakiś magazyn, z powodu rampy załadunkowej. Różowy budynek na froncie nie miał okien, tylko potężne drzwi z drewna i żelaza, jakie widuje się w Hiszpanii, Włoszech czy Grecji. Powyżej dzwonka, na brązowej tabliczce znajdował się niepozorny, niewielki napis: LEKARZ MEDYCYNY M. CRUVIC.

Milo zadzwonił energicznie. Czekaliśmy. Na ulicy panował idealny spokój. Tylko od strony Santa Monica słychać było odległy warkot samochodów. W skrzynkach przed salonem piękności rosły pelargonie. Choć od lat mieszkalem w Los Angeles, nigdy nie miałem okazji zawitać w te strony.

Milo odgadł, o czym myślałem.

- Wygląda na to, że cenią sobie tutaj ciszę.

Przygryzł dolną wargę i ponownie nacisnął dzwonek.

Nieprzyjemne dla ucha, wibrujące bzyczenie i szcęk odskakującego rygla. Otworzył ciężkie drzwi i weszliśmy do środka.

Znaleźliśmy się na wyłożonym płytami dziedzińcu. Rosły tu w ogromnych donicach bananowce i azalie. Pośród nich stał metalowy stół i dwa krzesła. Na blacie zauważyłem popielniczkę z dwoma uszmiokowanymi niedopałkami. Wewnętrzny budynek był piętrowy, z okratowanymi oknami i ręcznie kutymi barierkami balkonów. Dwoje drzwi. Te z prawej otworzyły się i wyszła z nich kobieta w błękitnym stroju.

- Proszę - powiedziała gardłowym głosem, wskazując na lewo.

Miała około pięćdziesiątki, ciemne włosy, wydatny biust, opaloną twarz i łydki tancerki.

- Detektyw Sturgis? Jestem siostra Anna. Proszę bardzo. - Uśmiechnęła się na moment, poprowadziła nas do wejścia i otworzyła drzwi. - Pan doktor zaraz do panów przyjdzie. Może kawy? Mamy doskonały ekspres.

- Nie, dziękujemy.

Znaleźliśmy się w niewielkim, lecz jasnym holu. Wokół szereg ciemnych, zamkniętych drzwi, a pod nogami miękka, tłumiąca kroki wykładzina. Ściany były białe i sprawiały wrażenie świeżo pomalowanych. Otworzyła czwarte z kolei drzwi i usunęła się, robiąc nam miejsce.

Pomieszczenie było niewielkie i niskie. Na ciemnym dywanie stały dwa beżowe fotele i sofa. Oddzielał je niski stół do kawy ze szklanym blatem. Dwa wąskie okna wychodziły na ceglana, nie otynkowaną ścianę salonu piękności. Żadnego biurka, książek, nawet telefonu.

- Pracownie doktora Cruvica są po drugiej stronie, ale przyjmie panów tutaj, by nie niepokoić pacjentów. Na pewno nie zdecydują się panowie na kawę? A może herbaty?

Milo raz jeszcze podziękował z uśmiechem.

- Trudno. Proszę czuć się swobodnie. Pan doktor zaraz tu będzie.

- Bardzo ładna posiadłość - zauważył detektyw. - Muszą być państwo zadowoleni, mając tyle przestrzeni, i to w Beverly Hills.

- Rzeczywiście. Kiedyś to podobno była stajnia. Mary Pickford trzymała tu swoje konie. A może to była jakaś inna gwiazda...

- Czy doktor Cruvic przeprowadza operacje tutaj, czy też w Cedars lub Century City? - zapytałem.

Twarz kobiety przybrała nagle kamienny wyraz.

- My nie wykonujemy żadnych operacji. Miło było panów poznać.

Wyszła szybko, zamykając za sobą drzwi.

Milo odczekał kilka chwil, po czym uchylił je i wyjrzał na zewnątrz. W czterech susach znalazł się na końcu korytarza i przy drzwiach z tabliczką do zachodniego skrzydła. Nacisnął klamkę. Zamknięte. W drodze powrotnej sprawdził pozostałe. Wszystkie pozamykane.

- Czyżbym popadał w paranoiczną awersję do lekarzy, czy też wyraźnie nie spodobało jej się twoje pytanie o operacje?

- Rzeczywiście wygląda na to, że pytanie wyprowadziło ją z równowagi. Przykro mi, że zestresowałem naszą przewodniczkę.

Roześmiał się.

- Bardzo miła babka. Jak sądzisz, czy to właściwe miejsce do przeprowadzania terapii?

- Może właśnie tutaj pracowała Hope?

- Po czym tak sądzisz?

- Bo nie ma stąd dostępu do zachodniego skrzydła. Nie niepokoi się pacjentów. Oczywiście zakładając, że w ogóle tu coś robiła. Co wcale nie jest wykluczone, skoro zapłacił jej czterdzieści patyków, a nigdzie nie znaleźliśmy prowadzonych przez nią akt pacjentów.

Drzwi otworzyły się i stanął w nich niezwykle szeroki w barach, jak na niecałe metr osiemdziesiąt wzrostu, mężczyzna.

Miał jakieś czterdzieści lat, gęste, szpakowate, sterczące włosy przycięte krótko nad małymi, płaskimi uszami. Uważnie prześwietlał nas ciemnymi, przenikliwymi oczami. Nieco skośnymi, lecz nie tak bardzo jak u Azjatów.

Jego twarz była owalna, lecz z wyraźnie zarysowanymi kośćmi policzkowymi, prostym nosem o odstających płatkach i ostro zarysowanym podbródkiem przyciemnionym zarostem.

Miał na sobie idealnie skrojoną dwurzędową marynarkę, niebieską koszulę i czarny, jedwabny, ręcznie malowany krawat. Czarne spodnie pasowały idealnie do butów z takiejże skóry i szarego zamszu. Wyciągnął rękę, odsłaniając francuski mankiet złączony złotą spinką. Nadgarstek miał gruby, porośnięty gęstymi ciemnymi włosami.

- Mike Cruvic - przedstawił się, lekko skłaniając głowę.

- Doktorze - rzekł Milo ściskając mu dłoń.

Następnie przywitał się ze mną. Silny uścisk, lecz delikatna dłoń o miękkiej skórze.

- Dziękujemy, że poświęca nam pan swój czas.

- To drobiazg, chociaż nie mam pojęcia, w jak sposób mógłbym pomóc w znalezieniu mordercy Hope. - Pokręcił głową. - Usiądźmy. Nabawiłem się odcisków, chociaż jako lekarz nie powinienem do tego dopuścić. - Poskrobał się po czole i opadł na sofę.

- Wie pan, że szewc bez butów chodzi.

Cruvic uśmiechnął się i rozprostował ramiona.

- W tym przypadku to rzeczywiście prawda. Nie sądziłem, że kiedykolwiek będę rozmawiać z policją o zabójstwie.

Dotknął dłonią pięty i skrzywił się wymownie. Gdy poruszał ramionami, wyraźnie uwydatniały się jego potężne mięśnie. Miał idealną sylwetkę, z płaskim brzuchem. Wyobraziłem go sobie ćwiczącego w domowej sali gimnastycznej, wyciskającego z siebie siódme poty.

- A więc czego chcielibyście się panowie dowiedzieć?

- Dysponujemy dokumentami, które świadczą, iż w ubiegłym roku wypłacił pan doktor Devane trzydzieści sześć tysięcy dolarów - zaczął Milo. - Czy pracowała dla pana?

Cruvic przeciągnął dłonią po włosach.

- Nigdy nie liczyłem takich kwot, ale to możliwe. Była konsultantką.

- W jakim zakresie?

Doktor bębnił palcem po swych mięsistych wargach.

- Jak by to określić, nie zdradzając tajemnicy lekarskiej... Czy wiecie panowie, czym się tu zajmujemy?

- Położnictwem, ginekologią i leczeniem bezpłodności.

Cruvic sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyjął wizytówkę. Wręczył ją Milo, który po chwili przekazał ją mnie.

MILAN A. CRUVIC, LEKARZ MEDYCYNY, FACOG

PRAKTYKA OGRANICZONA DO LECZENIA BEZPŁODNOŚCI

- Kiedyś zajmowałem się położnictwem i ginekologią, ale przez kilka ostatnich lat jestem zainteresowany wyłącznie problematyką bezpłodności.

- Z powodu godzin pracy? - zapytał Milo.

- Słucham?

- Mam na myśli odbieranie porodów? Godziny pracy czasami są dość nietypowe.

Cruvic roześmiał się.

- Nie, nigdy nie stanowiło to dla mnie problemu. Nie potrzebuję aż tak dużo snu. Po prostu bezpłodność bardzo mnie interesuje. Ludzie przychodzą tu, czasami z zupełnie nie medycznymi kłopotami. To wspaniałe, gdy potrafi się im pomóc. -Roześmiał się wesoło. -Rozmawiam z nimi wtedy niemal jak detektyw. Zerknął na zegarek.

- Jaki udział w tym wszystkim miała profesor Devane?

- Kontaktowałem się z nią, ilekroć natrafiłem na problemy.

- Jakiego rodzaju?

- Nastawienia psychicznego pacjentów. Leczenie bezpłodności to bardzo wyczerpujący proces. Zarówno pod względem fizycznym, jak i psychicznym. Czasami nasze wysiłki pozostają bez efektu. Już na samym początku zawsze ostrzegam pacjentki, ale nie wszystkie są w stanie wytrzymać pełny cykl leczenia. Gdy istnieją wątpliwości, czy im się to uda, lepiej w ogóle nie rozpoczynać terapii. Czasami samodzielnie potrafię ocenić, kto może mieć problemy. Jeśli nie, kontaktuję się z ekspertami.

- Korzystał pan także z usług innych psychologów poza profesor Devane?

- Wcześniej tak. Poza tym są pacjentki, które mają własnych terapeutów. Ale od kiedy poznałem Hope, podjąłem z nią stałą współpracę. - Położył dłonie na kolanach. - Była wspaniała. Bardzo wnikliwa i obdarzona intuicją. Doskonale potrafiła oceniać ludzi. I świetnie radziła sobie z pacjentkami. Może dlatego, że w przeciwieństwie do innych psychologów nie dążyła do uzależnienia ich od siebie.

- Dlaczego?

- Miała i tak wystarczająco dużo zajęć.

- Ma pan na myśli jej książkę?

- Książkę i wykłady. - Klasnął w dłonie. - Mówiąc krótko, badania przeprowadzała szybko i osiągała świetne wyniki. Robiło to na mnie duże wrażenie.

Jego rumiane policzki jeszcze nabrały koloru i zapatrzył się gdzieś w dal. Odruchowo pomasaował stopę i pochylił się naprzód.

- Brakuje mi... Wszystkim nam tu jej brakuje. Część spośród tych niby-psychologów jest bardziej zwariowana od swoich pacjentów. Hope potrafiła mówić prostym, zrozumiałym dla wszystkich językiem. Była fantastyczna.

- Jak wiele przypadków powierzył jej pan?

- Nigdy tego nie liczyłem.

- A czy zdarzały się pacjentki, które nie były z niej zadowolone?

- Ależ skąd... Chyba nie mówi pan poważnie. Nie, nie, detektywie, to wykluczone. Mam tu do czynienia z cywilizowanymi ludźmi, a nie wariatami.

Milo wzruszył ramionami i uśmiechnął się z zażenowaniem.

- Muszę zadać to pytanie... Czy mi się tylko wydaje, doktorze, czy rzeczywiście problem niepłodności staje się coraz powszechniejszy?

- Nie wydaje się panu. Po części przyczynę tego stanowi fakt, iż ludzie coraz później decydują się na dzieci. Idealnym wiekiem na pierwszą ciążę jest okres między dwudziestym drugim a dwudziestym piątym rokiem życia. Wystarczy poczekać dziesięć lat, a prawdopodobieństwo zostania matką znacznie spada. - Cruvic wsparł przedramiona na masywnych udach. - Nigdy nie mówię tego pacjentkom tak otwarcie, bo same zawsze czują się winne. A prawdziwą przyczyną jest bez wątpienia rewolucja lat siedemdziesiątych. Stosunki pozamałżeńskie, nieustannie popełniane błędy terapeutyczne w klinikach czy nie do końca sprawdzone leki spowodowały trwały uraz w świadomości społecznej. Właśnie do jego likwidacji wykorzystywałem Hope. Chodzi o usunięcie poczucia winy.

- Dlaczego płacił pan bezpośrednio jej?

Cruvic odchylił głowę. Opuścił ręce na sofę i oparł się na nich, jakby zamierzał wstać.

- Chodziło o ubezpieczenia. Próbowaliśmy rozwiązać to w inny sposób, ale okazało się, że tak będzie najprościej i najkorzystniej. Zamiast psychoterapii, według papierów zajmowała się konsultacjami ginekologicznymi. - Znow przeciągnął palcami po włosach. - Mój księgowy zapewnia, że wszystko jest jak najbardziej legalne. Jeśli to już wszystko...

- Czy profesor Devane dobrze żyła z mężem? - zapytałem.

- A dlaczego miałyby tak nie być?

- Jej opinie o mężczyznach były dość krytyczne.

- Co ma pan na myśli?

- Takie przecież poglądy prezentowała w swojej książce.

- A, to. Cóż, tutaj nigdy nie zachowywała się tak, jakby uważała nas za wrogów. Wszyscy byli bardzo zadowoleni z jej pracy... Nie mam zamiaru pouczać panów, ale wydaje mi się, że poszliście zupełnie niewłaściwym tropem. Zabójstwo Hope nie ma nic wspólnego z jej pracą dla mnie.

- Zapewne tak - mruknął Milo. - Gdzie się poznaliście?

- W innej placówce zdrowia.

- Gdzie dokładnie?

- W klinice dobroczynnej w Santa Monica.

- Jak brzmi jej pełna nazwa?

- Centrum Zdrowia Kobiet. Pracuję tam od pewnego czasu. Raz w roku organizują imprezę charytatywną. Hope i ja zostaliśmy posadzeni obok siebie, i tak zaczęła się nasza znajomość.

Wstał. Poprawił przekrzywiony krawat.

- Wybaczcie, panowie, ale czekają na mnie panie, które chcą zostać mamusiami.

- Oczywiście. Dziękuję, doktorze. - Milo także wstał, odcinając gospodarzowi drogę do drzwi. - Jeszcze jedno. Czy profesor Devane przechowywała tu dane o swoich pacjentach?

- Nie miała własnych. Robiła notatki w moich aktach. Dzięki temu łatwo wymienialiśmy się informacjami.

- Ale przyjmowała tu pacjentki?

- Tak.

- Może akurat w tym pokoju?

- Niewykluczone, ale nie jestem w stanie na to odpowiedzieć. Nie ja zajmuję się przydzielaniem pomieszczeń.

- Ale pracowała w tym skrzydle? - zapytał Milo. - Żeby mieć zagwarantowany spokój.

- To prawda.

- To miejsce świetnie spełnia swoje zadanie.

Potężne barki Cruvic uniosły się i opadły.

- Nam bardzo się podoba.

Spróbował wzrokiem usunąć z drogi Milo. Ten już, już miał ustąpić, lecz nagle sięgnął po notatnik.

- Jeśli chodzi o to Centrum, tam także zajmuje się pan leczeniem niepłodności?

Doktor wysilił się na uśmiech.

- Tego rodzaju leczenie to bardzo kosztowne przedsięwzięcie, więc biedni nie mogą sobie na to pozwolić. Tam poświęcam swój czas ogólnej ochronie zdrowia kobiet.

- Czy obejmuje to także aborcje?

- Z całym szacunkiem, ale nie sądzę, by miało to jakiegokolwiek znaczenie dla sprawy.

Milo uśmiechnął się.

- Zapewne ma pan rację.

- Z pewnością wie pan, że nie mogę rozmawiać na ten temat. Nawet niezamożne kobiety mają prawo do prywatności...

- Przykro mi, doktorze. Nie pytam o poszczególne przypadki, tylko o to, czym się pan tam zajmuje.

- Po co w ogóle poruszać problem aborcji? O co tu chodzi, detektywie?

- Aborcja wprawdzie jest legalna, ale wzbudza wiele emocji. A pewni ludzie wyrażają swój sprzeciw wobec niej w nader agresywny sposób. Jeśli więc przeprowadza pan aborcje, a profesor Devane była w to także zaangażowana, rzuca to zupełnie nowe światło na sprawę zabójstwa.

- Och, na miłość boską! - wykrzyknął doktor. - Jeśli nawet uznawałbym prawo kobiet do własnego wyboru, a Hope współpracowałyby ze mną, jeśli ktoś miałby ponieść konsekwencje swojego działania, to z pewnością nie ona. - Poklepał się po piersi. - A przecież mnie nic się nie stało.

- To prawda. Ale i tak musiałem zapytać.

- Rozumiem - powiedział Cruvic bez przekonania. - Wiem, że moja opinia niewiele znaczy, ale według mnie zabił ją jakiś psychopata nienawidzący kobiet, który wybrał ją tylko dlatego, że była znana. Jakiś świr. Ale nie nasza pacjentka czy ktoś związany z Centrum Zdrowia Kobiet.

- Wprost przeciwnie, doktorze. Pańska opinia jest dla nas niezwykle cenna. Właśnie tego oczekiwaliśmy. Zdania osób, które ją znały.

Cruvic zmieszał się nieco i pogładził krawat.

- Znałem ją tylko od strony zawodowej. Ale jestem przekonany, że ta śmierć jest spowodowana przez zło tkwiące w naszym społeczeństwie.

- Co ma pan na myśli?

- Sukces rodzi zawiść. Pozornie wysoko cenimy ludzi utalentowanych, ale gdy znajdują się na piedestale, zrzućcie ich stamtąd sprawia nam szczególną przyjemność. Dlaczego? Bo ich sukces stanowi dla nas zagrożenie.

Jego policzki były teraz purpurowe. Wyminął Milo, zatrzymał się przy drzwiach i spojrzał na nas.

- Przegrani mszczą się na zwycięzcach, panowie. Jeśli dalej będzie się tak dziać, wszyscy przegramy. Powodzenia.

- Jeśli przyjdzie panu coś do głowy, doktorze, proszę o kontakt - rzekł Milo i wręczył mu wizytówkę. Tę w najprostszej wersji, nie zaś wymienianą między zawodowcami, na której zwykle umieszcza się dodatkowo: kradzieże, zabójstwa; NASZ DZIEŃ ZACZYNA SIĘ, GDY INNYCH SIĘ KOŃCZY.

Cruvic wsunął ją do kieszeni. Wyszedł na korytarz, otworzył drzwi prowadzące do zachodniego skrzydła i zniknął za nimi.

- Jakies spostrzeżenia? - zapytał policjant.

- No cóż, zaczerwienił się, gdy zapewniał, że znał ją tylko z kontaktów zawodowych, więc zapewnię coś ukrywa. Poza tym kombinuje z rozliczeniami i podatkami. Rozmowa o aborcji pozwala wnioskować, że się nią zajmuje, ale w Centrum. Może i tutaj, w przypadku zamożniejszych klientek. Jeśli tak, z pewnością nie chce, by mówiono o tym głośno. Przecież pacjentka cierpiąca na bezpłodność nie będzie chciała oddać się w ręce kogoś, kto jednocześnie zabija nienarodzone dzieci. Ale jego uwaga była trafna, iż jeśli przyjąć, że te sprawy dały komuś powód do agresji, to sam w pierwszej kolejności stałby się jej obiektem. A i ja podtrzymuję swoją opinię, że nie wydaje się, aby to morderstwo miało związek z problemem aborcji.

- Jeśli sypiał z nią, to zatrudnienie w charakterze konsultantki i przekazywanie sporych pieniędzy mogło być formą wyrażania wdzięczności - stwierdził Milo, kiedy znaleźliśmy się obok wyjścia.

- Przecież nie potrzebowała jego czterdziestu tysięcy. W ostatnim roku zarobiła piętnaście razy więcej.

- Znał ją jeszcze przed wydaniem książki. Może taki układ trwał od lat. Aż Seacrest w końcu dowiedział się o nich. Wciąż wracamy do sposobu, w jaki zadano ciosy. Zemsta. Zdrada. Zgodzisz się chyba, że Cruvic nieco się rozczulił, mówiąc o niej.

- To prawda. Może ma taką naturę.

- Seacrest w podobnej sytuacji oświadczył, że nie ma z tym nic wspólnego.

- Nikt nie chce, by łączono jego osobę z morderstwem - zauważyłem.

Zmarszczył brwi i otworzył drzwi prowadzące na dziedziniec. Siostra Anna siedziała przy stoliku, z papierosem i gazetą w ręku. Uniosła głowę i uśmiechnęła się lekko.

Milo także jej wręczył swoją wizytówkę, prosząc o ewentualny kontakt. W odpowiedzi pokręciła głową.

- Widywałam doktor Devane tylko wtedy, gdy przychodziła do pracy i wychodziła z niej.

- Czyli jak często?

- Regularnie. Dość często.

- Czy miała własne klucze?

- Tak.

- Zawsze pracowała w tym pokoju, w którym byliśmy?

Potakujące kiwnięcie głową.

- Miła?

Chwila wahania.

- Tak.

- Ma pani coś do powiedzenia na jej temat?

- Nie, raczej nie.

Wzruszyła ramionami, zaciągnęła się, złożyła gazetę i wstała.

- Koniec przerwy. Muszę wracać do pracy. Życzę miłego dnia.

Ruszyła w stronę wejścia do domu, a my przeszliśmy przez dziedziniec. Kiedy otwieraliśmy potężne drzwi, wiodące na ulicę, wciąż nas obserwowała.

Milo wsunął kluczyk do stacyjki, ale go nie przekręcił.

- Co jest? - zapytałem.

- Coś z Cruvicem... -Uruchomił silnik. -Może zbyt długo już pracuję. Wiesz, jaką sprawą zajmują się dziś w komisariacie rano? Nowo narodzone dziecko zostało pogryzione na śmierć przez psy. Siedemnastoletnia, niezamężna mama była zrozpaczona, ale chłopcy mieli wątpliwości, czy to na pewno wypadek. Później policja ustaliła, że te psy były na posesji sąsiada, okolonej ponad dwumetrowym murem. W efekcie okazało się, że to mama zabiła własne dziecko i upozorowała atak psów.

- Jezu...

- Nie mam wątpliwości, że będzie twierdzić, iż to niewątpliwie ona jest ofiarą tej tragedii i tak właśnie przedstawią ją telewizja i prasa. - Uśmiechnął się kwaśno. - Chyba usprawiedliwia to moje negatywne myślenie?

Sięgnął pod siedzenie, skąd wyciągnął telefon komórkowy. Wystukał jakiś numer.

- Tu Sturgis - rzucił do słuchawki. - Macie coś? Tak, zaczekam.

- Ale sprzęt - rzekłem z podziwem, starając się wymazać z pamięci myśl o zabitym noworodku. - Odkąd to policja wyposaża swoich ludzi w takie cacka?

- Rzeczywiście, według naszych służb logistycznych do komunikacji wystarczą dwie puszki i coś do uderzania w nie. Ten dostałem od Ricka. On ma już nowy. Nie lubię korzystać z naszych pasm operacyjnych, a na płacenie za telefony służbowe z własnej kieszeni mnie nie stać. Aby uzyskać zwrot kosztów, wszystkie wrzucam w niebieskie dochodzenia.

Niebieskimi dochodzeniami nazywano pracę po godzinach, głównie w poszukiwaniu ludzi nabijających w butelkę firmy ubezpieczeniowe. Milo miał bardzo negatywny stosunek do tego rodzaju dodatkowych zajęć, ale ostatnio odłożył na bok uprzedzenia.

- Jeśli chodzi o zwrot pieniędzy, może i ty powinieneś zgłosić, że zajmujesz się ginekologią?

Skrzywił się z niesmakiem.

- Dobra - powiedział do telefonu. - Tak, gdzie? Jasne, rozumiem. Dzięki.

Pojechał z powrotem ku centrum komunalnemu, a potem dalej za zachód.

- Cindy Vespucci - dziewczyna, którą Kenny Storm podobno wyrzucił z samochodu - właśnie odpowiedziała na moją wiadomość. Będzie na lunchu w Ready Burger w Westwood za piętnaście minut. Masz ochotę przejechać się ze mną?

Restauracja znajdowała się w Broxton, na zachodnim skraju Village, gdzie zawsze panuje wzmożony ruch i pieszko poruszać się łatwiej niż na kółkach. Plastikowy żółty znak firmowy, zaparowane szyby, dwa stoliki na chodniku, z których jeden zajmowały dwie dziewczyny pijące colę przez słomki. Żadna nie zareagowała na nasz widok, więc weszliśmy do środka. Jeszcze trzy stoliki, żółte ściany także zaparowane. Resztki liści sałaty i opakowania po rurkach do picia zaśmiecały czerwoną ceglana podłogę. W powietrzu wisiał zapach smażonego mięsa. Kwartet Azjatów z niezwykłą sprawnością przygotowywał posiłki, pakował je, wystukiwał ceny na kasie i pobierał należność. Mechanicznie posuwająca się kolejka, złożona głównie ze studentów, wiła się od lady aż po same drzwi.

Milo rozejrzał się po stolikach. Jedzący lunch podnosili co prawda wzrok, lecz nikt nie zainteresował się jego osobą.

Z powrotem wyszliśmy na zewnątrz i mój towarzysz zerknął na zegarek. Jedna z dziewczyn odstawiała napój i zapytała:

- Pan Sturgis?

- Tak jest.

- Jestem Cindy.

Była studentką pierwszego roku, ale wyglądała jak licealistka. Miała zaledwie nieco ponad metr pięćdziesiąt wzrostu, ważyła jakieś czterdzieści kilo, a z urody przypominała elfa z długimi, prostymi blond włosami, szeroko otwartymi błękitnymi oczami, lekko zadartym nosem i ustami w kształcie łuku amorka. Wzbudziła we mnie uczucia opiekuńcze; przyszło mi nagle na myśl pytanie, czy chciałbym kiedykolwiek mieć córkę.

Ubrana była w uniwersytecką bluzkę, czarne obcisłe spodnie i białe sportowe buty. O krzesło stała oparta torba, z której wystawały książki. Odruchowo zwróciłem uwagę, że ma poobgryzane paznokcie. Towarzysząca jej dziewczyna także była ładna, lecz nieco zbyt pyzata. Na stole leżały zatłuszczone papiery oraz torebki foliowe po ketchupie i musztardzie.

Milo wyciągnął rękę. Cindy głośno przełknęła ślinę i ponownie się przedstawiła. Kiedy popatrzyła mu w oczy, jej wargi zadrżały. Policjant zgarbił się nieco i nadał głosowi łagodny ton:

- Miło mi cię poznać, Cindy. Dziękujemy, że zgodziłaś się z nami porozmawiać.

- Nie ma sprawy. - Spojrzała znacząco na koleżankę i kiwnęła głową. Pyzata popatrzyła na nas, wreszcie wstała i przewiesiła torebkę przez ramię.

- Cin?

- W porządku, Deb. Do zobaczenia o drugiej.

Deb skinęła głową i ruszyła ulicą. Obejrzała się jeszcze kilkakrotnie przez ramię, zanim zniknęła w sklepie muzycznym po przeciwnej stronie ulicy.

- Czy... porozmawiamy tutaj? - zapytała Cindy.
- Jak sobie życzysz.
- Hmm... na pewno ktoś będzie chciał skorzystać ze stolika. Może się przejdziemy?
- Jasne.

Sięgnęła po torebkę, odgarnęła włosy i z widocznym trudem zdobyła się na uśmiech.

Milo odpowiedział uspokajającym ruchem ręki. Dziewczyna odwróciła od niego wzrok i jakby dopiero teraz zauważyła mnie.

- To Alex Delaware.

- Dzień dobry - powiedziała i wyciągnęła rękę. Ucisnąłem chłodną dłoń, szczupłą jak u dziecka.

Całą trójką skierowaliśmy się na zachód, w stronę najbliższej przecznicy. Po drugiej stronie ulicy znajdował się tam spory, wyasfaltowany parking uczelniany. Tysiąc miejsc parkingowych, a wszystkie zajęte.

- Może tutaj pospacerujemy? Nikt nie będzie nam przeszkadzał - zaproponował Milo.

Cindy myślała przez chwilę, po czym pospiesznie pokiwała głową, ale równocześnie jej usta wykrzywiły się, jakby za chwilę miała płakać, a dłonie zacisnęła w pięści.

Gdy znaleźliśmy się na terenie parkingu, powiedziała:

- Jak jeszcze byłem dzieckiem, do szkoły przyszedł policjant i ostrzegał nas, byśmy nie chodzili przed zaparkowanymi samochodami.

- Miał rację. Ale my będziemy uważać.

Dziewczyna znów uśmiechnęła się nieśmiało. Przeszliśmy kilkanaście kroków, zanim Milo przerwał przedłużające się milczenie:

- Z pewnością wiesz, z jakiego powodu chcieliśmy z tobą mówić, Cindy.

- Tak. Chodzi o profesor Devane. Ona była... Naprawdę przykro mi z powodu tego, co się stało, ale to nie ma nic wspólnego ze mną i z Kennym.

- Z pewnością tak jest, ale musimy wszystko sprawdzić.

Nagle w oczach Cindy dała się zauważyć radość.

- To brzmi zupełnie jak w telewizji.

- A więc musi być prawdziwe, nie uważasz?

Popatrzyła na Milo, później na mnie.

- Nigdy nie miałam do czynienia z prawdziwymi detektywami.

- O, to naprawdę ogromne wyróżnienie. Coś pomiędzy zdobyciem nagrody Pulitzera a Nobla.

Dziewczyna tym razem już wesoło uśmiechnęła się do Milo.

- Jest pan zabawny. Czego chcecie dowiedzieć się ode mnie o profesor Devane?

- Interesują nas twoje doświadczenia, a może i spostrzeżenia związane z Komisją Stosunków Interpersonalnych.

Usta znów się wykrzywiły.

- Wiem, że trudno ci o tym mówić, ale... - zaczął Milo.

- Nie, wcale nie. Już nie. Może dlatego, że to już przeszłość. Wraz z Kennym rozwiązaliśmy te problemy.

Szliśmy dalej. Po kilku krokach dodała:

- Mówiąc szczerze, spotykamy się ze sobą.

Milo sprawiał wrażenie zaskoczonego.

- Może to dla panów dziwne, ale jesteśmy ze sobą szczęśliwi. Może to czysta... chemia. I właśnie stąd wzięły się te początkowe konflikty. W każdym razie teraz wszystko jest w jak najlepszym porządku.

- Więc Kenny wie, że z nami rozmawiasz?

- Jasne. Mówiąc szczerze... - Zatrzymała się.

- To on prosił cię, byś się z nami spotkała?

- Nie, nie. Chodzi tylko o to, że ja jestem tutaj, a on w San Diego, więc uznaliśmy, że to spotkanie pozwoli ostatecznie wyjaśnić sprawę jakby równocześnie w imieniu nas obojga.

- W porządku. A co jest do wyjaśnienia?

Przewiesiła torbę na drugie ramię.

- Właściwie nic. - Jej głos stał się bardziej piskliwy. - To był błąd. Zgłoszenie tej skargi. Nigdy nie powinnam była robić takiego hałasu, ale w grę wchodziły pewne komplikacje. Między mną a Kennym... Ale to długa historia, o której nie warto wspominać.

- Chodzi o twoją mamę i jego ojca? - zapytałem.

Spojrzała na mnie niepewnie.

- A więc i to się wydało...

- Dysponujemy pełnym zapisem obrad komisji - wyjaśnił Milo.

- Och, nie wiedziałam. - Wyglądało na to, że w każdej chwili może się rozplakać. - Myślałam, że cała sprawa zostanie zachowana w tajemnicy.

- Morderstwo zmienia zasady, Cindy. Ale robimy wszystko, by jej nie ujawniać.

Westchnęła głośno i pokręciła głową.

- Ale pewnie to się nie uda...

- Jeśli okaże się, że komisja nie ma nic wspólnego ze śmiercią doktor Devane, sprawa nie powinna ujrzeć światła dziennego.

- Na pewno nie ma. Przynajmniej to, co dotyczy mnie i Kenny'ego - uderzyła się w pierś. - Boże, jaką byłam idiotką, lecąc na skargę!

- Ktoś czytający stenogram mógł odnieść wrażenie, że miałaś wiele do zarzucenia Kenny'emu - zauważyłem.

- To nieprawda. Mówiłam już, że to wszystko było bardzo skomplikowane. Tak, z powodu naszych rodziców. Nie chodzi o to, że mama prosiła mnie, bym... została jej obrończynią. Po prostu... nie do końca wiedziałam, jak postąpić. To wszystko. Kenny nie zachował się elegancko, ale z pewnością nie zasłużył sobie na miano zwierzęcia. Mogliśmy wyjaśnić to, co się stało, w inny, znacznie spokojniejszy sposób. I rzeczywiście później tak zrobiliśmy.

Znów przełożyła torbę.

- zaproponowałbym, że wezmę to od ciebie, ale może nie wypada? - rzekł Milo.

Chciała coś powiedzieć, lecz tylko spojrzała na niego i wręczyła torebkę. W jego potężnych łapskach torba wyglądała jak zabawka.

Odgarnęła włosy z ramion i obejrzała się na budynki uniwersyteckie.

- Czy to potrwa jeszcze długo?

- Nie. A twoja mama i ojciec Kenny'ego jak sobie radzą?

- W porządku.

- Znów się spotykają?

- Nie! Są już tylko przyjaciółmi. Dzięki Bogu. To byłoby prawie kazirodztwo. Mieliśmy z tym od początku spory problem. Mama Kenny'ego umarła w zeszłym roku. A on wciąż cierpi.

- A jak to naprawdę było z tym wyrzuceniem cię z samochodu?

Cindy zatrzymała się.

- Proszę nie kazać mi jeszcze raz opowiadać, jak zrobiłam z siebie idiotkę.

Milo nie odpowiedział.

- Tego wieczora on... to było głupie - ciągnęła. - Powiedziałam, że chcę wsiąść, więc otworzył mi drzwi i poszłam na piechotę.

Roześmiała się, ale wyraz twarzy miała taki, jakby właśnie przed chwilą dowiedziała się o śmierci kogoś bliskiego.

- Czułam się jak kompletna idiotka. Musieliśmy długo pracować nad znalezieniem sposobu porozumiewania się, to wszystko. Dowód na skuteczność tych prób jest ewidentny: jesteśmy ze sobą.

- Jesteś dobrą studentką, prawda, Cindy?

Dziewczyna zarumieniła się.

- Ciężko pracuję.

- Same A?

- Jak dotąd tak, ale mam za sobą dopiero dwa półsemestry...

- Kenny nie przykłada się aż tak bardzo do nauki?

- O, on jest bardzo inteligentny! Tyle tylko, że zawsze musi znaleźć sobie coś, co go zainspiruje. - Zwilżyła usta.

- Motywację?

- No właśnie. Ludzie poruszają się po prostu z różną szybkością. Ja zawsze wiedziałam, kim chcę zostać.

- A mianowicie?

- Psychologiem lub prawnikiem. Chcę bronić interesu dzieci.

- To wspaniale. Tacy ludzie są bardzo potrzebni - pochwalił Milo.

Przeszliśmy kolejnych kilkadziesiąt metrów. Jeden z zaparkowanych wozów ruszył z miejsca tuż przed nami. Zatrzymaliśmy się i odczekaliśmy chwilę, nim kierowca, dziewczyna niewiele starsza od Cindy, odjechała.

- Więc Kenny jest w San Diego. Myślałem, że studiuje w College of the Palms w Redlands. Zaprzeczyła ruchem głowy.

- Postanowił z tego zrezygnować.

- Dlaczego?

- Musiał się pozbierać i usamodzielnic.

- A więc w San Diego także się nie uczy?

- Jeszcze nie. Jest na stażu w agencji obrotu nieruchomościami w La Jolla. U przyjaciela ojca. Jak dotąd ta praca bardzo mu się podoba. Jest dobrym handlowcem.

- Na pewno.

Dziewczyna ponownie się zatrzymała i posłała Milo niemiłe spojrzenie.

- Mnie nic nie sprzedał, jeśli to chce pan zasugerować! Nie jestem aż tak głupia, żeby zgodzić się na związek, w którym nie panuje równość.

- Co rozumiesz przez określenie „równość”, Cindy?

- Równowagę. Emocjonalną uczciwość.

- W porządku. Przepraszam, że cię uraziłem. - W zamyśleniu gładził brodę, aż do momentu, gdy doszliśmy do końca parkingu. Za ogrodzeniem rosły wysokie drzewa, którymi teraz kołysał lekki wietrzyk.

- Jest mi dobrze z Kennym - oświadczyła Cindy. - Zgodziłam się rozmawiać z panami tylko dlatego, że uważałam to za swój obowiązek. Zabójstwo profesor Devane to coś strasznego, ale

naprawdę marnujecie ze mną czas. Nie odegrała w moim życiu istotnej roli. Ani w życiu Kenny'ego. Spotkał ją tylko ten jeden raz, a ja wysłuchałam raptem kilku jej wykładów, zanim jeszcze złożyłam tę skargę. Była miła, ale nawet wtedy miałam do niej ambiwalentny stosunek. W chwili gdy stanęłam przed tą komisją, wiedziałam, że popełniłam błąd.

- Dlaczego?

- Chodziło o atmosferę... Ich troje siedzących za długim stołem. Na nim dyktafon, długopisy i papier. Całość wyglądała jak... sąd inkwizycji. Profesor Devane twierdziła, że to będzie przebiegało zupełnie inaczej... Przykro mi, że ona nie żyje, bo muszę przyznać, iż ją podziwiałam, ale powinnam to powiedzieć: wprowadziła mnie w błąd.

- Jak to?

- Na początku twierdziła, że będę uczestniczyć w konsylium. Każdy będzie opowiadał o własnych odczuciach i próbował znaleźć optymalne rozwiązanie poruszonego problemu. To będzie jak spotkanie grupy dyskusyjnej. W chwili gdy zobaczyłam ów stół, wiedziałam, że to nieprawda. Kenny uprzedzał, żeby spodziewać się czarnych świec, i miał rację. Zebrali się tam, by osądzać ludzi.

- W których wykładach profesor Devane uczestniczyłaś?

- O rolach społecznych w zależności od płci i stopnia rozwoju społeczeństwa. Nie byłam na nie zapisana, ale chodzili tam moi znajomi. W akademiku wciąż opowiadali, jakie są wspaniałe. Chwalili się, ile dowiedzieli się o wpływie płci na ludzkie zachowanie. W któryś wtorek miałam wolne, więc i ja poszłam.

- Czy profesor Devane była dobrym nauczycielem?

- Fantastycznym. Przykuwała uwagę wszystkich. Wykład odbywał się w Morton Hall 100. To ogromne pomieszczenie, na sześćset osób. Ale ona prowadziła wykład tak, że miałam wrażenie, iż mówi tylko do mnie. Wierzcie mi, panowie, to wyjątkowe, szczególnie na pierwszym roku. Większość wykładowców unika zajęć z pierwszorocznikami.

- Potrafiła personifikować rzeczy - podsunąłem. - Dokładnie jak robiła to w telewizji.

- Zgadza się. Poza tym doskonale wiedziała, o czym chce mówić. Naprawdę była wspaniałym wykładowcą.

- I byłaś na jej zajęciach dwa, trzy razy? - zapytał Milo.

- Tak.

- A jak doszło do złożenia skargi na Kenny'ego?

- To, co się stało... do tego incydentu doszło w poniedziałek wieczorem. Podczas wtorkowego wykładu nadal byłam mocno poruszona. - Zwilżyła usta językiem. - Profesor Devane

omawiała temat agresji i ja zaczęłam czuć się jak ofiara. To była jedna z tych głupich rzeczy, jakie robi się pod wpływem nagłego impulsu i stresu. Podeszłam do niej po wykładzie i powiedziałam, że mam problem. Zaprowadziła mnie do swojego biura i słuchała. Zrobiła mi herbatę. Zaczęłam płakać, a ona dała mi chusteczkę. Kiedy już trochę się uspokoiłam, oświadczyła, że jest w stanie mi pomóc. To wtedy wytłumaczyła, jaki przebieg będzie miało spotkanie tej komisji.

- Postaraj się opowiedzieć, co dokładnie o nim wówczas powiedziała.

- Że to całkiem nowa instytucja. Bardzo ważna dla wszystkich dziewcząt z miasteczka akademickiego, bo broniąca ich praw. Zapewniła, że mogę odegrać bardzo ważną rolę w walce z bezradnością kobiet.

Zerknęła na swoją torbę.

- Wciąż miałam wątpliwości, ale ona była taka przekonująca, taka pewna siebie. Mogę już wziąć torbę?

- Nie martw się o nią. A więc masz wrażenie, że cię zdradziła?

- Nie, nie mogę nazwać tego rozmyślną zdradą. Może po prostu słyszałam to, co chciałam, bo byłam w takim, a nie innym stanie psychicznym.

- Ale przecież miałaś powód, Cindy - rzekłam. - Samotna wędrownica w nocy do kampusu musiała być nieprzyjemna.

- Bardzo. Bałam się. Tyle się słyszy różnych opowieści...

- O przestępstwach?

Pokiwała głową.

- Wokół kręci się mnóstwo wariatów. Weźmy przykład profesor Devane!

- Sądysz, że zabił ją jakiś wariat?

- Nie wiem, ale znajoma z akademika pisze pracę dyplomową i szukała jakichś materiałów w naszym komisariacie. Dowiedziała się przy okazji, że zdarzyło się wiele gwałtów i ich usiłowań, o których opinia publiczna nigdy się nie dowiedziała. A kiedy wracałam, było ciemno choć oko wykol.

- Rzeczywiście to nic przyjemnego.

Nagle przycisnęła dłonie do twarzy i zaczęła płakać.

Milo zakłopotany przekładał jej torebkę z ręki do ręki.

- Przepraszam - szepnęła po dłuższej chwili, ocierając oczy.

- Nie ma za co.

- Proszę mi wierzyć, jest. Może w jakimś stopniu przyczyniła się do tego ta nasza rozmowa. Studia są trudne nawet bez tego gów... bez tego zamieszania. Znów wytarła oczy. - Przepraszam za język. Nigdy nie wyobrażałam sobie, że będę znać kogoś, kto zostanie zamordowany.

Milo sięgnął do kieszeni i wyjął chusteczkę. Czyżby był przygotowany na to, że dziewczyna się rozplacze?

Przyjęła ją, złożyła i już spokojniejsza rozejrzała się po parkingu.

- Mogę już iść? O drugiej mam zajęcia, i to aż w północnej części kampusu, a mój rower stoi na Gayley.

- Oczywiście, jeszcze tylko chwilę. Co sądzisz o pozostałych osobach zasiadających w komisji?

- Nie rozumiem.

- Oni także zachowywali się jak inkwizytorzy?

- On tak... ten student... Zapomniałam, jak się nazywa.

- Casey Locking.

- Chyba tak. Był nastawiony wyraźnie tendencyjnie.

- Jak to?

- Wyrażał się jak feminista... Zapewne chciał się przypochlebić profesor Devane. Sprawiał wrażenie kogoś, kto stara się dowieść, jak jest aseksualny, naskakując na innych facetów.

Uśmiechnęła się.

- O co chodzi, Cindy?

- Zabawne jest to, że kiedy on i Kenny zaczęli się sprzeczać, robili to w typowo męski sposób. Locking w niczym mu nie ustępował. Był agresywny i zadziorny. Widocznie pewnych nawyków już nie da się zmienić. Może po prostu powinniśmy nauczyć się żyć ze sobą tacy, jacy jesteśmy.

- Jeśli tylko ten silniejszy nie stara się zdominować słabszego - zauważył Milo.

- To prawda. Nikt nie powinien popierać wyżywania się na innych.

- Tyle tylko, że profesor Devane w końcu sama stała się ofiarą.

Popatrzyła na niego uważnie. Wilgotna strużka błyszczała pod jej okiem.

- Wiem. To straszne. Ale co ja mogą zrobić?

- Dokładnie to, co robisz teraz, Cindy. A jak oceniasz tę drugą kobietę, profesor Steinberger?

- Ona była w porządku. Mówiła niewiele. Widać było, że całe to przedstawienie reżyseruje wyłącznie profesor Devane. Odniosłam wrażenie, że jej postępowaniem kierowały jakieś względy osobiste.

- Dlaczego?

- Bo wtedy, kiedy powiedziałam, że chcę zapomnieć o całej sprawie, oświadczyła, że nie powinnam się wycofywać, a ona gwarantuje mi wsparcie. A gdy odmówiłam, natychmiast stała się

w stosunku do mnie chłodna. Jakbym ją zawiodła. Czułam się tak okropnie, że chciałam jak najszybciej uciec i być zupełnie sama.

- Czy miałaś z nią jeszcze później jakieś kontakty?

- Raz zadzwoniła do mnie do akademika. Znow była miła i chciała dowiedzieć się, jak sobie radzę. zaproponowała także, że prześle mi wykaz książek, które mogą mi być pomocne w sytuacji, w jakiej się znalazłam.

- Feministyczne?

- Chyba tak, chociaż słuchałam jej jednym uchem. I nie starałam się przedłużać rozmowy.

- Dlatego, że przestałaś jej ufać?

- Może nawet nie to. Była wyraźnie opiekuńcza, ale ja miałam już tego wszystkiego dość.

- A co z Kennym?

- Co z nim?

- Czy i do niego zatelefonowała?

- Nic o tym nie wiem. Nie, na pewno nie, bo Kenny powiedziałby mi. On... urwała.

- Co, Cindy?

- Nic.

- Co zamierzałaś powiedzieć?

- Nic. Tylko tyle, że nic nie mówił, by do niego zadzwoniła.

- Czy chciałaś może powiedzieć, że Kenny jej nienawidził?

Odwróciła wzrok.

- Jeśli znacie przebieg obrad komisji, chyba łatwo się tego domyślić. Z pewnością nie darzył jej nawet odrobiną sympatii. Powiedział, że była... manipulantką. I radykalną feministką. Kenny ma dość konserwatywne poglądy polityczne. I nie winie go za to, że może czuć się dyskryminowany. Już wcześniej miał kłopoty na uczelni i myślał o przenosinach. Ta sprawa była kroplą, która przelała czarę goryczy.

- Czy winił doktor Devane za konieczność opuszczenia uczelni?

- Nie, był ogólnie załamany.

- Był zły na wszystkich? - zapytałem. - A może obarczał kogoś szczególną winą?

Popatrzyła na mnie wyraźnie zaniepokojona.

- Wiem, do czego pan zmierza, ale to niedorzeczne. On nie byłby w stanie jej tknąć. Nie Kenny. Nie było go nawet w Los Angeles tego wieczora, gdy miało miejsce zabójstwo. Z wyjątkiem weekendów jest przez cały czas w San Diego. Ciężko pracuje, żeby uporządkować swoje życie... Przecież ma dopiero dziewiętnaście lat.

- Przyjeżdża na każdy weekend? - zapytał Milo.

- Nie na każdy, ale prawie. A ona zginęła w poniedziałek. W poniedziałki Kenny'ego nigdy już tu nie ma.

Milo popatrzył na dziewczynę i uśmiechnął się.

- Wygląda na to, że sporo myślałaś o jego alibi.

- Dopiero gdy pan zadzwonił. Oboje byliśmy zaskoczeni informacją, że policja dowiedziała się o komisji. Nie mogliśmy wprost w to uwierzyć. Wiadomo, system. Gdy wpadnie się w jego macki, łatwo o nadużycia. Przecież to absurdalne, że ktoś może właśnie nas skojarzyć z tym, co się zdarzyło. Tak naprawdę jesteśmy tylko podrośniętymi dziećmi. Z policją miałam do czynienia tylko raz, w szkole, gdy policjant uczył nas, jak powinniśmy zachowywać się na drodze 72 i w jej pobliżu. - Uśmiechnęła się. - Miał papugę. Taką tresowaną, która potrafiła mówić. Na przykład: „Stój, jesteś aresztowany!” albo „Masz prawo milczeć”. Naprawdę sama mogę ponieść tę torbę.

Milo wręczył dziewczynie jej własność.

- Muszę o tym jak najszybciej zapomnieć, detektywie Sturgis. Powinnam skoncentrować się na nauce, bo mama bardzo się dla mnie poświęca. To dlatego nie poszłam na prywatną uczelnię. Proszę więc...

- Oczywiście, Cindy. Dziękujemy i przepraszamy, że zajęliśmy ci czas. Wręczył jej wizytówkę.

- Rabunki i zabójstwa - odczytała i wstrząsnął nią dreszcz. - Po co to?

- Na wypadek gdybyś sobie coś przypomniała.

- Na pewno nie. - Znów się skrzywiła i wyglądało na to, że się rozpłacze. Wreszcie szepnęła „dziękuję” i odeszła.

- Milutkie dziewczątko - rzekł Milo. - Chciałoby się dać jej ciepłego mleczka, cukierka i obiecać, że wkrótce znajdzie swojego księcia z bajki.

- Ona sądzi, że już go znalazła.

Pokręcił głową.

- Nie uważasz, że obarcza się winą za to, co się zdarzyło?

- Nawet bardzo. Dręczy ją zajście z Kennym Stormem, a później ta skarga.

- Storm. Taka mądra dziewczyna jak ona wiąże się z kimś tak przeciętnym. Skąd to się bierze? Tak niska samoocena?

- Co, czyżby teraz bardziej zainteresował cię ten chłopak?

- Dlaczego?

- Jego kariera akademicka nie przebiegała jak należy. Wszystko wskazuje na to, że nie dostał pieniędzy obiecanych na kontynuację nauki. Czyli ma powody do rozżalenia, gniewu, a może i zemsty.

- I dlatego jest gotowa kłamać, na wszelki wypadek kryjąc go. A jeśli wbrew temu co mówi, chłopak częściej odwiedza Los Angeles?

- Mógł pożyczyć rower od Cindy - podsunąłem. - Albo ma własny.

- Ani on, ani jego ojciec nie odpowiadają na telefony... Podobno sprzedaje nieruchomości w La Jolla. Dość łatwo będzie ustalić, w której firmie, i sprawdzić jego alibi.

Popatrzył gdzieś w górę.

- Mała Cindy. Wygląda na czternastolatka, ale w rozmowie sprawia wrażenie dorosłej. Ale tamta dziewczyna, która rzuciła swoje dziecko psom na pożarcie, także robi wrażenie bardzo sympatycznej.

Wyjechaliśmy z miasteczka uniwersyteckiego, przecinając Sorority Row.

Wokół kręciło się mnóstwo studentów. Koleczaste czubki kaktusów w ogrodzie botanicznym wystawały ponad żelazne ogrodzenie niczym dodatkowa przeszkoda.

- Zaczyna rysować się coraz wyraźniejszy obraz Hope - powiedziałem. Błyskotliwa, charyzmatyczna, potrafiąca postępować z ludźmi. Ale jednocześnie skłonna do manipulowania nimi dla osiągnięcia własnych celów i z tego, co mówiła Cindy, szybko wcielając się w czasem krańcowo różne postacie.

Roześmiana para, nie starsza od Kenny'ego i Cindy, przebiegła przez ulicę, spleciona w czułym uścisku. Milo musiał ostro przyhamować. Tamci nawet tego nie zauważyli, nieświadomi, co się wokół nich dzieje.

- Ach, ta miłość - mruknąłem filozoficznie.

- Albo zbyt wiele czasu spędzonego ze słuchawkami na uszach i przy grach wideo. W porządku, podrzucę cię do domu.

- Może zostawisz mnie tutaj. Spróbuję znaleźć profesor Steinberger i porozmawiać z nią?

- Tą spokojną?

- Czasami właśnie tacy mają najwięcej do powiedzenia.

- Dobra.

Zjechał na pobocze nieopodal przystanku. Dwie dziewczyny o hiszpańskiej urodzie siedziały na ławeczce. Przez chwilę przyglądały się nam z zainteresowaniem.

- Sam wrócisz do domu?

- Jasne, to tylko parę kilometrów.

- Słuchaj, jeśli masz trochę czasu i ochoty, mógłbyś porozmawiać także z innymi studentami, którzy mieli styczność z komisją. Może nie wystraszysz ich tak, jak ja Cindy.

- Wydawało mi się, że całkiem dobrze sobie z nią radziłeś.

Zmarszczył czoło.

- Może powinienem wozić ze sobą tresowaną papugę. No i co powiesz na te spotkania ze studentami?

- Jak mam ich znaleźć?

Sięgnął na tylne siedzenie po teczkę. Położył ją sobie na kolanach, wyciągnął jakąś kartkę i wręczył mi.

Skserowane identyfikatory kilku studentów i rozkłady ich zajęć. Reprodukcje bardzo marnej jakości. Cindy Vespucci była na nich brunetką. Kenneth Storm miał pełną twarz, krótkie włosy i smutne usta. Nic więcej nie dawało się o nim powiedzieć.

Złożyłem kartkę i wsunąłem do kieszeni.

- Obowiązują mnie jakieś zasady? Jak mam się przedstawiać?

- Wydaje mi się, że najlepiej będzie robić to zgodnie z prawdą. Ale staraj się zachęcić ich do mówienia. Do ciebie, jako kogoś przypominającego im nauczycieli, będą się zapewni lepiej odnosić.

- No nie wiem. Przecież okazuje się, że to właśnie nauczyciele zawodzą ich najczęściej.

Wysoki biały budynek wydziału psychologii znajdował się na skraju kompleksu uczelnianego. Może nie przez przypadek. Tuż obok stał ceglany sześcian wydziału chemii.

Dawno już nie widziałem tych budynków. Po raz ostatni byłem tu na kursie psychopatologii zorganizowanym w wypożyczonych salach. Kiedyś, gdy sam studiowałem, psychologia stanowiła najpopularniejszy wydział i na każdych zajęciach był nadmiar słuchaczy. Dwadzieścia lat później dominującym motywem postępowania młodzieży stała się obawa, co przyniesie przyszłość, więc najbardziej popularne były teraz kierunki ekonomiczne.

W gmachu wydziału chemii wciąż dominował znajomy odór kwasu octowego, a ściany miały zgniłozieloną barwę. Nikogo nie było widać, ale zza drzwi z napisem laboratorium dochodziły jakieś hałasy.

W spisie znalazłem nazwiska dwojga Steinbergerów - Geralda i Julii - mających swe gabinety na drugim piętrze. Wspiąłem się po schodach i stanąłem przed drzwiami pokoju Julii Steinberger.

Były otwarte. Pani profesor sama siedziała przy biurku i przy cicho grającym radiu oceniała testy. Była sympatycznie wyglądającą kobietą po trzydziestce, ubraną w czarny sweter wycięty w szpic, białą bluzkę i szare spodnie. Jedyłą biżuterię stanowił oryginalny naszyjnik ze srebra i bursztynu. Miała kanciaste ramiona, poważną, owalną twarz zakończoną spiczastym podbródkiem, wąskie wargi pomalowane na różowo i lśniące ciemne włosy do ramion, z grzywką kończącą się tuż nad kształtnymi brwiami. Gdy podniosła na mnie wzrok, zobaczyłem szare, pogodne oczy. Naprawdę piękne.

Postawiła ocenę i odłożyła test na bok.

- Tak?

Przedstawiłem się, wkładając wiele starań, by mój głos brzmiał spokojnie i pewnie, po czym przeszedłem do sprawy Hope Devane.

- Och. - Była wyraźnie zaskoczona. - Mogę zobaczyć jakiś pański dokument, identyfikator?

- Miły głos, akcent z Chicago.

Pokazałem odznakę. Długo studiowała moje nazwisko.

- Proszę - rzekła, zwracając odznakę i wskazując krzesło.

Pokój był ciasny, lecz pachniało w nim przyjemnie, a surowość standardowego wyposażenia tonowały makatki i lalki siedzące między książkami. Radio stało na parapecie za jej plecami, obok jakiejś roślinki.

Na biurku piętrzyła się cała sarta testów. Ten który właśnie odłożyła, aż roił się od uwag i znaków zapytania. Postawiła B-. Gdy zauważyła, że przyglądam się pracy, zasłoniła ją notatnikiem. W tym momencie zadzwonił telefon.

- Cześć - powiedziała do słuchawki. - Może nie teraz. - Spojrzała na mnie. Za jakiś kwadrans. Przyjdę do ciebie. - Ładny uśmiech. Rumieniec. - Ja też.

Odłożyła słuchawkę, odsunęła się nieco od biurka, składając dłonie na kolanach.

- Mój mąż także tu pracuje, na uczelni. Zazwyczaj wspólnie jemy lunch wyjaśniła.

- Jeśli pora nie jest stosowna...

- Nie, mówi, że ma parę spraw do załatwienia, a nasza rozmowa nie powinna przecież długo potrwać. A więc proszę bardzo, zaczynamy. Wcześniej ja muszę zadać jednak pewne pytanie. Jest pan pracownikiem naukowym, a jednocześnie współdziała z policją w sprawie Hope Devane?

- Jestem zatrudniony w akademii medycznej. Pracuję też w sądzie, a czasami policja zwraca się do mnie o pomoc i występuję wówczas w roli konsultanta. Morderstwo Hope Devane właściwie kwalifikuje się do umorzenia. Żadnych poszlak, a przyjmujący sprawę nowy detektyw rozpoczyna prawie od zera. Ja staram się tylko pomóc, choć tutaj czuję się persona non grata.

- Ze względu na pracę na innej uczelni? - zapytała rozbawiona.

- Tutaj zrobiłem doktorat, więc można mnie nazwać zdrajcą.

- Jak radzi pan sobie z rozgrywkami footballowymi?

- Na wszelki wypadek po prostu się nimi nie interesuję.

Roześmiała się.

- To tak jak ja. Gerry, mój mąż, odkąd tu przyjechaliśmy, stał się natomiast fanatykiem rozgrywek. Wcześniej pracowaliśmy na Uniwersytecie Chicago, gdzie nie przykładano takiej wagi do sportu. W każdym razie to dobrze, że policja wciąż interesuje się zabójstwem Hope. Sądziłam, że już się poddali.

- Dlaczego?

- Bo po tygodniu cała sprawa zupełnie ucichła. Czy nie jest tak, że im dłużej ciągnie się dochodzenie, tym mniejsze są szanse na wykrycie sprawcy?

- Z reguły tak.

- A jak nazywa się ten nowy detektyw?

Wymieniłem nazwisko Milo, a ona zapisała je sobie.

- Czy fakt, że skierował tu pana niejako w zastępstwie, ma jakieś znaczenie?

- To połączenie strategii działania i konieczności pośpiechu - odparłem. Ten detektyw pracuje indywidualnie i uważa, że nie nadaje się, niestety, do rozmów z kadrą uczelnianą.

- A to czemu?

- Traktują go, jakby był neandertalczykiem.

- Mają rację?

- Ależ skąd.

- No cóż, wydaje mi się, że jako grupa rzeczywiście jesteśmy mało tolerancyjni... choć właściwie nie stanowimy szczególnie zwartej społeczności. Większość z nas nie ma ze sobą nic wspólnego, poza cierpliwością do pracy z młodzieżą. Hope i ja stanowiłyśmy modelowy wprost przykład braku zbieżnych cech, więc nie sądzę, by moja pomoc na coś się zdała.

- Znała pani na tyle dobrze, że została pani zaproszona do uczestnictwa w Komisji Stosunków Interpersonalnych.

Odłożyła pióro na blat biurka.

- Komisja. Domyślałam się, że o nią chodzi. Jeśli mowa o naszych wzajemnych stosunkach, to rozmawiałyśmy kilkakrotnie, zanim zostałam w to wciągnięta, ale z pewnością nie byłyśmy przyjaciółkami. Co policja wie o komisji?

- Zna jej historię oraz to, że została rozwiązana. Dysponuje także kopiami protokołów z trzech posiedzeń. Zwróciłem uwagę, że w tym trzecim już pani nie uczestniczyła.

- Dlatego, że się wycofałam. Teraz to oczywiste, że całe przedsięwzięcie było błędem, ale dojście do takiego wniosku wymagało nieco czasu.

- Błędem w jakim sensie?

- Wydaje mi się, że motywy Hope były szczerze, ale wyprowadziły ją... na manowce. Sądziłam, że będę uczestniczyć w próbie likwidowania, a nie nawarstwiania problemów.

- Czy przekazała jej pani te opinie?

Zacisnęła usta i popatrzyła w sufit.

- Nie. Hope miała zbyt złożoną osobowość.

- Nie posłuchałaby pani?

- Sama nie wiem. To było... Nie chciałabym źle mówić o nieżyjących. Powiedzmy tylko, że odznaczała się niezwykle silną osobowością.

- Była obsesjonistką?

- Jeżeli chodzi o niewłaściwe traktowanie kobiet, na pewno. Chociaż akurat to specjalnie mi nie przeszkadzało.

Sięgnęła po pióro i obracała je w palcach.

- Czasami pasja blokuje przyjmowanie informacji niezgodnych z naszymi oczekiwaniami. Sama zastanawiam się, choć to raczej pańska domena, czy osobiste przeżycia nie skłoniły jej do poświęcenia się takiej, a nie innej problematyce.

A miała być cicha i spokojna.

- Czy to refleksje wywołane aż takim jej zaangażowaniem?

Poruszyła się niespokojnie, przygryzła wargę i pokiwała głową.

- Muszę przyznać, że czuję się nieswojo, wygłaszając te sugestie. Nie chciałabym pomniejszać znaczenia jej zaangażowania w sprawy społeczne i sprowadzać go do osobistego wymiaru. Jestem chemikiem, więc chyba nie ma dziedziny naukowej mniej związanej z psychoanalizą.

Przejechała na fotelu na kółkach, aż jej głowa znalazła się zaledwie o kilka centymetrów od jednej z półek. Tuż obok prawego ucha zwieszały się brązowe nogi szmacianej lalki. Sięgnęła po nią, posadziła sobie na kolanach i bawiła się jej długimi, czarnymi włosami.

- Musi pan wiedzieć, że miałam o niej wysokie mniemanie. Była niezwykle inteligentna i głęboko wierzyła w swoje poglądy. Może powinnam wyjaśnić, jak w ogóle trafiłam do komisji. Bo z pewnością i tak mi pan tego nie daruje.

- Będę wdzięczny.

Odetchnęła głęboko i pogładziła lalkę.

- Jeszcze w szkole średniej pracowałam jako ochotniczka w przytułku dla prześladowanych kobiet w Chicago. Robiłam to, by uzyskać dodatkowe punkty do szkoły medycznej, ale także dlatego, że oboje rodzice są lekarzami i liberałami, którzy nauczyli mnie pomagać potrzebującym. Sądziłam, iż dowiedziałam się już wszystkiego o życiu przy naszym stole jadalnym, ale dopiero przytułek otworzył mi oczy na okropności tego świata. Mówiąc krótko, byłam przerażona. To stało się jednym z powodów, dla których zrezygnowałam z medycyny.

Jej palce nerwowo przeczesywała włosy lalki.

- Kobiety, z którymi pracowałam, te, które zdołały pokonać strach przed odmową mężczyźni i w pełni rozumiały, co się z nimi działo, miały w oczach to samo, co czasami dało się zauważyć u Hope. Po części cierpienie, po części wściekłość... nazwałabym to dzikością. W przypadku Hope stanowiło to ogromny kontrast z jej zwykłym zachowaniem.

- Czyli?

- Spokojem i opanowaniem. Wprost niewiarygodnym.

- Potrafiła sprawować kontrolę nad otoczeniem?

- Tak. Była przywódczynią o wielkiej sile oddziaływania. Ale gdy rozmawialiśmy o molestowaniu i wykorzystywaniu kobiet, w jej oczach pojawiała się to coś. Nie zawsze, ale na tyle często, by przypominać mi o kobietach z przytułku. - Zmusiła się do uśmiechu. - Bez wątplenia nadinterpretuję pewne fakty...

- Czy zaprosiła panią do współpracy właśnie ze względu na doświadczenia z przytułku?

Pokiwała głową.

- Poznałyśmy się na herbatce dla kadry. Jednym z tych okropnych spotkań na początku każdego roku akademickiego, na których wszyscy udają, że się znają. Geny odłączył się akurat ode mnie i wdał w jakąś dyskusję o sporcie, gdy zbliżyła się do mnie Hope. Ona także była sama.

- Bez męża?

- Tak. Powiedziała, że on nigdy nie chce przychodzić z nią na takie imprezy. Z pewnością wcześniej nie miała okazji mnie widzieć, bo dopiero co rozpoczęłam pracę. Nie wiedziałam, kim jest, ale zwróciłam na nią uwagę. Za sprawą jej wyglądu. Droga garsonka, szycowna biżuteria, wspaniały makijaż. Jak dziewczyny, które znałam z Lake Forest - dziedziczki okazałych fortun. W miasteczku akademickim nie widuje się często takich osób. Zaczęłyśmy rozmawiać i wspominałam coś na temat przytułku.

Poruszyła się gwałtownie, aż trąciła lalkę, której głowa bezwładnie opadła do przodu.

- To aż dziwne, że przez tyle lat nie wspominałam o swej pracy w przytułku. - Uśmiechnęła się. - A jak pan widzi, nie mam problemu z mówieniem o trudnych sprawach. Wtedy byłam jednak na przyjęciu, z obcą osobą i mówiłam o rzeczach, o których starałam się zapomnieć. Mówiąc szczerze, musiałam ukryć się w kącie i wytrzeć łzy. Gdy wspominam tę sytuację, wydaje mi się, że to Hope skłoniła mnie do wynurzeń.

- W jaki sposób?

- Umiejąc słuchać. Wy nazywacie to chyba aktywnym słuchaniem. - Znow się uśmiechnęła.

- Właśnie tak postępuje pan obecnie. Ja również zdobyłam tę umiejętność, pracując w przytułku. Chyba każdy może pojąć, w czym rzecz, ale niewielu jest mistrzów.

- Jak Hope?

Roześmiała się.

- Proszę, co pan robi: odbija piłkę w moją stronę. Zazwyczaj to działa, prawda?

Roześmiałem się i pogładziłem dłonią policzek.

- Cieszę się, że zdaje sobie pani z tego sprawę.

Z uśmiechem wstała i zamknęła wciąż otwarte drzwi. Była zgrabna i wyższa niż sądziłem. Miała metr siedemdziesiąt pięć, z czego większość stanowiły nogi.

- To prawda - przyznała, siadając i zakładając nogę na nogę. - Była wspaniałą słuchaczką. Potrafiła... się zaangażować. Ale jednocześnie nie była namolna. To dlatego właśnie przy niej rozmówca czuł się najważniejszą osobą na świecie.

- Charyzma i sprzyjający zwierzoniom rodzaj zaangażowania.

- Tak. Jak jakiś prorok.

Rozplotła nogi.

- To musi brzmieć dość dziwacznie. Najpierw powiedziałam, że jej nie znałam, a później zachowuję się tak, jakby było inaczej. Ale wszystko, co mówię, to wyłącznie moje odczucia. Nigdy nie zbliżyłyśmy się do siebie, chociaż na początku sądziłam, że ona szuka przyjaciółki.

- Dlaczego?

- Dzień po tym spotkaniu zadzwoniła, powiedziała, że bardzo przypadłam jej do gustu, i zapytała, czy możemy umówić się na kawę. Miałam mieszane uczucia. Darzyłam ją sympatią, ale nie miałam ochoty znów wspominać przytułku. Ale zgodziłam się. Postanowiłam tylko unikać tego tematu. - Lalka zadrżała w jej dłoni. - To wprost niewiarygodne, ale sama znów zaczęłam mówić o tym miejscu. O najgorszych przypadkach, o kobietach nie mających własnego życia, które na co dzień stykały się z brutalnością mężów. To wtedy po raz pierwszy w jej oczach zobaczyłam tę dzikość.

Popatrzyła na lalkę i odłożyła ją na półkę.

- Wszystko to z pewnością w niczym panu nie pomoże.

- Ależ wprost przeciwnie.

- A w jaki sposób pan to wykorzysta?

- To rzuca mi światło na jej osobowość - odpowiedziałem. - Teraz pozostaje skupić się właśnie na tym.

- A więc zakłada pan, że jej osobowość miała jakiś związek z morderstwem.

- A pani tak nie uważa?

- Nie mam pojęcia. Kiedy usłyszałam, że została zamordowana, pierwszą moją myślą było, iż przyczyniły się do tego jej poglądy, które rozdrażniły jakiegoś psychopata.

- Kogoś obcego?

Popatrzyła na mnie uważnie.

- Chyba nie sugeruje pan, że zabójstwo miało jakiś związek z komisją?

- Nie mamy wystarczającej ilości informacji, ale czy nie sądzi pani, że to możliwe?

- Powiedziałabym, że to raczej nieprawdopodobne, przecież to były jeszcze dzieci.

- Zostali potraktowani bardzo ostro. Szczególnie ten Storm.

- Tak, ten rzeczywiście miał temperament. I niewyparzoną gębę. Ale suchy zapis może być zwodniczy i przedstawić go w świetle gorszym niż w rzeczywistości.

- Co ma pani na myśli?

Zamyśliła się.

- Był... Zdziorny, ale nie groźny. Dzieciak, któremu wydaje się, że pozjadał wszystkie rozumy. Nie wyobrażam sobie, żeby ktoś taki mógł być sprawcą popełnionego z premedytacją zabójstwa. Ale przecież sama nie mam dzieci, więc co mogę wiedzieć na ten temat?

- Kiedy Hope zapraszała panią do komisji, jak opisała swoją działalność?

- Przede wszystkim zapewniła mnie, że nie będę musiała poświęcać temu zbyt wiele czasu. Mówiła, że funkcjonowanie komisji ma na razie tymczasowy charakter, ale jest silnie popierane przez administrację, więc stanie się ona oficjalnym organem. Co, oczywiście, nie było prawdą. Właściwie dała do zrozumienia, że to władze uczelniane poprosiły ją o stworzenie tej instytucji. Oświadczyła, że zajmiemy się oskarżeniami nie kwalifikującymi się do rozpatrzenia przez sąd, a naszym celem będzie, jak to określiła, prewencja.

- Wczesne ujawnianie i likwidowanie problemów?

- Wczesne ujawnianie i zapobieganie sytuacjom, z jakimi zatknęłam się w przytułku. - Pokręciła głową. - Wiedziała, jaką strunę poruszyć.

- A więc wprowadziła panią w błąd?

- O tak przyznała ze smutkiem. - Sądzę, że zdawała sobie sprawę, iż nic nie zdziała, będąc ze mną do końca szczerą. Bo chyba tak by było. Muszę przyznać, że nie odpowiada mi rola sędziego.

- Z odbitek dokumentów wynika, że trzeci członek komisji, Casey Locking, nie miał takich obiekcji.

- Tak, był nastawiony... entuzjastycznie. Doktryner. Może to nie całkiem jego wina. Na ile otwarty może być student w kontaktach z nauczycielem? Władza to władza.

- Czy Hope tłumaczyła, dlaczego właśnie jego wybrała?

- Nie. Powiedziała tylko, że w naszym gronie powinien znaleźć się także mężczyzna. Żeby uniknąć stwarzania wrażenia wojny płci.

- A jak zareagowała, kiedy pani zgłosiła swoją rezygnację?

- Nie zareagowała.

- Wcale?

- Wcale. Zatelefonowałam do jej biura i zostawiłam wiadomość na automatycznej sekretarce. Wyjaśniłam, że nie czuję się dobrze w powierzonej mi roli, ale dziękuję za zaufanie. Nigdy nie odpowiedziała na ten telefon. I od tego czasu nie zamieniłyśmy ani słowa. Uznałam, że

jest na mnie zła... A teraz ją osądzamy. Dręczy mnie to, bo, bez względu na sposób postępowania, wierzę, że kierowały nią dobre intencje, i to, co ją spotkało, było okropne.

Wstała i podeszła do wejścia.

- Przepraszam, ale nie mogę już z panem rozmawiać. - Przekręciła gałkę i otworzyła drzwi. Jej szare oczy patrzyły na mnie spod w półprzymkniętych powiek.

- Dziękuję za poświęcony mi czas - powiedziałem, kłaniając się lekko. Przepraszam, że było to dla pani tak nieprzyjemne.

- To chyba konieczność... Cała sprawa jest przygnębiająca. Taka strata. Nie twierdzę, że życie różnych ludzi ma różną wartość, ale Hope sprawiała wrażenie... miała coś w sobie. Szczególnie, jeśli rzeczywiście się nie mylę, że ona także sporo wycierpiała. Bo znaczyłoby to, iż udało się jej na tyle zahartować, aby pomagać innym.

Znów przygryzła wargę.

- Naprawdę była silna. Nigdy wcześniej nie przeszłoby mi przez myśl, że stanie się ofiarą.

Kiedy wyszedłem, była dokładnie druga po południu.

Rozmyślałem nad sposobem, w jaki Hope wycisnęła z Julii Steinberger łzy rozdrapując jej stare, bolesne wspomnienia.

Idealna słuchaczka. Cindy Vespucci powiedziała to samo.

Ale jednocześnie nie potraktowała łagodnie Kenny'ego Storma ani dwóch innych osądzanych studentów.

Czyżby potrafiła tak umiejętnie oddziaływać na kobiety, a mężczyzn stawiała na z góry przegranej pozycji?

Zapewne to właśnie mężczyzna dokonał na niej egzekucji. Tak w tym momencie pomyślałem o zabójstwie. Jako o egzekucji.

Ale kim był ów mężczyzna?

Stale pomiatany mąż, przyparty do muru? A może zupełnie obcy szaleniec?

Albo ktoś tkwiący pomiędzy tymi dwiema skrajnościami.

Usiadłem przy kamiennym stole przed budynkiem i zajrzałem do otrzymanego od Milo rozkładu zajęć.

Wynikało z niego, że Patrick Huang ma właśnie wykład z termodynamiki, Deborah Brittain zmagala się z matematyką dla humanistów, a Reed Muscadine słuchacz studiów podyplomowych wydziału aktorskiego - uczestniczył w czymś określonym jako seminarium odtwórcze 201B w MacManus Hall, prawie kilometr stąd, w pomocnej części kampusu. Na szczęście Tessa Bowlby za kwadrans kończyła wykład z „psychologii percepcji”, odbywający się w budynku wydziału psychologicznego.

Przyjrzałem się uważnie zdjęciu młodej kobiety, która oskarżyła Reeda Muscadine o gwałt podczas pierwszej randki. Bardzo krótkie ciemne włosy i twarz z nieproporcjonalnie małą dolną szczęką. Nawet biorąc poprawkę na marną jakość odbitki, wyglądała niezbyt ponętnie.

Oczy z wiszącymi pod nimi workami zdawały się należeć do znacznie starszej osoby.

Ale nie miało na to żadnego wpływu zajście z Muscadine'em. Fotografia została zrobiona na początku roku akademickiego, wiele miesięcy przed tym zdarzeniem. W pośpiechu kupiłem sobie kawę z automatu i pospieszyłem na wydział psychologii, by się z nią spotkać.

Zajęcia dobiegły końca pięć minut wcześniej, niż przewidywano, i studenci wyleli się z auli niczym spieniona woda. Bez trudu zauważyłem dziewczynę. Samotnie szła ku wyjściu, ściskając drelichową torbę pełną książek. Zatrzymała się gwałtownie, gdy zwróciłem się do niej:

- Panna Bowlby?

Jej ramię opadło, jakby torba nagle stała się dużo cięższa. Mimo niewyraźnie zarysowanego podbródka i kilku pryszczycy, dzięki niezwykle jasnej skórze i wyjątkowo błękitnym oczom można ją było uznać za dość atrakcyjną. Włosy miała ufarbowane na czarno i przycięte nierówno - z premedytacją bądź przez nieuwagę. Nos mocno zaróżowiony, jakby cierpiała z powodu alergii lub kataru. Była ubrana w porozciągany sweter reglanowy, z naderwanym rękawem, stare czarne dzinsy podarte na kolanach i skórzane podniszczone buty na grubych podszwach.

Wycofała się pod ścianę, by pozwolić przejść innym studentom. Pokazałem swój identyfikator i próbowałem się przedstawić.

- Nie - powiedziała i zamachała wąską dłonią. - Proszę - wycharczała. Jej wzrok powędrował w stronę wyjścia ewakuacyjnego.

- Panno Bowlby...

- Nie! - rzuciła głośniejszym głosem. - Proszę mnie zostawić. Nie mam nic do powiedzenia!

Nagle biegiem ruszyła ku wyjściu. Przez chwilę stałem bez ruchu. Wreszcie podążyłem za nią i z daleka widziałem, jak wypadła przez główne wyjście, zbiegła po schodach i pognąła w stronę wyschniętej fontanny przed budynkiem. Strumień studentów mijał ją i rozlewał się po miasteczku uniwersyteckim niczym pracowita armia mrówek.

Biegła niezdarnie, z objającą nogi ciężką torbą. Szczupła, drobna postać tak wychudzona, że ubranie wisiało na niej jak na wieszaku.

Narkotyki? Stres? Anoreksja? Choroba?

Gdy zastanawiałem się nad tym, wmieszała się w tłum i zniknęła w nim.

Jej pośpiech... właściwie panika, sprawiły, że zapragnąłem porozmawiać z chłopakiem, którego oskarżyła.

Przypomniałem sobie szczegóły dotyczące tej sprawy: kino i kolacja, później ostry petting. Tessa twierdziła, że doszło do użycia przemocy. Muscadine, że współżyli ze sobą za obopólną zgodą.

Nie sposób było osądzić, które z nich kłamało, a które mówiło prawdę.

Zmuszenie go do poddania się testom na obecność wirusa HIV... Ona przebadala się wcześniej.

Jak dotąd w obu przypadkach wynik był negatywny.

Ale teraz Tessa była trupio biała, wychudzona i przemęczona.

Choroba rozwija się długo. Może odwróciło się od niej szczęście.

To mogło tłumaczyć tę panikę... choć z drugiej strony chodziła przecież na zajęcia.

Może Hope Devane podtrzymywała ją na duchu. Teraz, gdy jej zabrakło, a zdrowie zaczęło szwankować, utraciła panowanie nad sobą?

Testy przeprowadzono w studenckim centrum zdrowia. Zdobyć dane bez legalnie uzyskanej zgody z pewnością okazałoby się niemożliwe.

Postanowiłem, że muszę koniecznie bliżej zainteresować się Muscadine'em, ale seminarium aktorskie było zaplanowane na cztery godziny, bez przerwy. Upłynęły dopiero dwie.

Na razie więc spróbuję z innymi. Patrick Huang skończy zajęcia za trzydzieści minut, a wkrótce po nim Deborah Brittain. Wykład Huanga odbywał się nieopodal, w budynku wydziału inżynierskiego. Gdy ruszyłem w tamtą stronę, za moimi plecami rozległ się dźwięczny głos:

- Węszys pan po kampusie, detektywie?

Casey Locking stał kilka kroków za mną i wyglądał na rozbawionego. Jego długie włosy były starannie ułożone, miał na sobie ten sam długi, czarny, skórzany płaszcz, dżinsy i motocyklowe buty, w których widziałem go wcześniej. Pod płaszczem czarny podkoszulek. Sygnet z trupią czaszką nadal tkwił na palcu, choć sam mówił, że musi się go pozbyć.

Czaszka połyskiwała w słońcu, a jej jakby szyderczy uśmiech wydawał się niemal żywy.

W ręku trzymał papierosa, a na drugim ramieniu torbę z oliwkowej skóry, z wytłoczonymi złotymi inicjałami CDL. Zaciągnął się papierosem i wypuścił dym w górę.

- Nie jestem detektywem - wyjaśniłem spokojnym tonem.

Zamrugał, ale był to jedyny przejaw zaskoczenia.

Wszedłem kilka schodków wyżej, aby znaleźć się na jego poziomie i pokazałem odznakę konsultanta. Zaciśnął usta, gdy ją oglądał.

A więc Seacrest nie wyjaśnił mi, kim naprawdę jestem.

Czyżby zatem ich znajomość nie miała tak zażyłego charakteru, jak sądziliśmy?

- Doktorem czego? - zapytał.

- Psychologii.

- Naprawdę? - Strzepał popiół. - W policji?

- Czasami z nimi współpracuję.

- Co właściwie pan robi?

- To zależy od sprawy.

- Analizy miejsca zbrodni?

- Wszystko, co jest akurat potrzebne.

Moje wymijające odpowiedzi zdawały się go nie zrażać.

- Interesujące. Zaangażowano pana do sprawy Hope, bo też była psychologiem, czy też dlatego, że jest złożona z psychologicznego punktu widzenia?

- Z obu tych powodów.

- Policyjny psycholog. - Znów się zaciągnął. - Możliwości, o jakich nikt nigdy nam nie wspominał. Od jak dawna pan się tym zajmuje?

- Od kilku lat.

Z jego nozdrzy wydobył się biały dym.

- Szkoda, że tutaj mówi się tylko o sprawach związanych bezpośrednio z uczelnią. Sukces mierzy się liczbą wypromowanych przez siebie członków władz uczelni wybieranych w drodze elekcji. Dla miejscowych to najważniejsze. Tak wygląda tutejsza rzeczywistość, która z pewnością dość znacznie różni się od tej prezentowanej na zewnątrz. Czy uważa pan, że morderca Hope kiedykolwiek zostanie odnaleziony?

- Nie wiem. A pan?

- Nie wygląda to obiecująco - skwitował. - Szkoda... Czy ten potężny detektyw zajmuje się sprawą?

- Tak.

Zaciągnął się papierosem i poskrobał po brodzie.

- Policyjny psycholog. Mówiąc szczerze, bardzo podoba mi się taka praca. Zajmowanie się poważnymi problemami: zbrodnie, dewiacje, natura zła. Od czasu tego zabójstwa bardzo dużo myślałem o istocie i przejawach zła.

- I doszedł pan do jakichś konkretnych wniosków?

Pokręcił głową.

- Jako student nie mam prawa do własnych wniosków.

- Znalazł pan już sobie nowego promotora?

- Jeszcze nie. Nie chcę kogoś, kto każe mi zaczynać wszystko od nowa albo zawali mnie zbędną pracą. Hope była pod tym względem nieoceniona. Jeśli skrupulatnie wykonywałem swoje obowiązki, traktowała mnie jak pełnoprawnego współpracownika.

- Leseferizm?

- Gdy się na niego zasłużyło. - Zgasił papierosa. - Ona dokładnie знаła różnicę między dobrem a złem. Była z gruntu dobrą kobietą i ten, kto ją zabił, powinien teraz zostać skazany na powolną śmierć w cierpieniach.

Jego usta wygięły się, ale trudno było ten grymas nazwać uśmiechem. Odstawił torbę i sięgnął do wewnętrznej kieszeni płaszcza, skąd wyjął twardą paczkę marlboro.

- Ale są na to znikome szanse, prawda? Bo nawet gdyby udało się ująć mordercę, czekałby go długotrwały proces i niewykluczone, że w efekcie wykpiłby się od wszelkiej odpowiedzialności. Zapewne jakiś sprzedajny ekspert z naszej branży stwierdziłby, że cierpi na psychozę lub zaburzenia w kierowaniu własnym postępowaniem, o których nikt nigdy wcześniej nie słyszał.

Właśnie dlatego podoba mi się to, co pan robi. Jest pan po właściwej stronie. Ja zajmuję się zagadnieniami samokontroli. Nic oryginalnego, badania na szczurach plus teoretyczne dywagacje. Ale może kiedyś spróbuję wykorzystać zdobyte doświadczenia w praktyce.

- Samokontrola a wykrywanie przestępstw?

- Czemu nie? Samokontrola jest integralną częścią postępu cywilizacji. Dzieci rodzą się cudowne, ale pozbawione moralności. A przecież to nic trudnego wpoić im podczas procesu wychowania niewłaściwe zasady moralne, prawda?

Wolną dłoń złożył tak, by przypominała pistolet.

- Wszyscy robią ogromne zamieszanie wokół dziesięciolatków z uzi, ale to po prostu uliczne szczury mające dostęp do zabawek tak charakterystycznych dla naszej cywilizacji.

- Brak samokontroli?

- Tak, na poziomie społecznym. Wystarczy zablokować mechanizmy kontroli wewnętrznej i proces internalizacji - rozwój osobowości - a otoczą nas miliony barbarzyńców, dających upust swoim nie kontrolowanym impulsom. Jak zwyrodnialec, który zabił Hope. To wszystko jest tak cholernie głupie!

Sięgnął po zapalniczkę i zapalił kolejnego papierosa. Zauważyłem przy tym, jak bardzo drżą mu ręce. Wbił je w kieszenie płaszcza.

- Mówię panu, że z przyjemnością zająłbym się prawdziwymi przejawami życia, ale prawdopodobnie jestem już skazany na pracę na uczelni. Sądzę, że Hope właściwie sterowała moimi poczynaniami. Otwarcie powiedziała, że nie mam szans na Nagrodę Nobla, ale mogę wyszukać coś interesującego, zostać pracownikiem naukowym i jakoś w miarę wygodnie ułożyć sobie życie. - Zaciągnął się. - Znalezienie innego promotora nie będzie takie łatwe. Na wydziale mam opinię faszysty, bo nie toleruję frazesów i cenię dyscyplinę.

- A Hope nie miała nic przeciwko temu?

- Hope była wspaniałym naukowcem, a jednocześnie w stosunku do mnie zachowywała się jak matka. Opiekuńcza, uczciwa i gotowa rzucić mnie na głęboką wodę. Zawsze miała na wszystko własne spojrzenie i przy tym była niepokorna. Dlatego ją zabili.

- Oni?

- Oni, on... jakiś psychopatyczny, popieprzony degenerat.

- Konkretnie przypuszczenia na temat kierującego nim motywu?

Obejrzał się na szklane drzwi budynku.

- Wiele czasu poświęciłem, rozważając tę sprawę, ale wszystko to zdaje się nie trzymać kupy. Wreszcie dałem spokój, bo nie dysponuję żadnymi faktami, a jedynie własnymi odczuciami. Byłem kompletnie wyprowadzony z równowagi. Dlatego właśnie potrzebowałem tyle czasu, żeby

wrócić do pracy. Do ostatniego wieczora nie mogłem się przemóc, by sięgnąć do opracowanych wspólnie materiałów. Ale teraz czas brać się za robotę. Hope bez wątpienia chciałaby, abym tak postąpił. Ona nie uznawała jakichkolwiek wymówek.

- Czyim pomysłem była zgoda na wydanie materiałów w zamian za zajęcie się samochodem? - zapytałem.

Popatrzył na mnie uważnie.

- Zadzwońłem do Phila, a on powiedział, że ma problemy z uruchomieniem wozu. Zaproponowałem mu pomoc.

- A więc już się znaliście?

- Tylko poprzez Hope. Właściwie Phil unika wszelkich kontaktów... No cóż, miło się z panem rozmawiało.

Podniósł teczkę i ruszył w górę schodów.

- Co pan sądzi o Komisji Stosunków Interpersonalnych?

Zatrzymał się i uśmiechnął.

- Znowu to? Mój pogląd? Byłem przekonany, że to świetny pomysł, tylko zabrakło wystarczającej siły do wyegzekwowania jej postanowień.

- Pewni ludzie uważają, że powołanie tej komisji było błędem.

- Pewni ludzie uważają, że właściwością życia jest zmierzanie do anarchii.

- A więc według pana komisja powinna nadal funkcjonować.

- Oczywiście, ale jakie były tego szansę? Bogaty ojczulek nieodpowiedzialnego smarkacza spowodował jej likwidację, bo panują tu te same zasady, co w każdym systemie politycznym: rządzą pieniądze i władza. Gdyby to poszkodowana dziewczyna miała tak wysoko postawionego ojca, komisja wciąż by działała i nawet znalazłyby się na nią dodatkowe fundusze.

Wypalił papierosa aż do filtra, popatrzył na niego i odrzucił na bok.

- Rzecz w tym, że kobiety zawsze będą fizycznie i psychicznie słabsze od mężczyzn, a ich bezpieczeństwo nie może zależeć od widzimisię jakiegoś brutala z penisem. Jedyńm sposobem zaprowadzenia porządku jest zasada równości oparta na zakazach i nakazach, których nieprzestrzeganie nieodwołałnie wywołuje skutek w postaci kar.

- Dyscyplina.

- Zgadza się. - Wyglądził skórzaną klapę. - Pyta mnie pan o komisję, sądząc, że ma ona coś wspólnego z morderstwem Hope? Że któryś z tych tchórzliwych gnojków wrócił, by się zemścić? Mimo to wciąż powtarzam, że wszyscy byli tchórzami.

- To właśnie najczęściej tchórze dopuszczają się zbrodni.

- Ale przecież i ja zasiadałem w komisji, a mimo to nic mi się nie stało.

Dokładnie ta sama argumentacja, której użył Cruvic, mówiąc o przeciwnikach aborcji.

- Pozwoli pan, że zapytam o coś jeszcze. Czy Hope kiedykolwiek wspomniała, że sama była w przeszłości molestowana?

Jego dłoń gwałtownie zacisnęła się na klapie.

- Nie. Dlaczego?

- Czasami zainteresowania zawodowe wynikają z osobistych doświadczeń.

Jego ciemne brwi nastroszyły się, a w oczach pojawił się chłód.

- Chce pan sprowadzić jej osiągnięcia do psychopatologii?

- Chcę dowiedzieć się o niej wszystkiego, co tylko można. Czy kiedykolwiek wspominała o swojej przeszłości?

Rozprostował palce i bardzo wolno opuścił rękę. Nagle znów uniósł oba ramiona, jakby chciał zasłonić się przed ciosem, a następnie splótł je na piersi.

- Dużo mówiła o swojej pracy. To wszystko. Tylko w ten sposób mogłem dowiedzieć się czegoś o niej samej.

- I czego się pan dowiedział?

- Że była niezwykle inteligentna i potrafiła bez reszty poświęcić się temu, co robiła. To dlatego zdecydowała się zrobić ze mnie swego współpracownika, a ja cenię nade wszystko ludzi zaangażowanych w to, czym się zajmują. Sam zaciskam tylko zęby i robię swoje.

Uśmiechnął się, odsłaniając białe uzębienie.

- Doceniała fakt, iż potrafiłem otwarcie głosić własne poglądy. Że wierzyłem, iż ludzie nie kierują się wyłącznie impulsami. Tutaj to wciąż herezja.

- A co dzieje się z jej drugą studentką, Mary Ann Gonsalvez?

- Nie rozumiem?

- Czy ona także ma podobne poglądy?

- Nie wiem. Praktycznie się nie znamy. Miło się z panem rozmawiało, ale muszę iść do pracy. Jeśli kiedyś wreszcie uda się wam złapać sprawcę, skażcie go na śmierć i zaproście mnie, bym osobiście wykonał wyrok.

Zasalutował na pożegnanie, wbiegł po schodach i zniknął za drzwiami. Gdy mijał je, jakby zawahał się przez ułamek sekundy. Jego delikatne usta wykrzywiły się, lecz nie obejrzał się już.

Podobnie jak Cruvic, on też mówił o Hope z ogromnym zaangażowaniem pasją.

Tylko jej mąż prezentował zgoła odmienną postawę.

Czyżby tym właśnie obrażał ją, powodując, że skłoniła się ku komuś innemu?

Miłość, seks, pchnięcie w plecy.

Seacrest nigdy nie był agresywny, ale mężowie, którzy mordowali swe żony, w większości stanowili wzór spokoju i opanowania - wręcz safandudy. I podobnie jak on byli w średnim wieku.

Jeśli chodziło o zemstę, to dokonanie jej na żonie, a nie na kochanku, także było dość typowym postępowaniem. Zazdrosny mąż wyzywał się na małżonkę, jej amantowi zaś nic nie groziło, póki sam nie wszedł w drogę rogaczowi.

Zakładając jednak, że Locking był kochankiem Hope, to czy Seacrest, wiedząc o tym, utrzymywałby z nim jakiegokolwiek stosunki?

Poddałem analizie wszystko, co wiedziałem o znajomości tych dwóch mężczyzn. Żadnych oznak wrogości, lecz pewna wyczuwalna rezerwa.

Nagle uderzyła mnie oczywista sprzeczność: poprzedniego wieczora Locking zwrócił się do Seacresta „profesorze”, a dzisiaj kilkakrotnie mówił o nim „Phil”.

Ale czy to mogło mieć jakieś znaczenie?

Zafundowałem sobie jeszcze jeden kubek kawy i wypilem go w drodze na wydział inżynierski, zastanawiając się, jakie niespodzianki przyniesie rozmowa z Patrickiem Huangiem.

Był zaskoczony, gdy zatrzymałem się przy jego szafce. Nie próbował nawet oponować, kiedy poprosiłem o rozmowę.

Znaleźliśmy wolną ławkę. Zaproponowałem kawę.

- Nie, dziękuję. I tak mam w organizmie mnóstwo kofeiny. Egzaminy.

Uniósł rękę pokazując, jak bardzo mu drży.

Miał jakieś sto siedemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu i był dość korpulentny. Gładka, kanciasta twarz i włosy do ramion. Na wymiętej koszulce znajdował się napis stone temple pilots. Pod pachą ścisnął dwie książki, jak zdążyłem zauważyć traktujące o termodynamice.

- Dziękuję, że zgodziłeś się ze mną mówić, Patrick.

Spuścił wzrok.

- Wiedziałem, że ktoś w końcu do mnie dotrze.

- Dlaczego?

- Po tym, co stało się profesor Devane, uświadomiłem sobie, że sprawa komisji musi wyjść na światło dzienne. Dziwię się tylko, iż trwało to tak długo. Wykonał nieokreślony ruch ręką. - Policja przysłała psychologa, uważając, że jestem wariatem?

- Nie. Na stałe współpracuję z policją, która uznała, że mogę być pomocny w tej sprawie.

- Chyba kupię sobie burgera, dobrze?

- Jasne.

Zostawił książki, podszedł do jednego z kiosków i po chwili wrócił z hamburgerem w woskowanym papierze, pudełkiem frytek z ketchupem i dużym napojem pomarańczowym.

- Mam wujka, który jest psychologiem - powiedział siadając. - Robert Chan. Pracuje w więziennictwie.

- Nie, nie znam go - rzekłem.

- Mój ojciec jest prawnikiem. - Otworzył torebkę. Papier nasiąkł tłuszczem, a roztopiony ser wyciekł z hamburgera. Ugryzł duży kęs. Żuł go długo, zanim połknął. - Ojciec był naprawdę wkurzony, gdy dowiedział się o tej sprawie i oskarżeniu mnie. I że wcześniej nic mu nie powiedziałem na ten temat. Ja sam myślałem, że to tylko kiepski dowcip, którym nie ma co się przejmować. Ale kiedy usłyszałem o śmierci profesor Devane, pomyślałem, że mam przechłapanie.

- Wywrócił oczami.

- Miałeś nieprzyjemności.

- On jest tradycjonalistą... Jego zdaniem, to wstyd dla całej rodziny. - Odgryzł kolejny kęs i jadł niespiesznie, rozglądając się wokół. - Tyle tylko, że ja przecież nie zrobiłem nic złego. Ta dziewczyna to zdeklarowana rasistka. Nigdy jej nie uwodziłem, ona zaś mnie po prostu wykorzystywała. Ale tata... - gwizdnął i pokręcił głową. - Kiedy już mnie zrugał i zmniejszył mi dotacje na całe pół roku, oświadczył, że powinienem spodziewać się kłopotów, bo policja będzie się interesować działalnością profesor Devane. Kiedy nic takiego nie następowało, uznałem, że po prostu mam szczęście.

Rozglądał się jeszcze przez chwilę, aż wreszcie przeniósł wzrok na mnie.

- Niestety. Chociaż właściwie nie powinienem się niepokoić, bo tego wieczora, gdy ją zabito, byłem na uroczystości rodzinnej. Pięćdziesiąta rocznica ślubu dziadków. Wszyscy pojechaliśmy do La Cienega. Byłem tam przez cały czas, od dwudziestej do dwudziestej trzeciej trzydziści, w towarzystwie chyba z setki krewnych. Mam na to dowód. Jeden z kuzynów robił zdjęcia. Niespodzianka, co?

Posłał mi ironiczny uśmiech.

- Dać panu trochę? - zapytał wskazując frytki.

- Nie, dziękuję.

Wziął do ust słomkę i przez chwilę sączył napój.

- Chce pan te zdjęcia? Powiem ojcu, żeby mi przysłał. Jedno nawet powiesił sobie w biurze.

- Roześmiał się. - Teraz mogę już iść?

- Masz jakieś własne spostrzeżenia związane z profesor Devane?

- Nie.

- A komisją?

- Mówiłem już, że to jedna wielka kpina.

- Dlaczego?

- To było jak sąd. Tyle tylko, że zamiast prawdziwych dowodów były zeznania jednej osoby przeciw drugiej. Nie wiem, ilu jeszcze facetów zostało o coś oskarżonych, ale jeśli ich sprawy były tak banalne jak moja, to macie do czynienia z wieloma naprawdę wkurzonymi ludźmi. Może któryś z nich zdenerwował się na tyle, żeby wyładować złość na profesor Devane.

- Ale ty masz alibi.

Odstawił napój na ławkę. Na tyle gwałtownie, że część płynu się wylała.

- Dzięki Bogu. Bo jeszcze w kilka tygodni po tej pseudorozprawie byłem na nią wściekły. Ale wie pan, że my, Chińczycy, jakoś radzimy sobie z opanowaniem emocji.

Milczałem.

- W każdym razie już zapomniałem o całej sprawie. Widuję tę dziewczynę, ale po prostu udaję, że jej nie zauważam. I tak też postanowiłem postępować wobec profesor Devane. Zapomnieć o niej i zająć się własnymi problemami.

- Więc czujesz się ofiarą?

- Tak, ale w jakiejś części to moja wina. Powinienem skontaktować się z ojcem, zanim poszedłem na przesłuchanie. Później wytłumaczył mi, że nie miała prawa mi tego zrobić.

- Dlaczego w ogóle poszedłeś?

- Gdyby do pana przyszło oficjalne pismo firmowane przez uniwersytet, co by pan zrobił?

Ilu jeszcze facetów brało udział w podobnej farsie?

- Przykro mi. Im także nie mówię ani słowa na twój temat.

Pokiwał głową.

- Tak, w porządku, lepiej zapomnijmy o całej sprawie. - Podniósł książki i wstał. - Tyle mam do powiedzenia. I tak zapewne będę miał kłopoty z powodu rozmowy z panem bez wcześniejszego powiadomienia ojca. Jeśli chce pan zobaczyć te zdjęcia, proszę się z nim skontaktować. Allan D. Huang. Curtis, Ballou, Semple i Huang. - Podał adres w centrum, przy Ósmej Ulicy oraz numer telefonu, których nie omieszkalem zanotować.

- Chcesz powiedzieć coś jeszcze, Patrick?

- Na temat komisji?

- Komisji, profesor Devane, Deborah Brittain, wszystkiego.

- A co tu mówić? Devane była twarda jak stal. Niezastąpiona w manipulowaniu słowami. I wyraźnie miała jeden określony cel: udowodnić, że wszyscy mężczyźni to wyrzutki.

- A co z pozostałymi sędziami?

- Właściwie niemal przez cały czas siedzieli jak manekiny. To było jej przedstawienie... bez wątplenia przedstawienie. Jak to, które można oglądać w telewizji, gdzie wywołują ludzi z widowni i robią z nich głupców. Tyle tylko, że to działa się naprawdę. - Machnął wolną ręką. - Ona zadała mi pytanie, czy podjąłem studia, żeby móc molestować dziewczyny. A wszystko tylko dlatego, że tej jednej pomogłem. To nie w porządku, prawda? No cóż, do widzenia, czas zabrać się do ciągnięcia rikszy.

Wykład z matematyki, w którym uczestniczyła Deborah Brittain, dawno się skończył, a z posiadanego przeze mnie rozkładu wynikało, że nie miała już dzisiaj żadnych zajęć. Mieszkała poza miasteczkiem akademickim, w Sherman Oaks, więc pomaszerowałem do północnej części kampusu, na poszukiwanie Reeda Muscadine'a.

MacManus Hali był skromnym, nie rzucającym się w oczy, różowym budynkiem z salami wykładowymi zajmującymi cały parter. Seminarium aktorskie odbywało się w Wiley Theater, na jego tyłach. Do zakończenia zajęć pozostała jeszcze ponad godzina. Podwójne drzwi z drzewa klonowego nie były zamknięte, więc wślizgnąłem się do środka. Zgaszone światła. Może z pięćdziesiąt rzędów składanych krzesełek naprzeciw oświetlonej na niebiesko sceny.

Kiedy wzrok nieco przyzwyczaił się do słabego oświetlenia, dostrzegłem kilkanaście zaledwie osób siedzących w różnych miejscach widowni. Nikt nawet nie odwrócił głowy, gdy szedłem wzdłuż rzędów.

Na scenie znajdowały się dwie osoby, siedzące na drewnianych krzesłach, z dłońmi na kolanach, patrzące sobie intensywnie w oczy.

Usiadłem w trzecim rzędzie. Para na scenie ani drgnęła, a publiczność zachowywała idealną ciszę.

Upłynęły dwie minuty i nic.

Pięć minut, sześć... czyżby grupowa hipnoza?

Na rynku pracy aktorów panowała ogromna konkurencja, więc może uniwersytet przygotowywał ich do roli manekinów?

Minęło kolejne pięć minut, nim z pierwszego rzędu podniósł się jakiś mężczyzna i pstryknął palcami. Otyły, w okularach ze szklami niczym denka butelek, w czarnym golfie i luźnych, chyba zielonych spodniach.

Aktorzy wstali i z osobna opuścili scenę zejściami po obu stronach. Ich miejsca zajęła kolejna dwójka. Tym razem dwie dziewczyny. Usiadły dokładnie tak samo jak poprzednicy.

I znów nic.

Gdy mój wzrok do końca przywykł do półmroku, usiłowałem wśród publiczności odnaleźć Muscadine'a. Niestety, nie byłem w stanie go rozpoznać. Zerknąłem na zegarek. Pozostała jeszcze prawie godzina do zakończenia zajęć, a ja z trudem walczyłem z sennością.

Podszedłem cicho do pierwszego rzędu i usiadłem obok mężczyzny w golfie.

Zerknął na mnie, lecz nie odezwał się. Z bliska pod jego dolną wargą dostrzegłem kępkę włosów.

Wyjąłem policyjną odznakę i ustawiłem ją tak, by dało się z niej coś odczytać w słabym świetle.

Znów zerknął w moją stronę.

- Szukam Reeda Muscadine'a - wyszeptalem.

Odwrócił wzrok na scenę, gdzie dwie dziewczyny wciąż siedziały bez ruchu. Schowałem odznakę i założyłem nogę na nogę.

Mężczyzna obserwował mnie kątem oka. W odpowiedzi uśmiechnąłem się.

Kciukiem wskazał tył sali i wstał. Ale zamiast ruszyć w tamtą stronę, oparł ręce na biodrach i wpatrywał się we mnie.

Skupiło to na nas uwagę części widowni. Facet znów pstryknął palcami i wykonał gest kciukiem.

Wstałem i wyszedłem. Ku memu zdziwieniu podążył za mną i dogonił w holu.

- Jestem profesor Dirkhoff. Co się tu dzieje, do licha? - Zarost pod jego wargą był rudy, przetykany siwizną, podobnie jak resztki owłosienia na głowie.

- Szukam...

- Słyszałem kogo. Ale dlaczego?

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, dodał z teatralną manierą:

- No więc?

- Chodzi o morderstwo Hope Deva...

- A, to. Co ma z tym wspólnego Reed? - Wykonał gwałtowny ruch ręką i zwinawszy dłoń w pięść, podparł nią podbródek jak zamyślony Sokrates.

- Rozmawiamy ze studentami, którzy znali profesor Devane, a on jest jednym z nich.

- Musi ich być chyba kilkuset. To bez wątpienia strata czasu. Ponadto nikt nie dał panu prawa do kręcenia się tutaj bez wcześniejszej zapowiedzi.

- Przepraszam, że przeszkodziłem. Poczekam do końca zajęć.

- I tak nic pan nie wskóra. Reeda tu nie ma.

- W porządku, dziękuję. - Odwróciłem się i odszedłem. Zrobiłem zaledwie trzy kroki, gdy zawołał za mną:

- Wcale tu nie bywa.

- Na tych zajęciach, czy w ogóle na uczelni?

- Na uczelni. Rzucił ją jakiś miesiąc temu. Mam o to do niego żal... Właściwie nawet więcej. Nasz program warsztatów aktorskich jest wybitnie selektywny i wymaga od studentów ogromnych poświęceń, bez względu na ich prywatne problemy.

- A jaki problem ma Reed?

Odwrócił się do mnie plecami i podszedł do drzwi. Położył dłoń na klonowym drewnie i uśmiechnął się smutno.

- Dostał pracę.

- Jaką?

Głębokie westchnięcie.

- Zaangażowano go do jednej z tych mydlanych oper. Popęłnił niewybaczalny błąd.

- Czemu pan tak uważa?

- Chłopak ma niewątpliwy talent, ale potrzebuje nieco praktyki. Wkrótce będzie jeździł porsche i zastanawiał się, dlaczego życie jest takie puste. Jak wszyscy w tym mieście.

Gdy wróciłem do domu, na lodówce znalazłem kartkę: „Może razem zjemy w domu? Poszłam po aprowizacją. Będę przed osiemnastą”.

O siedemnastej trzydzieści zadzwonił Milo. Sięgnąłem po notatki, by zdać mu relację z dzisiejszych osiągnięć. Nie dał mi jednak dojść do słowa:

- Dostałem odpowiedź na faks. Wydział zabójstw w Las Vegas ma już zamkniętą, niemal identyczną sprawę. Dwudziestotrzyletnia elegancka prostytutka została znaleziona martwa w ciemnym zaułku nieopodal swojego mieszkania. Pchnięcia nożem w serce, krocze i plecy, w takiej właśnie kolejności. Także pod drzewem. Miesiąc przed zabójstwem Hope. Przypuszczają, że zbrodnię popełnił jakiś zboczeniec. Pracujące w tej branży dziewczyny często spotyka taki właśnie los. Ta, oprócz puszczenia się, w ubiegłym roku tańczyła topless w kasynie Palm Princess. Ale ostatnio działała na własną rękę. Dwie, trzy setki za numer.

- Dlaczego więc została znaleziona na ulicy?

- Przyjęto wersję, że trafiła na niewłaściwego gościa, który zabił ją albo w drodze do jej mieszkania, albo po wyjściu z niego. Może odprowadzała go do samochodu i wówczas zaskoczył ją, sięgając po nóż. Bądź też nie był z niej zadowolony lub nie potrafili dogadać się co do ceny i facet się wściekł.

- Czy fizycznie była podobna do Hope?

- Z załączonego zdjęcia wynika, że nie. Tyle tylko, że obie dobrze się prezentowały. Ta dziewczyna, Mandy Wright, trzeba przyznać, wyglądała bardzo atrakcyjnie. Ale jest ciemnowłosa. Ponadto była znacznie młodsza od Hope. No i nie miała nic wspólnego z jakąkolwiek uczelnią. Ale biorąc pod uwagę sposób popełnienia morderstwa, być może mamy do czynienia z tym samym psychopata, więc na wszelki wypadek sprawdzę, czy podobnej zbrodni nie popełniono gdzieś jeszcze na terenie kraju. Bo przecież nie można wykluczyć, że nasza pani profesor padła ofiarą zupełnie nie znanego jej faceta. Zamierzam dziś wieczorem polecieć do Vegas i wymienić się z miejscowymi wszystkimi posiadanymi materiałami. - Zakaszłał. - A ty co masz mi do powiedzenia?

Zanim zdążyłem rozpocząć relację, wróciła Robin, w jednej ręce dźwigając torbę z zakupami, a w drugiej trzymając smycz, na której końcu szarpał się Spike. Uśmiechała się, już z daleka machając na powitanie. Odstawiła torbę i pocałowała mnie.

- Milo - szepnąłem.

- Pozdrów go ode mnie - rzekła i wyszła się przebrać.

Przekazałem pozdrowienia i wreszcie opowiedziałem mu o dzisiejszych rozmowach z Julią Steinberger i Caseyem Lockingiem, panice Tessy Bowlby, złości i wiarygodnym alibi Patricka Huanga oraz porzuceniu uczelni przez Reeda Muscadine'a.

- Wnioski: Hope na wszystkich zrobiła duże wrażenie. Ale jeśli mamy do czynienia z seryjnym mordercą z zewnątrz, to moje spostrzeżenia tracą wszelkie znaczenie.

- Ta Bowlby... była naprawdę wystraszona?

- I to bardzo. Błada, chuda i sprawiająca wrażenie chorej, więc od razu przyszło mi do głowy, czy aby wynik testu na obecność wirusa HIV nie był u Muscadine'a pozytywny. I czy nie przerwał nauki właśnie z powodu choroby. A może zrobił to tylko dlatego, że udało mu się dostać wyjątkowo dobrą pracę. Ale czy wnosi to cokolwiek do sprawy?

- Nie zakładaj z góry, że twoje wysiłki są bezowocne. Sprawa Mandy Wright nieco zmienia naszą pierwotną koncepcję, ale na tym etapie śledztwa nie możemy pozwolić sobie na pominięcie któregośkolwiek z wątków. Nawet jeśli morderca to rzeczywiście psychopata, wcale nie musiał być kimś obcym dla ofiar. Może Hope i Mandy miały jednak jakiegoś wspólnego znajomego?

- prostytutka i kobieta naukowiec?

- To, że jest się profesorem, o niczym jeszcze nie świadczy - stwierdził. Zamierzam więc porozmawiać z Kennym Stormem i na pewno nie zrezygnuję ze sprawdzenia alibi tego Huanga. A gdybyś ty znalazł chwilę i pomówił z dwiema pozostałymi dziewczynami, byłbym bardzo wdzięczny. I jeszcze jedno: zanim skontaktowało się ze mną Vegas, sprawdzałem ostatnie sprawy Barone'a. Hope nie powołano do pomocy w żadnej z nich. Za co więc jej płacił?

- Za coś, czego zapewne nie chcieli ujawnić?

- Tylko taka możliwość przychodzi mi do głowy. Barone występuje jako obrońca w wielu sprawach związanych z nierządem i pornografią, przede wszystkim w San Francisco, a to przecież branża Mandy. Ale gdy jeszcze dodać do tego przekonania Hope, czuję się bezradny.

- Barone mógł potrzebować takiego fachowca jak Hope, a przy tym feministki, by pomagała mu w przygotowaniu odpowiedniej linii obrony - rzekłem.

- Dlaczego więc nie ma żadnej informacji, że odgrywała jakąś rolę w jego sprawach?

- Może Barone zatrudnił ją, żeby przygotowała własny raport, ale wynik końcowy mu się nie spodobał. Mnie kiedyś też zdarzyło się coś podobnego.

- To możliwe. Nieważne. Zamierzam do skutku nękać Barone'a telefonami. I chciałbym uzyskać więcej informacji o doktorze Cruvicu. Ta jej praca w charakterze konsultantki jest bardzo intrygująca... szczególnie ze względu na wchodzące tu w grę pieniądze.

Robin wróciła do kuchni i nastawiła wodę na herbatę.

- Jeśli chodzi o Cruvica, sprawdzę to Centrum Zdrowia Kobiet w Santa Monica. Masz ich adres?

- Nie, przykro mi. Z góry dziękuję, Alex. Zaraz jadę na lotnisko Burbank.

- Miłej podróży. Może przy okazji zagrasz sobie przynajmniej na jakichś automatach.

- Najlepiej na koszt podatników. Wątpię. I tak nie lubię hazardu, bo sukces zależy wyłącznie od szczęścia. Przypadkowość dosłownie mnie przeraża.

Kiedy odłożyłem słuchawkę, Robin była zajęta siekaniem cebuli, pomidorów, selerów, a obok leżało spaghetti gotowe do wrzucenia do wody.

- Hazard? - zapytała ciekawa.

- Milo jedzie do Vegas. Znalazł tam przypadek podobny do tego Hope.

- Jeśli to jakiś szaleniec, będzie ich pewnie więcej.

- Sprawdza w całym kraju.

- Słyszałam o tym Centrum Zdrowia Kobiet. Holly Bondurant ma z nim coś wspólnego. Wiem, bo kilka lat temu dawała na ich rzecz koncert charytatywny, przed którym musiałam zająć się jej dwunastostrunówką. Jaki związek ma centrum z morderstwem Devane?

- Zapewne żaden, ale Milo zainteresował się tą placówką, bo tam Hope poznała ginekologa z Beverly Hills, nazwiskiem Cruvic. W rezultacie pracowała u niego jako konsultantka przy leczeniu bezpłodności. Dziś rano odwiedziliśmy go i Milo jest ciekaw, czy przypadkiem nie wchodziły tu w grę kontakty bardziej osobiste.

- Dlaczego?

- Bo Cruvic mówił o Hope z wielkim przejęciem. A ponieważ jej małżeństwo wygląda na nudne, więc rodzi się oczywiste pytanie. Wiesz, jaki Milo jest skrupulatny. Nawet gdy trafił już na nowy trop, chce jeszcze sprawdzić wszystkie znane wcześniej.

Odłożyła nóż, podeszła do telefonu i wybrała numer.

- Holly? Tu Robin Castagna. Cześć. Tak, świetnie. A u ciebie? Dobrze. Co u Joaquin? Musi mieć już... Ile? Czternaście... Chyba żartujesz! Słuchaj, Holly, nie wiem, czy ten telefon na wiele się zda, ale...

Kiedy się rozłączyła, rzekła:

- Spotka się z tobą jutro o dziewiątej. W Cafe Aligator.

- Dzięki.

- Przynajmniej tyle mogę zrobić.

Później, podczas kolacji, dłubała tylko widelcem w jedzeniu i nie wypła nawet łyżka wina.

- Co ci jest? - zapytałem.

- Nie wiem. Angażowałam się już przecież w wiele spraw, ale ta mnie jakoś szczególnie gnębi - wyznała.

- Przyznaję, że jest w niej zawarte wyjątkowe okrucieństwo. Zginął ktoś wybitnie inteligentny i nietuzinkowy.

- Może i o to chodzi. A może mam dość mordowania kobiet tylko dlatego, że są kobietami.

Wyciągnęła rękę i mocno ścisnęła moją dłoń.

- Z pewnością to trudne przede wszystkim dla ciebie, Alex. Ciągłe oglądanie się przez ramię, nieustająca czujność. Wiem, że to mężczyźni są często ofiarami, ale jednocześnie niemal zawsze gnębicielemi. Dzisiaj jednak chyba wszyscy jesteśmy równie zagrożeni. Świat dzieli się na myśliwych i ich ofiary... O czym to świadczy? Czyżbyśmy wracali do dżungli?

- Nie wiem, czy kiedykolwiek na dobre z niej wyszliśmy - odparłem. - Przez cały czas niepokoję się o ciebie. Szczególnie kiedy sama wychodzisz wieczorem. Nigdy nic nie mówię, bo nie chcesz tego słuchać i jesteś przekonana, że doskonale dasz sobie radę.

Uniosła kieliszek, popatrzyła pod światło i upiła z niego trochę.

- Nie mówiłam Holly, czym się zajmujesz, tylko że jesteś moim facetem, psychologiem, i chcesz dowiedzieć się czegoś bliższego o centrum. Ona jest typową przedstawicielką świadomości lat sześćdziesiątych i słowo „policja” mogłoby ją wypłoszyć.

- Poradzę sobie z tym. - Dotknąłem jej dłoni. - Podoba mi się być twoim facetem.

- Mnie również.

Popatrzyła na nietknięty posiłek i powiedziała:

- Wstawię to do lodówki. Może później będziesz miał ochotę dokończyć.

Zabrałem się do sprzątnięcia ze stołu. Położyła mi dłoń na ramieniu.

- Jeśli chcesz, weźmy Spike'a i chodźmy na spacer do kanionu. Jest jeszcze widno.

Cafe Aligator mieściła się w starym budynku w centrum Santa Monica, na Broadwayu, dziesięć przecznic od plaży. Cegły były pomalowane zgniłozieloną farbą, a kamienny gad szczyrzył zęby nad czarnym napisem informującym: GORAÇA KAWA. TANIE POSIŁKI.

W środku - ściany tej samej barwy, cztery stoły nakryte żółtymi ceratami, przeszklona lada z jedzeniem, a za nią półki z puszkami kawy i herbaty. Za ladą tłusciach nieokreślonego wieku, zajmujący się przyrządzaniem fasoli. Cicha muzyka reggae sączyła się z głośników wiszących pod sufitem.

Ubiegłego wieczora nastawiłem ostatnią płytę Holly Bondurant „Polychrome”. Choć album liczył już sobie czternaście lat, teraz rozpoznałem ją od razu.

Na okładce płyty miała rudawe włosy aż do pasa, na wpół zasłaniające piękną twarz o celtyckiej urodzie. Teraz włosy były przystrzyżone krótko, przetykane siwizną, no i przytyła chyba dobre piętnaście kilo. Ale twarz pozostała gładka i młodzieńcza.

Miała na sobie czerwony, aksamitny, luźny dres, czarną kamizelkę, skórzane buty i naszyjnik z jakichś kamieni. Miękki kapelusz z czarnego aksamitu leżał na wolnym krześle obok.

- Alex? - zapytała z uśmiechem i nie wstając wyciągnęła rękę. Zerknęła na swój do połowy wypełniony kubek kawy. - Przepraszam, że zaczęłam bez ciebie, ale kawa zawsze stawia mnie na nogi. Masz ochotę?

- Poproszę.

Skinęła na tłusciocha. Ten napełnił kubek i przyniósł do naszego stolika.

- Coś jeszcze, Holly? - zapytał.

- Zjesz coś, Alex? Mają tu świetne bułeczki.

- Chętnie.

- Z czym są dzisiaj, Jake?

- Z żurawinami - odpowiedział tłusciach jakby urażony. - Dobre są też z rodzynkami i wiórkami czekoladowymi.

- Przynieś więc wszystkiego po trochu. - Odwróciła się w moją stronę. Bardzo miło było po tylu latach usłyszeć Robin. Kiedyś opiekowała się wszystkimi moimi instrumentami.

Miała melodyjny głos, a gdy mówiła, jak u większości przebrzmiałych sław, na jej twarzy grały wszystkie mięśnie.

- Opowiadała mi o tym.

- Wciąż zajmuje się ludwisarstwem?

- Tak, i to nadzwyczaj aktywnie.

Jake przyniósł koszyk pełen słodkiego pieczywa i wrócił do swej fasoli.

Sięgnęła po bułeczkę z żurawinami i ugryzła ją.

- Jesteś psychologiem?

Pokiwałem głową.

- W centrum zawsze znajdzie się miejsce dla zajmujących się zdrowiem psychicznym. W dzisiejszych czasach z finansami jest coraz gorzej i zgłasza się do nas coraz mniej ochotników.

- Mówiąc szczerze, nie o tym chciałem porozmawiać - rzekłem.

- Nie? - Odłożyła bułeczkę.

- Czasami współpracuję z policją. Właśnie teraz zajmuję się sprawą morderstwa. Hope Devane.

Wyprostowała się gwałtownie. W jej oczach pojawił się jakby ból... Poczucie zawodu.

- Z policją? - powtórzyła.

- Przykro mi. Nie chciałbym cię oszukiwać. Sprawa pozostaje nie rozwiązana, a moim zadaniem jest zebranie wszelkich dostępnych wiadomości o ofierze. Wiemy, że ochotniczo pracowała w centrum.

Milczała. Jake dostrzegł napięcie, które zapanowało przy naszym stoliku, i przerwał swoją pracę.

- Czy spotkałyście się kiedyś? - zapytałem niezrażony.

Długo patrzyła na złotobrazową powierzchnię bułki. W końcu uśmiechnęła się do Jake'a, który natychmiast przestał nam się przyglądać.

- Co wiesz o naszym centrum? - zapytała.

- Niewiele.

- Powstało, aby biedne kobiety miały dostęp do podstawowej opieki lekarskiej. Wykonujemy badania prenatalne, mammografię oraz uczymy rozwiązywać problemy związane z planowaniem rodziny i żywieniem, a także wiele innych. Kiedyś była to placówka akademii medycznej, ale już od dawna musimy opierać się tylko na ochotnikach. Wystąpiłam dla nich na kilku koncertach, a teraz zajmuję się zbiórkami.

- Datków?

- Datków i wszelkich przydatnych przedmiotów. Wciąż uważają, że jestem kimś mającym układy. Czasami rzeczywiście udaje mi się coś zdziałać. Na przykład w ubiegłym tygodniu dowiedziałam się o agencie, który przeprowadzał remont swojego biura, i zdobyłam jego stare meble.

Popatrzyła na Jake'a. Ten zapytał:

- Smakuje?

Uśmiechnęła się w odpowiedzi i znów zwróciła się do mnie.

- Kilkakrotnie spotkałam Hope, ale ona nie bardzo angażowała się w nasze sprawy. Choć początkowo pokładaliśmy w niej duże nadzieje. Po raz pierwszy widziałam ją na zeszłorocznym balu dobroczynnym. Najpierw zorganizowaliśmy show w Aero Theater, a później przyjęcie w Le Surph. Kupiła bilet za pięćset dolarów, uprawniający do zajęcia całego stolika, ale oświadczyła, że nie ma z kim przyjść, więc posadziliśmy ją na estradzie. W uznaniu zasług. Wyglądała na osobę, która mogłaby nam bardzo pomóc. Zrobiła duże wrażenie na wielu osobach. Swoją inteligencją i osobowością... Była bardzo dynamiczna. Niedługo po tym ktoś zaproponował wprowadzenie jej do rady, więc się zgodziliśmy. Ale nigdy tak naprawdę nie zaangażowała się w naszą działalność.

Palcami przeczesła włosy, po czym zabębniła dłonią o blat.

- Choć nie łączyło nas wiele, obawiam się, że to, co się jej stało, niewątpliwie okropne, może nam narobić złej reklamy.

- Nie ma powodu do tego rodzaju obaw - zapewniłem. - Zbieram tylko materiały do użytku wewnętrznego, takie, które lepiej pozwolą ją poznać. A dlaczego nie okazała się zbyt pomocna?

Długo zwlekała z udzieleniem odpowiedzi.

- Nie była... jak to powiedzieć... Podczas balu aż tryskała pomysłami. Mówiła o sprowadzeniu innych psychologów, doktorantów i studentów ostatnich lat z uczelni, rozszerzeniu programu ochrony zdrowia psychicznego. Miała fantastyczne kwalifikacje, a popierająca ją osoba twierdziła, że to istny dynamit. Pojawiła się na kolejnym zgromadzeniu rady i odwiedzała centrum przez kilka tygodni. A później po prostu zerwała z nami kontakt. Akurat ukazała się jej książka i zapewne z tego powodu nie miała czasu. W rezultacie żadne z jej zamierzeń nie zostało wprowadzone w życie.

Ugryzła jeszcze kęs bułeczki, lecz żuła go jakby od niechcenia.

- A więc twoim zdaniem była zbyt zajęta? - zapytałem.

- Posłuchaj. Ocenianie innych nie sprawia mi najmniejszej przyjemności. Szczególnie zaś nieżyjących.

- Czy osobą wprowadzającą Hope był może doktor Cruvic?

- Znasz Mike'a?

- Miałem okazję go poznać.

- Tak, to właśnie on. W naszych oczach to jeszcze bardziej podniosło jej prestiż. Cruvic jest jednym z najaktywniejszych członków rady. Naprawdę poświęca nam mnóstwo czasu.

- A więc znali się już z Hope przed tym bale dobroczynnym?

- Oczywiście. Przyprowadził ją... Robin mówiła, że jesteś gitarzystą.

- Trochę gram.

- Mówiła, że jesteś bardzo dobry.

- Przesadza.

Otarła usta serwetką.

- Ja już prawie nie gram. Od czasu, gdy urodziłam syna, tylko on się dla mnie liczy... Skąd tyle pytań o Mike'a Cruvica? Czy policja podejrzewa go o coś?

- Nie. Jak dotąd nie ma żadnych podejrzanych. Czy powiesz mi coś więcej na jego temat?

- Udziela wiele pomocy centrum - rzekła.

- I zaprosił ją na bal dobroczynny?

- Czy pytasz o ich romans?

- A mieli go?

- Nie mam pojęcia. Jakże to zresztą ma znaczenie? Hope została zamordowana z powodu swoich poglądów, prawda?

- Czy to powszechna opinia wśród osób związanych z centrum?

- To moje zdanie. A cóż by innego? Zaczęła zbyt głośno mówić, więc ktoś ją uciszył.

Popatrzyła na mnie uważnie.

- Podejrzewacie Mike'a, prawda?

- Nie. Po prostu sprawdzamy wszystkich, którzy mieli cokolwiek wspólnego z Hope.

- Sprawdzacie. To brzmi, jakby sprawą zajmowało się CIA.

- Zwyczajna policyjna robota. Rozumiem, że Cruvic jest bardzo cenny dla centrum, ale jeśli wiesz o czymś, o czym i ja powinienem wiedzieć...

Pokręciła głową.

- Ich stosunki... Czuję się jak zdrajczyni... Ale to, co się z nią stało... - Zamknęła oczy i kilkakrotnie odetchnęła płytko, jakby ćwiczyła jogę. Wreszcie otworzyła je, sięgnęła po kapelusz i gładziła jego rondo. - Mówię ci o tym, bo czuję, że tak należy zrobić. Choć jednocześnie to chyba nie w porządku.

Pokiwałem głową.

Odetchnęła jeszcze kilkakrotnie.

- Pewnego razu zobaczyłam ich po posiedzeniu rady. Było już późno. Zostałam, by zaplanować rozstawienie mebli, i sądziłam, że wszyscy już sobie poszli. Kiedy jednak wyszłam na parking, na samym skraju stał jeszcze samochód Mike'a. Poznałam od razu, bo to bardzo charakterystyczny bentley. On i Hope stali obok i rozmawiali. Jej wóz parkował nieco dalej - niewielki, czerwony. W tym momencie nie robili niczego, co mogłoby świadczyć o zażyłości, ale stali bardzo blisko siebie. Jakby mieli zamiar się całować albo właśnie skończyli to robić. Usłyszeli mnie i natychmiast się odsunęli. Ona szybko podeszła do swojego samochodu i odjechała. Mike

stał dłuższą chwilę w swobodnej pozie, jakby chciał podkreślić normalność sytuacji. Wreszcie pomachał do mnie na pożegnanie i wszedł do Bentleya. - Skrzywiła się. - Niewiele warte, prawda? Proszę, jeśli będziesz rozmawiał z Mike'em lub kimkolwiek innym, nie powołuj się przypadkiem na mnie, dobrze?

- Dobrze. Kiedy Hope przestała się udzielać, nikt nie miał pretensji do Mike'a, że polecił ją radzie centrum?

- Nic mi nie wiadomo na ten temat. Jak już mówiłam, Mike jest jednym z naszych najbardziej cenionych lekarzy.

- Jak często przyjmuje w centrum pacjentki?

- Nie znam jego rozkładu zajęć, ale wiem, że współpracuje z centrum już od lat.

- Pracuje jako ginekolog?

Zamarła.

- Tak sędzę.

- Zajmuje się aborcjami?

- Nie wiem - odparła unosząc głos. - A jeśli nawet, to co?

- To, że aborcje czasami wywołują agresję ze strony ich przeciwników.

- Ale to nie Mike został zabity, tylko Hope. Naprawdę nie chciałabym ciągnąć tego tematu.

- Wstała. - Nalegam.

- W porządku. Przepraszam, że go poruszyłem.

- Nic nie szkodzi. Ale proszę, nie wyciągajcie na światło dzienne sprawy aborcji. Jak dotąd udawało się nam unikać problemów, ale popadlibyśmy w nie lada kłopoty, gdyby to trafiło do gazet.

- Obiecuję.

Roześmiała się.

- To dopiero niespodzianka. Myślałam, że chcesz zostać ochotnikiem, więc w twoim imieniu rozmawiałam już z naszą dyrektorką i umówiłam was na spotkanie. Teraz będę musiała wszystko odwołać.

- Z nią także chciałbym porozmawiać.

- A ja nie zdołam cię powstrzymać, prawda?

- Nie jestem waszym wrogiem, Holly.

Popatrzyła na mnie uważnie.

- Poczekaj chwilę.

Przeszła na zaplecze i skręciła w prawo. Jake skończył przygotowywać fasolę i przyglądał mi się uporczywie, dopóki nie wróciła Holly.

- Nie jest zachwycona, ale spotka się z tobą. Nazywa się Marge Showalsky. Nie spodziewaj się jednak, że od niej dowiesz się wiele o Hope.

- Dziękuję. I jeszcze raz przepraszam.

- Nie ma sprawy. Wierzę, że nie jesteś naszym wrogiem. Robin jest na to za sprytna.

Okolica, gdzie znajdowało się Centrum Zdrowia Kobiet, stanowiła typową w Los Angeles mieszaninę fabryk, brudnych podwórek oraz magazynów, pośród których jedynym okazalszym budynkiem była odgradzona gęstym żywopłotem szkoła.

Klinika mieściła się w pozbawionym wszelkiego uroku parterowym, ceglanym budynku obok parkingu, okolonym żeliwnymi pacholkami, spiętymi grubymi łańcuchami. Drzwi frontowe były zamknięte. Nacisnąłem przycisk dzwonka i podałem do mikrofonu swoje nazwisko. Po chwili zostałem wpuszczony do środka.

W poczekalni siedziały trzy kobiety, które zdawały się nie zauważać mojej obecności. W głębi dostrzegłem kilka par wahadłowych drewnianych drzwi z niewielkimi wizjerami. Ściany pokrywały plakaty przestrzegające przed AIDS, zalecające regularne badania piersi oraz racjonalne żywienie. Telewizor stojący w rogu był ustawiony na Discovery Channel. Właśnie pokazywano, jak polują afrykańskie drapieżniki.

Jedne z tych drzwi otworzyły się i stanęła w nich potężna kobieta w okularach. Około sześćdziesiątki, z krótkimi, siwymi, falistymi włosami oraz krągłą różową twarzą o niezbyt sympatycznym wyrazie. Wrażenie to podkreślały jeszcze duże okulary w prostokątnej drucianej oprawie. Była ubrana w zielony sweter, niebieskie dzinsy i kapcie.

- Doktor Delaware? Jestem Marge Showalsky - przemówiła tubalnym, pasującym do całej postaci głosem. - Jestem chwilowo zajęta. Proszę poczekać minutkę.

Gdy drzwi zamknęły się za nią, wszystkie trzy siedzące w poczekalni kobiety jak na komendę uniosły wzrok.

Najbliżej mnie była czarna dziewczyna, mająca jakieś osiemnaście lat, z ogromnymi oczami i zaciśniętymi ustami. Ubrana w strój pracownicy fast foodu. W rękach ścisnęła powieść Danielle Steel. Pozostałe dwie kobiety wyglądały mi na matkę i córkę. Obie blondynki, młodsza mająca jakieś piętnaście, szesnaście lat, starsza po czterdziestce, w czarnych, wysokich butach, z workami pod oczami i drobnej budowy ciała.

Może to córka była powodem tak marnego jej wyglądu. Dziewczyna popatrzyła mi prosto w oczy, zamrugła i zwilżyła spękane wargi.

Miała wyjątkowo pociągłą, trochę asymetryczną twarz, nisko osadzone uszy i wygiętą szyję. Kolor jej długich i zaczesanych do tyłu włosów robił wrażenie naturalnego, tylko końcówki były wściekle różowe. Skromna sukienka ledwie zakrywała chude biodra, odkryte ręce były cienkie jak patyki, a ramiona kanciaste. Trzy kolczyki w jednym uchu, cztery w drugim. W nosie metalowe

kółko, widać umieszczone tam niedawno, bo skóra wokół była zaczerwieniona. Wysokie czarne buty sięgały aż do kolan.

Znów zatrzepotała powiekami. Z wyraźną kokieterią założyła nogę na nogę. Matka zauważyła ten ruch i ze złością odłożyła czytane pismo. Dziewczyna uśmiechnęła się szeroko, niemal lubieżnie. Jej zęby przypominały tępe kołki. Gdy pokiwała dłonią w moją stronę, dostrzegłem jej nienaturalnie krótkie kciuki.

Sprawiała wrażenie osoby z jakimś genetycznym defektem. Może nie miał on nawet żadnej oficjalnej nazwy. Gdy uczyłem się interny, określano to po prostu jako „syndrom”.

Dziewczyna znów przełożyła nogi. Potężne pchnięcie łokciem matki sprawiło, że przestała mnie kokietować i spuściła wzrok na podłogę.

Czarna dziewczyna spod oka obserwowała te wszystkie zabiegi. Po chwili wróciła do czytania książki i zaczęła masować ręką brzuch, jakby dla pozbycia się bólu.

Drzwi znów się uchyliły. Marge Showalsky skinęła na mnie i poprowadziła wzdłuż rzędu pokoi zabiegowych.

- Ma pan szczęście, że dzisiaj jest spokojny dzień.

Jej gabinet był duży, lecz, biorąc pod uwagę pełen zacieków sufit, trudno było nazwać go okazałym. Zbieranina mebli i półki z książkami wydawały się utrzymywać równowagę tylko na słowo honoru. Przez na wpół uchylone żaluzje widać było asfaltowy parking.

Zasiadła za biurkiem niewiele szerszym od jej barków. Naprzeciw dwa składane krzeselka. Zająłem jedno z nich.

- Kiedyś była tu fabryka podzespołów elektronicznych. Jakichś tranzystorów, czy czegoś podobnego. Myślałam, że już nigdy nie pozbedziemy się zapachu metalu.

Za jej plecami wisiały dwa plakaty: Gertrude Stein i Alice B.

- A więc pracuje pan dla policji? A czym konkretnie się pan zajmuje?

Wyjaśniłem jej ogólnie.

Poprawiła okulary i uśmiechnęła się wesoło.

- Ma pan gadane. Ale ode mnie niewiele się pan dowie. Kobietom, które tu przychodzą, nie pozostało prawie nic oprócz prawa do intymności.

- Interesuje mnie wyłącznie Hope Devane.

Ponownie się uśmiechnęła.

- Uważa pan, że nie wiem, z kim mam do czynienia. Jest pan psychologiem współpracującym ze Sturgisem. A w odpowiedzi na pytanie, które i tak na pewno padnie, powiem, że owszem, dokonujemy aborcji, gdy tylko znajdziemy lekarza, który zgodzi się je przeprowadzać.

Oczywiście nie powiem, którzy lekarze się tym zajmują. I wreszcie Hope Devane nie była z nami blisko związana, więc jestem pewna, że z jej śmiercią nie mamy nic wspólnego.

- Nie była z wami blisko związana - powtórzyłem. - W odróżnieniu od doktora Cruvica.

Jej śmiech sprawiał chyba, że metal natychmiast zamieniał się w rdzę. Otworzyła jedną z szuflad, wyjęła z niej fajkę i wytarła ustnik.

- Mike Cruvic jest pełnym poświęcenia lekarzem o znakomitej reputacji, gotowym zawsze iść z pomocą kobietom, które znalazły się w trudnej sytuacji. Chce pan wiedzieć, ilu ludzi takich jak on współpracuje z nami? Ta placówka działa z miesiąca na miesiąc. Głównie dzięki poświęceniu kilku dosłownie osób. Do naszych telefonów podłączone są automatyczne sekretarki, bo nie ma kto przy nich dyżurować. A przecież czasami trzeba interweniować natychmiast. Jak dobrze pójdzie, może w przyszłym miesiącu uda się załatwić pocztę głosową.

Włożyła fajkę do ust, mocno przytrzymując ją zębami.

- Jeszcze kilka lat temu dostawaliśmy rządową dotacją - ciągnęła. - Mieliliśmy zwykłą listę płac i cholernie dobrą organizację. Później zaczęła się dyskusja nad reformą systemu opieki zdrowotnej, z Waszyngtonu przyjechali jacyś durnie i wszystko rozsypało się w gruzy.

Wyjęła fajkę i wycelowała we mnie ustnik.

- Więc jak pracuje się z Milo Sturgisem? Zgodziłam się na tę rozmowę tylko dlatego, żeby móc zadać to pytanie.

- Zna go pani?

- Tylko ze słyszenia. Pana zresztą także... psycholog, który z nim trzyma. Milo jest żywą legendą.

- W społeczności homoseksualistów?

- Nie. - Coś aż zaiskrzyło się w jej oczach. - Wie pan, są ludzie, którzy mówią, że wdepnął pan w gówno. Będąc naprawdę dobrym w swoim fachu, uświadomiłby pan sobie, że jest w nim po prostu zakochany.

Roześmiałem się w odpowiedzi.

- O, cóż za Mona Lisa. - Stwierdziła Showalsky, spowita dymem, przypominając Teddy'ego Roosevelta. - Jak to się dzieje, że on nigdy się nie angażuje?

- W co?

- W sprawy związane z problemami płci. Dlaczego nie wykorzystuje swojej osoby do konstruktywnej walki?

- Sama musi go pani o to zapytać.

- No, no, dotknęłam czulego miejsca. No cóż, powinien. Gliniarz homoseksualista przełamujący bariery, jak wtedy, gdy wystąpił jawnie przeciw departamentowi. Kiedy to było,

chyba z pięć lat temu? Złamał jakiemuś porucznikowi szczękę, bo ten nazwał go ciotą. - Odłożyła fajkę i z zadowoleniem gryzła drobiny tytoniu. - W pewnych kołach ludzie nadal wspominają to zdarzenie.

- Interesujące wypaczenie faktów - skomentowałem.

- A pan je zna?

- Złamał porucznikowi szczękę, bo ten spowodował zagrożenie dla jego życia.

- Cóż, to także chyba oczywisty powód... Nigdy nie odpowiada na telefony od instytucji charytatywnych i organizatorów marszów protestacyjnych. Nie należy do żadnych organizacji. A przecież mógłby działać tyle dobrego.

- Może robi to bez rozgłosu.

Zmierzyła mnie uważnie wzrokiem.

- Jest pan biseksualny?

- Nie.

- Więc co was łączy?

- Przyjaźń.

- Tylko przyjaźń, co? - zapytała z niedowierzającym uśmiechem.

- Jak Hope i Cruvica? - odparowałem.

Natychmiast spoważniała.

- Rozumiem, że nie chce pani naruszać niczyjej prywatności, ale w sprawie takiej jak ta wszystko musi zostać sprawdzone - oświadczyłem.

- Więc proszę przyjść z nakazem sądowym... A jeśli nawet robili to trzy razy dziennie na jego biurku? Chociaż nie mówię, że tak było. Czyj to, do cholery, interes? Mike jej nie zabił, a kogo obchodzi, kto się z kim pieprzy? Zginęła, bo była sławna i wkurzyła tym jakąś świnię.

- Jak pani sądzi, kim może być ta świnią?

- Jest ich wokół zbyt wiele. Do znudzenia powtarzam to samo: mieliśmy z nią tylko przelotny kontakt. Tragedią jest, gdy ginie jakakolwiek kobieta, ale o tej właśnie nie jestem panu w stanie niczego powiedzieć.

Podniosła się ciężko, obeszła biurko i stanęła przy drzwiach.

- Proszę pozdrowić naszą żywą legendę. I powiedzieć mu, że cokolwiek zrobi, by przypodobać się swoim szefom, dla nich zawsze będzie tylko ekscentrykiem.

Kiedy znalazłem się w poczekalni, była tam tylko matka blondynki. Gdy przechodziłem obok, podniosła wzrok znad czytanego magazynu zatytułowanego „Prewencja”.

Wsiadając do swej Seville dostrzegłem, że truchtem biegnie w moją stronę. Drobna i krucha, miała wysoko osadzoną talię i przygarbioną sylwetkę. Jej wargi były tak wąskie, że wyglądały jak cienka kreska. Miała na sobie niebieskie dzinsy, białą bluzkę i wielobarwne miękkie buty.

- Pielęgniarka powiedziała mi, że jest pan psychiatrą.

- Psychologiem.

- Zastanawiałam się właśnie...

Uśmiechnąłem się zachęcająco.

- Tak?

Podeszła bliżej, skradając się jak nieufne zwierzę.

- Jestem doktor Delaware - przedstawiłem się, wyciągając rękę.

Obejrzała się na budynek kliniki. Gdy nad naszymi głowami nagle rozległ się głośny huk, aż podskoczyła. To lecąca nisko cessna, która zapewne wystartowała z prywatnego lotniska w Santa Monica. Odprowadziła wzrokiem samolot, kierujący się nad ocean. Gdy hałas przycichł, rzekła:

- Zastanawiałam się... czy nie będzie pan tu przypadkiem pracował?

- Nie.

- Och. - Wyraźny grymas zawodu. - Przepraszam, że pana niepokoiłam.

Odwróciła się na pięcie.

- Czy mógłbym pani w jakiś sposób pomóc? - zawołałem za nią.

Zatrzymała się. W nerwowym geście splotła ręce na piersi.

- Nie, jeszcze raz przepraszam.

- Na pewno? - zapytałem, podchodząc i kładąc jej rękę na ramieniu. - Ale o co idzie?

- Miałam nadzieję, że wreszcie zjawi się tu psycholog z prawdziwego zdarzenia.

- Dla pani córki?

Poruszyła się niespokojnie.

- Problemy wieku dorastania? - zagadnąłem.

Pokiwała głową.

- Ma na imię Chenise - powiedziała z przejęciem, jakby gotowa przeliterować imię. - Skończyła dopiero szesnaście lat.

Poklepała się po kieszeni na piersi.

- Rzuciłam palenie i staram się nie wrócić... Tak, problemy wieku dorastania. Doprowadza mnie do szaleństwa. Zawsze tak było. Ja... ona... byłam z nią już wszędzie... chyba w setce klinik, a nawet w szpitalu okręgowym. Zawsze dają byle studenta, który nie jest w stanie sobie z nią

poradzić. Ostatnio wylądowała na kolanach jednego z takich chłopaków, który nie wiedział, co ma z nią zrobić. Szkoła nie potrafi pomóc. Od dziecka przyjmuje różne lekarstwa... Tutaj zajmuje się nią doktor Cruvic. Powiedział, że powinniśmy skonsultować się z psychologiem i sprowadził jednego. Kobieta. Naprawdę dobrą. Bardzo komunikatywną. Oczywiście Chenise nie chciała do niej iść, ale jej kazałam. Wtedy... - obniżyła głos - coś się z nią stało... Z tą psycholog. - Pokręciła głową. - Na pewno nie zechce pan o tym słuchać... Muszę już wracać, bo badania powinny już chyba dobiegać końca.

- Psycholog, którą polecił doktor Cruvic, nazywała się doktor Devane?

- Tak - wyszeptała. - A więc pan wie, co się stało?

- Mówiąc szczerze, właśnie z tego powodu tu jestem, pani...

- Farney, Mary Farney. - Jej oczy rozszerzyły się. Były tak samo błękitne jak córki. Ładne. Kiedyś zapewne była atrakcyjną kobietą. Teraz wyglądała przede wszystkim na zmęczoną życiem, które mocno ją, widać, doświadczyło.

- Nie rozumiem.

- Jestem psychologiem, który współdziała z policją, pani Farney. Właśnie teraz pracuję nad sprawą zabójstwa doktor Devane. Czy pani...

Przerażenie w jej oczach.

- Myślę, że to ma coś wspólnego z tym miejscem?

- Nie, rozmawiamy po prostu z każdym, kto znał doktor Devane.

- Cóż, my właściwie jej nie znałyśmy. Jak już mówiłam, widziała Chenise tylko przez kilka minut. Ale polubiłam ją, bo znalazła czas, by mnie wysłuchać, błyskawicznie rozszyfrowała gierki Chenise... Ale to wszystko. Muszę już wracać.

- A co z doktorem Cruvicem?

- Nie rozumiem?

- Czy i on poznał się na Chenise?

- Tak, jest świetny. Ale nie widziałam go od... pewnego czasu.

- Od operacji?

- Nie było powodu. Chenise czuje się dobrze.

- A kto bada ją dzisiaj?

- Maribel, pielęgniarka. Muszę iść.

- Czy da mi pani swój adres i numer telefonu?

- Po co?

- Na wypadek gdyby policja chciała z panią porozmawiać.

- Nie, nie ma mowy. Nie chcę mieć z tym nic wspólnego.

Wyjąłem swoją wizytówkę i podałem jej.

- Po co mi ona?

- Jeśli coś przyjdzie pani do głowy.

- Na pewno nie - powiedziała, ale wsunęła kartonik do torebki.

- Dziękuję. A jeśli potrzebuje pani specjalisty dla Chenise, mogę znaleźć odpowiedniego.

- Nie, to nie ma sensu. Okręca sobie wszystkich wokół palca. Nikt nie potrafi się przed nią obronić.

Odjechałem.

Operacja chirurgiczna. Biorąc pod uwagę zachowanie Chenise Farney, nietrudno było odgadnąć jakiego rodzaju.

Cruvic i Hope wspólnie zajmowali się aborcjami.

Cruvic korzystający z konsultacji psychologicznych, bo zależy mu na pacjentkach? A może z innego powodu?

Nastolatka najwyraźniej z niskim ilorazem inteligencji. Pacjentka będąca jeszcze dzieckiem. Czyżby Cruvic krył swój tyłek?

Cruvic i Hope...

Holly Bondurant podejrzewała, że coś ich łączyło, a nerwowa reakcja Marge Showalsky potwierdzała tę hipotezę.

Uświadomiłem sobie, że Cruvic nas okłamał, twierdząc, że poznał Hope na balu dobroczynnym. Przecież Holly była pewna, że już wcześniej dobrze się znali.

Przecucia Milo znajdują potwierdzenie.

Coś więcej niż znajomość zawodowa?

Ale biorąc pod uwagę sprawę Mandy Wright, o czym by to miało świadczyć? Wszystko jednoznacznie wskazywało, że mieliśmy do czynienia z morderstwami, w których wyniku ginęły przypadkowe osoby.

Jakiś psychopata, wciąż na wolności, krążący wokół, obserwujący, planujący. Czekający na swą ofiarę pod osłoną cienistych drzew.

Przejeżdżałem przez Overland, gdy zauważyłem kawiarnię z posiłkami, więc zjechałem na pobocze. Kupiłem poranną gazetę i przeczytałem ją, jedząc burgera z hikorą i popijając colą. Później sięgnąłem po listę studentów, mających styczność z Komisją Stosunków Interpersonalnych.

Mogłem właściwie zakończyć ich sprawdzanie.

Pozostało troje, z którymi jeszcze nie rozmawiałem... Właściwie czworo, bo spotkanie z przerażoną Tessą Bowlby przecież się nie liczyło.

Wybrałem numer Deborah Brittain w Sherman Oaks. Głos z automatycznej sekretarki polecił, by nagrać się po usłyszeniu sygnału. Rozłączyłem się.

Reed Muscadine porzucił szkołę, więc rozkład jego zajęć nie był już przydatny.

Zatelefonowałem do niego. Z taśmy rozległ się głos:

- Halo, tu Reed. Nie ma mnie albo nie życzę sobie, aby mi przeszkadzano. Chcę jednak z tobą mówić, szczególnie jeśli, daj Boże, jesteś moją życiową szansą, cha, cha. Proszę więc, zostaw swoje namiary. Głodujący aktor także potrzebuje miłości.

Miękki, modulowany głos. Taki, którego właściciel potrafi wykorzystywać ten walor.

Jeśli był chory na AIDS, nie zburzyło to jego pogody ducha. Albo od dłuższego czasu po prostu nie zmienił tekst nagrania.

Głodujący aktor...? Nawet po uzyskaniu roli w operze mydlanej?

A może coś uniemożliwiło mu kontynuację pracy?

Mieszkał na Czwartej Ulicy. Jeśli dopisze mi szczęście, złapię go, gdy upał nieco zelżeje i dowiem się czegoś o stanie jego zdrowia oraz opinii na temat Hope Devane i komisji.

A jeśli szczęście naprawdę będzie mi sprzyjać, poznam także, co, u licha, tak wystraszyło Tessę Bowlby.

Pod adresem, gdzie mieszkał, stał dom stylizowany na zamek: dwie wieżyczki, jedna ponad frontowymi drzwiami, druga wieńcząca prawe naroże budynku. Starsza kobieta w słomkowym kapeluszu o szerokim rondzie klęczała na chodniczku i wyrwała chwasty. Kiedy gasiłem silnik sevilla, podniosła się i wsparła dłonie na biodrach. Miała na sobie ogrodniczki z gumowymi wzmocnieniami na kolanach. Jej skóra była pomarszczona, lecz oczy uderzały swą przenikliwością.

- Dzień dobry. Szukam Reeda Muscadine'a.

- Mieszka w tylnej części domu. - Nagle zamarła, jakby pożałowała udzielenia tej informacji. - Kim pan jest?

Wysiadłem z samochodu i okazałem policyjny identyfikator.

- Doktor?

- Jestem psychologiem. Współpracuję z policją - wyjaśniłem. Popatrzyłem w głąb ścieżki. Mieszkanie znajdowało się nad garażem i prowadziły do niego wąskie, strome schody.

- Nie ma go teraz. Nazywam się Green i jestem właścicielką tego domu. Co się stało?

- Przeprowadzam rozmowy w związku ze sprawą zabójstwa. Od razu zastrzegam, że Reed nie jest podejrzanym, a jedynie osobą znającą ofiarę.

- A kim jest ta ofiara?

- Profesorka z uniwersytetu.

- I znał ją?

Pokiwałem głową.

- Mieszkam tu już czterdzieści cztery lata i nigdy nie znałam żadnej ofiary zabójstwa - powiedziała. - Teraz niebezpiecznie jest już nawet wyjść z domu. Przyjaciół mojej siostrzenicy jest policjantem w Glendale. Mówi, że policja nie jest w stanie interweniować, dopóki ktoś nie zostanie ranny albo zabity. Kazał jej kupić broń i nie rozstawać się z nią. Ja zrobiłam to samo. Mam też Sammy.

Gwizdnęła dwukrotnie. Usłyszałem coś jakby trzask uderzających o ścianę drzwi i potężny, płowy pies z ciemnym pyskiem o ponurym wyrazie wypadł zza domu. Budząca respekt postura... czyżby kuzyn Spike'a? Ale ten ważył chyba z pięćdziesiąt kilo i widać było wyraźnie jego okazałe umięśnienie.

Pani Green uniosła dłoń i pies się zatrzymał.

- Mastiff? - zapytałem.

- Bullmastiff. Jedyna rasa stworzona specjalnie do walki z ludźmi. Wyhodowano je w Anglii, żeby tępiły kłusowników. Chodź tu, moja malutka.

Zwierzak wciągnął do płuc powietrze, opuścił łeb i ruszył powoli, majestatycznie poruszając barkami i potężnymi łapami. Z pyska kapiała mu ślina. Miał małe, ciemne oczka, które wciąż badawczo mi się przyglądały.

- Cześć, Sammy - powiedziałem.

- Samantha. Suki lepiej nadają się do obrony... No chodź, kluseczko.

Zwierzę obwąchało moje kolana i pytająco popatrzyło na swoją panią.

- Tak, tak, możesz go pocałować.

Potężny, szorstki język przejechał mi po dłoni.

- Słodziutka.

- Jeśli nie narazi się jej, to rzeczywiście. Ale w przeciwnym wypadku... - Jej śmiech był równie suchy jak skóra. Pies ocierał się o nogi swej pani, a ona klepała go czule.

- Nie wie pani przypadkiem, kiedy Reed może wrócić?

- Nie, jest aktorem.

- Nie normowany czas pracy?

- Teraz pracuje jako kelner w Valley.

Z mydlanej opery do takiej roboty?

- Brak szczęścia? - zapytałem.

- Proszę go za to nie winić. Niech pan mi wierzy, to ciężki kawałek chleba. Sama kiedyś grałam, głównie w epizodach, ale miałam swoje trzy minuty w „Night After Night”. To film z Mae West. Klasyk. Chcieli, żeby wypadła jak byle statystka, ale ona była sprytniejsza od nich wszystkich razem wziętych. Powinnam była kupić nieruchomości z prawdziwego zdarzenia jak ona. Zamiast tego wyszłam za męża.

Otrzeptała spodnie i poklepała sukę po grubym karku.

- A więc jakaś profesorka zginęła, a pan rozmawia ze wszystkimi studentami?

- Staramy się niczego nie przeoczyć.

- Cóż, jak mówiłam, Reed jest porządnym chłopcem. Zazwyczaj w terminie płaci czynsz, a kiedy wie, że nie będzie miał pieniędzy, zawczasu mnie uprzedza. Czasami daruję mu część płatności, bo jest taki duży, silny i bardzo mi pomaga. Jest też dobry dla Sammy, więc kiedy wyjeżdżam do siostry, do Palm Springs, mam z kim ją zostawić. Mówiąc prawdę, przypomina mi mojego męża... Stan zajmował się rozstawianiem sprzętu w ekipie filmowej. Nikt nie miał tak wspaniałych mięśni jak on. Wcześniej, dopóki nie złamał obojczyka dublując Keatona, był kaskaderem. Moja córka także pracuje w branży: zajmuje się scenariuszami dla CAA. Nic dziwnego, że mam słabość do filmowców. Dlatego właśnie wynajęłam Reedowi mieszkanie, biorąc

tylko czynsz za pierwszy miesiąc. Zazwyczaj życzę sobie przedpłaty co najmniej za dwa. Jest idealnym lokatorem. Nawet gdy musiał leżeć, nie miałam z nim specjalnego kłopotu.

- Dlaczego musiał leżeć?

- Kilka miesięcy temu wypadł mu dysk, kiedy dźwigał te swoje ciężary... O, proszę, sam będzie pan mógł z nim pomówić.

Na podjazd zajechał żółty, poobijany i rdzewiejący volkswagen.

Jak dotąd nie dorobił się porsche.

Mężczyzna, który wysiadł z wozu, był starszy niż przypuszczałem - miał około trzydziestki. I był rzeczywiście potężny. Prawie dwa metry wzrostu, mocno opalony, z jasnoszarymi oczami i długimi, gęstymi ciemnymi włosami zaczesanymi do tyłu i opadającymi na potężne ramiona. Miał wyrazistą twarz, idealna dla kamery. A wgłębienie w podbródku przywodziło na myśl Kirka Douglasa. Był ubrany w szarą koszulkę bez rękawów, odsłaniającą ramiona grube jak uda dorosłego mężczyzny, czarne szorty i sandały włożone na gołe stopy. Spróbowałem wyobrazić go sobie z Tessą Bowlby. Bezskutecznie.

Zmierzył mnie wzrokiem. W jego oczach widać było ciekawość i przenikliwość jednocześnie. Tarzan z wysokim IQ. W ręku trzymał brązową papierową torbę. Wręczył ją pani Green i uśmiechnął się swobodnie.

- Jak się masz, Maidie. Cześć, Sam.

Głaszcząc bullmastiffa, znów zerknął w moją stronę. Pies, czując jego dotyk, położył po sobie uszy, a jego pysk przybrał dobroduszny wyraz. Różowy język oślinił palce Reeda.

- Tak sobie. Ten facet jest z policji, ale to nie glina. Psycholog. Przyjechał tu, żeby pomówić o jakiejś twojej profesorce, która została zabita.

Brwi Muscadine'a uniosły się.

- Mojej profesorce?

- O Hope Devane - wyjaśniłem.

- Aha... Popatrz, Maidie, mam dla ciebie świeże owoce.

- Na pewno ze sklepu ze zdrową żywnością?

- Ależ oczywiście.

- A nie uważasz, że to dzięki tym wszystkim konserwantom tkwiącym w jedzeniu tak dobrze się jeszcze trzymam? - Zajrzała do torby. - O, gruszki! O tej porze? Musiały kosztować fortunę.

- Kupiłem tylko dwie - rzekł Reed nieco zażenowany. - Ale popatrz, jakie są dorodne. - Odwrócił się w moją stronę. - Psycholog?

- Współpracuję z policją.

- Nie rozumiem.

- Interesuje mnie działalność profesor Devane w komisji.

- Aha. Wejdzie pan do mnie?

- Devane? - powtórzyła pani Green wyraźnie zaintrygowana. - Nazwisko brzmi znajomo.

- Została zamordowana w Westwood - wyjaśnił Muscadine. - Jakież trzy miesiące temu?

Przytaknąłem ruchem głowy.

- A, to ta, która napisała jakąś książkę. Była twoim profesorem, Reed?

- Miałem z nią zajęcia - powiedział, zerkając na mnie.

- Profesor - mruknęła starsza pani kręcąc głową. - W takiej okolicy. Co za świat... Dziękuję za gruszki, Reed.

- Nie ma za co, Maidie.

Obaj ruszyliśmy w stronę stromych schodów.

- Nie trwoń tak pieniędzy - zawołała za nim pani Green. - Poczekaj, aż będziesz już gwiazdą.

Kiedy doszliśmy do stóp schodów, powiedział cicho:

- Proszę zgadnąć, ile ma lat.

- Osiemdziesiąt?

- Za miesiąc kończy dziewięćdziesiąt. Może i ja powinienem jeść więcej konserwantów.

Pokonywał trzy schodki za każdym krokiem i, zanim ja wspiałem się na górę, on już zdążył otworzyć drzwi.

Wewnątrz na dwóch ścianach znajdowały się lustra, pozostałe zaś były pomalowane na białe. Środek pokoju zajmowała potężna, chromowana maszyna do ćwiczeń siłowych, płaska ławeczka do wyciskania, sztanga, a pod ścianą tkwił jeszcze stojak pełen sztangielek. Obok piętrzyła się piramida obciążników do sztangi. Podwójne okno z dziwnie prezentującymi się tu cieniutkimi zasłonami wychodziło na kwitnące drzewa pomarańczowe. Pod oknem stały jeszcze: mechaniczna bieżnia, stepper, rower treningowy i podwójny materac na stelażu z jasnego drewna. Leżąca na nim pościel była czarnego koloru. Spróbowałem sobie wyobrazić mocujących się tutaj Tessę i Reeda.

Jedynymi typowymi meblami oprócz łóżka były tu tania nocna szafeczka i komplet kuchenny. Na aluminiowym wieszaku na kółkach wisały równo koszule, marynarki, spodnie i sportowe stroje. Nie było tego wiele, ale na pierwszy rzut oka widać było, że wszystkie są dobrej jakości. Na podłodze pod ubraniami stały dwie pary miękkich mokasynów, brązowe pantofle, czarne traperki i kowbojki.

Na kuchennej ladzie z płytą grzejną stał jedynie mikser. Obok niewielka lodówka oraz dwa stalowo-plastikowe stołki. Muscadine podsunął mi jeden z nich i rzekł:

- Przepraszam, ale niczym więcej nie dysponuję.

Usiedliśmy.

- Dziękuję, że nie powiedział pan przy Maidie czegoś więcej o komisji. Jest wyjątkowo wyrozumiała, jeśli chodzi o czynsz, więc nie chciałbym popsuć naszych dobrych stosunków.

Ostentacyjnie powiodłem wzrokiem po zgromadzonym wokół sprzęcie treningowym.

- Ciekawe umeblowanie.

- Kiedyś pracowałem w klubie, który zbankrutował. Kupiłem je za półdarmo.

- Byłeś trenerem?

- Doglądałem tylko sali. W podrzędnym klubiku. Wiem, że zgromadzenie takiej ilości sprzętu w tak małym pomieszczeniu wygląda nie najlepiej, ale w mojej sytuacji jest znacznie lepszym rozwiązaniem niż opłacanie abonamentu w jakimś klubie. A przecież moje ciało stanowi klucz do kariery.

W pokoju było bardzo ciepło i wręcz duszno, a on miał na sobie grubą koszulkę. Mimo to jego skóra była idealnie sucha. Poprawił włosy i roześmiał się.

- No, może nie do końca. Ale niestety intelekt nie uzyskuje najwyższej ceny. Liczy się głównie wygląd, a więc od pewnego wieku znacznie trudniej jest zaistnieć.

- Od jakiego wieku?

- To zależy od osoby. Ja mam trzydzieści jeden lat i jak na razie nie narzekam.

- Wygląd? Podczas castingu?

- Niby sprawdza się umiejętności aktorskie kandydatów do roli, ale przede wszystkim liczy się prezencja.

- Od jak dawna zajmujesz się aktorstwem?

- Od kilku lat. Uzyskałem dyplom z ekonomii i przez kilka lat pracowałem w księgowości. W końcu miałem już dość cyferek i poszedłem na studia podyplomowe z aktorstwa. Może napije się pan czegoś?

- Nie, dziękuję.

- Ja z przyjemnością coś łyknę.

Otworzył lodówkę i spośród kilkunastu stojących tam butelek wody mineralnej wybrał jedną. Dostrzegłem, że był tam jeszcze tylko grapefruit.

Odkręcił zakrętkę dwoma palcami i pociągnął duży łyk.

- Dlaczego rzuciłeś naukę? - zapytałem.

- Wieści szybko się rozchodzą. Kto panu powiedział?

- Profesor Dirkhoff.

- Dobry, stary profesor. Stara królowa na swoim tronie. Jest na mnie wkurzony. Uważa, że powinienem poświęcić jeszcze co najmniej dwa lata na rozwijanie „drzemiących we mnie możliwości”.

Zgiął ramię i obrócił dłoń.

- Może powinienem zaskarżyć Dirkoffa przed komisją. To dopiero zaskoczyłoby Devane.

- Dlaczego?

- Nie byłoby wówczas kobiety ofiary. A o to przecież w tym wszystkim chodziło: mężczyźni przeciw kobietom. Gdy tylko się tam znalazłem, trafiłem pod ciągły ostrzał. - Wzruszył ramionami i wlał do gardła resztkę płynu. - Więc rozmawia pan ze wszystkimi mającymi coś wspólnego z komisją.

- Tak.

- Wprawdzie zapewniali, że wszystko zostanie utrzymane w tajemnicy, ale po tym morderstwie miałem co do tego poważne wątpliwości. Ale dlaczego psycholog... jak właściwie się pan nazywa?

Pokazałem mu swój identyfikator. Przeczytał go uważnie i znów zmierzył mnie wzrokiem.

- Wciąż nie rozumiem, jaką rolę pan tu odgrywa.

- Policja zwróciła się do mnie, żebym porozmawiał z ludźmi znającymi profesor Devane i spróbował sporządzić portret psychologiczny ofiary.

- Po co to? Choć właściwie to dość ciekawe. Byłem przekonany, że zrobił to jakiś świr, może zwariowany czytelnik jej książki. Wcześniej już słyszałem, a potem przekonałem się na własnej skórze, że zachowywała się wrogo w stosunku do mężczyzn.

- Rzeczywiście była do nas wszystkich wrogo nastawiona?

- Jak najbardziej. Oskarżenie o gwałt naprawdę mnie wkurzyło... I do kompletu uznanie mnie winnym. Chociaż chyba w rezultacie wyszło mi to na dobre, bo mój stosunek do uczelni zmienił się na tyle, że postanowiłem spróbować innych możliwości... Widział się już pan z tą dziewczyną, która mnie oskarżyła?

- Wczoraj. Wyglądała na przerażoną.

Jego szare oczy rozszerzyły się.

- Czym?

- Ciebie zamierzałem o to zapytać.

- Myśli pan... O nie, na Boga, trzymałem się już z dala od niej. Najlepiej byłoby, gdybyśmy żyli na dwóch różnych planetach. Potrzebny jest jej ktoś taki jak pan. Jedna noc z nią wystarczyła mi w zupełności.

- Dlaczego tak uważasz?

- Była jakaś dziwna. Zupełnie nie dało się przewidzieć, co zrobi.

Sięgnął po kolejną butelkę.

- Denerwuje mnie myśl, że może właśnie to mnie w niej pociągało. Ta jej nieobliczalność.

Bo nie jest zupełnie w moim typie.

- A jakie cię interesują?

- Normalne dziewczyny. I mówiąc szczerze, prezentujące się znacznie lepiej. Ogólnie mówiąc, lubię dziewczyny, które dbają o siebie... O swoje ciało.

- Tessa nie była taka?

- Widział ją pan. Ona jest wprost uosobieniem smutku.

- A więc sądzisz, że pociągała cię jej nieobliczalność?

- To i... sam nie wiem... pewna, jakby ukryta atrakcyjność. Mogłaby być z niej całkiem ładna dziewczyna. - Wzruszył ramionami. - Sam już nie wiem, mimo że staram się to zrozumieć...
Mówiła, jak się poznaliśmy?

- Może przedstawiś mi swoją wersję?

- Zwykła znajomość z kampusu. Na początku wszystko wyglądało tak normalnie... Byliśmy w studenckiej stołówce i jedliśmy, gdy nagle nasze spojrzenia spotkały się i... bum. Zwróciliśmy na siebie uwagę. Miała gorące spojrzenie, bardzo uduchowione. Tak, bez wątplenia jest w niej coś atrakcyjnego. Cokolwiek się stało, było wynikiem obopólnego zaangażowania.

Pokręcił głową, kołyszając ciemną grzywą.

- Może to czysta biochemia. Czytałem o pewnych związkach wzmagających seksualne zainteresowanie, o feromonach. Może więc oboje znajdowaliśmy się wtedy w chemicznej harmonii? Jakkolwiek by się to nazywało, wystąpiło u obu stron. Za każdym razem, gdy spoglądałem na nią, łapałem także i jej wzrok. Wreszcie podszedłem i usiadłem obok, a ona jeszcze się do mnie przysunęła. Dwie minuty później zapytałem, czy się ze mną umówi, a Tessa bez wahania się zgodziła, jakby zdziwiona, że wstęp do wystąpienia z taką propozycją trwał tak długo. Owego wieczora zabrałem ją spod akademika. Kino, kolacja, rozmowa, ale od samego początku jasne było, że to tylko uwertura poprzedzająca to, co... nieuniknione. Sama zaproponowała, żebyśmy tu przyjechali. Nie byłem zachwycony, bo z pewnością to nie rezydencja „Playboya”, ale powiedziała, że w akademiku jest za duży ruch. Przywiozłem ją więc do siebie, zrobiłem drinki i poszedłem do łazienki, a kiedy wróciłem, ona była tam.

Wskazał materac w rogu.

- Miała na sobie tylko kusą halkę. Na mój widok uśmiechnęła się i rozłożyła nogi.

Wszystko działo się tak szybko... - Klasnął w swe potężne dłonie. - Jak zderzenie. Oboje

szczytowaliśmy. Mówiąc szczerze, ona była nawet pierwsza. I nagle zupełnie niespodziewanie wysunęła się spode mnie i zaczęła płakać. Staralem się coś zrobić, ale ona tylko mnie odepchnęła. Płakała coraz mocniej, aż dostała ataku hysterii. I zachowywała się coraz głośniej. A ostatnią rzeczą, jakiej chciałem, było obudzenie się Maidie albo Sammy. Położyłem więc dłoń na jej ustach, bez użycia siły, tylko żeby spróbować ją uspokoić, a ona mnie ugryzła. Wtedy wstałem i odsunąłem się od niej. Byłem kompletnie zdezorientowany. Chwilę wcześniej kochaliśmy się, a teraz chciała rzucić się na mnie z pazurami. Pomyślałem, że trzeba być skończonym idiotą, żeby poderwać taką dziewczynę. Nagle zaryczała jak dzikie zwierzę, poderwała się, pospiesznie włożyła majteczki i biegiem ruszyła po schodach w dół. Pobiegłem za nią, bo zupełnie nie wiedziałem, o co tu chodzi. Nie chciała rozmawiać, tylko biegła przed siebie. I wtedy Sam zaczęła szczekać, a w oknie Maidie zapaliło się światło.

- Wyszła przed dom?

- Zanim zdążyła, nas już dawno nie było. Kiedy Tessa wybiegła na ulicę, od razu skierowała się na pomoc. Zacząłem tłumaczyć, że jest późno, że zabiorę ją do domu, ale warknęła jedynie, żebym się odpieprzył i że pójdzie sama. Tyle tylko, że do kampusu jest stąd dobre dziesięć kilometrów. Kilkakrotnie próbowałem ją uspokoić, przekonać, ale wciąż groziła, że zacznie krzyczeć, więc wreszcie zrezygnowałem. - Westchnął głośno. - To dla mnie niepojęte. Całe dni rozmyślałem, starając się ją zrozumieć, i doszedłem do wniosku, że być może w przeszłości była molestowana lub zgwałcona i w takich właśnie chwilach miewa przykre wspomnienia. Nagle miesiąc później otrzymałem wezwanie, by stawić się przed komisją. To było jak niespodziewany cios tutaj. - Wskazał splot słoneczny. Dopiero później dowiedziałem się, że wcale nie miałem obowiązku posłuchać wezwania. Ale pismo wyglądało na oficjalne.

- A co sądzisz o poleceniu komisji, abyś poddał się badaniu na obecność wirusa HIV?

- I o tym pan wie?

- Dysponujemy zapisami poszczególnych sesji.

- Zapisy? O, cholera. Zostaną podane do publicznej wiadomości?

- Nie, jeśli okaże się, że nie mają nic wspólnego z morderstwem.

Podrapał się w czoło.

- Jezu... W naszej branży istnieje przekonanie, że im gorszą się ma prasa, tym lepiej, ale prawidłowość ta dotyczy jedynie znanych już osób. Ja jestem nikim. Byłbym skończony, gdyby zaczęto podejrzewać mnie o gwałt lub AIDS.

- A więc wynik był negatywny?

- Oczywiście! A wyglądam na chorego?

- A jak twoje plecy?

- Plecy?

- Pani Green powiedziała, że właśnie przez nie jakiś czas musiałeś spędzić w łóżku.

- Ach, to. Wskoczył mi dysk. Przez własną głupotę. Pewnego ranka, czując się wyjątkowo mocny, podszedłem do stu siedemdziesięciu pięciu kilo w wyciskaniu. Nagle jakby ktoś dźgnął mnie nożem. Nie mogłem się podnieść dobrą godzinę. W łóżku spędziłem cały miesiąc. Pani Green przynosiła mi jedzenie. To dlatego teraz staram się kupować jej jakieś drobne przysmaki. Jeszcze obecnie czuję czasami w plecach klucie, ale poza tym jestem we wspaniałej formie. I na sto procent nie mam AIDS.

Powtórzyłem pytanie o wrażenia dotyczące samego przebiegu badania.

- Jak się czułem? Strasznie. A pan czułby się inaczej? Byłem wściekły. To naprawdę przypominało przedstawienie żywcem wyjęte z Kafki. Czy inni przesłuchiwanym też musieli to przechodzić?

- Nie mogę powiedzieć.

Długą chwilę patrzył na mnie w milczeniu.

- W porządku... na tym zakończyła się moja znajomość z profesorem Devane. Sądzi pan, że coś na ten temat może trafić do prasy?

- To zależy wyłącznie od tego, kto okaże się zabójcą.

Zamyślił się.

- Czy naprawdę przypuszcza pan, że ta idiotyczna komisja może mieć jakiś związek z jej śmiercią?

- A zdziwiłoby cię to?

- Oczywiście. Rozmowa była nieprzyjemna, ale na dobrą sprawę komitet nie mógł tak naprawdę nikomu zaszkodzić. Nie wyobrażam sobie, żeby z tak błahego powodu można było kogoś zabić. Właściwie dla mnie żaden powód nie jest w stanie rozgrzeszyć mordercy. - Ziewnął dyskretnie. - Przepraszam, ale jeśli to już wszystko, muszę się zdrzemnąć. O osiemnastej mam być w pracy.

- Czyli gdzie?

- Delvecchio's. - Skłonił się i wykonał ruch, jakby wycierał stół. - Jaki ma być stek?

Krwisty?

- Profesor Dirkhoff mówił, że dostałeś pracę jako aktor.

Jego przystojna twarz pociemniała.

- Niestety.

- Co się stało?

- Potknięcie. Tak, rzeczywiście już, już angażowano mnie, więc tego samego dnia rzuciłem szkołę. I tak zamierzałem odejść. Zajęcia były zbyt teoretyczne. Strata czasu.

- I nie wyszło?

- Skończyło się na rozmowach wstępnych. Mówiąc szczerze, rozmowa przebiegła bardzo dobrze, a mój agent był już tak pewien sukcesu, że i ja poczułem się bardzo pewnie. Ale w końcu ktoś inny dostał tę rolę.

- Dlaczego?

- Nie mam pojęcia. Nie uznali za stosowne, żeby mi to wyjaśnić.

- Gdzie miałeś zagrać?

- W jakiejś mydlanej operze. Niezależna produkcja dla jednej z kablówek.

- Weszła do produkcji?

- Nie wiem. Wtedy jeszcze wszystko było na etapie planów. Nie mieli nawet tytułu. Wiem tylko, że to coś o szpiegach i dyplomatach z zagranicznych ambasad. Szefowa castingu wstępnie zaoferowała mi rolę takiego niby Jamesa Bonda. Przepaska na oku i wszystkie kobiety wokół oszalały z miłości. A później zachwycona złapała mnie za tyłek. I tu już nie mogłem odwołać się do pomocy jakiegokolwiek komisji.

Milo o siódmej przyjechał do mnie do domu prosto z lotniska. Sprawiał wrażenie bardzo zmęczonego.

- Gdzie twoje adidasy? - zapytałem na przywitaniu. .

Spojrzał na swoje podniszczone traperki.

- Postanowiłem przywdziać bardziej wyjściowy strój.

Usiadł przy stole kuchennym i wyjął z teczki zdjęcie. Kolorowa podobizna dziewczyny z długimi, gęstymi, ciemnymi włosami, mocnym makijażem, lekko rozchylonymi ustami i pełnymi zdumienia oczami koloru kawy z ekspresu.

Miała na sobie białą sukienkę z głębokim dekoltem, odsłaniającym pełne piersi. Szyję opasywała szeroka kolia. W uszach kolczyki z brylantami. Zbyt dużymi, by mogły być prawdziwe. Zapewne za pomocą jakiejś maszyny specjalnie rozwiewano jej z przodu włosy, aby wyglądała bardziej pociągająco.

W dole znajdował się podpis:

AMANDA WRIGHT

AKTORKA I TANCERKA

REPREZENTOWANA PRZEZ ONYX ASSOCIATES

- To jej agenci? - zapytałem.

- Na posterunku w Vegas powiedzieli mi, że to już nie istniejąca agencja, zajmująca się werbowaniem pańek tańczących topless w kasynach. Mandy wcale nie figurowała w kartotece policyjnej, choć w przypadku droższych, bardziej wymagających kociaków jest to dosyć powszechne. Udało mi się ustalić, że była panną, lubiła się bawić, paliła trawę, a czasami sięgała po prochy i kokę. Jej ostatnim chłopakiem był krupier blackjacka, nazwiskiem Ted Barnaby, także sympatyk koki. Wkrótce po jej śmierci przeprowadził się do Reno. Ci z Vegas przesłuchiwali go dzień po dokonaniu morderstwa. Był gotów do współpracy i miał alibi: całą noc pracował, co zostało potwierdzone. Poza tym jej śmierć zrobiła na nim duże wrażenie.

- Ale się przeniósł.

- Nie zwracałbym na to zbytnej uwagi, bo pracownicy kasyn bardzo często jeżdżą z miasta do miasta. Jeden z detektywów zawiózł mnie na miejsce zdarzenia.

Typowa dzielniczka klasy średniej - cisza i spokój. Znacznie mniej drzew niż tam, gdzie mieszkała Hope, ale tuż przed domem Mandy rósł rozłożysty eukaliptus. Właśnie pod nim zabójca

rzucił się na nią. Chłopcy z Vegas, tak jak i ja, poszukiwali podobnych przypadków w całym kraju. Na razie nic, ale robota nie została jeszcze skończona.

- Są może jakieś potwierdzenia, że Mandy bywała w Los Angeles?

- Jak dotąd nie. Wynajmowała ten sam dom od niemal trzech lat. Wychowywała się na Hawajach, tam także nie notowana. Nie zdziwiłbym się, gdyby od czasu do czasu wpadała do Los Angeles, ale sprawdzenie jej kart kredytowych nie potwierdziło tego. Jeździła za to w inne rejony.

- Dokąd?

Sięgnął do teczki po gruby, czarny skoroszyt, który położył obok zdjęcia. Otworzył go i wodząc kciukiem analizował wydruki korzystania z kart Visa i MasterCard w ciągu ostatnich dwóch lat jej życia.

Miesięcznie wydawała od pięciuset do czterech tysięcy dolarów. Mnóstwo przeterminowanych płatności. Dwukrotnie miała na koncie debet. W obu przypadkach unieważniano jej kartę i musiała na nowo zakładać sobie konto u konkurencji.

Przebiegłem wzrokiem po wyszczególnieniu wydatków. Przede wszystkim ubrania, kosmetyki, biżuteria i jedzenie w restauracjach. Informacje o podróżach zostały zakreślone. Dwanaście lotów: po dwa do Aspen i Park City w Utah, sześć do Honolulu, po jednym do Nowego Jorku i Nowego Orleanu.

- Cóż za podróżniczka - mruknąłem. - W interesach?

- Na Hawajach mogła odwiedzać brata, ale pozostałe chyba tak. Ośrodki sportów narciarskich. Czyżby występowała w roli bałwanka do wzięcia? W Nowym Orleanie była podczas Mardi Gras, a do Nowego Jorku takie jak ona mają po co latać przez cały rok.

- Ale w Los Angeles nie była ani razu. A przecież powinna. Nie wydaje ci się dziwne to, że latała wszędzie, tylko nie tutaj?

- Może nie lubi smogu. Albo przyjeżdżała tu samochodem. Ale masz rację. Mnóstwo dziewczyn regularnie robi wypadki na pustynię. W zeszłym roku mieliśmy nawet jakieś mężatki z Westside, które „popracowały” w motelu, zdążyły jeszcze do domu, żeby ugotować obiad. Może więc Mandy miała w Los Angeles stałego klienta, któremu bardzo zależało na dyskrecji. - Puknął palcem w fotografię. - Dziewczyna taka jak ona z łatwością mogła omotać jakiegoś bogacza, któremu bardzo zależało na utrzymaniu podobnej znajomości w tajemnicy przed żoną.

Milo sięgnął do lodówki po piwa, a ja przejrzałem w tym czasie cały skoroszyt, rozpoczynający się od podsumowania przesłuchania Teda Barnaby. Właściwie był to pojedynczy akapit napisany przez detektywa A. Holzera, który rozmawiał z chłopakiem, zanim ten wyjechał do Reno. Barnaby „zalał się łzami i okazał inne przejawy żalu. Nie formułował żadnych domysłów co do ewentualnych motywów. Przyznał, że wiedział, iż ofiara uprawiała nierząd i właśnie dlatego nie

mieszkali razem. Twierdziła, że potrzebuje mieć oddzielne lokum”. Podejrzany przyznał, że profesja ofiary nie podobała mu się i wielokrotnie na tym tle dochodziło między nimi do scysji, ale wreszcie zaakceptował ten stan rzeczy. Jego alibi zostało potwierdzone przez szefa kasyna Franklina A. Varese oraz dwoje innych krupierów: Sandrę Boething i Luisa Maldonaro.

Dalej znajdowały się: raport z sekcji zwłok i wyniki analiz laboratoryjnych.

Badania toksykologiczne ujawniły niewielką ilość kokainy we krwi zamordowanej Mandy Wright.

Zbrodnia została popełniona o pomocy. Hope zadźgano tuż po dwudziestej trzeciej.

Przekręciłem stronę.

Opis popełnienia zbrodni, niemal wierna kopia znajdującego się w aktach Hope.

Pierwszy cios w serce spowodował zatrzymanie jego akcji, a więc natychmiastową śmierć. Wcześniej Mandy Wright odznaczała się idealnym stanem zdrowia. Żadnych chorób wenerycznych czy AIDS. Najmniejszych śladów chorób, leczniczych zabiegów operacyjnych czy też obrażeń, z wyjątkiem uszkodzeń nozdrzy, prawdopodobnie na skutek zażywania kokainy.

W ostatnim akapicie zwracano uwagę na powiększenie otworu odbyтового i wewnętrzne mikroobrażenia wskazujące na częste stosunki analne, ale stwierdzono jednocześnie, że w ciągu ostatniej doby przed śmiercią nie odbywała dopochwowego stosunku płciowego. Pośmiertne oględziny organów płciowych nie ujawniły żadnych zmian patologicznych, lecz zauważono zmiany świadczące o przebytej ciąży.

Zatrzymałem się na ostatnim zdaniu raportu:

„Stwierdzono podwiązanie jajowodów, które wykonano zapewne na rok do dwóch przed śmiercią”.

- Sterylizacja? - zdziwiłem się. - Żadnych wzmianek o dzieciach?

Milo pokręcił głową.

- Wszystko wskazuje na to, że była w ciąży - ciągnąłem. - A ponieważ nie miała dzieci, więc w grę wchodzi aborcja lub poronienie. Musiało to nastąpić przed podwiązaniem jajowodów albo obu zabiegów dokonano jednocześnie. To bardzo dalekie skojarzenie, ale zauważ, że właśnie tym zajmuje się doktor Cruvic. A jeśli to właśnie on stanowi łącznik tych dwóch spraw?

Odstawił piwo.

- Przecież są tysiące lekarzy zajmujących się tym samym. To rzeczywiście bardzo dalekie skojarzenie.

- Mówię wyłącznie to, co przychodzi mi do głowy. Przestać?

- Nie, nie, mów dalej.

- Cruvic ma pieniądze. Jeździ bentleyem i bardzo elegancko się ubiera. Stać go, żeby płacić gotówką za regularnie odwiedziny ekskluzywnej prostytutki.

- Najpierw odwiedzała go w charakterze pacjentki, a teraz płatnej kochanki?

- Jedno nie wyklucza drugiego. Może właśnie dlatego sam przeprowadził operację, nie powierzając jej koledze po fachu z Vegas? Cholera, mógł być nawet ojcem tego dziecka. Przyłapaliśmy go już przecież na jednym kłamstwie: znali się z Hope przed balem dobroczynnym. Dlaczego chciał to przed nami zataić? Niewykluczone, że masz rację. Może ich znajomość to coś więcej niż przyjaźń. Mamy-w tym względzie dodatkowe poszlaki.

Opowiedziałem mu o Holly Showalsky i relacji Holly Bondurant dotyczącej tego, co widziała na parkingu.

- Do tego dochodzi jeszcze sprawa regulowania płatności należących się Hope. Coś tu cuchnie. Na dodatek dowiedziałem się dzisiaj, że jest gotów nie respektować także innych obowiązujących go zasad.

Powtórzyłem rozmowę z Mary Farney.

- Przeprowadzenie operacji na niezrównoważonej psychicznie nieletniej to lekarskie przestępstwo. Może zmuszał Hope, żeby go kryła. A może zaangażowali się także w inne nielegalne działania?

- Na przykład?

- Kto wie? Nadużycia finansowe albo jeszcze coś gorszego. Może pobierali jajeczka od płodnych kobiet i sprzedawali je tym, które chciały urodzić dziecko.

- A gdzie w tym wszystkim znalazłoby się miejsce dla Mandy?

- Tu już naprawdę improwizuję. Mogła być dawczynią jajeczek jako młoda, zdrowa dziewczyna. I dowiedziała się czegoś, o czym nie powinna była wiedzieć. Może próbowała szantażować Cruvica? Albo Cruvic jest po prostu typem mężczyzny, który z miłości zabija. Do diabła, mógłbym snuć takie przypuszczenia jeszcze przez kilka godzin, ale chodzi mi o jedno: przecucie podpowiada mi, że należy uważniej mu się przyjrzeć.

Milo wstał i zaczął wolno spacerować.

- Obaj zwróciliśmy uwagę, że Cruvic sprawiał wrażenie ożywionego i pełnego sił witalnych. Sam twierdził, że po prostu utrzymuje się w dobrej kondycji, ale może zażywa kokainę i to jest nasze powiązanie z Mandy. Chociaż z drugiej strony sekcja zwłok Hope nie wykazała, żeby miała w sobie jakieś świństwo albo je kiedykolwiek używała. I znów zatoczyliśmy pełne koło: jeśli rzeczywiście miała romans z Cruvicem albo Lockingiem, bądź kimkolwiek innym, Seacrest mógł się o tym dowiedzieć i stwierdzić, że ma już dość takiego wodzenia za nos.

- Ale w takim razie co łączyłoby Seacresta z Mandy?

W milczeniu spacerował długą chwilę.

- Nie tylko rozrywkowi faceci szukają towarzystwa młodych kobiet - powiedział wreszcie. - Mało znaczący profesor w średnim wieku także może potrzebować gorącej przyjaciółki. A człowiek o takiej pozycji jak on miałby powód, aby płacić gotówką i starać się zachować tę znajomość w tajemnicy. Na dodatek jeśli ta dziewczyna miała świadomość, że może zrujnować jego karierę, i zaczęła go szantażować, to, nie widząc innego wyjścia, mógł przerwać tę znajomość: serce, krocze, plecy. A po pierwszym powodzeniu może uznał, że żona zasłużyła sobie na taki sam los.

- Nie brakuje ci wyobraźni - mruknąłem.

- Wywierasz na mnie korzystny wpływ.

- W porządku, jeśli już układamy takie scenariusze, to co sądzisz o trójkątach: Cruvic, Hope i Mandy, albo Seacrest, Hope i Mandy, bądź jakiś nie znany nam typek i one dwie. Sprowadzają młodą prostytutkę, żeby dodać smaczku swoim igraszkom. Nagle facet z jakiegoś powodu postanawia zerwać znajomość. Na zawsze. Pozbywa się Mandy, bo zabicie call girl w takim mieście jak Las Vegas nie zwróci niczyjej uwagi. Ale Hope to już zupełnie inna historia. Ona jest przebojowa, znana i bardzo inteligentna. Więc planuje i czeka na sprzyjające okoliczności. I Hope nieświadomie pomaga mu, wydając książkę, co może stanowić idealną przykrywkę: jakiś świr nie może się pogodzić z prezentowanymi w niej poglądami.

Zamyślił się głęboko.

- Ale jeżeli Mandy i Hope znały się, czy zabicie tej pierwszej nie wzbudziłoby podejrzeń i nie stałoby się ostrzeżeniem dla Hope?

- Jeśli urwałyby się ich kontakty, skąd pani profesor miałaby wiedzieć, że Mandy nie żyje? Czy publikowano coś na ten temat w naszych mediach?

Zaprzeczył ruchem głowy.

- Tylko niewielka wzmianka w „Sun”. Ale jeśli obie rzeczywiście były w tym trójkącie, czyż nie zależałoby jej na odszukaniu przyjaciółki?

- Dobra, załóżmy, że wiedziała o śmierci Mandy, ale nie skojarzyła tego z zagrożeniem dla siebie. Sam mówisz, że prostytutki bardzo często padają ofiarą morderstw.

Milo łyknął piwa i wyjrzał przez kuchenne okno. Blade słońce podświetlało wierzchołki sosen, nadając im barwę sukienki Mandy Wright.

- Wspaniałe spekulacje myślowe - mruknął wreszcie. - Jednak przydałoby się dla odmiany trochę faktów.

- Mogę spróbować zajrzeć do papierów Cruvica. Zobaczymy, czy przy okazji nie dowiemy się czegoś ciekawego.

- Dobra. Ja natomiast wybiorę się na pogawędkę z Kennym Stormem. Chciałbym zamknąć wreszcie hipotezę komisji. Poproszę jeszcze chłopców z Vegas, żeby sprawdzili, czy Mandy była ubezpieczona. Może jej sterylizacja jest tam odnotowana i uda się ustalić, kto przeprowadzał zabieg. Jej adorator też może coś wiedzieć na ten temat, więc i z nim należy się skontaktować. Coś jeszcze urodziło się podczas mojej nieobecności?

- Odszukałem Reeda Muscadine'a. Podobnie jak Kenny, i on rzucił szkołę, ale z zupełnie innych powodów. Miał dostać rolę w jakiejś operze mydlanej, chociaż w rezultacie nic z tego nie wyszło. Zaprzecza, jakoby miał zgwałcić Tessę Bowlby, i powtórzył tę samą historię, którą zaprezentował komisji.

- Do przyjęcia?

- Nie wyłapałem niczego rzucającego się w oczy, ale przecież jest aktorem. Trzeba brać poprawkę na jego umiejętności.

- Jak dużą?

- Sam nie wiem. Tessie wyraźnie pozostał poważny uraz. Chciałbym wiedzieć, co ją tak gryzie. Może dam jej jeszcze jedną szansę.

- Jak wygląda ten Muscadine?

- Bardzo duży i dobrze zbudowany. Same mięśnie. Całe dnie musi trenować.

- Ktoś, kto bez większego trudu mógłby obezwładnić kobietę i trafić ją prosto w serce?

- Z łatwością. Dałby sobie radę jedną ręką. Ale sprawiał wrażenie spokojnego i nie okazał nawet odrobiny zdenerwowania, gdy go wypytywałem, więc albo jest niewinny, albo też ma naprawdę duże zdolności aktorskie i dodatkowo przygotował się na takie odwiedziny. Kobieta, u której wynajmuje mieszkanie, bardzo go lubi i mówi, że nigdy nie miała z nim kłopotów. Poza tym facet twierdzi, że nie jest chory na AIDS, a jego kondycja dobitnie o tym świadczy. Za to Tessa wygląda na bardzo zniszczoną, także fizycznie. Ale teraz, kiedy znamy sprawę Mandy, czy nadal powinniśmy łączyć choćby jedno z tych zabójstw z działalnością komisji?

- Celne pytanie, ale nie jestem w stanie udzielić ci na nie odpowiedzi. Chcę po prostu sprawdzić wszystkie poszlaki, bo widziałem wiele spraw, w których dobrzy detektywi zawodzili tylko dlatego, że pomijali tropy pozornie tylko prowadzące donikąd. Poza tym została nam już praktycznie tylko jedna studentka, prawda?

- Deborah Brittain. Jutro spróbuję do niej dotrzeć.

- Dzięki. Jestem ci naprawdę wdzięczny, Alex. - Schował papiery z powrotem do teczki. - Dziękuję również za teoretyczny wykład. Naprawdę. Lepiej już mieć przynajmniej jakieś teorie, niż zupełnie nic.

Odprowadziłem go do drzwi.

- Jadę do domu wziąć prysznic i do roboty.

Kłamstwo Cruvica, dotyczące okoliczności poznania Hope, nie dawało mi spokoju przez cały dzień, i o dziewiętnastej, zostawiwszy Robin w warsztacie, pojechałem do centrum komunalnego.

Z nadzieją na co? Zobaczenie jego bentleya, gdy będzie opuszczał biuro? Jakiejś dziewczęcej buźki w bocznej szybie?

Znów pomyślałem, że wybrał sobie niezbyt reprezentacyjne miejsce. Dlaczego akurat tutaj, z dala od innych lekarzy z Beverly Hills?

Intencja zapewnienia pacjentom dyskrecji nie wydawała się nieprzekonująca. Psychiatrzy i psychologowie potrafiliby ją zagwarantować, prowadząc praktykę nawet w normalnych budynkach biurowych.

Czyżby więc miał coś do ukrycia?

Beverly Hills zostało zaprojektowane tak, by na tyłach każdej ulicy biegła alejka, ułatwiająca wywóz odpadków i umożliwiająca wszelkie dostawy z pominięciem frontu posesji. Na najbliższym skrzyżowaniu skręciłem w prawo i znalazłem się w asfaltowej alejce za budynkami. Tylne ściany, jakieś rampy, kosze na śmieci. Wreszcie wysoki, różowy mur.

Trzy miejsca parkingowe, wszystkie puste. Tylne wejście do budynku zamykały staromodne, drewniane drzwi garażowe. Na potężnym, kutym skoblu wisiała równie ogromna kłódka. Wyglądało to raczej na bramę do jakiegoś magazynu niż minikliniki.

Znów skręciłem do Century City, później w Avenue of the Stars i na południe do Olympic Boulevard West. Uplłynęło dwadzieścia minut, podczas których zupełnie się ściemniło, nim dotarłem do Santa Monica. Kilka świateł w oknach Centrum Zdrowia Kobiet, kilkanaście samochodów na parkingu. Głównie niewielkie, z wyjątkiem lśniącego srebrem bentleya turbo stojącego tuż obok drzwi wejściowych.

Łańcuch przy wjeździe był podciągnięty, a obok wolno spacerował umundurowany strażnik. Nawet w półmroku dostrzegłem kaburę na jego biodrze. Na widok mojego wozu przyspieszył kroku.

Wcisnąłem pedał gazu, zanim dostrzegłem rysy jego twarzy. On nie mógł więc widzieć mojej.

Następnego ranka zadzwoniłem do sekretariatu wydziału psychologii, skąd dostałem numer telefonu Mary Ann Gonsalvez. Różnica czasu sprawiała, że w Londynie była teraz siedemnasta. Kilkakrotnie próbowałem się do niej dodzwonić, lecz bez rezultatu. Zostawiłem wiadomość na automatycznej sekretarce.

Przygotowałem sobie kawę oraz tosta i zmusiłem się do zjedzenia go, rozmyślając o ruchu panującym ubiegłego wieczora w klinice dla kobiet.

Uzbrojony strażnik, łańcuch blokujący wjazd na parking.

Czyżby doktor Cruvic operował właśnie o tej porze?

Pacjentki takie jak Chenise Farney?

Około piętnastu samochodów. Nawet biorąc pod uwagę, iż część należała do personelu, zapewne jakieś dziesięć pacjentek. Musiały więc pracować dobrych kilka godzin.

Poświęcenie czy chęć zysku?

Zarabiałby podwójnie, gdyby za darmo korzystał z klinicznego sprzętu, a wszelkimi kosztami obarczał państwo. A i klinika korzystała na tym, bo przecież czasami przyjmował nieodpłatnie nie dysponujące pieniędzmi pacjentki.

Kobiety bez pieniędzy, czyli konieczność korzystania z Medi-Cal. Opłacanie aborcji stanowiło temat politycznych rozgrywek i nie miałem pojęcia, czy ubezpieczalnia pokrywa ich koszt.

Zatelefonowałem do biura Medi-Cal w Los Angeles, gdzie przełączono mnie pod numer zaczynający się na 800. Po dziesięciominutowym oczekiwaniu rozłączyłem się. Spróbowałem ponownie, tym razem doczekałem się na połączenie, znów przerzucenie na inny numer, znów czekanie, burkliwe odpowiedzi dwóch urzędniczek i wreszcie rozmowa z kimś kompetentnym, kto przyznał, iż MediCal pokrywa koszty zarówno aborcji, jak i sterylizacji, ale niczego więcej nie dowiem się bez znajomości kodów procedur.

Wybrałem numer akademii medycznej i, korzystając ze swoich uprawnień, poprosiłem o połączenie z biurem szpitala kobiecego. Tamtejsza szefowa administracji skierowała mnie do biura rozliczeń Medi-Cal. Wreszcie ktoś o wyjątkowo nieprzyjemnym głosie poinformował mnie, że aborcje rzeczywiście są refundowane przez państwo, po dziewięćset dolarów za zabieg, plus koszty szpitalnego łóżka, znieczulenia i całej reszty.

Odłożyłem słuchawkę.

Dziewięćset dolarów za zabieg. A jeśli dokonało się drobnych manipulacji przy rozliczeniach, a Cruvic miał do tego wyraźne skłonności, można było wyciągnąć sporo więcej za dyżury pielęgniarek, amortyzację sprzętu i wszelkie niezbędne narzędzia oraz leki.

Dwadzieścia aborcji w tygodniu dawało niemal siedmiocyfrowy roczny dochód.

Niewielkie odejście tematyczne od podstawowej pracy, polegającej na leczeniu niepłodności.

Usuwanie nie chcianych płodów biednym, a jednocześnie robienie wszystkiego, aby bogate kobiety mogły urodzić upragnione dziecko.

Oczywiście ryzykował, że stanie się obiektem ataku fanatyków walczących z przerywaniem ciąży. A gdyby gazety dowiedziały się, co robi, natychmiast pojawiłyby się artykuły: lekarz z Beverly Hills, leczący bezpłodność, po godzinach przeprowadza aborcje. Zwolennicy ochrony życia poczętego wykłębiliby Cruvica za mordowanie niewinnych dzieci, a liberałowie zarzuciliby mu żerowanie na nierówności klasowej.

W tej sytuacji, bez względu na poglądy polityczne, znaczna część potencjalnych klientek zrezygnowałaby z jego usług.

Ale zarabiając tak duże pieniądze, uznał zapewne, że warto ryzykować.

Własna miniklinika na uboczu.

Straż pilnująca Centrum Zdrowia Kobiet.

Czyżby był aż tak chciwy, że próbował uzyskać jeszcze więcej, fałszując rozliczenia z rządem i zeznania podatkowe?

Ale czy Hope także maczała w tym palce?

Cruvic zapłacił jej za rok trzydzieści sześć tysięcy, czyli bardzo niewiele jak na udział w milionowym interesie.

Może więc była to tylko część płatności, wykazana oficjalnie w zeznaniu podatkowym, reszta zaś wpływała do kieszeni Hope bez zbędnych świadków i formalności?

Ale mogło być i tak, że Hope była przeciwniczką machlojek i gdy tylko się o nich dowiedziała, przerwała z nim współpracę, a może nawet zagroziła, że go wyda.

I z tego powodu zginęła?

W takim razie co ma z tym wspólnego Mandy Wright? Jak dotąd jej jedynym, i do tego hipotetycznym związkiem z Cruvicem była usunięta ciąża i podwiązane jajowody.

Duży rozrzut, Delaware.

Najbardziej prawdopodobnym scenariuszem był ten, iż obie zginęły z ręki psychopaty, a Cruvic, choć być może naruszał lekarskie zasady, nie miał z tymi morderstwami nic wspólnego.

Obiecałem jednak Milo, że sprawdzę jego uprawnienia. Deborah Brittain przez najbliższych kilka godzin będzie jeszcze na zajęciach, a Tessa Bowlby miała dziś wolny dzień. Właściwie miała ich całe mnóstwo. Chodziła tylko na dwa cykle wykładów, we wtorki i czwartki.

Zajęcia ograniczone do minimum.

Czyżby miała aż tak poważne kłopoty?

Spróbuję jeszcze z nią pomówić, ale wszystko po kolei.

Zatelefonowałem do Stanowej Rady Medycznej i ustaliłem, że nikt nie zgłosił żadnej skargi na Milana Cruvica, a jego licencja nie była zagrożona.

Pudło.

Ubrałem się i pojechałem na uczelnię.

W czytelni medycznej odszukałem nazwisko Cruvica w „Spisie specjalistów medycznych”.

B.A., Berkeley - Alma Mater Hope - kolejny potencjalny pomost. Co więcej, byli w tym samym wieku i skończyli naukę w tym samym roku.

Starzy przyjaciele? Czytałem dalej. Tytuł doktora medycyny na University of California w San Francisco - znów to samo miasto, w którym studiowała Hope.

Później ona wyjechała na staż do Los Angeles, a on rozpoczął specjalizację w chirurgii w Seattle, na University of Washington.

Jak dotąd książkowa kariera.

Ale dalej coś interesującego.

Zaliczył tylko pierwszy rok, po czym na następny rok związał się z Instytutem Brook-Hastings w Corte Madera, w Kalifornii.

Później, zamiast wrócić na Uniwersytet Waszyngtoński, zmienił kierunek specjalizacji z chirurgii na ginekologię i powtórzył pierwszy rok w Fidelity Medi-Cal Center w Carson, w Kalifornii. Tam też definitywnie zakończył studia, uzyskując uprawnienia specjalisty ginekologa.

Żadnej wzmianki o jakiegokolwiek podyplomowej pracy z dziedziny zagadnień płodności.

Nie było to nielegalne, bo tytuł doktora medycyny i licencja stanowa wystarczały do podjęcia każdej działalności medycznej, ale dla mnie było to ogromnym zaskoczeniem, bo przecież problematyka bezpłodności wymagała daleko posuniętej specjalizacji.

Gdzie więc Cruvic nauczył się tego, co podobno robi?

Podczas tego roku w Brook-Hastings Institute? Nie, bo przecież żadna szanująca się instytucja nie dopuściłaby pierwszorocznika do tak wielokierunkowych i skomplikowanych zagadnień.

Samouk?

Czyżby umiejętnościami nie dorównywał kolegom po fachu?

A może to właśnie dlatego ulokował się w tak mało zachęcającej okolicy, z dala od śmietanki Beverly Hills?

Jeśli tak, skąd zdobył potrzebne referencje?

Udzielili mu ich ludzie, którzy także lubili obchodzić obowiązujące przepisy?

Ale może było na to jedno proste wytłumaczenie: przeszedł właściwe przygotowanie, lecz przez przypadek wzmianka o tym została pominięta.

Nie, przecież właśnie na tego typu informacje zwracano szczególną uwagę we wszelkich rejestrach zawodowych. A ten był co roku aktualizowany.

Wolny strzelec, a może nawet ignorant w leczeniu bezpłodności?

Gotowy przyjąć przypadki, którymi nikt inny nie chciał się zająć?

Coś na granicy prawa albo jeszcze dalej w bok...?

Może to właśnie jego odwaga i podejście do świata zainteresowały Hope?

Tak bardzo różnił się od przywiązanego do rozlicznych kanonów, spokojnego Seacresta.

Stare volvo w zestawieniu z bentleyem.

Lawirowanie na granicy prawa...

Czyżby coś się nagle popsulo.

Teraz Hope nie żyła, a Cruvic, jak sam zauważył, wiódł nadzwyczaj pracowite życie i robił Bóg jeden wie co.

Ale była jeszcze Mandy Wright?

Co pani profesor i call girl miały ze sobą wspólnego, poza takimi samymi okolicznościami śmierci?

Nic tu do niczego nie pasowało.

Sprawdziłem nazwisko Cruvica we wszystkich dostępnych medycznych i naukowych bazach danych. Żadnych publikacji, więc tego roku w Brooke-Hastings nie poświęcił zapewne pracy naukowej.

To, czego się dowiedziałem, pogłębiło jeszcze moje podejrzenia. Nic jednak nie pozostało mi teraz innego do roboty, jak tylko udać się na spotkanie z Deborah Brittain.

Zobaczyłem ją, gdy wyszła z Monroe Hall i skierowała się w stronę stojaków na rowery.

Ze zdjęcia nie wynikało, że jest aż tak wysoka.

Mierzyła ponad metr osiemdziesiąt i była potężnej budowy ciała. Miała jasne włosy i charakterystyczne, wystające kości policzkowe. Ubrana była w białą koszulkę z emblematem

uczelni, granatowe szorty, białe skarpetki, sportowe buty, a na plecach dźwigała czerwony wysokogórski plecak.

Jej pojazd był jednym z kilkunastu jednośladów, tkwiących w stojaku przy zaniedbanej ścianie budynku. Patrzyłem, jak naciąga na czoło przepaskę i odpina zabezpieczony przed kradzieżą rower. Kiedy już zamierzała wsiąść na niego, podszedłem i przedstawiłem się.

- Tak? - W jej błękitnych oczach niepokój przemienił się w strach. Pokazałem swój identyfikator.

- Profesor Devane? - zapytała ochryple. - Zabrało wam to sporo czasu. Jej dłonie zacisnęły się na kierownicy. - Za pół godziny mam trening siatkówki, ale chętnie z panem porozmawiam... Przejdźmy się.

Prowadziła rower na tyle szybko, że musiałem przyspieszyć kroku.

- Chcę powiedzieć, że profesor Devane była naprawdę wspaniałą osobą. Świetną. Wariat, który ją zabił, powinien pójść za to na krzesło elektryczne, ale na pewno mu to nie grozi.

- Dlaczego tak uważasz?

- Nawet jeśli go złapiecie i zostanie skazany, sprawiedliwości nie stanie się zadość. - Zerknęła na mnie, nie zwalniając. - Chce pan usłyszeć coś więcej o Huangu?

- Chcę poznać wszystko, co zechcesz mi powiedzieć.

- Uważa pan, że Huang to zrobił?

- Nie. Rozmawiamy ze wszystkimi mającymi styczność z Komisją Stosunków Interpersonalnych.

- A więc waszym zdaniem komisja ma coś wspólnego z tą zbrodnią?

- Na razie w ogóle nie wiemy zbyt wiele, panno Brittain.

- Cóż, na pewno są tacy, którzy opluwają działalność profesor Devane, ale według mnie to był świetny pomysł. Uratował mi życie... może nie dosłownie, ale Huang bardzo utrudniał mi normalne funkcjonowanie, dopóki profesor Devane tego nie przerwała.

Zatrzymała się niespodziewanie. W jej oczach zalśniły łzy, a opaska zsunęła się. Poprawiła ją niecierpliwym gestem i ruszyliśmy dalej.

- Wciąż chodził za mną w czytelnicy. Odwracałam się po książkę, a on był tuż obok. Wpatrywał się i uśmiechał. Jednoznacznie, jeśli domyśla się pan, o czym mówię.

Pokiwałem głową.

- To było zanim zaprosił cię na randkę, czy później?

- Później. Wciąż czaił się obok. Trzy razy mnie zapraszał, a ja trzy razy odmawiałam. Do trzech razy sztuka. Ale on nie chciał tego zrozumieć. Nie odstępował mnie ani na krok. Powoli zaczynało mnie to wykończać.

- Chodził tak za tobą po terenie całego kampusu?

- Nie, tylko w czytelni. Jakby tam było jego legowisko. Zapewne spędzał w niej mnóstwo czasu, wynajdując dziewczyny, które mógłby napastować, bo po cóż innego miałyby tam stale przychodzić. Studiuje na wydziale inżynieryjnym, gdzie mają własną czytelnię.

Otarła czoło wierzchem dłoni i ciągnęła:

- Nie jestem idiotką i zawsze potrafiłam kierować swoim postępowaniem. Ale to było okropne. Zupełnie nie mogłam się skupić. Nauka jest wystarczająco absorbująca i bez takich dodatkowych przeciwności. Przecież nie byłam skazana na stałe umizgi tego faceta. Ale bez profesor Devane nie znalazłabym w sobie dość odwagi, żeby przerwać ten koszmar. - Z trudem powstrzymywała cisnące się do oczu łzy. - To wielka strata! Taka niesprawiedliwość!

Jeszcze przyspieszyła kroku.

- Czy Huang już cię nie niepokoi? - zapytał łagodnie.

- Nie. Boże, błogosław profesor Devane, i niech wszyscy diabli porwą naszą administrację za to, co jej zrobiła.

- A co jej zrobiła?

- Słyszałam, że jakiś bogaty zgred załatwił sprawę tak, że komisja musiała zostać rozwiązana. - Zaciśnęła zęby. - Czy Huang nie jest niebezpieczny?

- Jak dotąd tego nie stwierdziliśmy.

Roześmiała się nerwowo.

- To dla mnie dobra wiadomość.

- Wciąż się więc nim przejmujesz?

- Nie. Czasami mijamy się na terenie miasteczka i wtedy czuję, że nie jestem już bezbronna. Ale zaraz zaczynam myśleć o zabójstwie profesor Devane. Może miało jakiś związek z działalnością komisji? I od razu robi mi się niedobrze.

Milczała długą chwilę, zanim kontynuowała:

- Kiedy zaczynam się denerwować, przypominam sobie słowa profesor Devane, która powiedziała mi kiedyś: „Mężczyźni molestujący kobiety są tchórzami i dlatego właśnie tak się skradają. Dlatego trzeba twardo stawić im czoło i pokazać swoją wewnętrzną siłę”. I tak właśnie robię, widząc Huanga. Ale proszę popatrzeć, jaki los ją spotkał.

Zatrzymała się tak gwałtownie, że omal na nią nie wpadłem.

- Fakt, że właśnie ona stała się ofiarą, doprowadza mnie do szaleństwa! Muszę sobie z tym jakoś poradzić... A czy można zakładać, że to zrobił Huang?

- Wszystko wskazuje na to, że ma niepodważalne alibi.

- A więc przynajmniej potraktowaliście go na tyle poważnie, żeby to sprawdzić. W porządku. Niech wie, jak to jest, gdy ktoś pakuje się z butami w czyjeś życie. Ale jeśli go nie podejrzewacie, dlaczego pan ze mną rozmawia?

- Zbieram wszelkie informacje na temat profesor Devane. Spotykam się z ludźmi, z którymi była w bliskich stosunkach, ale także z tymi, którym jej postępowanie mogło się nie spodobać.

- No cóż, my nie byliśmy w bliskich stosunkach. Rozmawialiśmy raptem kilkakrotnie... przed przesłuchaniem i po nim, kiedy pouczała mnie, jak mam się zachowywać. Była nadzwyczaj miła. I taka pełna wyrozumiałości. Jakby naprawdę wiedziała, jak to jest.

- Być napastowaną?

- Jak to jest być ofiarą.

- A czy wspominała choć słowem, że sama kiedyś znalazła się w podobnej sytuacji?

- Nie. Była tylko pełna współczucia... szczerego współczucia, a nie takiego udawanego.

Popatrzyła na mnie z nagłą stanowczością.

- Była zadziwiającą kobietą. Nigdy jej nie zapomnę.

Akademik Tessy Bowlby był jednym z pięciopiętrowych pudełek ustawionych w północno-zachodniej części kampusu. Duży, drewniany napis informował: dom studencki, brak MIEJSC parkingowych. Wokół rosła trawa i palmy kokosowe. W głębi ulicy znajdowało się centrum rekreacyjne, w którym ładnych kilka lat temu Philip Seacrest poznał Hope Devane.

Zaparkowałem w specjalnie wyznaczonym miejscu przy bocznej ścianie budynku, wszedłem do holu i podszedłem do biurka recepcjonistki. Czarna kobieta licząca dwadzieścia kilka lat siedziała przy nim z książką i różowym markerem w dłoni. Usta miała umalowane na ten sam kolor co pisak. Za jej plecami była ręczna centralka telefoniczna. Akurat odwracała się, by przyjąć telefon, gdy mnie dostrzegła. W czytanej przez nią książce zauważyłem mnóstwo jakichś tabelek i wykresów. Zorientowałem się, że to podręcznik ekonomii.

Po chwili dziewczyna odwróciła się w moją stronę.

- W czym mogę pomóc?

- Poproszę z Tessą Bowlby.

Przesunęła palcem po jakiejś liście. Same nazwiska. Te na B zaczynały się na drugiej stronie, a kończyły dopiero na trzeciej. Sprawdziła dwukrotnie, zanim w końcu pokręciła głową.

- Przykro mi, ale nie ma tu nikogo o takim nazwisku.

- Tessa może nie być jej prawdziwym imieniem.

Zmierzyła mnie podejrzliwym wzrokiem.

- Nie ma nikogo o nazwisku Bowlby. Proszę spróbować w innym akademiku.

Sprawdziłem we wszystkich. Bez skutku.

Może wyprowadziła się z miasteczka akademickiego? Przecież to nic niezwykłego. Ale biorąc pod uwagę strach w jej oczach i ograniczony plan zajęć, wyglądało mi to na paniczną ucieczkę.

Skorzystałem z telefonu w ostatnim z akademików, by zadzwonić do Milo. Miałem nadzieję, że zna jej adres domowy, a poza tym jak najszybciej chciałem się podzielić odkryciami dotyczącymi luk w wykształceniu Cruvica. Nie zastałem go jednak. Telefon komórkowy także nie odpowiadał. Może trafił na jakiś nowy ślad i wszystkie moje wysiłki okażą się daremne? Postanowiłem jednak nie poddawać się tak łatwo.

Opuściłem teren uniwersytetu i zatrzymałem przy pierwszej napotkanej budce telefonicznej. Była jedną kupą złomu, ale na półce znalazłem książkę telefoniczną Westside. Brakowało w niej wielu stron, ale ta z Bowlbymi była na swoim miejscu.

Znalazłem dwa takie nazwiska.

Bowlby, T. J., Venice, bez adresu.

Bowlby, Walter E., Mississippi Avenue w zachodnim Los Angeles.

Los Angeles otoczone było kilkunastoma satelitarnymi miastami, więc takie szukanie rodziny Tessy nie dawało dużych szans powodzenia. Postanowiłem jednak sprawdzić tę drugą rodzinę, bo mieszkała dość blisko od miejsca, w którym właśnie byłem.

Nie spodziewałem się, że aż tak blisko. Między Santa Monica Boulevard i Olympic, niecałe dwa kilometry od uniwersytetu, w osiedlu niewielkich, powojennych domków.

W sąsiedztwie akurat dzień wywozu śmieci. Pełne pojemniki i worki dumnie prezentowały umiłowanie konsumpcyjnego trybu życia. Wokół uwijały się stada wiewiórek. W nocy ich miejsce z pewnością zajmą szczury. Ładnych kilka lat temu mieszkańcy Kalifornii opowiedzieli się w referendum za obniżeniem dotacji między innymi przeznaczonych na tępienie gryzoni. Podobnie było z przycinaniem drzew. Ale jednocześnie znajdowały się pieniądze na inne cele. W ubiegłym roku, po wichurze, przyglądałem się na przykład, jak ekipie, złożonej z trzynastu ludzi, cały dzień zajęło usunięcie niewielkiej zwalonej sosny.

Walter Bowlby mieszkał w brązowym bungalowu z dachem krytym czarnym gontem. Trawnik przed domem barwą przypominał szary mundur rekrutów Marynarki Wojennej. Pod szeroką werandą dostrzegłem jakieś rośliny w doniczkach, aluminiowe krzesło i rowerek z doczepionymi po bokach dodatkowymi kółkami. Na podjeździe stał stary ford galaxie. Idąc wąskim paskiem betonu, zbliżyłem się do drzwi. Na wypłowiej plakietce widniało nazwisko Bowlby. Nikt nie odpowiadał na dzwonek ani pukanie do drzwi.

Wróciłem do swojej Seville i już miałem włączyć silnik, gdy od strony Olympic nadjechała biało-niebieska furgonetka i zatrzymała się za fordem. Z tyłu napis: naprzód dodgersi. Otworzyły się drzwiczki po stronie kierowcy.

Z wozu wysiadł mężczyzna po czterdziestce, o ciemnych wąsach i krzywych nogach. Miał na sobie biały podkoszulek z zielonym paskiem, niegdyś białe spodnie i czarne, robocze buty. Jego ramiona były muskularne i mocno opalone, całą sylwetkę natomiast miał raczej szczupłą. Niewielki brzusek ledwie zarysowany pod paskiem na koszulce, a naszytą ponad nim kieszonkę wypychała paczka papierosów. Podrzucając kluczyki od samochodu, rozejrzał się po trawniku i dotknął papierosów, jakby sprawdzając, czy są na swoim miejscu. W tym momencie otworzyły się drzwi od strony pasażera i wysiadła Tessa Bowlby.

Była ubrana chyba w ten sam poroziągany, czarny sweter i zniszczone dżinsy, w których już ją widziałem. Tyle tylko, że teraz wyglądała na jeszcze bledszą niż wówczas. Otworzyła tylne drzwi furgonetki i wypuściła sprawiającą sympatyczne wrażenie siwowłosą kobietę w czerwonej bluzie i dżinsach. Kobieta wyglądała na bardzo zmęczoną. Prawie białe włosy, ale jednocześnie młoda twarz. Na rękę trzymała śniadego, mniej więcej czteroletniego chłopca.

Dziecko zdawało się spać, lecz nagle zaczęło się szamotać i krzyczeć, aż kobieta zatoczyła się. Tessa podtrzymała ją i coś do niej powiedziała. Wąsacz sięgnął po papierosa i nawet się nie obejrzał, kiedy siwowłosa oddawała chłopca Tessie.

Ta uśmiechnęła się tak słodko i niespodziewanie, że zaskoczony poczułem fizyczny ból, jak podczas zbyt szybkiego jedzenia lodów.

Mocno przycisnęła dziecko do piersi. Wciąż się szamotało, tak że trzymała je z wyraźnym trudem, lecz gdy szeptała mu coś do ucha, stopniowo się uspokajało. Dziewczyna szybko przeszła na werandę.

Po chwili znalazła się tam cała czwórka i mężczyzna zaczął otwierać drzwi. Chłopiec znów stał się niespokojny. Teraz jednak Tessa postawiła go na podłodze. Podbiegł prosto do rowerka i usiłował się na niego wgramolić. Tessa posadziła go na siodelku, lecz chwilę później z powrotem zdjęła. Chłopczyk natychmiast zaczął wspinać się na barierkę werandy i roześmiał się głośno, kiedy Tessa pospieszyła, żeby go podtrzymać.

Mężczyzna i kobieta weszli do domu, lecz zostawili otwarte drzwi. Mały zaczął spacerować po barierce, trzymany za rękę przez Tessę. Nagle zeskoczył. Opiekunka zdażyła go złapać. Zsunął się po jej nodze i pobiegł w stronę drzwi. Kiedy dziewczyna się odwracała, zauważyła, że ją obserwuje.

Ten sam strach w oczach.

Odprowadziła wzrokiem chłopczyka znikającego w domu. Przesunęła dłonią po policzku, przez moment stała jak zamurowana i nagle wbiegła do mieszkania.

Kilka sekund później wyłonił się wąż. Przypomniał sobie, że dysponuję odpowiednimi uprawnieniami, pozostałem na miejscu.

Zbliżał się do mnie szybkim krokiem, wymachując potężnymi ramionami. Gdy był cztery metry od samochodu, zatrzymał się i uważnie mu się przyjrzał. Wreszcie obszedł wóz od przodu i stanął przede mną.

- Jestem Walt Bowlby. Córka mówi, że pan z policji.

Żadnego wzburzenia w jego głosie, może tylko słaba nadzieja, że to nieprawda. Z bliska jego skóra sprawiała wrażenie grubej jak u zwierzęcia. Na szyi miał gruby łańcuch ginący w bujnym zarostzie na piersiach.

Pokazałem mu swój identyfikator.

- Jestem policyjnym konsultantem, panie Bowlby.

- Konsultantem? A czego to dotyczy?

- Przyjechałem tu, żeby pomówić z Tessą.

- Mogę wiedzieć, w jakiej sprawie?

- Dokonano morderstwa, którego ofiarą padła profesorka Tessy. Rozmawiamy ze wszystkimi, którzy znali ofiarę.

Jego ramiona opadły.

- Profesorka - powtórzył. - Tessa naprawdę nic nie wie na ten temat, a poza tym jest dość... przygnębiona.

- W związku z tym zabójstwem?

Znow dotknął paczki papierosów na piersi. Wyjął salemy i zaczął szukać zapalek. Sięgnąłem po paczkę do schowka i podałem mu ogień.

- Dzięki. Nie dlatego. Ona... - Obejrzał się na dom. - Mogę wsiąść do środka?

- Oczywiście.

Obszedł wóz, zajął miejsce pasażera i z wyraźną czułością pogładził tapicerkę Seville.

- Piękna linia. Zawsze podobał mi się ten model... siedemdziesiąty ósmy?

- Dziewiąty.

Przytaknął, zaciągnął się i wydmuchnął dym przez uchyloną szybę.

- GM budował je na podwoziu chevy dwa, co bardzo wielu ludziom się nie podobało.

Służbowy?

- Nie, prywatny.

- Od dawna go pan ma?

- Od kilku lat.

Znów przytaknięcie. Wpatrywał się w deskę rozdzielczą.

- Tessa ma problem. Wie pan o nim?

Nie wiedząc, czy ma na myśli gwałt, zapytałem ostrożnie:

- Ten, w którego rozwiązaniu pomogła jej profesor Devane?

- Tak. Ona... ona jest bardzo inteligentna. Mówię o Tessie. Kiedy powiedziała, że chce wrócić do domu, pytaliśmy dlaczego, ale nie chciała powiedzieć. Byliśmy zdziwieni, żona i ja, bo wcześniej bardzo chciała zamieszkać z dala od nas. Wreszcie nie wytrzymała, rozplakała się i powiedziała... wie pan o czym. O tym, co zrobił jej tamten chłopak. I o tym, jak ta profesor sobie z nim poradziła. A później, że ona została zamordowana. Na początku brzmiało to tak dziwacznie, że nie wiedzieliśmy, czy jej wierzyć. Ale zaraz w gazetach pojawiły się informacje o tym zabójstwie.

- Co było dziwne, morderstwo czy gwałt?

Kilkakrotnie zaciągnął się, zanim odpowiedział:

- Mówiąc szczerze, jedno i drugie.

- Czyżby miał pan wątpliwości co do tego, że Tessa została zaatakowana?

Wystawił rękę na zewnątrz i strzepnął popiół.

- Jak to ująć... Bardzo kocham córkę... ona jest bardzo mądra. Była taka od dziecka... Ale jest inna. Miewa swoje nastroje. Depresje. Od dziecka zawsze te nastroje. Zapada się we własny świat... Czasami... - Wzruszył ramionami i znów się zaciągnął. Wypalił już papierosa do samego filtra. - Jej wyobraźnia bierze górę nad rzeczywistością.

- Czy w przeszłości oskarżała już kogoś o gwałt, panie Bowlby?

Westchnął, popatrzył na niedopałek i zgniótł go w palcach. Otworzyłem popielniczkę, a on wrzucił do niej peta.

- Dziękuję. Mogę zapalić jeszcze jednego?

- Proszę.

- Obrzydliwy nałóg. Któregoś dnia rzucę. - Roześmiał się.

Odpowiedziałem na uśmiech i powtórzyłem pytanie.

- Kiedyś mieszkaliśmy w Tempie City. Tamtejsza policja ma pewnie jeszcze akta tej sprawy. Chociaż może nie, bo chłopak był nieletni.

- Jak dawno to było?

- Tessa niedługo kończy dwudziestkę, a wtedy miała dwanaście lat, więc osiem lat temu. Chłopak... znaliśmy jego rodzinę, bo pracowałem z jego ojcem u Forda, kiedy miał jeszcze fabrykę w Montebello, był trochę starszy. Chyba trzynaście lat. Dobrze się znaliśmy. Byliśmy na kempingu w Yosemite. Podobno oboje zostali w namiocie, kiedy my poszliśmy rozejrzeć się za

niedźwiedziami. Rzecz w tym, że Tessa nie powiedziała ani słowa, dopóki nie wróciliśmy do domu. Trzy albo cztery dni później. Policjanci mówili, że właściwie to nie ich rejon, ale zgodzili się przepytać chłopaka. Później twierdzili, że wygląda na niewinnego, ale jeśli chcemy, możemy wnieść sprawę. Polecili też, żeby Tessa odwiedziła psychiatrę.

Zdażył już zapalić kolejnego papierosa. Miał żółte, rzadkie zęby. Na ramionach wyraźnie widać było żyły, a pod paznokciami czarne obwódki.

- Tessa naprawdę jest bardzo mądra. Mimo problemów, zawsze świetnie radziła sobie w szkole. Mieliśmy nadzieję... Naprawdę byłbym wdzięczny, gdyby pan z nianie rozmawiał. To takie dobre dziecko, ale bardzo wrażliwe. Wychowywanie jej to jak chodzenie po linie. Tak powiedział nam jeden z lekarzy. Jest taka krucha. Po co właściwie miałby pan ją niepokoić?

- A więc ma pan wątpliwości co do obu przypadków?

Skrzywił się.

- Sam już nie wiem, w co wierzyć. Chłopak zaprzeczył wszystkiemu i wiem, że już nigdy więcej nie miał tego rodzaju kłopotów. W zeszłym roku wstąpił do marynarki, świetnie sobie radzi, ożenił się, ma dziecko.

Wyglądał na przygnębionego. Przypomniałem sobie, że Reed Muscadine wspominał o „poważnych problemach” Tessy.

- Czy Tessa oskarżyła jeszcze kogoś, panie Bowlby?

Znów długie milczenie. Wydłubał sobie coś spomiędzy zębów i wyrzucił to za okno.

- Pewnie i tak się pan o tym dowie, więc nie ma co ukrywać...

Znów się zaciągnął, lecz nagle wydał z siebie jakiś bulgoczący dźwięk, który zupełnie mnie zaskoczył. Uniósł rękę i przetarł nią wilgotniejące oczy.

- Oskarżyła mnie - szepnął drżącym głosem. - Dwa lata później, kiedy miała czternaście lat. Już wcześniej chodziła do psychiatry, bo mówiła, że sobie coś zrobi, nie chciała jeść... sam pan widzi, jaka jest chuda. Miała tę chorobę... anoreksję. Wciąż powtarzała, że jest za gruba, i wymiotowała wszystko, co zjadła. Zaczęło się to gdzieś, jak miała czternaście lat. Schudła do trzydziestu kilo. Psychiatra skierował ją do szpitala, gdzie była karmiona za pomocą kroplówki i właśnie wtedy powiedziała, że sobie przypomniała. - W oczach zalśniły mu łzy, ale popatrzył prosto na mnie. - Powiedziała, że to stało się, kiedy była mała... Miała dwa, może trzy lata. - Pokręcił głową. - To nieprawda. Uwierzyli mi... w szpitalu, na policji i moja żona. Ale powiedzieli, że muszą wszystko sprawdzić. To było istne piekło. Zajmował się tym detektyw Gunderson. Miły facet. Może jeszcze tam pracuje. W każdym razie uznali, że to tylko wyobraźnia Tessy. Kiedy była małym dzieckiem, obejrzała coś niestosownego w telewizji i coś zaczęło się jej wydawać. Dzieci przyjmują przecież za dobrą monetę wszystko, co do nich dociera. Rozumie pan?

Przygładził wąsy i ciągnął:

- Zanim się ożeniłem, byłem niespokojnym duchem. Spędziłem nawet trochę czasu w poprawczaku za kradzieże. Ale później ustatkowałem się, zostałem mechanikiem... Mówię to panu, żeby udowodnić, że jestem szczery. Wie pan, o co mi chodzi?

- Tak.

- Z Tessą to jest tak, że nigdy nie można być pewnym, co zrobi. Po zakończeniu dochodzenia przyznała, że wszystko sama wymyśliła, powiedziała, że czuje się winna i chciała się nawet zabić. Wraz z matką tłumaczyliśmy jej, że to by było najgorsze wyjście i że wciąż ją kochamy. A na dodatek, pieniądze z ubezpieczenia skończyły się akurat w najgorszym momencie i musieliśmy zabrać ją do domu. Lekarze uprzedzali, żeby na nią uważać. Nie spuszczaaliśmy jej z oka. Po dłuższym czasie spokoju wszyscy myśleliśmy, że jest już w porządku. Tessa przykładała się do nauki i bez problemu przyjęła ją na uniwersytet. Byliśmy już przekonani, że złe minęło. I nagle w tym roku oświadczyła, że wraca do domu. A później załamała się i powiedziała o tym gwałcie. Jakiś chłopak na randce. Mówiłem, że jej wierzę, ale...

Wrzucił do popielniczki drugi niedopałek.

- Gdybym miał pewność, osobiście odszukałbym tego faceta. Ale przecież już raz fałszywie oskarżyła mnie. A przedtem jeszcze tamtego chłopca. Co więc miałem sobie myśleć? Wcześniej nie powiedziała nikomu ani słowa, aż do wykładu tej profesorki. Jakiś czas później ona została zamordowana. Kiedy o tym usłyszałem, przestraszyłem się.

- Czego?

- Facet jak ja, który nie skończył średniej szkoły... Myślałem, że uniwersytet to bezpieczne miejsce. A tu nagle coś takiego.

- Czy Tessa mówiła coś panu o profesor Devane?

- Tylko tyle, że ją lubiła. Dlatego, że ona jej wierzyła. Tessa myślała, że już nikt nigdy jej nie uwierzy. Zaczęła mówić o tym, co mi zrobiła, i bardzo się rozplakała. Bardzo tego żałowała. Odpowiedziałem, że to już przeszłość, stało się to, co się stało, a teraz pójdziemy na policję i przyszpilimy gnojka. Ale ona bardzo się przestraszyła, powiedziała, żebym tego nie robił, że nikt jej nie uwierzy, będzie to tylko strata czasu, bo nie ma żadnych dowodów, więc nikt nie potraktuje sprawy poważnie.

- Z wyjątkiem profesor Devane.

- Z wyjątkiem jej. Tak. Chyba tylko dlatego się przed nami otworzyła. Tamta kobieta zginęła, a ją ogarnął strach. Zapytałem Tessę, czy myśli, że to właśnie oskarżany przez nią chłopak zabił tę profesorkę. Ale ona nie odpowiedziała, tylko wciąż powtarzała, że ta profesorka jej wierzyła, dobrze ją traktowała, a teraz nie żyje. Że życie nie ma sensu, bo ci najlepsi umierają młodo. Zaraz

potem oświadczyła, że zmieniała zdanie i wraca do akademika. I odeszła. Pozwoliłem jej na to, ale zadzwoniłem tam następnego dnia. Nie odbierała. Więc pojechaliśmy do kampusu i znaleźliśmy ją leżącą w łóżku, wpatrzoną w sufit. Wszędzie wokół było porozrzucane jedzenie, ale na pewno nic nie jadła. Patrzyła tylko w sufit. Już wcześniej widzieliśmy ją w podobnym stanie. Wtedy, kiedy przestała brać lekarstwo.

- Jakie?

- Na początku nardil, później tofranil i prozac. Teraz ma coś innego... chyba sinequan. Kiedy bierze je regularnie, czuje się całkiem dobrze. Mimo tych wszystkich problemów miała prawie same B, co moim zdaniem jest nie lada wyczynem. Gdyby nie kłopoty, na pewno miałyby same A. To bardzo mądra dziewczyna. Może za mądra, sam już w końcu nie wiem.

- A więc znaleźliście ją w łóżku? I nic nie jadła?

- Zabraliśmy ją z akademika do domu. I tak była zapisana tylko na dwa wykłady, bo lekarze nie pozwalali, żeby zbyt się stresowała. Radziliśmy, żeby przerwała naukę na półsemestr, ale nie chciała. A doktor powiedział, że to dobry znak. Że w ogóle czegośkolwiek chce. Więc pozwoliliśmy jej chodzić na te zajęcia. - Znów popatrzył mi w oczy. - Jest więc zapisana, ale nic nie robi. Nic nie czyta, nie przygotowuje się w domu.

- A w ogóle chodzi na wykłady?

- Nieregularnie. Moja żona zawozi ją i odbiera. Czasami nie chce wstać z łóżka. Jesteśmy o nią bardzo niespokojni, ale co możemy poradzić? Nie da się pilnować jej dwadzieścia cztery godziny na dobę. Nawet psychiatra mówi to samo.

- A więc wciąż jest pod jego opieką?

- Już niesystematyczną, ale często dzwoniemy do niego, bo to bardzo przyzwoity człowiek. I przyjmuje ją nawet wtedy, kiedy nie mamy pieniędzy. Doktor Emerson z Glendale. Jeśli chce pan z nim rozmawiać, proszę bardzo. Albert Emerson. - Podyktował mi numer telefonu.

- Czy informował państwa, jaka jest jego diagnoza?

- Depresja. Mówi, że Tessa wykorzystuje swoją wyobraźnię do obrony.

Potańczę i westchnął ciężko.

- Nie ma pan lekkiego życia - powiedziałem miękko.

- Mój chłopak jest wspaniały.

- Ile ma lat?

- Za miesiąc skończy cztery... duży jak na swój wiek.

- Macie jeszcze jakieś dzieci?

- Nie, tylko dwójka. Nie zdecydowaliśmy się na więcej, bo bardzo dużo czasu musieliśmy poświęcać Tess. A moja żona ma niedorozwiniętego brata, więc i trochę się baliśmy. - Uśmiechnął się. - A tu taka miła niespodzianka.

- Miła.

- I to jak. Robbie to wspaniałe dziecko. Nie uwierzyłby pan, jak potrafi rzucić piłkę. W jego towarzystwie Tess też czuje się szczęśliwa. Pozwalam, aby się nim zajmowała, ale wolę nie zostawiać ich samych.

- Dlaczego?

- Przez te jej nastroje. Robbie jest szczęśliwym dzieckiem i chcę, żeby takim pozostał. Na przykład kiedy usłyszeliśmy w telewizji o śmierci tej profesorki, Tess zaczęła strasznie krzyczeć i Robbie bardzo się tym przejął. Uspokoilem ją jakoś, kazać się pozbierać, żeby nie niepokoiła brata. W końcu się udało. Teraz jest z nią nieźle. Wydaje się spokojna, ale trzeba na nią uważać.

Poprosiłem, aby napisał zgodę na moją rozmowę z doktorem Albertem Emersonem, i pojechałem do domu. Wozu Robin nie było, a w kuchni znalazłem od niej karteczkę. Pojechała na pilną naprawę do jakiejś piosenkarki country do Simi Valley. Wróci o dziewiętnastej, może o dwudziestej.

Zadzwoiłem do psychiatry Tessy, spodziewając się, że odbierze sekretarka lub automat. Podniósł jednak słuchawkę osobiście. Miał chłopięcy, pełen wyczekiwania głos, jak ktoś w każdej chwili gotowy wziąć udział w nowej przygodzie.

Przedstawiłem się.

- Delaware... słyszałem już to nazwisko. Zajmował się pan sprawą Jonesa, prawda?

- Zgadza się -potwierdziłem, zaskoczony. Zamożny oskarżony i kanciarska obrona. Sprawa nie trafiła nawet na łamy gazet.

- Skontaktowali się ze mną obrońcy - wyjaśnił - kiedy zastanawiali się, gdzie umieścić drania. Namawiali, żebym podpierał ich swoimi zeznaniami i załatwił mu jakieś ciche i spokojne gniazdko. Odmówiłem. Zamknęli go wreszcie na długo?

- Mam nadzieję, że sobie posiedzi.

- Tak, choć nigdy nie wiadomo, ile są w stanie zdziałać pieniądze. Co mogę więc dla pana zrobić?

- Współpracuję z policją w innej sprawie. Morderstwo profesor psychologii, do którego doszło kilka miesięcy temu.

- Pamiętam. W pobliżu uczelni. Lubi pan sprawy kryminalne?

- Lubię wykryte sprawy.

- Wiem, o czym pan mówi. Jaki ja mam związek akurat z tą?

- Tessa Bowlby. Znała ofiarę. Przed komisją uczelnianą zajmującą się sprawami o podłożu seksualnym, na której czele zasiadała profesor Devane, oskarżyła innego studenta o gwałt. Przepytujemy wszystkich mających jakikolwiek kontakt z komisją, ale Tessa nie chce się zgodzić na rozmowę, a wiedząc od ojca o jej problemach, mam wątpliwości, jak powinienem postąpić.

- Komisja zajmująca się sprawami o podłożu seksualnym - powtórzył Emerson. Z jego tonu wywnioskowałem, że Tessa nie wspominała mu o tym ani słowem.

- Nie widziałem jej od pewnego czasu. Na dobrą sprawę wcale nie powinienem o tym rozmawiać.

- Mam zgodę jej ojca.

- Tessa skończyła już osiemnaście lat, więc nie ma to większego znaczenia. A więc przypuszczacie, że któryś z oskarżonych chłopców wściekł się i zemścił na oskarżycielce?

- Nie mamy żadnych dowodów, więc sprawdzamy wszystkie istniejące poszlaki.

- Komisja zajmująca się ekscesami o podłożu seksualnym - powtórzył jeszcze raz. - I to Tessa wysunęła oskarżenie?

- Tak.

- No proszę... Nigdzie o tym nie pisali, prawda?

- Rzeczywiście.

- Czy proces miał ostry przebieg?

- Nie był miłą pogawędką, ale komisja nie działała długo. Została zlikwidowana przez władze uczelni.

- A później ktoś zabił profesor Devane? Dziwne. Przykro mi, że nie mogę pomóc, ale powiem tylko, że niewiele miałbym do zaoferowania.

- Na temat Tessy czy jej ojca?

- Obojga. Osobiście nie poświęcałbym... wiele uwagi akurat tym osobom. Przepraszam, ale w poczekalni mam pacjenta...

A więc niczego nie udało mi się zdziałać.

Należało wrócić do doktora Cruvica i jego interesującego życiorysu.

Instytut, w którym spędził rok po odejściu z University of Washington, to Brooke-Hastings w Corte Madera - w rejonie San Francisco. Wrócił więc do Karoliny Północnej.

Zadzwoiłem do informacji w Corte Madera, by ustalić telefon do tego instytutu. Nic. Nie było takiego ani w San Francisco, Berkeley, Palo Alto ani nigdzie indziej w promieniu dwustu kilometrów.

Następny znak zapytania: szpital, w którym Cruvic odbył praktykę jako ginekolog.

Fidelity Medi-Cal Center w Carson.

Znowu ani śladu.

Czyżby ten facet był oszustem?

Ale przecież w Berkeley był podobno wyróżniającym się uczniem. Podobnie jak w San Francisco.

A więc coś dziwnego zaczęło się dziać, gdy już został lekarzem.

Kiedy zastanawiałem się nad tym, zatelefonował Milo:

- Jak dotąd żadnych innych podobnych zabójstw. Vegas próbuje dotrzeć do Teda Barnaby, chłopaka Mandy, i dowiedzieć się czegoś o tej ciąży i pozostałych sprawach. Ale jak dotąd nie są w stanie go namierzyć.

- Czyżby znów gdzieś się przeprowadził?

- Na to wygląda. Co ciekawe, dowiedziałem się, że w Vegas znają Cruvica. Przyszedł kilka razy do kasyna i grał dość dużymi pieniędzmi.

- Czyli facet, który powinien znajdować się w kręgu zainteresowań Mandy.

- Nikt nie widział ich razem, ale przesłałem zdjęcie Mandy do Los Angeles. Trzeba sprawdzić, czy się tu nie kręciła. Zamierzam dziś odwiedzić kilka nocnych klubów i innych przybytków, gdzie bywają droższe panienki. Dostałem też od ojca Patricka Huanga materiały dotyczące alibi syna. Zdjęcia, menu, potwierdzone notarialnie oświadczenia kelnerów i członków rodziny.

- Nie ma to jak tatuś prawnik - mruknąłem. - Ale to dobrze, bo Deborah Braittain bardzo się przez niego denerwowała.

- Dlaczego?

- Denerwował ją sam jego widok. Później co prawda przyznała, że już jej nie niepokoił. Podziwiała Hope i powiedziała, że dzięki niej zmieniła własne życie. Odnalazłem też Tessę Bowlby i dowiedziałem się bardzo ciekawych rzeczy.

Powtórzyłem mu rozmowy z Walterem Bowlby i doktorem Emersonem.

- Poważne problemy z psychiką - rzekł. - Uważasz, że ojciec mówił prawdę i oskarżyła go bez powodu?

- Nie da się tego jednoznacznie stwierdzić. Doktor Emerson sugerował, że nie warto zaprzętać sobie głowy całą sprawą. Mówił to z przekonaniem, ale Tessa nie odwiedza go już regularnie. Nie powiedziała mu ani słowa o Hope i o komisji. Walter Bowlby sprawiał wrażenie szczerego i pragnącego udzielić mi pomocy. Podał też nazwisko detektywa z Tempie City, który badał to posądzenie. Gunderson.

- Zadzwoń do niego. Fałszywe oskarżenie... więc Muscadine może mówić prawdę.

- Nawet jeśli tak nie jest, nie widzę tu żadnego powiązania z Mandy Wright.

- Pozostaje zatem tylko pan Kenny Storm junior. Jestem z nim umówiony na jutro po południu w biurze jego ojca. Chcesz iść ze mną i popatrzeć na niego z boku?

- Jasne. Usłyszałem też parę ciekawych rzeczy o Cruvicu.

Powiedziałem o zaskakująco dużej liczbie samochodów na parkingu przed kliniką i uzbrojonym strażniku. Sugerowało to niemal hurtowe aborcje, po dziewięćset dolarów za zabieg.

- Przecież musiał jakoś zarobić na swojego Bentleya.

To jeszcze nie wszystko. Na jego wizytówce jest informacja, że zajmuje się tylko leczeniem bezpłodności, ale stwierdziłem, że brakuje mu do tego kwalifikacji. W życiorysie znalazłem też inne niezgodności. Przerwał specjalizację chirurgiczną na University of Washington już po pierwszym roku, przeniósł się do czegoś noszącego ponoć nazwę Instytut Brooke-Hastings, przerzucił się na ginekologię i wreszcie wyłądownął w szpitalu w Carson - Fidelity Medi-Cal Center. Nie mogą zlokalizować żadnej z tych placówek.

- Falszerstwo?

- Jego tytuły są autentyczne i nikt go o nic nie oskarża. To możliwe, że obie instytucje już nie istnieją. Ale zwróć uwagę, że przeniósł się z renomowanej medycznej uczelni do jakiegoś nikomu nie znanego instytutu. Możliwe jest więc, że nie stała za tym wyłącznie zwykła zmiana zainteresowań. Może został wyrzucony, bo nie spełniał wymagań stawianych chirurgom i musiał szukać sobie miejsca gdzie indziej, żeby nie rzucać się w oczy. A teraz z kolei podaje się za specjalistę od leczenia bezpłodności.

- Rzeczywiście interesujące - przyznał Milo. - I cała sprawa zaczyna cuchnąć. A Hope była jego konsultantką. Może nie potrafili się dogadać w kwestiach finansowych?

- Seacrest zaś właśnie dlatego stosuje takie wykręty... Może rzeczywiście chodzi o nielegalne pieniądze. To tłumaczyłoby, dlaczego uporczywie podkreśla, że nie wtrącał się nigdy do zawodowych spraw Hope.

- To możliwe...

- Chcesz, żebyśmy jeszcze zamienił z nim słówko?

- Jak naukowiec z naukowcem? Jasne, będę wdzięczny... No proszę, kto by pomyślał, co może mieć na sumieniu nasz doktorek.

- Podoba ci się Cruvic w roli głównego podejrzanego?

- Powiedzmy, że na razie wzbudził moją baczniejszą uwagę. Jeśli tylko uda się jeszcze w jakiś sposób powiązać go z Mandy, będzie nasz.

Była już dziewiętnasta dziesięć, a Robin ciągle nie wracała. Nagłe wezwania zazwyczaj okazywały się skomplikowane. Zadzwoiłem do studia nagraniowego, w którym pracowała.

- Przykro mi, kochanie, ale jestem uziemiona. Zajmie mi to trochę czasu... jeszcze co najmniej ze dwie godziny.

- Jadłaś już?

- Nie, najpierw chcę skończyć. Ale nie rób sobie kłopotu, mam ochotę na coś prostego.

- Foie gras?

Roześmiała się.

- Świetnie. Najpierw upoluj gęś.

Siedziałem przez chwilę zamyślony, popijając kawę.

Znałem pewne miejsce w Beverly Hills, gdzie można było kupić wysmienitą pizzę.

A po drodze jeszcze raz powęszę w okolicy prywatnej kliniki Cruvica.

Tym razem także najpierw sprawdziłem zaplecze. I znów trzy miejsca parkingowe za różowym budynkiem były puste. A w oknach ciemno.

Od frontu na ulicy spokój. Półmrok, bo lampy są rozstawione zbyt rzadko. Zatrzymałem się niemal pięćdziesiąt metrów od wejścia i czekałem, wyobrażając sobie, co pozbawiony skrupułów lekarz mógłby zrobić swoim pacjentom.

Palce Cruvica ociekające krwią...

Wybujala wyobraźnia. Gdy byłem dzieckiem, drażniłem tym wszystkich nauczycieli.

Reflektory. Obok wolno przejechał policyjny patrol z posterunku po drugiej stronie torów.

Gliniarze z Beverly Hills byli bardzo wyczuleni na ludzi siedzących bez wyraźnego uzasadnienia w samochodzie. Ale nie zatrzymali się.

Nagle poczułem się głupio. Nawet gdyby Cruvic pojawił się tu, co bym mu powiedział?

- Cześć, chciałem się dowiedzieć, co to za instytut Brooke-Hastings i w jakim charakterze pan tam występował... aha, a przy okazji, jak to jest z pana kwalifikacjami, jeśli chodzi o leczenie bezpłodności?

Uruchomiłem silnik i już miałem zapalić reflektory, kiedy moją uwagę zwrócił głośny zgrzyt dochodzący z tyłu. Faliste, blaszane wrota w budynku obok kliniki zaczęły się podnosić. Wyjechał z nich samochód z już włączonymi światłami.

To nie Bentley. Niewielki, ciemny sedan. Skręcił w prawo. W środku dwie osoby. Kierowała siostra Anna. Obok jakiś mężczyzna.

A więc okazuje się, że i sąsiedni dom należał do Cruvica.

Anna podjechała do Foothill Drive, na moment prawie się zatrzymała i znów skręciła w prawo.

Podążyłem za nimi.

Jeszcze dwukrotnie skręcała w prawo, w Burton Way i Rexford Drive. Zakreśliła duże U, dzięki czemu znaleźliśmy się w północnej części Beverly Hills. Dalej pojechaliśmy ku Sunset, a później do skrzyżowania z Coldwater Canyon.

Wyraźnie zdążyła w stronę Valley. Tylko cóż w tym dziwnego? Przecież była zwykłą kobietą, wracającą po pracy do domu ze swym mężem albo chłopakiem.

Między nas wjechały dwa samochody. Ruch zmniejszył się już wyraźnie w porównaniu z godzinami szczytu, ale i tak musieliśmy zwolnić nieco do prawie trzydziestu kilometrów na godzinę. Udawało mi się ani na chwilę nie stracić z oczu tamtego wozu; kiedy stanął na czerwonym świetle na Cherokee Drive, zjechałem na prawy pas, żeby znaleźć się bliżej. To była toyota, nowy model. W środku dwie nieruchome głowy.

Nagle Anna przechyliła się na prawo. Widziałem wyraźnie małe pomarańczowe ogniki. Przesuwał się w lewo, aż zobaczyłem wystawioną przez okno rękę, która cisnęła niedopałek na ulicę. Mężczyzna na siedzeniu pasażera ani drgnął. Albo siedział pochylony, albo był małego wzrostu, bo jego głowa znajdowała się stosunkowo nisko.

Cruvic nie był olbrzymem. Czyżby pielęgniarka podwoziła go do domu? Albo utrzymywali stosunki nie tylko na stopie zawodowej.

Wciąż po głowie chodzą ci tylko romanse, Delaware, pomyślałem. A przecież nie oglądasz mydlanych oper.

Światło zmieniło się na zielone i toyota wystrzeliła do przodu. Nie zwolniła aż do Mulholland Drive, którym większość pojazdów zdążyła na południe, do Studio City. Ale toyota skręciła na wschód.

Posuwałem się za nią, stale utrzymując stosowny dystans. Anna jechała równo, pewnie biorąc zakręty, jak osoba dobrze znająca drogę. Kilka lat temu Mulholland był niemal pusty od Woodland Hills po Hollywood. Teraz wzdłuż prawie całej tej trasy stały domy mieszkalne.

Za mną droga była zupełnie pusta. Zgasilem reflektory. Ulica się zwięzła. Toyota sunęła nią kilka dobrych kilometrów. Nagle się zatrzymała. Byłem na tyle daleko w tyle, że zdecydowałem się zahamować ostro, na szczęście unikając pisku opon. Zjechałem na pobocze i, nie gasząc silnika, obserwowałem, co nastąpi.

Z przeciwka nadjechał jakiś samochód.

Kiedy oddalił się, toyota skręciła na podjazd przed wysoką, żelazną kratą.

Dwa blade światelka - lampiony na słupkach. Wszędzie wokół mrok. Pasażer otworzył drzwiczki i wysiadł, wprawdzie oświetlony przez latarnię, lecz plecami do mnie.

Podszedł do jednego ze słupów i dotknął go. Nacisnął zapewne włącznik.

Kiedy brama zaczęła się rozsuwać, wolniutko wyjechałem na drogę i jeszcze nieco się zbliżyłem.

Toyota wykręciła na wstecznym biegu i odjechała.

Brama była już otwarta i mężczyzna właśnie przechodził przez nią. Wciąż ze zgaszonymi światłami podjechałem wolno, tak że dzieliła nas odległość zaledwie kilku metrów. Odgłos silnika zwrócił uwagę mężczyzny. Na to właśnie liczyłem. Obejrzał się.

Przez ułamek sekundy widziałem go wyraźnie w świetle lampionu.

Znałem tę twarz.

Szczupła, inteligentna. Pełne usta. Długie włosy zaczesane do tyłu. Płaskie policzki, wygięte brwi.

Drugi James Dean.

Niewysoki, ale to nie Cruvic.

Casey Locking - ulubieniec Hope.

Poskrobał się po uchu.

Gdybym nie wiedział, że na palcu ma sygnet z trupa czaszką, nie zwróciłbym uwagi na jego błysk na bladej dłoni.

Przyspieszyłem ostro.

Hope i Cruvic.

A teraz student Hope z pielęgniarką Cruvica.

Czy Locking mieszka właśnie za tą bramą?

Nieźle miejsce jak na studenta. Dobrze sytuowani rodzice? Albo to dom Cruvica, dokąd został przywieziony na spotkanie z gospodarzem.

Zatrzymałem się, zawróciłem i podjechałem pod bramę. Najpierw upewniłem się, że nikogo nie ma na zewnątrz, i zbliżyłem się wolno do samego ogrodzenia. Adres uwidocznił się na skrzynce pocztowej. Zapamiętałem go.

Ale co chłopak na podyplomowych studiach psychologicznych mógł mieć wspólnego z leczeniem niepłodności albo aborcjami?

Kontynuował „konsultacje” Hope?

Uczestniczył w jakiejś dużej sprawie? Mającej na tyle szeroki zasięg, żeby były w nią zamieszane jednocześnie Hope i Mandy Wright?

Albo chodziło o coś zupełnie niewinnego. O jakiś akademicki projekt dotyczący niechcianych ciąży, psychologicznych skutków niepłodności albo czegoś podobnego.

Ale Locking ani słowem nie wspomniał o takiej pracy, a Hope nie opublikowała żadnych prac o podobnej tematyce.

I nic nie tłumaczyło faktu, że do tego domu podwoziła go pielęgniarka Cruvica.

Nic tu nie miało sensu.

Kiedy wróciłem do siebie, Robin i Spike właśnie wchodzili po schodkach. Na śmierć zapomniałem o pizze.

Pomachała mi na powitanie, a Spike przyjął pozę jak na psich konkursach. Spoglądał w moją stronę, dopóki nie usłyszał znajomego „cześć”. Wtedy zaczął się wrywać i Robin puściła go, aby mógł mnie polizać.

Kiedy głaskałem go po głowie, mruczał zachwycony. Wreszcie otrzepał się i poprowadził mnie do Robin.

Przycisnąłem ją do siebie i mocno ucałowałem.

- Jezu, jakich perfum użyłam, że wzbudzam tyle uczucia?

- Perfumy nic tu nie znaczą - odparłem. - To promieniująca od ciebie miłość.

Pocałowałem ją ponownie, po czym otworzyła drzwi i weszliśmy do domu.

- Jak poszła naprawa? - zapytałem.

Roześmiała się i poprawiła włosy.

- Gitarowe 997. Większość instrumentów już uratowana. Ale mam jeszcze na dziś robotę. Obiecałam naprawić sprzęt Eno Burke'a przed jutrzejszą sesją nagraniową.

- Chyba zartujesz.

- Chciałabym. Przynajmniej płacą potrójnie.

Położyłem dłoń na jej ramieniu.

- Cała noc?

- Mam nadzieję, że nie. Ale najpierw muszę się zdrzemnąć.

- Zrobić ci kawę?

- Nie, dziękuję, piłam ją cały dzień... Przepraszam, Alex, miałeś ochotę na coś specjalnego?

- Zawsze jestem otwarty na wszelkie propozycje.

Przytuliła się plecami do moich piersi.

- Co powiesz na wspólną drzemkę? Zaśpiewasz mi kołysankę?

Późnym wieczorem przeszedłem, już w piżamie, do gabinetu i zająłem się przeglądaniem poczty. Rachunki, kłamcy zachwalający mi jakieś zupełnie zbędne przedmioty i dawno przeterminowany czek od prawnika kolekcjonującego ferrari.

Nie mogłem przestać myśleć o Lockingu, siostrze Annie i problemie samokontroli.

Milo był nieuchwytny. Przypomniałem sobie, że przecież odwiedza właśnie kluby w Stripie.

Kręci się wśród pięknych i bogatych ludzi.

Rozweseliło mnie to.

Odtworzyłem wiadomości nagrane na automatycznej sekretarce.

Tuż po tym, jak wyszedłem do Beverly Hills, zatelefonowała profesor Julia Steinberger.

Czyżby sobie coś przypomniała?

Zostawiła numery do swojego biura w kampusie i do domu.

Mąż odebrał po drugim dzwonku i powiedział:

- Żony nie ma w domu i pewnie będzie nieobecna jeszcze przez dłuższy czas. Proszę spróbować zadzwonić jutro do biura.

Przyjazny, ale wyraźnie zmęczony.

Zostawiłem swoje nazwisko. Włożyłem dresy i podkoszulkę, podszedłem do posłania Spike'a i zapytałem, czy nie ma ochoty na mały spacer. Nawet nie odwrócił łba, ale kiedy sięgnąłem po smycz, poderwał się na równe nogi i pobiegł za mną do drzwi.

Będąc przed domem, słyszałem, jak Robin pracuje w warsztacie.

Wraz ze Spike'em poszliśmy aż do Glen i skręciliśmy w jedną z ciemnych, bocznych uliczek, gdzie od zapachu magnolii aż kręciło się w głowie.

Spike zatrzymywał się co kilka kroków, rozglądał się i powarkiwał.

Rano o dziewiątej spróbowałem dodzwonić się do biura Julii Steinberger, ale nikt nie podnosił słuchawki. W sekretariacie wydziału chemii powiedziano mi, że do południa będzie prowadzić seminarium.

Nic straconego. I tak miałem do załatwienia inne sprawy w miasteczku uniwersyteckim.

W sekretariacie wydziału psychologii przy komputerach tkwiły trzy sekretarki, ale biurko recepcyjne było wolne. Piętrzyła się na nim sarta poczty. Kilku studentów stało przy tablicy i czytało ogłoszenia o pracy.

- Przepraszam - powiedziałem i najbliższa urzędniczka uniosła głowę. Młoda, ładna i widać, że pełna zapału do pracy.

Okazałem jej swoją legitymację wykładowcy szkoły medycznej.

- Zapewne jestem tu persona non grata, ale może uda mi się uzyskać pomoc.

- Ooo - mruknęła, uśmiechając się i nie przerywając pisania. - Zdrajca? Cóż, nie interesują mnie rozgrywki footballowe. Co mogę dla pana zrobić?

- Szukam słuchacza studiów podyplomowych, Caseya Lockinga.

- Ma pokój w suterenie, ale nie bywa tam często. Przede wszystkim pracuje w domu.

Przeszła w głąb biura, ale wróciła z pustymi rękami.

- To dziwne. Jego teczka zniknęła. Proszę jeszcze poczekać.

Wystukała coś na klawiaturze i wywołała listę nazwisk.

- Proszę bardzo. Pokój B pięćdziesiąt trzy trzydzieści jeden. Może pan skorzystać z tego telefonu.

Zadzwoniłem. Żadnej odpowiedzi. Mimo wszystko zszedłem na dół. W suterenie mieściły się głównie laboratoria. Biuro Lockinga było wymienione w spisie. Obok prowadzących do niego drzwi znajdowała się stosowna wywieszka. Zapukałem, ale bez efektu.

Wróciłem na górę i powiedziałem dziewczynie:

- Nie ma go. Szkoda. Składał ofertę pracy i zamierzałem umówić go na spotkanie.

- Może dać panu jego numer domowy?

- To chyba dobry pomysł.

Zapisała numer na karteczce. W holu przeczytałem go. 213, poprzedzony kierunkowym 858. Hollywood Hills, na wschód od La Cienega. A więc to nie dom w Mulholland.

Widać pojechał tam odwiedzić kogoś. Zapewne Cruvica.

A co z teczką osobową Caseya? Skorzystałem z telefonu miejskiego i zadzwoniłem pod podany numer. Po kilku sygnałach rozległ się miękki głos Lockinga:

- Nikogo nie ma w domu. Mów albo daruj sobie.

Odłożyłem słuchawkę i wyszedłem z budynku.

Czas odwiedzić wydział historyczny.

Hays Hall był jednym z najstarszych uniwersyteckich budynków. Usytuowany tuż za Biblioteką Palmera, podobnie jak ona miał elewację z żółtawego, poszarzałego piaskowca.

Pokój Seacresta znajdował się na najwyższym piętrze, na końcu korytarza, w którym moje kroki odbijały się głośnym echem. Mahoniowe drzwi prowadzące do gabinetu nie były zamknięte, ale w środku nikogo nie zastałem.

Pomieszczenie było spore, ze ścianami pomalowanymi na bladozielony kolor. Kopulaste sklepienie i duże okna wymagające umycia potęgowały niesympatyczne wrażenie. Brunatne, ciężkie aksamitne zasłony wisiały na szerniałych, mosiężnych karniszach. Wokół rzędy półek, a na podłodze podniszczony perski dywan, kiedyś zapewne czerwony, dziś tylko szaroróżowy.

Obok brzydkiego, wiktoriańskiego biurka na toczonych nogach, długiego na ponad dwa metry, stał czarny fotel. Naprzeciw ustawiono trzy skórzane fotele, z których jeden miał zaszytą dziurę. Na blacie biurka panował taki sam porządek jak w całym pokoju. Ułożone starannie arkusze egzaminacyjne, dwie neolityczne urny i maszyna do pisania royal. Na zielonej bibule leżała kanapka z jajkiem, a obok nie otwarta jeszcze puszka dietetycznego sprite'a. Ani jednej plamki czy choćby okruszka.

Seacrest wyszedł nagle z pomieszczenia po drugiej stronie korytarza, susząc dłonie papierowym ręcznikiem. Miał na sobie szary sweter z mocno wytartymi mankietami, brązową koszulę w kratkę i popielaty krawat. Wyminął mnie, usiadł za biurkiem i łakomie popatrzył na kanapkę.

- Dzień dobry - pozdrowiłem go.

Sięgnął po kanapkę i ugryzł kęs.

- Co mogę dla pana zrobić?

- Jeśli znajdzie pan trochę czasu, mam kilka pytań.

- Na temat?

- Pańskich stosunków z żoną.

Odłożył kanapkę. Nie zaproponował, bym usiadł, więc nadal stałem.

- Moje stosunki z żoną - powtórzył cicho.

- Nie chciałbym ingerować...

- Ale i tak pan to robi, bo policja panu za to płaci.

Oderwał kawałek chleba, włożył go sobie do ust i przeżuwał powoli.

- To dobra zabawa - dodał.

- Słucham?

- Dlaczego chce pan o tym rozmawiać?

- Profesorze, jeśli pora jest nieodpowiednia...

- Och, proszę nie żartować. - Odchylił się w fotelu. - Muszę powiedzieć, że do czasu tych wieczornych odwiedzin pana i Sturgisa nie zdawałem sobie sprawy, że jestem podejrzany. A przy okazji, po co w ogóle panowie wówczas przyjechali? Chcieliście spróbować wyprowadzić mnie z równowagi? Mieliście nadzieję, że może się czymś zdradzę? Czy to nieodpowiednia pora? Każda jest nieodpowiednia.

Pokręcił głową.

- To cholerne miasto. Wszyscy chcą się pokazać i czegoś dokonać. Proszę powiedzieć Sturgisowi, że wystarczająco długo mieszka już w Los Angeles, więc powinien wziąć się za prawdziwą pracę detektywa. - Ze złości poczerwieniał na twarzy. - Na dobrą sprawę te podejrzenia powinny mnie zdziwić. Bez wątplenia musi istnieć jakiś idiotyczny poradnik dla policjantów, który uczy, że w pierwszym rzędzie należy podejrzewać męża. Ci pierwsi gliniarze byli do mnie wrogo nastawieni już od samego początku. Ale nie bardzo rozumiem, po co pan został wciągnięty w to dochodzenie. Czy on spodziewa się, że pańskie kwalifikacje podziałają na mnie deprymująco?

Znów pokręcił głową i zjadł kolejny kawałek kanapki, energicznie poruszając żuchwą.

- Fakt, że jestem podejrzany, właściwie nie robi na mnie wrażenia - stwierdził. - Nie mam nic do ukrycia, więc proszę drażnić, ile pan chce. A jeśli chodzi o stosunki domowe, żadne z nas nie było łatwe we współżyciu, więc już samo to, iż byliśmy ze sobą, powinno o czymś świadczyć. Co więcej, jaki miałbym powód, żeby zrobić jej krzywdę? Pieniądze? Rzeczywiście w ubiegłym roku zarobiła fortunę, ale pieniądze niewiele dla mnie znaczą. Kiedy sprawy spadkowe dobiegną końca, bez oporów zamierzam rozdać cały jej majątek biednym. Proszę poczekać i zobaczyć, jeśli mi pan nie wierzy. A jaki inny motyw mógłbym mieć?

Roześmiał się.

- Nie, Delaware, poziom mojego życia nie zmienił się od czasu śmierci Hope. Kiedy żyła, wydawało mi się, że jestem samotnikiem. Jej strata sprawiła, że naprawdę zostałem zupełnie sam, i ciężko mi z tym. A teraz proszę pozwolić mi w spokoju dokończyć lunch.

Kiedy skierowałem się ku drzwiom, rzucił za mną:

- Szkoda, że Sturgis jest tak mało kreatywny. Postępowanie według utartych schematów zmniejsza jeszcze tę niewielką szansę na poznanie prawdy, która mu pozostała.

- Nie jest pan optymistą.

- A czy policja dała mi po temu powody? Może powinienem na własną rękę zatrudnić prywatnego detektywa. Chociaż nie wiedziałbym nawet, dokąd się zwrócić. - Roześmiał się nerwowo. - Nie mam też własnego prawnika. I wcale nie dlatego, że nikt nie zgodził się mnie reprezentować. Ktoś musiał przekazać mój numer Sleazy Lawyers Club. Tuż po morderstwie dzwoniło do mnie codziennie po kilku prawników. Nawet i teraz zdarza się to jeszcze.

- Co panu proponują?

- Zaskarżenie miasta o to, iż nie dopilnowało przycięcia drzew. Jakby o to chodziło. Może i szkoda, że nie mam ochoty wycisnąć z tego pieniędzy. Napisałbym może jakąś książkę, która stałaby się bestsellerem... czy nie byłoby to wspaniałe? Pełen żalu wdowiec występujący we wszystkich miejscowych talk-show. Poszedłbym w ślady Hope.

- Żona świetnie wypadła w tej roli.

- Hope świetnie radziła sobie ze wszystkim. Czy pan to rozumie? Ta kobieta była absolutnie wyjątkowa.

Pokiwałem głową.

- W głębi ducha pogardzała mediami, ale wiedziała, że są przydatne.

- Mówiła tak panu?

- Tak, Delaware. Była moją żoną. Ufała mi.

Sięgnął po napój.

- Chryste, dlaczego marnotrawię z panem czas... Czy w ogóle wyobraża pan sobie, co znaczyło dzielenie dachu z kimś takim jak ona? To było jak przebywanie w towarzystwie jakiegoś wypożyczonego dzieła sztuki, Renoira albo Degasa. Wiesz, że nigdy nie będziesz jego właścicielem, ale jesteś wdzięczny, że możesz go chociaż oglądać.

- Wypożyczonego od kogo? - zapytałem.

- Boga, przeznaczenia, czegokolwiek, w co się wierzy.

Napił się i odstawił puszkę.

- Teraz więc myślicie sobie: czy był zazdrosny? Odpowiedź brzmi: nie. Byłem pełen obaw, ale obaw o nią. Następne pytanie dotyczy psychoanalizy. Co ona we mnie widziała? Nie znam odpowiedzi, mimo że nad tym także się zastanawiałem. Teraz ona odeszła... a pański policyjny przyjaciel myśli, że to ja jestem winny... Czy studiował pan historię, panie Delaware?

- Od czasu studiów formalnie nie, ale staram się jak najwięcej czytać.

- No cóż... Czy pomyślał pan kiedyś, czym tak naprawdę jest historia? To rejestr porażek, nikczemności, błędnych ocen, wad charakterów, krwawych okrucieństw i nieetycznych postępów. Ludzkie istoty to takie nędzne stworzenia. Co zresztą świadczy na korzyść ateizmu w konfrontacji

z odrażającą naturą tych strzępów ciała i słabości stworzonych podobno przez Boga. Może istnieje jakieś bóstwo, ale jest widać takim samym nieudacznikiem, jak wszystkie jego twory. Czy to nie byłoby kpina...? A teraz proszę zostawić mnie samego!

Odetchnąłem z ulgą, kiedy znów znalazłem się w pełnej słońca alejce.

Jakby jasność i ciepło mogły rozpuścić gorycz, jaką nasiąkłem w biurze Seacresta.

Prawdziwy ból i złość albo gra, aby uchronić się od dalszego wypytywania.

Zapytany wprost, jak układały się stosunki z Hope, nie powiedział, że dobrze, tylko iż oboje byli trudni we współżyciu, ale potrafili się porozumieć.

Właściwie przyznał się do tego, że był o nią zazdrosny, ale zamienił to uczucie w podziw i cześć.

Życie w symbiozie z dziełem sztuki... To mogło zrodzić kompleksy i doprowadzić do niebezpiecznych konsekwencji.

Przypomniałem sobie ten moment, kiedy się rozzłościł i zaczerwienił. Czyżby miał krótki zapalnik?

Ludzie, mający problemy z panowaniem nad sobą, dość często zdradzają się w ten właśnie sposób.

Czuł się bezpiecznie, bo rzeczywiście był niewinny albo też to trudny do przyłapania na kłamstwie psychopata.

Spotkanie w biurze Kennetha Storma seniora w Pasadenie było wyznaczone na trzynastą. Julia Steinberger skończy wykłady za dwadzieścia minut.

Skorzystałem z bibliotecznego telefonu i kolejny raz spróbowałem się dodzwonić do mieszkania Casey Lockinga. Ta sama nagrana wiadomość.

W Anglii było późne popołudnie, więc postanowiłem skontaktować się z drugą studentką Hope - Mary Ann Gonsalvez.

Niestety, znów bez rezultatu.

Julia Steinberger szła w stronę swojego biura w towarzystwie dwóch studentów. Na mój widok zmarszczyła brwi i zwróciła się do nich:

- Poczekacie na mnie chwilkę? Wpadnę do laboratorium.

Odeszli, a ona, odczekawszy moment, otworzyła drzwi do swojego gabinetu. Miała na sobie czarną sukienkę przed kolana, ozdobioną onyksowym naszyjnikiem. Sprawiała wrażenie zakłopotanej. Gdy weszliśmy do środka, nie skierowała się w stronę fotela.

- Nie wiem czy robię dobrze... - zaczęła - ale podczas naszego pierwszego spotkania nie wspomniałam o pewnej sprawie. Zapewne nie ma ona większego znaczenia... a tym uważam ją za....

- Czy o Hope?

- Tak. Pamięta pan, że mówiłam o swych odczuciach dotyczących tego, iż w przeszłości mogła być molestowana?

- To jej dzikie spojrzenie?

- Tak, ale... było coś jeszcze. Zdarzyło się to w zeszłym roku... w klubie dla kadry naukowej. To nie było powitalne spotkanie... chyba uroczystość związana z czyimiś gościnnymi wykładami.

Podeszła do biurka i oparła się o jego blat. Popatrzyła na swoją ulubioną lalkę, ale nie wykonała najmniejszego ruchu, żeby po nią sięgnąć.

- Rozmawialiśmy trochę, po czym Hope przeszła dalej, a my z Gerrym także zmieniliśmy towarzystwo. Jakąś godzinę później poszłam do toalety i zobaczyłam ją, stojącą przed lustrem. Pomiedzy holem a toaletą jest niewielki przedsionek, także z lustrami i można z niego zajrzeć do środka. Na podłodze leży miękka wykładzina, więc zapewne wcale mnie nie usłyszała.

Spuściła wzrok.

- Stała w środku i oglądała swoje ciało. A dokładniej rękę. Jej sukienka miała duży dekolt, ale rękawy sięgały aż do łokci. Już wcześniej zwróciłam uwagę na jej kreację, bo musiała kosztować fortunę. Zsunęła jedno z ramiączek i oglądała ramię. Zwróciłam uwagę na jej bardzo dziwne spojrzenie... jakby była zahipnotyzowana. .. Patrzyła zupełnie niewidzącym wzrokiem. A na ramieniu miała sińca. Potężnego. Sinoniebieskiego. O, tutaj. - Dotknęła własnego bicepsu. Właściwie składał się z kilku mniejszych siniaków. Coś jakby ślady palców. Jakby ktoś złapał ją za rękę i mocno ścisnął. Skórę miała wyjątkowo jasną, bardzo delikatną, więc siniak był szczególnie wyraźnie widoczny, jak tatuaż. I wyglądał na świeży, nie zmienił jeszcze koloru na zielono-purpurowy.

Pospiesznie podeszła do drzwi, z taką miną, jakby powstrzymywała się od płaczu.

- To wszystko.

- Jak zareagowała, kiedy panią zauważyła? - zapytałem.

- Opuściła rękaw, popatrzyła na mnie całkiem przytomnie i powiedziała „Cześć, Julia”, jakby nic się nie stało. Zaczęła wesoło rozmawiać ze mną, poprawiając makijaż. Mówiła jak wszystko wyglądałoby inaczej, gdyby także mężczyźni uzmysłowiali sobie, że muszą dbać o swój wygląd. Zgodziłam się z nią i obie udawałyśmy, że nic się nie stało. A co miałam powiedzieć: „Kto ci to zrobił?”

Otworzyła drzwi.

- Może to nie ma żadnego znaczenia. Może po prostu miała taką delikatną skórę, podatną na wszelkie, nawet delikatne urazy... ale kiedy zaprosiła mnie do komisji, po prostu czułam, że jestem jej to winna.

Sińce na jasnej skórze.

Nagły gniew Seacresta.

Wsiadłem do swojej Seville i ruszyłem na północ.

W Pasadenie powietrze jest zazwyczaj szczególnie ciężkie i zanieczyszczone, ale dzisiaj było wyjątkowo przejrzyste i budynki biurowe na Cordova Street lśniły pięknie jak na obrazie Richarda Estes.

Storm Reality and Investment mieściło się w parterowym, pseudohiszpańskim budynku otoczonym kwitnącymi klombami i drzewami obsypanymi purpurowym kwieciem. Zajechałem na parking, zatrzymując się obok służbowego wozu Milo. Policjant czekał już na mnie, trzymając w rękach swoją nieodłączną teczkę i magnetofon. Miał na sobie szary garnitur, białą koszulę i czerwono-niebieski rypсовy krawat.

- Jesteś dziś niezwykle elegancki - powiedziałem, zerkając na jego traperki i z trudem powstrzymując śmiech.

- W świecie biznesu trzeba upodobnić się do biznesmena. A przechodząc do interesów, znalazłem kilka knajp w Sunset Strip, w których Mandy Wright mogła bywać.

- Mogła?

- Jak dotąd żadnych dowodów, ale kilka obiecujących spostrzeżeń. Otóż miałem szczęście i znalazłem dwóch barmanów, którzy pracują w tych samych lokalach już od ponad roku. Żaden nie był na sto procent pewien, że to ona, ale obaj stwierdzili, że dziewczyna wygląda znajomo.

- Pracowała czy tylko kręciła się tam?

- Przecież jedno jest równoznaczne z drugim. Bo jeżeli pracowała, nie potwierdziliby tego, ryzykując utratę licencji. Sądzę, że to może być właściwy trop, bo oba lokale dzieli od siebie zaledwie jedna przecznica, więc może kursowała między nimi. Club None i Pit. Problem w tym, że żaden z barmanów nie przypomina sobie, aby widywał ją z kimkolwiek.

- Ale możemy założyć, że bywała w Los Angeles.

- Po drugie, rozmawiałem z Gundersonem, detektywem z Tempie City, który zajmował się skargą Tessy na jej staruszka. Teraz jest już wiceszefem departamentu policji. Słabo pamiętał tę sprawę, ale sięgnął do akt i powiedział, że nigdy nie brali tej skargi poważnie. Uważał Tessę za kogoś niezrównoważonego psychicznie. Przypomnił sobie nawet jej ojca. Według niego to bardzo

sympatyczny i szczery facet. Muscadine poprawił więc swoje notowania i właściwie możemy go już wyeliminować. A żeby skończyć z tą cholerną komisją, bierzmy się do Storma.

- Zanim się tym zajmiemy, wiedz, że zdobyłem dowody na to, iż w stosunku do Hope ktoś używał siły. - Streściłem mu rewelacje Steinberger, a później krótką rozmowę z Seacrestem.

- Siniaki i złość - mruknął marszcząc brwi. - Na co właściwie zareagował tak gwałtownie?

- Denerwował się od samego początku, ale poczerwieniał wyraźnie, kiedy zapytałem o ich wzajemne stosunki.

- Dobrze. Widać, załazimy mu za skórę. Może teraz ja powinienem go nieco pomóc... Wyobraź sobie, znęca się nad nią przez długie lata, a ona pisze książkę dla kobiet, radząc, jak powinny się bronić.

- Nie byłoby to niczym oryginalnym.

- Co takiego? - zapytał.

- Przerost formy nad treścią. Poszufladkowanie wszystkiego. Ale jeżeli ona i Seacrest mieli problemy, to książka, która spowodowała, że autorką zaczęto się interesować, mogła potwierdzić słuszność jej poglądów i skłonić do podjęcia decyzji o definitywnym rozstaniu. Niewykluczone, że w jakimś stopniu sława okazała się dla niej wyrokiem śmierci. Ale rozważanie, co to ma wspólnego z Mandy Wright, przerasta już moje możliwości intelektualne. Pojawia się też kolejna komplikacja: ostatniego wieczora znów przejechałem się w okolicy kliniki Cruvica; jego zapewne nie było, ale widziałem siostrę Annę. W towarzystwie Caseya Lockinga.

Opowiedziałem o domu w Mulholland, a Milo natychmiast zanotował sobie adres.

- Cholera - zaklął. - Rzeczywiście to rozwała nasze dotychczasowe hipotezy. Będę musiał sprawdzić, kto jest właścicielem. A teraz zajmijmy się przesłuchaniem tego pyskatego dzieciaka.

Przeszliśmy przez obszerną, pustą w tej chwili recepcję, minęliśmy kilka urzędniczek, które oburzone uniosły na nas wzrok znad klawiatur, i weszliśmy do gabinetu Kennetha Storma seniora.

Stormowie stanowili żywy dowód potwierdzający teorię dziedziczenia. Obaj o grubych karkach, szerokich plecach i z niewielkimi, pełnymi podejrzliwości oczkami.

Senior był po pięćdziesiątce i sprawiał wrażenie kogoś lubiącego żyć pełnią życia, kto został zmuszony do zajęcia miejsca za biurkiem. Był ubrany w granatową marynarkę ze złotymi guzikami i masońską szpilką w klapie. Junior miał ciemnozieloną marynarkę z równie lśniącoymi guzikami.

Obaj zajmowali miejsca za potężnym biurkiem z jasnego dębu, na którego blacie była tylko brązowa figurka kowboja i onyksowy stojak na pióra. Biuro było okazałych rozmiarów, wyłożone dębową boazerią, na podłodze leżał beżowy dywan. Nagrody z dziedziny obrotu nieruchomości i ubezpieczeń życiowych były widać sposobem seniora na dodanie sobie prestiżu, bo cała ich seria

wisiała na ścianach. Pomieszczenie wypełniała woń cygarowego dymu, ale nigdzie nie widać było popielniczek.

Przed biurkiem stał szczupły, siwowłosy mężczyzna o orlim nosie, ubrany w trzyczęściowy czarny garnitur, niebieską koszulę z francuskimi mankietami i jedwabny różowy krawat. Przedstawił się jako Pierre Bateman - prawnik Storma. Przypomniałem sobie, że jego nazwisko pojawiło się w kontekście skargi na działalność uczelnianej komisji. Zanim zdążyliśmy usiąść, zaczął wyklądać nam cichym, monotonnym głosem swoje zastrzeżenia co do treści i sposobu prowadzenia rozmowy. Kenneth Storm junior ziewał, skrobał się za uchem i bawił guzikiem. Jego ojciec nie widzącym wzrokiem patrzył na biurko.

- Co więcej - ciągnął Bateman - z uwagi na temat tego...
- Czy jest pan specjalistą od spraw kryminalnych? - zapytał Milo.
- Jestem osobistym prawnikiem pana Storma. Zajmuję się wszystkimi jego interesami.
- A więc to nasze spotkanie także traktuje pan jako interes?

Bateman zacisnął zęby.

- Czy mogę kontynuować, detektywie?
- Czy pan Storm junior oficjalnie pana zatrudnił?
- To nie ma żadnego znaczenia.
- Mogłoby, jeśli zamierza pan dalej narzucać nam jakieś własne reguły.

Prawniki przesunął palcem po szafirowej spince przy mankiecie i zerknął na chłopaka.

- Czy nie masz nic przeciwko wyznaczeniu mnie swoim pełnomocnikiem, Kenny?

Junior przewrócił oczami. Ojciec w zamyśleniu gładził rękaw marynarki.

- Nie.

- A więc dobrze - rzekł Bateman. - Z uwagi na temat rozmowy, detektywie, wstrzymaj się pan...

Milo wolnym ruchem umieścił na biurku swój magnetofon.

- Nie podoba mi się to - rzekł Bateman.

- Co takiego?

- Nagrywanie. To nie zeznanie przed sądem ani oficjalne przesłuchanie, a mojemu klientowi nie zostały postawione żadne konkretne zarzuty...

- Dlaczego więc zachowuje się pan w ten sposób?
- Detektywie, nalegam, żeby przestał pan przerywać...

Milo uciszył go głośnym westchnieniem. Sięgnął po magnetofon i przyglądał się jego klawiszom.

- Panie Bateman, przyjechaliśmy tu z czystej uprzejmości, kilkakrotnie zgadzaliśmy się na zmianę terminu spotkania i tylko przez grzeczność przystaliśmy na obecność ojca pańskiego klienta, chociaż klient, jak wiemy, jest już pełnoletni. Poza tym nie chodzi o byle wykroczenie, ale zajmujemy się sprawą morderstwa kobiety, do której chłopak był wrogo nastawiony i nie ukrywał tego.

Junior zamruczał coś pod nosem, na co senior posłał mu karcące spojrzenie.

- Detektywie, z pewnością...

Mecenasie - rzekł Milo podchodząc do niego. - Nie jest jeszcze formalnie oskarżony, ale wszystkie te kręactwa bez wątpienia tylko utwierdzają nas w przekonaniu, że chłopak rzeczywiście ma coś do ukrycia. Jeśli chce pan tu być, nie mogę zabronić. Ale gdy będziemy rozmawiać na interesujący nas temat, zamierzam nagrywać wszystko, co powie, i to ja będę dyktował warunki. W przeciwnym wypadku umówimy się na spotkanie w komisariacie, a pan zajmie się wyciszaniem hałasu w mediach.

Junior ponownie coś mruknął.

- Ken! - ostrzegł go ojciec.

Chłopak wznosił oczy do góry i dotknął krosty na szyi. Jego dłonie były duże, mocne, lecz zupełnie nieowłosione.

- Przepraszam, że zajmujemy twój cenny czas - rozpoczął Milo. - Chociaż nie narzekasz chyba na jego brak, prawda? Skoro już nie studiujesz...

Mięśnie na szyi juniora uwydatniły się, kiedy zacisnął szczęki. Ojciec nerwowo gładził mankiet.

- Detektywie, to było wspaniałe przemówienie - rzekł Bateman - ale jeśli pan pozwoli, dokończę wymieniać nasze zastrzeżenia.

Milo wziął magnetofon i ruszył w stronę drzwi.

- Sayonara, panowie - rzucił.

Byliśmy już w korytarzu, kiedy za naszymi plecami rozległ się głos Batemana:

- Detektywie?

Nie zwolniliśmy. Prawnik musiał podbiec, by nas dogonić. W recepcji zapadła cisza jak makiem zasiał. Tylko z radia dobiegał pełen podniecenia głos spikera.

- To było nie w porządku, detektywie - wyszeptał Bateman. - Przecież to dzieciak.

- Ma dziewiętnaście lat, a więc jest wystarczająco dorosły, żeby móc zrobić komuś poważną krzywdę, panie Bateman. Proszę oczekiwać od nas oficjalnego wezwania.

Milo otworzył drzwi wejściowe i prawnik wyszedł za nami na parking.

- Pan Storm jest szanowaną i powszechnie znaną osobą, detektywem, a Kenny to porządny chłopak.

- To świetnie.

- Można by sobie pomyśleć, że w mieście, w którym panoszą się gangi i popełnianych jest wiele przestępstw, policja powinna mieć ważniejsze sprawy na głowie...

- ...niż niepokoić szanowanych obywateli? - dokończył Milo. - Cóż mogę powiedzieć... Widać, po prostu jesteśmy głupi. - Podeszedł do swojego wozu.

- Proszę poczekać - w głosie Batemana wyraźnie wyczuwało się napięcie, ale wynikają ze zdenerwowania, a nie oburzenia.

Milo sięgnął po kluczyki.

- Detektywie, jestem tu po to, by oni czuli się bezpieczni. Kenny to naprawdę dobry chłopak. Znam go od lat.

- Bezpieczni przed policją?

- Ostatnio nie układa im się. Obaj żyją w ciągłym stresie.

Milo otworzył drzwiczki i wrzucił do wnętrza teczkę.

Bateman podeszedł do niego jeszcze bliżej i przemówił cicho:

- Nie spodziewam się współczucia, ale Ken... Stary Ken ma kłopoty finansowe. I to poważne. Taki już jest rynek nieruchomości.

Milo wyprostował się, ale nie przerywał mu.

- To naprawdę trudny czas dla nich obu - ciągnął prawnik. - Najpierw Kenowi zmarła żona. Nagle. Tętniak mózgu. A teraz to. Ken zbudował swoje imperium z niczego. Postawił ten budynek dwadzieścia lat temu, a teraz zagraża mu jego utrata. I nawet to nie rozwiąże kłopotów, bo jest wielu innych wierzycieli. Dlatego rozumie pan, czemu tak obawia się nadania sprawie rozgłosu. Jestem nie tylko jego prawnikiem, ale i przyjacielem. Czuję się w obowiązku chronić go wszelkimi siłami.

- Tutaj w grę nie wchodzi nieruchomości, panie Bateman.

Prawnika przytaknął.

- Mówiąc prawdę, nie znam się dobrze na prawie karnym i informowałem o tym Kena. Ale razem chodziliśmy jeszcze do średniej szkoły. Nalegał, żebym był obecny.

- A więc uważa, że chłopak potrzebuje pomocy prawnej.

- Nie, nie, tylko w ogólnym zakresie... żeby nie być bezradnym wobec systemu. Mówiąc szczerze, Kenny nie jest geniuszem i ma wredny charakter. Podobnie jak Ken. Jego ojciec był zresztą taki sam. Wszyscy mężczyźni w tej cholernej rodzinie są bardzo porywczy.

Zmusił się do uśmiechu, ale Milo nadal miał poważny wyraz twarzy.

- Czy Kenny jest jedynakiem?

- Nie, ma siostrę w Stanford Med.

- Mądra?

- Cheryl ma kapitalny łeb.

- Jak żyją ze sobą?

- W porządku, ale Kenny nie dorównuje jej pod żadnym względem i wszyscy dobrze o tym wiedzą. Rzecz w tym, iż kombinacja tak porywczych charakterów i nawarstwionego stresu może w efekcie doprowadzić do eksplozji. I dopiero wtedy zaczną się dla tego chłopaka prawdziwe kłopoty.

- A mianowicie?

- Ktoś może nabrać przekonania, że Kenny jest zdolny do agresji. A to nieprawda, proszę mi wierzyć. Grał w football z moim chłopakiem, jeszcze w średniej szkole. Miał świetną szybkość, i do tego siłę, ale wypadł z drużyny, bo nie umiał być agresywny.

- Nie miał instynktu wojownika zabójcy, co?

Bateman skrzywił się z niesmakiem.

- Co więcej, zapewniał mnie, że tego wieczora, gdy zostało popełnione morderstwo, był w San Diego.

- Jest ktoś, kto potwierdzi jego wersję?

- Nie, ale jak już mówiłem, on nie jest Einsteinem.

- Więc?

- Z tego, co czytałem na temat tej zbrodni, zabójca wykazał się dużą inteligencją. A to już zupełnie nie pasuje do Kenny'ego. Może się zdenerwować, rzucać przekleństwami, może nawet kogoś uderzyć, ale szybko się uspokaja.

- Był wystarczająco inteligentny, żeby dostać się na uniwersytet - zauważyłem.

- To istny cud. Proszę mi wierzyć. Ken uruchomił swoje kontakty i zmusił syna do pracy. Ten bardzo się wysiłał, ale i tak nie szło mu dobrze. W College of the Palms było podobnie. A teraz to. Cała ta sprawa nie mogła zdarzyć się w gorszym momencie, jeśli brać pod uwagę jego sytuację. Właśnie dlatego to gów... pańska uwaga na temat wolnego czasu była dla niego jak cios poniżej pasa. Już sam fakt, że jest się przesłuchiwanym przez policję, nie jest przyjemny. I mówiąc szczerze, chłopak był tym mocno przestraszony.

- Nie sprawiał takiego wrażenia.

- Starał się nad sobą panować. Proszę mi wierzyć, jest przestraszony.

Milo uśmiechnął się wreszcie.

- Lubi go pan, co?

- Tak, lubię, detektywie.

- A ja nie, panie Bateman. Bo nie zrobił nic, czym mógłby zaskarbić sobie moją sympatię.

- Det...

- Z jednej strony mam do czynienia z brutalnym, nie wyjaśnionym morderstwem, z drugiej zaś widzę w pańskim kliencie potężnego, agresywnego chłopaka o nieciekawym charakterze, który chowa się pod skrzydłami bufoniastego tatusia i prawnika, starającego się nie dopuścić mnie do słowa. Czy pan się spodziewa, że prześlę swoje pytania napisane na kartce papieru i będę cierpliwie wyczekiwać odpowiedzi?

Bateman zacisnął szczęki. Był dobrze wychowany i opanowany, a zrezygnowana postawa, jaką przyjął, wykazywała, że jest gotów do ustępstw.

- Oczywiście, że nie, detektywie. Chciałbym tylko... w porządku, spróbujmy jeszcze raz. Proszę pytać, o co pan chce, i nagrywać wszystko, ale ja będę czuwać nad przebiegiem rozmowy. I proszę choć spróbować nie zapominać, że to naprawdę dobry dzieciak.

Kiedy wróciliśmy do biura, obaj Stormowie siedzieli, paląc cygara, a na biurku pojawiła się popielniczka.

- Panamskie? - zapytał Milo.

Senior przytaknął i wypuścił taki kłęb dymu, że cały się za nim skrył. Junior uśmiechał się głupkowato.

Milo ponownie ustawił magnetofon, wyrecytował datę i nazwę miejsca, swój numer identyfikacyjny oraz nazwisko juniora jako obiekt „osobistego wywiadu w sprawie sto osiemdziesiąt siedem dotyczącej zabójstwa profesor Hope Devane”.

Na dźwięk tego nazwiska uśmiech zniknął z twarzy juniora. Zaciągnął się i z trudem powstrzymał od kaszlu.

Bateman i ja usiedliśmy, natomiast Milo nadal stał.

- Dzień dobry, Kenny.

Mruknięcie.

- Czy wiesz, dlaczego tu jesteśmy?

Mruknięcie.

- Ile razy spotkałeś się z profesor Devane?

Mruknięcie.

- Będziesz jednak musiał mówić.

- Raz.

- Kiedy to było?

- Przed komisją.

- Chodzi o przesłuchanie przed Komisją Spraw Interpersonalnych, kierowaną przez profesor Devane?

Mruknięcie.

- Co to znaczy?

- Tak.

- Czytałem zapis tego przesłuchania, synu. Wygląda na to, że atmosfera była mocno podgrzana.

Mruknięcie.

- Czyli?

- To była dziwka.

Senior wyjął cygaro z ust.

- Ken - skarcił syna.

- Mówię, jak było.

- A więc nie lubiłeś jej? - zapytał Milo.

- Proszę nie sugerować odpowiedzi - warknął senior.

Milo skarcił go wzrokiem.

- W porządku, będziemy trzymać się cytatów. Uważasz, że to dziwka?

Stary poczerwieniał, lecz opanował się, gdy Bateman wykonał ręką uspokajający gest.

Milo powtórzył pytanie.

Chłopak wzruszył ramionami.

- Była, kim była - mruknął.

- Czyli?

- Pieprzoną dziwką.

- Ken!

- Panie Storm, proszę przestać nam przerywać - ostrzegł go Milo.

- To mój syn, do cholery, i mam prawo...

- Ken, wszystko w porządku - powiedział z naciskiem Bateman.

- Akurat. Wszystko w porządku. Po prostu świetnie.

- Mecenasiu - warknął Milo.

Bateman wstał i położył dłoń na ramieniu przyjaciela. Ten strząsnął ją i nerwowo zaciągnął się cygarem.

- Dlaczego uważasz, że była dziwką, Kenny? - powtórzył Milo.

- Bo tak się zachowywała.

- Więcej szczegółów.

- Bo zrobiła wszystko, żeby mnie załatwić. Przesłała list, w którym pisała, że chce ze mną przedyskutować kilka spraw.

- Przed komisją?

- Tak. Kiedy tam przyszedłem, przez cały czas robiła wszystko, żeby namówić Cindy do powiedzenia, że jestem gwałcicielem, a to kompletna bzdura. Zerknął na ojca. - Między mną a Cindy doszło tylko do głupiej kłótni. Później do mnie zatelefonowała.

- Kto? Profesor Devane?

- Tak.

- Kiedy?

- Później.

- Po przesłuchaniu.

- Tak.

- Ile czasu od niego minęło?

- Następnego dnia. Wieczorem. Byłem w klubie studenckim Omega.

- Dlaczego dzwoniła?

- Żeby mnie zgnębić.

- W jakim sensie, synu?

- Była wkurzona, bo jej plany się rozwiały.

- Co zrobiła, żeby cię zgnębić?

- Powiedziała, że nawet jeśli Cindy nie chce mnie oskarżyć, i tak mam kłopoty. .. Kłopoty z kontrolą swoich zachowań, i takie tam gówno. Mówiła, że może mi poważnie zaszkodzić, jeżeli nie będę się właściwie zachowywał.

- Groziła ci?

Chłopak nerwowo poruszył się w fotelu, zerknął na swoje cygaro i odłożył je na popielniczkę. Ojciec obserwował go uważnie.

- Nie powiedziała tego wprost, ale wyraźnie dawała do zrozumienia.

- W jaki sposób?

- Nie pamiętam, co dokładnie powiedziała. Że będzie mnie obserwować i że ma władzę, wie pan.

- Czy użyła słowa „władza”? - zapytałem.

- Nie... nie wiem. Może... chodzi bardziej o to, w jaki sposób to powiedziała. Uważaj, albo coś podobnego. Była bezwzględna i radykalna.

- Radykalna?

- Lewicowa.

- Zwierzała ci się ze swoich poglądów politycznych?

Chłopak uśmiechnął się.

- Nie, ale to było oczywiste. Radykalny feminizm. Chęć zaprowadzenia nowego porządku, wiecie, co mam na myśli?

- Nie bardzo, synu.

- Socjalizm. Odgórna kontrola. - Znów zerknął na ojca. - Komunizm padł w Rosji, ale wciąż próbują opanować Amerykę.

- Ach, a więc według ciebie profesor Devane należała do jakiejś lewicowej, zakonspirowanej partii?

Kenny roześmiał się.

- Nie, nie mam świra na tym punkcie, tylko że pewnego gatunku ludzie uwielbiają roztaczać nad wszystkim swą kontrolę, narzucać innym własne zasady... jak na przykład opinia, że „Playboy” to wyjątkowe zło, więc powinien być zakazany.

- I profesor Devane należała właśnie do ludzi tego rodzaju?

Kenny wzruszył ramionami.

- Na to wygląda.

Milo ze zrozumieniem pokiwał głową i potarł dłonią brodę.

- I powiedziała, że będzie cię obserwować?

- Coś takiego.

- Obserwować, w jaki sposób?

- Nie mówiła, ale i tak jej przysoliłem.

- Nie rozumiem?

- Powiedziałem, żeby się odpieprzyła, odłożyłem słuchawkę i wróciłem do gry w bilard. I tak byłem zdecydowany pożegnać to miejsce, więc jej groźby nie zrobiły na mnie żadnego wrażenia.

- Postanowiłeś opuścić uniwersytet?

- Tak. Pozostawanie tam nie miało sensu. To tylko strata czasu. W szkole nie można się nauczyć biznesu. - Kolejne ukradkowe spojrzenie na ojca, który, spowity chmurą dymu, wodził wzrokiem po swoich nagrodach.

- A więc uważasz, że to była dziwka, i ponadto groziła ci. Czy jej groźby przstraszyły cię choć trochę? - zapytał Milo.

- Ależ skąd. Mówiłem już, że gównu mi mogła zrobić, bo rezygnowałem z nauki.

- Czy kiedykolwiek rozważałeś podjęcie jakichś kroków przeciwko niej?

- Na przykład jakich?

- Jakichkolwiek.

Senior szybko odwrócił głowę do Batemana.

- Czy może pytać tak ogólnie, Pierre?

- Mógłby pan inaczej sformułować pytanie, detektywie?

- Nie. Czy kiedykolwiek rozważałeś podjęcie jakichś działań przeciw profesor Devane, Kenny?

Junior przenosił wzrok z ojca na Batemana i z powrotem.

Milo zniecierpliwiony zaczął pukać stopą o podłogę.

- Tato?

Senior zdegustowany popatrzył na syna.

- Mam jeszcze raz powtórzyć pytanie? - zniecierpliwiał się Milo.

- Mów, Kenny - powiedział Bateman.

- My, mój ojciec i ja, rozmawialiśmy o zaskarzeniu jej.

- Zaskarzeniu?

- Za naruszenie dóbr osobistych.

- Bo tak było w rzeczywistości - rzekł stary.

- Wtedy dopiero miałyby za swoje - dodał junior. - Ale w końcu niczego nie zrobiliśmy.

- Dlaczego?

Brak odpowiedzi.

Bo została zamordowana? - zapytał Milo.

- Nie, bo tata popadł w... jest bardzo zajęty prowadzeniem swoich interesów.

- Rozmawialiśmy o tym - powiedział głośno senior. - I co z tego? Wydawało mi się, że przynajmniej ostatnio mieszkam w wolnym kraju i mogę rozmawiać z synem na dowolny temat.

Milo ani na chwilę nie spuszczał wzroku z chłopaka.

- Czy kiedykolwiek brałeś pod uwagę jeszcze inne działania przeciw profesor Devane, Kenny?

- Jakie?

- Jakiegokolwiek.

- Jakie?

- Wyrządzenie jej fizycznej krzywdy.

- Nie ma mowy. A nawet gdybym miał na to ochotę, to nie ją bym uderzył, tylko tego gnojka obok niej. Nigdy nie podniósłbym ręki na kobietę.

- O jakim gnojku mówisz?

- Tym, który razem z nią zasiadał w komisji. Ten dopiero się do mnie przypiął. Nie wiem nawet, jak się nazywał.

- Myślałeś, żeby zemścić się na nim przy użyciu siły fizycznej?

- Detektywie, to nie... - interweniował Bateman.

- Nie myślałem o tym, ale gdybym coś takiego chciał zrobić, to właśnie nim bym się zainteresował. Wciąż mnie atakował, jakby chciał... prześcignąć ją w feminizmie.

- Więc gdybyś planował zrobienie komuś krzywdy, to wybrałbyś jego, a nie profesor Devane?

- Nigdy nie mówiliśmy, że moglibyśmy zrobić komuś krzywdę - włączył się do rozmowy senior.

- Zgadza się - dodał junior. - Porozmawiałbym z nim jak mężczyzna z mężczyzną. Ale ona była kobietą. Jestem nauczony, żeby otwierać kobietom drzwi.

- Także drzwi od samochodu? - zapytał Milo. - Na przykład Cindy?

Chłopak sprężył się.

Milo sprawdził taśmę w magnetofonie.

- W porządku. Teraz pomówmy o tym, gdzie byłeś tego wieczora, kiedy zostało popełnione morderstwo.

- La Jolla - padła natychmiastowa odpowiedź.

- Dlaczego?

- Mieszkam tam. I pracuję.

- Pracujesz gdzie?

- Excalibur Real Estates, na stażu. Pracowałem, bo nieruchomości to bagno.

- A więc zrezygnowałeś?

- Tak.

- A co robisz teraz?

- Badam.

- Badasz co?

- Możliwości.

- Rozumiem - mruknął Milo. - Ale wtedy, gdy zostało popełnione morderstwo, jeszcze pracowałeś w Excalibur Real Estates.

- Tak. Ale akurat tego dnia byłem z przyjaciółmi na plaży. - Wyliczył na palcach: - Corey Vellinger, Mark Drummond, Brian Baskins.

- Ci przyjaciele są z La Jolla?

- Nie, stąd. Z Omegi. Przyjechali do mnie.

- Jak długo z nimi byłeś?
 - Od jakiejś dziesiątej do siedemnastej. Później oni pojechali do Los Angeles.
 - A co robiłeś od siedemnastej?
 - Pojeździłem sobie trochę, wpadłem do Blockbuster po jakąś kasetę wideo, a później chyba do Warehouse po płyty kompaktowe.
 - Kupiłeś jakieś płyty?
 - Nie, tylko popatrzyłem, co mają.
 - Masz rachunek za wypożyczenie kasety?
 - Nie.
 - Zapłaciłeś kartą kredytową.
 - Nie, przekroczyłem limit, więc zostawiłem depozyt i zapłaciłem gotówką.
 - Co wypożyczyłeś?
 - „Terminatora 2”.
 - Wróciłeś do domu i obejrzałeś film?
 - Wcześniej poszedłem na kolację.
 - Dokąd?
 - Do Burger Kinga.
 - Jest tam ktoś, kto mógłby cię zapamiętać?
 - Nie, to był drive-through.
 - Gdzie zjadłeś?
 - U siebie.
 - W mieszkaniu?
 - Tak.
 - Gdzie?
 - Coral Motel, obok Torrey Pines.
 - Ktoś cię tam widział?
 - Nie sądzę, ale może.
 - Może?
 - Nie znam nikogo. To tylko kawalerka, którą wynajmą mi, kiedy pracowałem.
 - Wynajmą?
 - Mówię o ojcu.
- Senior zaciągnął się i popatrzył na ścianę.
- To prawda - przyznał.
 - Tak więc wróciłeś do mieszkania z kasetą i jedzeniem. Która to była godzina?

- Między osiemnastą a dziewiętnastą.

- A co później?

- Oglądałem telewizję.

- Co dokładnie?

- Chyba MTV.

- Jakie programy?

Kenny roześmiał się.

- Nie wiem, różne klipy.

- Czy wychodziłeś jeszcze tego wieczora?

- Nie.

- Spokojny wieczór, co?

- Tak. Spiekłem się na plaży i nie czułem się najlepiej. - Uśmiechnął się, ale ostatnie słowa wypowiedział z pewnym niepokojem.

- Robiłeś tego wieczora coś jeszcze oprócz oglądania telewizji?

Chwila ciszy.

- Nie.

- Zupełnie nic?

- Raczej nie.

- Raczej nie?

Chłopak zerknął na ojca.

- Kenny? - zachęcił go Milo.

- Właściwie to wszystko.

- Co znaczy właściwie?

Stary odwrócił się do syna i popatrzył na niego groźnie.

- Co znaczy właściwie? - powtórzył Milo.

Kenny dotknął krosty na szyi.

- Nie dotykaj tego - warknął ojciec.

- Co jeszcze robiłeś tego wieczora? - zapytał po raz kolejny Milo.

Głos juniora był niemal niesłyszalny:

- Piwo.

- Piłeś piwo?

- Tak.

- Jedno?

- Kilka.

- Ile dokładnie?

Kolejne spojrzenie na ojca.

- Kilka.

- To znaczy dwa?

- Może trzy.

- Albo cztery?

- Może.

- Upiłeś się, synu?

- Nie.

Małe oczka chłopaka stały się nagle niespokojne.

- Robiłeś coś jeszcze oprócz picia piwa?

- Nie!

- Cztery piwa - mruknął Milo. - Może cały karton?

- Nie, dwa zostały.

- A więc z całą pewnością cztery.

- Zapewne tak.

- Zapewne?

- Resztę zostawiłem na rano.

Ken senior, patrząc na syna, powoli pokręcił głową.

- Śniadanie mistrzów - zauważył Milo.

Chłopak nie odpowiedział.

- Kolacja, telewizja, później cztery piwa. O której je wypięłeś?

- Nie wiem, może o dwudziestej.

Co pozwalało znaleźć czas na dwugodzinną jazdę do Los Angeles i godzinę czekania na ofiarę. Ale pies rozchorował się wcześniej.

- Co później?

- Nic.

- O dwudziestej poszedłeś spać?

- Nie... jeszcze oglądałem.

- Cały wieczór?

- W zasadzie tak.

- Bądź tak dobry i znajdź kogoś, kto widział cię tego wieczora, synu.

- To małe mieszkanie - rzekł Kenny, jakby stanowiło to jakiegokolwiek wytłumaczenie.

- Może jakieś rozmowy telefoniczne?

- Hmm... nie, żadnych.

- Może?

- Nie wiem.

- Łatwo jest zajrzeć do wykazu rozmów.

Chłopak zerknął na Batemana. Ten powiedział:

- Musimy to zbadać, detektywie.

- Z pewnością to zrobimy - zapewnił Milo. Biorąc pod uwagę brak alibi i ostrą wymianę zdań między Kennym a profesorem Devane, nietrudno będzie załatwić nakaz.

Chłopak wyprostował się, lecz po chwili jego barki opadły.

- Ja... Czy mogę pomówić z panem na osobności?

- Kenny? - zdziwił się jego ojciec.

- Oczywiście - odpadł Milo.

- Nie ma mowy - zaprotestował senior. - Pierre?

- Kenny, jeśli czegoś potrzebujesz... - rzekł prawnik.

Chłopak poderwał się wymachując rękami.

- Potrzebuję chwili prywatności!

- Jestem tu, żeby bronić twoich praw i two...

- Nie chodzi mi o żadne prawne gówno...

- Ken! - skarcił go ojciec.

- Chodzi o zabójstwo, tato. Oni mogą robić, cokolwiek zechcą!

- Zamknij się!

- To nic wielkiego, tato! Chcę tylko pomówić z nimi na osobności.

- Kenny, bez wątpienia wspólnie musimy omówić... - zaczął Bateman.

- Nie! - krzyknął chłopak. - Nie powiem, że ją zabiłem ani czegoś równie szalonego!

Wykonałem tylko pewien telefon, jasne? Pieprzony telefon, ale i tak się dowiedzą, więc musicie dać mi chwilę spokoju!

Cisza.

Wreszcie odezwał się stary:

- Co, do diabła, zrobiłeś? Zadzwoiłeś po jakąś dziwkę?

Chłopak zaczerwienił się, usiadł ciężko i schował twarz w dłoniach.

- Świetnie - mruknął ojciec. - Świetnie, Kenny.

Junior zaczął płakać. Mówił z trudem, często się zacinając.

- Chciałem... tylko... pieprzoną... chwilę... spokoju...

- Przecież tak łatwo o jakąś wredną chorobę. Jezu...

- To właśnie dlatego nie chciałem ci powiedzieć!

- Świetnie - powtórzył ojciec. - Bardzo sprytnie.

Kenny zwiesił głowę. Jego usta wciąż drżały.

- Jeżeli podobno tak się przejmowałeś, przewidując moją reakcję, dlaczego w ogóle to zrobiłeś? - zapytał ojciec.

- Używałem gumy!

Senior pokręcił głową.

- To, co robiłeś, jest z mojego punktu widzenia twoją osobistą sprawą, Kenny - rzekł Milo. - Właściwie może ci to nawet pomóc. Do kogo dokładnie zadzwoniłeś?

- Do pewnej agencji.

- Jej nazwa?

- Nie pamiętam - pełen desperacji, prawie dziecinny ton.

- Już wcześniej korzystałeś z jej usług?

Milczenie.

- Kenny?

- Raz.

- Raz, wcześniej?

Potakujący ruch głową.

- Ale nie pamiętasz jej nazwy?

- Starr Escorts. Przez dwa „r”.

- Skąd się o niej dowiedziałeś?

- Z książki telefonicznej. Jest tam mnóstwo tego typu agencji.

- A jak nazywała się dziewczyna? Chociaż pamiętasz, jak miała na imię?

- Nie wiem... Chyba Hailey.

- Chyba?

- Nie rozmawialiśmy wiele.

- W obu przypadkach to była ta Hailey?

- Nie, tylko za drugim razem.

- Opisz ją.

- Meksykańska uroda, niska, długie ciemne włosy. Niebrzydka twarz. Świetne cyc... zgrabna.

- A wiek?

- Jakieś dwadzieścia pięć.

- Ile zażądała?

- Pięćdziesiątki.

- Jak jej zapłaciłeś?

- Gotówką.

- O której zatelefonowałeś do Starr Escorts?

- O jakiejś dziesiątej.

- A o której przyjechała Hailey?

- O dziesiątej trzydzięci, może przed jedenastą.

- Jak długo była u ciebie?

- Pół godziny. Może trochę dłużej. Później... oglądała ze mną telewizję i wypiliśmy dwa ostatnie piwa.

- A potem?

- Później wyszła, a ja położyłem się spać. Następnego dnia włączyłem telewizor, nastawiłem wiadomości i mówili o niej, o Devane. Ktoś ją wykończył, a ja pomyślałem sobie, cholera, kiedy umierała, ja... -zerknął na ojca i urwał. - Mniej więcej w tym czasie kiedy umierała, ja świetnie się bawiłem. Dziwne zrzączenie losu i pomyślałem, że to jakby... jakaś zemsta.

- Chryste - jęknął stary. - Możemy to już zakończyć?

- A więc jestem kryty? Mam alibi? - zapytał chłopak. - Zginęła około północy, a ja byłem... z Hailey, więc nie mogłem tego zrobić, prawda?

Odetchnął głęboko, z wyraźną ulgą.

- Cieszę się, że mam to już za sobą - powiedział cicho. - Tato, nikogo nie zabiłem. Jesteś szczęśliwy?

- Wprost wniebowzięty - mruknął senior.

- Starr Escorts - powtórzył Milo.

- Znajdzie ich pan w książce telefonicznej. Jeśli będzie trzeba, zgodzę się na cholerny wykrywacz kłamstw.

- Zamknij się - nie wytrzymał ojciec. - Skończ już to gadanie! - Gwałtownym ruchem odwrócił się w stronę Milo: - Jest pan teraz zadowolony? Wycisnął pan z nas wystarczająco dużo? Może wreszcie zajmie się pan łapaniem naprawdę niebezpiecznych przestępców?

Milo popatrzył na chłopaka.

- A czy znasz Mandy Wright?

Szczere zaskoczenie na jego twarzy.

- Kogo?

- Chryste, skończcie już! -warknął senior.

- Ken - rzucił Bateman.

- Ken - powtórzył senior tak, jakby na dźwięk własnego imienia odczuwał obrzydzenie. Wskazał ręką drzwi i powiedział ostrym tonem: - Wynoście się. Wszyscy. To wciąż moje biuro i teraz ja życzę sobie spokoju.

Gdy znaleźliśmy się z powrotem na parkingu, zapytałem:

- Wierzysz mu?

- Wezwanie panienki jest dokładnie tym, co mógł zrobić chłopak taki jak on - orzekł Milo. -

I wygląda na to, że rzeczywiście nie jest wystarczająco inteligentny, by zaplanować takie morderstwo. Jeśli odzyskam tę dziewczynę, a ona z kolei potwierdzi jego alibi bez jakichkolwiek zachęt finansowych ze strony tatusia, na naszej liście będziemy mieć o jedno nazwisko mniej.

- Poza tym rzeczywiście wydaje się, że nie znał Mandy Wright.

Milo sięgnął po cygaretkę i w zamyśleniu obracał ją w palcach. Od strony San Gabriels wiała ciepła bryza, palmy rosnące rzędem wzdłuż ściany budynku kołysały się rytmicznie.

- A więc żegnaj, komisjo. Hope zginęła prawdopodobnie z innego powodu, związanego z jej prywatnym życiem... te sińce na ramieniu znów kierują moje podejrzenia w stronę Seacresta. I na Cruvica, bo zapewne to właśnie on z nią romansował. Rzecz w tym, że nie udaję się ruszyć sprawy któregośkolwiek z nich... i wciąż nie wiem, jaka naprawdę była Hope. Tylko skrajnie spolaryzowane opinie: pełna zrozumienia i zapału obrończyni praw kobiet albo nieprzejednany wróg mężczyzn. Nic o jej... wnętrzu.

- Dodatkowym utrudnieniem pozostaje fakt, iż poza Seacrestem nie miała żadnej rodziny - uzupełniłem. - Zupełnie nie ma z kim porozmawiać o jej dzieciństwie i zachowaniach poza pracą.

- Wiem tylko, że dorastała w zabitym deskami miasteczku Higginsville. Rodzice nie żyją, żadnej innej rodziny. Jeśli nawet ma jakichś krewnych, to zapewne dalekich, bo nikt nie zainteresował się jej śmiercią.

Wsiadł do wozu.

- Chociaż brak rodziny nie oznacza, że nikt jej nie znał - zauważyłem. Mógłbym pojechać do Higginsville, pokręcić się i popytać. W tak małym miasteczku ktoś może ją pamiętać.

- Jasne - odpowiedział bez wahania. - Skontaktuję się z miejscową policją, powiadomię ich o twoim przyjeździe i dopilnuję, żeby załatwili ci dostęp do danych. Kiedy chcesz jechać?

- Nie widzę przeszkód, żeby zrobić to jutro.

Pokiwał głową.

- Weź cienkie ubranie. O tej porze roku panują tam upały. Z tego, co pamiętam, rejon ten słynie ze świetnych karczochów.

Tego wieczora Robin i ja poszliśmy na kolację. O dwudziestej wróciliśmy i podczas gdy Robin moczyła się w wannie, ja wyciągnąłem się na sofie w gabinecie i jeszcze raz czytałem zapis

przebiegu przesłuchań przed Komisją Stosunków Interpersonalnych. Co dziwne, Spike zdecydował się zostać ze mną. Zapewne nęcił go zapach steku, który przyniosłem na sobie z restauracji. Teraz chrapał w najlepsze, a jego potężny, kanciasty łeb spoczywał na moich kolanach. Rytm jego wdechów i wydechów był tak monotony, że po pewnym czasie dialogi zaczęły mi się rozmazywać przed oczami.

Niczego nowego się nie dowiedziałem, poczułem obezwładniającą senność i doszedłem do wniosku, że należy na dzisiaj zakończyć pracę.

Akurat gdy odkładałem papiery, zadzwonił telefon. Spike zerwał się i, szczekając zajadle, podbiegł do aparatu.

- Doktorze, tu Joyce. Mam na linii kobietę, która sprawia wrażenie mocno przejętej. Mary Farney.

Znajoma z Centrum Zdrowia Kobiet w Santa Monica. Rozżalona matka Chenise.

- Bądź tak miła i przełącz ją do mnie.

- Halo -usłyszałem w słuchawce piskliwy głos.

- Doktor Delaware. Co mogę dla pani zrobić, pani Farney?

- Dał mi pan swoją wizytówkę... w centrum. Mówił pan, że mogę... to pan współpracuje z policją, prawda?

- Tak. Co się stało, pani Farney?

- Wiem, kto to zrobił.

- Zrobił co?

- Kto zabił doktor Devane.

Błyskawicznie opuściła mnie wszelka senność.

- Kto?

- Darrell. A teraz chce zabić doktora Cruvica. Może już to zrobił... nie wiem, może powinnam dzwonić na policję, ale...

- Darrell jaki?

- Darrell... o Jezu, jak mogłam zapomnieć jego nazwiska. Wciąż kręcił się wokół. Jest ostatnim... Darrell Ballitser. On to zrobił. Jestem co do tego pewna.

- Skąd ta pewność?

- Bo nienawidził doktor Devane. Doktora Cruvica też. Za to, co zrobili.

- Chodzi o przerwanie ciąży Chenise?

- Dziś wieczorem wpadł rozwścieczony i chyba naćpany. Wrzeszczał i ciągnął Chenise ze sobą. Mówił, że jedzie go dopaść!

- Doktora Cruvica?

- Tak, i ma Chen...

- Pojechał do centrum?

- Nie, nie, był tam już, ale wszystko było pozamykane. Jeszcze bardziej się zdenerwował...

- Dokąd pojechali, pani Farney?

- Do kliniki doktora Cruvica. W Beverly Hills. Próbowałam zatrzymać Chenise, ale on mnie odepchnął... Jestem prawie pewna, że ma przy sobie nóż. Ale Chenise nie ma...

Zawiesiłem połączenie, zadzwoniłem na policję i powiedziałem w czym rzecz.

- Civic Center Drive? - rzekł operator w Beverly Hills. - To tuż obok nas. Przejdziemy się tam.

- Lepiej przebiegnijcie - doradziłem.

Rozłączyłem się i spróbowałem złapać Milo. Automatyczna sekretarka. Zatelefonowałem na komisariat. Nie było go. W końcu na telefon komórkowy i tu wreszcie rozległ się jego głos:

- Właśnie wyszedłem z Club None i zgadnij...

- Nagły alarm - przerwałem mu i powiedziałem o Derrellu Ballitserze. Podobno nienawidził Hope i Cruvica za usunięcie dziecka Chenise. To było prawdopodobnie jego dziecko.

- Policjanci z Beverly Hills już w drodze?

- Tak.

- W porządku też... Tyle różnych wersji, a tu nagle pojawia się jakiś zwariowany dzieciak.

- Matka Chenise twierdziła, że był już pod centrum, ale lepiej powiadom posterunek w Santa Monica. Cruvic pracuje tam nocami i może się jeszcze dziś pojawić.

- Załatwię to. W tym czasie ustali numer telefonu i adres tej kobiety i dowiedz się jak najwięcej szczegółów, dopóki jest skłonna nam pomóc.

- Jasne - rzekłem.

Kiedy znów przełączyłem na pierwszą linię, stwierdziłem, że matka dziewczyny odłożyła słuchawkę.

Sprawdziłem, czy nie nagrała mi swojego numeru telefonu, ale niestety. W książce telefonicznej zachodniego Los Angeles znalazłem tylko jedno nazwisko Farney: imię na literę M, adres zamieszkania Brooks Avenue w Venice. Wyglądało na to, że chodzi o Mary Farney, ale niestety nikt nie odpowiadał na telefon. Widać dzwoniła z innego miejsca albo wyszła już z mieszkania.

Zapisałem znaleziony numer telefonu, przebrałem się pospiesznie i powiedziałem nadal wylegującej się w wannie Robin, dokąd wychodzę i w jakim celu.

- Bądź ostrożny, kochanie - przestrzegła mnie.

- Nie ma obaw - odparłem i nachyliłem się, żeby ją pocałować. - To zaledwie kilkaset metrów od komendy policji.

Z komisariatu w Beverly Hills wysłano trzy wozy policyjne i już z Santa Monica Boulevard widziałem ich migające światła. Wjazd od zachodniej strony na Civic Center Drive był zamknięty barierą i jakiś mundurowy kazał mi skręcić. Jak spod ziemi wyrósł jednak Milo i polecił policjantowi przepuścić.

Zaparkowałem niecałe dwadzieścia metrów od budynku Cruvica. Zanim zdążyłem wysiąść, obok mnie zatrzymał się jakiś wóz. Duża biała furgonetka jednej z sieci telewizyjnych. Ze środka wyskoczyła, przypominająca lalkę, platynowa blondynka, a za nią dźwiękowiec i kamerzysta. Patrzyłem, jak cała trójka rzuciła się biegiem w stronę kliniki. Na widok Milo zatrzymali się.

Ten pokręcił głową i wskazał na coś palcem, po czym podszedł do mojego samochodu. Miał na sobie ten sam szary garnitur co w biurze Kennetha Storma, tylko zamienił elegancką koszulę na szary podkoszulek. W takim właśnie stroju odwiedził nocne kluby Los Angeles. Czerwone światło najbliższego wozu policyjnego sprawiło, że wyglądał na jeszcze bardziej złego niż był w rzeczywistości.

- Co się dzieje? - zapytałem zaniepokojony.

- Podejrzany już aresztowany.

- Szybko się uwinęli.

- Ten straszny Darrell okazał się chudym dzieciakiem z beznadziejnym refleksem. Czekał, aż Cruvic będzie wyjeżdżał z garażu, wsadził nóż przez otwarte okno i kazał doktorowi wysiadać. Ale ten otworzył drzwi na tyle niedelikatnie, że przewrócił chłopaka i zdążył odebrać mu nóż, zanim pojawili się chłopcy z Beverly Hills.

- Co z Chenise?

- Jeśli mówisz o blond stworzonku w czerwonej bluzie, które stało obok wrzeszcząc wniebogłosa, to zabrali ją na komendę razem z Darrellem. Powiedziałem chłopakom, że to podejrzany o dokonanie zabójstwa Devane i, jak widać, ktoś już się o tym dowiedział. Powiedzieli, że wkrótce będę mógł z nim rozmawiać. A co z mamusią?

- Nie zdołałem już się z nią skontaktować. Prawdopodobnie mieszka w Venice.

Obok zatrzymał się kolejny furgon z dziennikarzami. I za moment jeszcze jeden.

- Zlatują się sępy - mruknął Milo. - Chodź, zobaczmy, jak ma się nasz bohater.

Metalowe drzwi garażu były otwarte, a bentley turbo ze zgaszonym silnikiem stał połówą wystając na zewnątrz. Przez szeroko rozwarne drzwi od strony kierowcy widoczne były czarne, skórzane fotele oraz chromowe i drewniane wykończenia.

Wewnątrz nie było nikogo. Cruvic stał nieopodal, ubrany w czarny garnitur oraz tego samego koloru golf i, rozcierając łokieć, rozmawiał z policjantem.

Widać była to swobodna pogawędka, bo obaj uśmiechali się i w pewnym momencie lekarz wskazał swego bentleya. Funkcjonariusz podszedł do auta, wsiadł do niego i przejechał na róg ulicy. Gdy wrócił do Cruvica, ten pokręcił głową. Po chwili dołączył do nich drugi mundurowy. Na widok reporterów doktor rozejrzał się niepewnie i powiedział coś do policjantów.

Kiedy ci zatrzymali reporterów, Cruvic podbiegł do bentleya. Milo i ja dogoniliśmy go w momencie, gdy sięgał do klamki.

- Dobry wieczór, doktorze - przemówił Milo.

Cruvic odwrócił się gwałtownie, jakby znów gotów się bronić. Czarny golf przylegał idealnie do jego szerokiej piersi. Zorientowawszy się, z kim mado czynienia, powiedział:

- O, witam, detektywie Sturgis.

- Ależ wieczór.

Cruvic popatrzył na swoją rękę i krzywiąc się pokiwał głową.

- Stłuczony? - zapytał Milo.

- Tak, ale okład z lodu powinien pomóc. Dobrze, że nie mam na dziś zaplanowanych operacji.

Wsiadł do samochodu. Milo ustawił się tak, że uniemożliwił zamknięcie drzwi.

- Ładne cacko - zauważył.

Cruvic wzruszył ramionami.

- Ma już cztery lata. Ale trzyma się całkiem nieźle.

- Możemy chwilę porozmawiać?

- O czym? Już złożyłem stosowne oświadczenie policji z Beverly Hills.

- Wiem o tym, doktorze, ale jeśli nie ma pan...

- Otóż mam. - Uśmiech. - Miałem dziś ciężki dzień. - Popatrzył na rękę i znów się skrzywił.

- Muszę zrobić okład, zanim spuchnie.

- Ale...

- Przykro mi, ale powinienem jak najszybciej jechać - oświadczył doktor, kręcąc głową.

Przekręcił złocisty kluczyk w stacyjce i silnik zaczął cichutko pracować na wolnych obrotach, a z wielu głośników dała się słyszeć muzyka country. Cruvic jeszcze zwiększył natężenie dźwięku i przełączył automat na jazdę do przodu.

Milo ani drgnął. Dziennikarze tymczasem biegli już w naszą stronę.

Cruvic zdjął nogę z pedału hamulca i samochód wolno ruszył. Milo musiał ustąpić i doktor pośpiesznie zatrzasnął drzwi.

- Kiedy będziemy mogli porozmawiać?

Oczy Cruvica zwęziły się.

- Proszę zadzwonić jutro.

Gdy bentley potoczył się niemal bezgłośnie, policjanci utorowali mu drogę.

Darrell Ballitser rzeczywiście był chudy. Miał metr osiemdziesiąt wzrostu i według akt ważył niecałe sześćdziesiąt kilo. Dziewiętnaście lat, urodzony w Hawaiiann Gardens, obecnie mieszkał w pobliżu Skid Row.

Siedział w sali przesłuchań komisariatu Beverly Hills, z papierowym kubkiem w dłoni. Trzecia dolewka. Twarz miał pociągłą, a na wygolonej głowie widać było kilka guzów. Jasne wąsy i śmieszna kozia bródka były nadzwyczaj rzadkie. Wyraz twarzy, a szczególnie oczy świadczyły o strachu, mimo że starał się go ukryć, udając twardego.

Na karku miał wytatuowany niebieski emblemat harleya-davidsona. Kolejny tatuaż na prawym bicepsie układał się w napis party. Na kostkach prawej dłoni wypisane było l-i-f-e, na lewej zaś d-e-a-t-h. Szyję przecinał niebiesko-czerwony gotycki napis chenise. Zarówno porozciągana koszulka, jak i džinsy, chyba jedynie cudem wiszące na jego wąskich biodrach dzięki szerokiemu czarnemu pasowi, ubrudzone były ziemią. Dwa kolczyki w kształcie obręczy w jednym uchu, trzy w drugim. Kolczyk w nosie. Także natura dostarczyła dodatkowych „ozdób” w postaci nieregularnych odbarwień skóry na twarzy, plecach i ramionach. Cruvic dołożył od siebie podbite oko, rozciętą wargę i kolejny siniec na podbródku.

Chłopak bujał się na krześle na tyle, na ile pozwalały mu ręce przykute do zamocowanego do podłogi stołu. Początkowo nie był skuty, ale wrzeszczał i rzucał się, a nawet usiłował uderzyć Milo.

Teraz detektyw siedział naprzeciw niego, spokojny, niemal znudzony. Ballitser dopił resztę żółtego napoju. Wcześniej zjadł dwa słodkie pączki, przyniesione przez młodą, zgrabną policjantkę, Angelę Boatwright. Żuł je z trudem, a przy każdym przełknięciu jabłko Adama wielkości śliwki unosiło się w górę i w dół.

Boatwright zasługiwała na miano ładnej, z ciemną opalenizną, jasnymi oczami, gibkim, wysportowanym ciałem i nieco zbyt dużymi dłońmi. Miała na sobie bluzkę, czarną spódnicę i pończochy. W bezpośrednim kontakcie odnosiła się do Ballitsera ze współczuciem, ale gdy tego nie słyszał, nazywała go „żałosnym wypierdkiem”.

Teraz popijała kawę i gimnastykowała dłonie siedząc za weneckim lustrem. Przygotowanie podstawowej dokumentacji zajęło całą godzinę. Byłem zdziwiony, że Boatwright i jej partner - łysy facet nazwiskiem Hoppey - bez oporów pozwolili Milo pokierować dalszym tokiem sprawy. Dziewczyna chyba czytała mi w myślach, bo kiedy weszliśmy do pokoju operacyjnego, powiedziała:

- Oskarżyliśmy go tylko o napaść. Na szczęście ten lekarz był wystarczająco sprawny i wykazał się niezłym refleksem.

Wydruk notowań Ballitsera leżał na blacie stolika między nami. Nie było tego wiele. Zalegał jedynie z zapłatą dwudziestu mandatów drogowych.

- Ryzyko zawodowe - wyjaśnił, uprzedzając moje pytanie Milo. - Darrell jest gościem.

- Jeździ samochodem czy na rowerze?

- Jednym i drugim. - Uśmiechnął się ironicznie, a ja wiedziałem, że właśnie pomyślał: „Tyle czasu zmarnowanego przez kolejnego głupka”.

Zwrócił się do chłopaka:

- Zamierzam załatwić ci adwokata, Darrell, bez względu na to, czy o niego poprosisz, czy też nie.

Żadnej odpowiedzi.

- Darrell?

Ballitser zgniótł w dłoni kubeczek i cisnął go na podłogę.

- Czy jest jakiś określony prawnik, do którego chcesz, żebym zatelefonował?

- Kurwa.

Milo wstał.

- Kurwa tak, czy kurwa nie?

- Kurwa nie.

- Kurwa nie, jeśli chodzi o prawnika?

- Kurwa tak. - Ballitser dotknął swojej szczęki.

- Aspiryna pomogła?

Brak odpowiedzi.

- Darrell?

- Kurwa.

Angela Boatwright przeciągnęła się.

- Lepiej niech pochwali się swoim występem - mruknęła.

Milo wszedł do pokoju operacyjnego.

- Ilu obrońców z urzędu masz pod telefonem?

- Wszyscy są zajęci odpowiedziała. - Od pewnego czasu korzystamy z listy prywatnych.

Znajdę kogoś.

Dwa napoje, hamburger z frytkami i dwie wizyty w łazience, zanim pojawił się prawnik, sprawiający wrażenie szczególnie poszkodowanego przez los. Nazywał się Leonard Kasanjian i

dzierzył w ręku małą teczkę ze strusiej skóry. Miał drugie, ciemne włosy zaczesane do tyłu, pięciodniowy zarost i okulary w metalowej oprawie. Ubrany był w szyty na miarę garnitur z gabardyny, pasiastą koszulę, ręcznie malowany złoto-brązowy krawat oraz brązowe mokasyny.

Kiedy się zbliżał, Boatwright uśmiechnęła się i wyszeptała:

- Ściągnęłam go z Le Dome.

- Cześć, Angela - powiedział, rozchmurzając się. - Dzisiaj ty dowodzisz? Jak tam...

- Dobry wieczór, panie Kasanjian - pozdrowiła go oficjalnym tonem i adwokat natychmiast spoważniał. - Udzielę panu teraz informacji na temat klienta.

Wysłuchał jej uważnie.

- Wszystko tu chyba jasne - stwierdził.

- Może dla ciebie.

- Miło mi pana poznać, panie Ballitser - rzekł Kasanjian na powitanie, stawiając teczkę na stole.

Wolna ręka chłopaka wystrzeliła do przodu i teczka wylądowała w rogu pokoju.

Prawnik podniósł ją na pozór spokojnie, ale w jego oczach widać było z trudem tłumioną furję.

- Panie Ballit...

- Pieprz się!

- W porządku, odtransportujemy go do celi i załatwimy nakaz rewizji w miejscu jego zamieszkania - mruknął Milo.

- Słyszałeś... Darrell? - zapytał Kasanjian.

Chłopak wlepił wzrok w sufit.

- Zabierają cię do więzienia okręgowego, Darrell - ciągnął prawnik. - Przyjdę do ciebie jutro rano. Do tego czasu z nikim nie rozmawiaj.

Nic.

Wreszcie:

- Kurwa!

Kasanjian pokręcił głową i wstał. Wraz z Milo skierowali się w stronę drzwi.

- Durszlak! - wykrzyknął Darrell.

Obaj odwrócili się.

- Co mówisz, synu? - zapytał Kasanjian.

Cisza.

- Durszlak? O co ci chodzi?

- Kurwa! - wykrzyknął chłopak plując przed siebie.

- Spokojnie, Darrell.

Ballitser uderzył pięścią w stół.

Wpatrywał się w drzwi, a wszystkie mięśnie drżały pod plamiastą skórą.

- Kurwa! Durszlak!

- Dur...

- Durszlak! Durszlak! Właśnie dlatego, kurwa! Właśnie dlatego!

Prawnik wyglądał na wstrząśniętego.

- Spróbuj się opanować, Darrell. - Odwrócił się w stronę Milo. Widać wyraźnie, że potrzebuje opieki psychiatry, detektywie. Wnoszę formalną prośbę o natychmiastowe...

- Durszlak! Durszlak!

Ballitser zgiął się, uderzył kolaniem w pierś, po czym zaczął kopać w stół.

- To dlatego? Dlatego nie lubisz doktora Cruvica? - zapytał Milo.

- Kurwa. Kurwa, on to zrobił! - Chłopak zaczął krzyczeć niezrozumiale. Ścisnął wolną dłoń w pięść i zaczął tłuc się nią po głowie. Milo podskoczył do niego i obezwładnił. Pełna plam twarz Darrella była wykrzywiona jakby w bolesnej agonii.

- Cruvic to zrobił? - zapytał delikatnie Milo.

- Taaak!

- Zrobił to, Darrell?

- Taaak!

- Chenise?

- Taaak! Durszlak! Skurwysyn przerobił ją na dziurawy durszlak!

Ballitser dyszał ciężko.

- Chenise? - powtórzył Milo.

Darrell odwrócił głowę, jakby chciał skrócić sobie kark. Uniósł rękę, niczym do modlitwy.

- Powiedz, synu - zachęcił go Milo.

Łzy popłynęły po policzkach chłopaka.

- W porządku, powiedz.

Ciałem Darrella wstrząsnęły dreszcze.

- Co on zrobił, synu?

- Kurwa, on wykastrował moją pannę!

Dwadzieścia minut później, po rozmowie w cztery oczy ze swoim klientem, Kasanjian wyszedł uśmiechnięty.

- No cóż, mam już niepodważalne okoliczności łągodzące.

Angela Boatwright wracała właśnie z sali odpraw z kubkiem kawy.

- Hej, Angie! - zawołał. - Dzięki za tę sprawę.

- Cieszę się, że jesteś zadowolony.

Uśmiechnęli się do siebie.

- Gdzie Chenise? - zapytał Milo.

- W końcu korytarza.

- Pojawiła się jej matka?

- Jeszcze nie - odpowiedziała Boatwright. - I nadal nikt nie podnosi słuchawki w domu.

- Jeśli ma coś wspólnego z operacją, to nic dziwnego, że może się obawiać konsekwencji.

- Jaką operacją? - zdziwiła się policjantka. - O co tu chodzi?

- Wszystko wskazuje na to, że twój doktor bohater przeprowadził sterylizację bez zgody pacjentki - wyjaśnił Kasanjian.

- Co?

- Siedem miesięcy temu doktor Cruvic usunął płód noszony przez pannę Chenise Farney. Dziecko mojego klienta. Ale mój klient nie wiedział nic o tym zabiegu, pomimo niezaprzeczalnego faktu, iż panna Farney jest nieletnia, co czyni mojego klienta jedynym dorosłym rodzicem.

- Dorosłym? Chyba żartujesz - oburzyła się Boatwright.

- Co gorsze - ciągnął prawnik - doktor Cruvic nie poprzestał na samym zabiegu usunięcia ciąży, lecz wysterylizował dziewczynę, nie mówiąc jej o tym ani słowa. Podwiązał jej jajowody. Nieletniej dziewczynie. I zgadnijcie, co jeszcze: pan Ballitser poinformował mnie, że doktor Devane rozmawiała z Chenise, ale ani słowem nie poinformowała jej, że zostanie wysterylizowana. Więc mamy do czynienia z oczywistym spiskiem. Wynika z tego, że wasz doktor w rażący sposób naruszył prawo i może mieć poważne kłopoty. A teraz, jeśli chodzi o podejrzenie, iż pan Ballitser ma coś wspólnego z morderstwem doktor Devane, nalegam, by natychmiast przedstawione zostały stosowne dowody, albo muszę domagać się...

Milo uciszył go gestem ręki i zwrócił się do Boatwright.

- Porozmawiajmy z dziewczyną.

- Tak, to dobry pomysł - zgodził się prawnik.

- Przykro mi, ale tylko my, policjanci.

Kasanjian zacisnął zęby. Zdenerwowany szarpał guzik marynarki.

- Detektywie, jeśli to potencjalna...

- Nie dzisiaj, Len - rzekła Boatwright, odgarniając włosy opadające na twarz. Zabrzmiało to tak, jakby już nieraz zwracała się do niego w ten sposób.

Prawnik z ociąganiem sięgnął po teczkę.

- Róbcie, jak chcecie. Ale jeśli zdecydujecie się wysunąć oskarżenie wobec Ballitsera, nawet za zakłócanie porządku publicznego, i dziewczyna będzie w wyniku tego poszkodowana.

Kiedy wyszedł, Boatwright zapytała:

- Naprawdę zostajecie przy tej sprawie?

- A czemu nie?

Policjantka wzruszyła ramionami.

- Mam nadzieję, że miło nam się będzie współpracować.

Po dziesięciu minutach rozmowy z Chenise Milo powiedział:

- Wciąż mi nie odpowiedziałaś, kochanie. Wiedziałaś, co zamierzał zrobić doktor Cruvic, czy nie?

Dziewczyna żałośnie pokręciła głową. Miała na sobie obcisłe czarne dżinsy, czerwoną bluzę, ciężkie, czarne buty na wysokich czerwonych podszewkach, a u pasa czerwoną bandanę. Makijaż był ostry i ciemny, jak wtedy gdy widziałem ją w poczekalni, lecz różowe końcówki włosów zniknęły, a w ich miejscu pojawiło się ciemne pasmo biegnące przez środek głowy. Mętny wzrok bez śladu zalotności, którą zapamiętałem ze spotkania w klinice. Cały czas płakała, odpowiadając tylko mruknięciami i monosylabami.

- Czy Darrell wiedział? - zapytał Milo.

Uniosła głowę.

- Gdzie jest Darrell?

- W drodze do więzienia, Chenise. Ma poważne kłopoty.

Jej wargi zadrżały i wbiła palce w swoje ramię.

Milo siedział obok niej, zjedną ręką na oparciu krzesła, a drugą na blacie stołu. Gdy przysunął się jeszcze bliżej, cofnęła się odruchowo.

- Chenise - przemówił miękko - nie mówię, że ty masz kłopoty. Tylko Darrell. Przynajmniej na razie.

Żadnej reakcji.

- Może będziesz w stanie nam pomóc. Może w ten sposób pomożesz Darrellowi.

Płacz.

Angela Boatwright podeszła i dotknęła chudego ramienia dziewczyny.

- Przynieść ci coś, kochanie?

Usta Chenise rozchyliły się, gdy rozważała tę propozycję. Jej zęby miały barwę karmelu, a wargi były spękane w kącikach.

Krótkim kciukiem poskrobała policzek, a później ciemny pasek na głowie.

- Jakąś przekąskę, Chenise? A może coś do picia?

- Batonik? - wyszeptała lewie słyszalnym głosem.

- Jasne. Na jaki masz ochotę?

- Hmm... z orzeszkami.

- W porządku, a jeśli by nie było, to co?

- Eee... z karmelem.

- A więc coś z czekoladą, tak? - Boatwright uśmiechnęła się, na co dziewczyna przytaknęła.

- Zaraz wracam, kochanie.

Kiedy drzwi zamknęły się za jej plecami, Chenise jeszcze bardziej odsunęła się od Milo. Przy nim wyglądała naprawdę jak kurczak. Zerknęła w moją stronę.

- Więc poznaliście się z Darrellem w szkole? - zagadnąłem.

Potakujący ruch głową.

- Oboje chodziliście na zajęcia?

Mruknięcie, mające być zaprzeczeniem.

- Nie?

Pokręciła głową.

- Ale poznaliście się tam?

- Tak.

- Jak?

- On wychodził.

- Wychodził z zajęć?

Przytaknęła.

- Skończył zajęcia?

Pokiwała głową.

- Skończył szkołę.

- On skończył, a ty ciągle chodziłaś na zajęcia?

Przytaknęła.

- Pamiętasz, gdzie były te zajęcia, Chenise?

Potwierdziła mruknięciem.

- Gdzie?

- North Bower.

- Czy to nazwa ulicy?

Pokręciła głową.

- Szkoła. Z tyłu.

- Na tyłach szkoły North Bower? Jakże to były zajęcia?

Wyraźnie się spieszyła.

- Czego uczyłaś się na tych zajęciach?

- Rozmieniać.

- Rozmieniać?

Przytaknęła.

- Co rozmieniać?

- Jak z dolara.

- Jak wydawać resztę?

Przytaknęła.

- Innych rzeczy też? - zapytałem.

Potwierdziła mruknięciem.

- Czego jeszcze?

Wzruszyła ramionami.

- Mycia się. - Sięgnęła do ucha i kolczyk w kształcie błyskawicy zakołysał się w przód i tył.

- Jedzenia.

- Jedzenia? - powtórzyłem za nią.

Zdecydowane przytaknięcie.

- Przygotowywania jedzenia?

- Kupowania zdrowego jedzenia.

- Czy te zajęcia to była SCU?

- Tak! - Szeroki uśmiech.

- Szkoła Codziennych Umiejętności - wyjaśniłem Milo. - Rządowy program przystosowany dla opóźnionej w rozwoju młodzieży.

- To też Szkoła Cudownych Umiejętności.

Zamrugła umalowanymi powiekami, dotknęła brzucha i ścisnęła kolana, lecz po chwili znów nieco je rozchyliła.

- Więc Darrell skończył SCU?

- Tak.

- I poznaliście się w szkole?

Przytaknęła.

- On ma pracę. - Duma w głosie. - Jest gońcem. I ma pokój.

- Własny?

- Tak. - Mrugnęła do mnie okiem i oblizała wargi. - Wolny.

Minęła długa chwila, zanim zrozumiałem.

- Darrell jest wyzwolony?

Przytaknięcie.

- Darrell jest wyzwolonym nastolatkiem?

Całe zdanie przeszło jej zupełnie mimo uszu.

- Wyzwolony - powtórzyłem.

Jej oczy zwęziły się.

- On go uderzył.

- Kto taki?

- Lee. Jej chłopak.

- Chłopak jego matki?

- Tak.

- Chłopak jego matki go uderzył? - powtórzyłem, nie wiedząc czy chodzi o przemoc, czy molestowanie seksualne.

- Tak.

- Czym?

- Pasem.

- Więc Darrell uciekł i stał się wyzwolony?

Przytaknęła.

- Kiedy?

- Nie wiem.

- To musiało być jakiś czas temu, bo teraz ma dziewiętnaście lat.

Wzruszyła ramionami i znów zwilżyła wargi.

Boatwright wróciła z karmelowym batonem.

- Proszę, kochanie.

Dziewczyna ostrożnie wzięła go, otworzyła opakowanie i ugryzła kawałek.

- Wolno - powiedziała.

- Słucham? - zapytała policjantka.

- Jedz powoli, nie krztuś się.

- Dobra rada - stwierdziłem. - Nauczyli cię tego w szkole?

- Przychodź na czas, serwetkę trzymaj na kolanach... uśmiech jest... zmarszczyła brwi -
twoją gotówką?

- Może wizytówką? - podsunąłem.

- Tak!

- Coś jeszcze?

- Tak. - Znów skupienie. - Bezpieczny seks oznacza życie.

Tę frazę wypowiedziała głębokim, poważnym głosem. Ale po chwili zachichotała.

- Co to znaczy, Chenise?

Głośniejszy chichot. Lubieżny uśmiech. Trzepotanie powiekami.

Rozmazała sobie czekoladę na przednich zębach.

- Bezpieczny... seks - wydusiła, niezdolna powstrzymać śmiech.

- Co znaczy bezpieczny seks? - zapytałem.

Chichot.

- Gummy. Darrell ich nie lubi. - Wywróciła oczami.

- Nie?

- Zły, zły chłopiec. - Pogroziła palcem. I znów zachichotała. Dotknęła brzucha.

- Kiedy wiedziałaś, że jesteś w ciąży?

Spowaźniała. Wzruszyła ramionami i zaczęła ogryzać paznokcie.

Powtórzyłem pytanie.

- Nie było okresu. I brzuch mi puchł. - Chichot. - Mama powiedziała: „O, nie, do cholery!”

Znów śmiech.

- I zabrała cię do doktora Cruvica?

Przytaknięcie.

- Mówiła po co?

Cisza. Nagle zwiesiła głowę i znów dotknęła brzucha.

Pochyliłem się w jej stronę i przemówiłem łagodnie:

- Co twoja mama powiedziała ci o doktorze Cruvicu, Chenise?

Milczenie.

- Powiedział ci o nim cokolwiek?

Powolne przytaknięcie.

- Co takiego?

- Wie pan.

Uśmiechnąłem się do niej.

- Powiedz, Chenise.

- No wie pan - powtórzyła.

- Nie, nie wiem.

Wzruszenie ramionami.

- Borcja.

- Powiedziała ci, że doktor Cruvic przeprowadzi aborcję?

Potwierdzające mruknięcie.

- Rozmawiałaś z doktorem Cruvicem przed aborcją?

Potwierdzenie.

- A rozmawiałaś z kimś jeszcze?

Przytaknięcie.

- Z nim?

- Z nią.

- Kto to jest ona?

- Doktor Vane.

- Z doktor Devane?

- Tak.

- Co powiedziała ci ta doktor Devane?

- Dobrze dla mnie.

- Że aborcja będzie dla ciebie dobra? Zgodziłaś się na to?

Brak odpowiedzi.

- Uważałaś, że aborcja będzie dla ciebie do...

- Musiałam - powiedziała nadzwyczaj wyraźnie. Jej wzrok nabrał wyrazu, niewykluczone, że za sprawą gniewu.

- Musiałaś myśleć, że będzie dla ciebie dobra?

Zdecydowane przytaknięcie.

- Dlaczego, Chenise?

- Mama powiedziała.

- Mama powiedziała, że musisz...

- "Nie wychowasz go, głupku, a ja na pewno nie będę bawić twojego bękarta!"

Popatrzyła na mnie wyzywająco, lecz po chwili znów zwiesiła głowę i bawiła się opakowaniem batona. Jej ręka znów opadła na brzuch. Przypomniało mi to coś... Czarna dziewczyna w poczekalni kliniki wykonywała dokładnie ten sam gest.

- A więc wiedziałaś, że przejdziesz zabieg aborcji?

Brak odpowiedzi.

- Chenise...

- Tak.

- A wiedziałaś, że doktor Cruvic zamierza dodatkowo przeprowadzić inną operację?

Milczenie. Wreszcie ledwie zauważalny przeczący ruch głową.

- A teraz wiesz, że przeprowadził jeszcze inną operację?

Znów brak odpowiedzi. Odsunęła od siebie papierek, który spadł ze stołu. Milo podniósł go i obracał w swoich grubych palcach. Angela Boatwright siedziała w rogu, z zainteresowaniem przysłuchując się rozmowie.

- Chenise?

Dziewczyna szarpała skraj bluzy, wreszcie wsunęła rękę pod nią i zaczęła masować brzuch.

- Czy doktor Cruvic zrobił ci coś jeszcze, Chenise?

Milczenie.

- Czy doktor Devane powiedziała, że doktor Cruvic robi ci coś jeszcze?

Cisza.

- A czy Devane poprosiła cię, żebyś się gdzieś podpisała?

Potakujący ruch głową. Zwilżyła wargi i otarła je wierzchem dłoni. Zakołysała się na krześle i przyjęła dziwaczną pozę.

- Chenise...

- Wiatr w dupie - szepnęła i zaczęła mruczeć jakąś melodię.

- Wiatr w dupie? - powtórzyłem.

Zakaszła i pociągnęła nosem.

- Co znaczy „wiatr w dupie”, Chenise?

- Jak dziurawy durszlak.

- Kto ci to powiedział, Chenise?

Już zamierzała odpowiedzieć, lecz zawahała się i zacisnęła usta. Dłonią wciąż coraz szybciej masowała brzuch. Zatrzymała się, przez chwilę szczypała skórę i znów wróciła do masażu.

Zmieniła pozycję i wyprostowała się.

Masowała okolice między wzgórkami łonowym a pępkiem.

- Kiedy obudziłaś się po aborcji, miałaś opatrunek na którejś części ciała?

Ręka zamarła. Nagle uniosła bluzę, odsłaniając wystające zębra i zapadnięty brzuch.

Szybkim ruchem położyła dłoń na łonie.

- Tutaj. I tutaj - Wygięła się do przodu i wskazała okolice pępka.

Stała tak długą chwilę.

- Długo bolało jak cholera. I cały dzień pierdziałam!
- Szwy?
- Kiedy dowiedziałaś się, że doktor Cruvic zrobił ci coś jeszcze oprócz przerwania ciąży?
- Później.
- Jak długo później?

Wzruszenie ramionami.

- Kto ci o tym powiedział?

- Mama.

- Co powiedziała?

- „Idź, pieprz się, z kim chcesz, bo już cię tak rozmontowaliśmy, że nie będzie żadnych bękartów!”

Mrugała powiekami i była wyraźnie zdenerwowana.

- Jestem jak durszlak!

Popatrzyła na mnie, a później przeniosła wzrok po kolei na Milo i Angelę. Wreszcie usiadła, sięgnęła po batonik i zaczęła łączyć je.

Kiedy skończyła, rozczarowana oglądała papierek.

- Jeszcze jeden, kochanie? - zapytała Boatwright.
- Powiedzialność - mruknęła Chenise.
- Odpowiedzialność? - upewniłem się.
- Dzieci.
- Dzieci to duża odpowiedzialność?

Potakiwanie.

- Kto ci to powiedział.

- Mama i ona.

- Kto to „ona”?

- Doktor Vane.

- Co znaczy słowo „odpowiedzialność”, Chenise?

Zacisnęła usta.

- Przychodzić na czas.

- Coś jeszcze?

Zamyśliła się.

- Zmywać, mówić „proszę”. - Szeroki uśmiech. - Bezpieczny seks. - Do Boatwright: -
Macie „Trzech muszkieterów”?

- Sprawdzę - odpowiedziała policjantka i wyszła.

- Więc mama i doktor Devane rozmawiały z tobą na temat odpowiedzialności?

Zaprzeczyła ruchem głowy.

- Nie?

- Wcześniej nie.

- Nie rozmawiały o tym przed operacją?

Potakiwanie.

- A o czym mówiły przed operacją?

- Borcja. Masz długopis.

- Żebyś coś napisała?

Potakujący ruch głową.

- Co?

- Coś takiego. - Zaczęła wywijać ręką w powietrzu. - Mogę to zrobić - powiedziała zerkając na mój długopis.

Podąłem go jej wraz z kartką papieru. Skoncentrowała się, przygryzła język i wreszcie spod jej ręki wyszedł rząd czegoś na kształt szlaczków. Przyjrzałem mu się uważnie. Zupełnie nieczytelny.

Wsunęła długopis do własnej kieszeni, zmitygowała się, zachichotała i oddała mi.

- Weź go sobie - zaproponowałem.

Uważnie przyjrzała się pisakowi, lecz na koniec pokręciła głową. Schowałem go do kieszeni.

- Więc podpisałaś się, jak chciała doktor Devane?

- Tak.

- Przed operacją?

- Tak.

- Ale przed operacją nie mówiła ci nic o odpowiedzialności?

- Nie.

Znów położyła dłonie w miejscu, gdzie był opatrunek.

- Tak - powtórzyła. - Durszlak. Bolało. Cały dzień pierdziałam!

O dwudziestej trzeciej zatelefonowałem do Robin, aby uspokoić ją i uprzedzić, że późno wrócę do domu.

- Mówią o tym w wiadomościach - poinformowała mnie. - Już wiążą tę sprawę z zabójstwem Hope.

Powiedziałem o tym Milo i Boatwright. Przyjaciół zaklął, a dziewczyna mruknęła:

- To pewnie ten idiota Kasanjian. W kółko węszy za jakąś sprawą, dzięki której wreszcie się wybije.

Mary Farney zjawiała się dobrze po północy, ubrana w krótką, żółtą sukienkę z klapami, ciemne pończochy i wysokie, złote buty bez pięt. Błady makijaż, brązowy cień do powiek, woń alkoholu w oddechu. Gdy mówiła, dźwięk ledwie wydobywał się z zaciśniętego gardła, jakby dusiły ją niewidzialne ręce.

- Nic jej nie jest? - zapytała.

- Wszystko w porządku - odparł Milo, marszcząc brwi. - Szukamy pani już od dłuższego czasu.

- Bałam się, więc wyszłam z domu. Do przyjaciela.

Zmierzyłem ją wzrokiem. Wystroiła się, jakby miała wystąpić w telewizji.

- Gdzie ona jest? - dopytywała się. - Chcę ją zobaczyć.

- Za chwilę, pani Farney.

- Popadła w kłopoty?

- Jak dotąd o nic jej nie oskarżyliśmy.

- A moglibyście? - chwyciła Milo za rękaw. - Dzwoniłam nie po to, żeby... Ona jest... Ona nie pojmuje wszystkiego.

- Muszę zadać pani kilka pytań.

- Już mówiłam... - Ręką zakryła sobie usta.

- Komu?

- Nikomu.

- Komu, pani Farney?

- Jakimś ludziom... tam, na zewnątrz.

- Przed posterunkiem? Reporterom?

- Tylko kilkorgu.

Milo skrzywił się w kwaśnym uśmiechu.

- Co im pani powiedziała, pani Farney?

- Że Darrell jest mordercą. Że zabił doktor Devane.

Boatwright wzruszyła ramionami.

- To prawda! Miał nóż!

- W porządku, wejdźmy do pokoju i porozmawiajmy - zaproponował Milo.

- O czym?

- O Chenise.

- A co z nią?
- Chodźmy do środka.

Usiadła na skraju krzesła i wyraźnie zła rozejrzała się po pomieszczeniu.

- Kawy? - zapytał Milo.
 - Nie. I nie widzę powodu, dla którego miałabym tu być. Nic przecież nie zrobiłam!
 - Mam do pani tylko kilka pytań. Chenise twierdzi, że trafiła do doktora Cruvica w celu poddania się zabiegowi aborcji, a sterylizacja została przeprowadzona bez jej wiedzy.
 - Nie uda się wam zrzucić winy na mnie! Ona świetnie umie kłamać, wierzcie mi!
 - Czy więc została wysterylizowana?
 - Jasne! Ale świetnie o tym wiedziała! Wyjaśniłam jej to, podobnie jak wszyscy pozostali.
 - Wszyscy?
 - Lekarze, pielęgniarki... Wszyscy.
 - Lekarze? Chodzi pani o doktora Cruvica i doktor Devane?
 - Tak.
 - Cruvic przeprowadził operację. A jaką rolę odegrała doktor Devane?
 - Miała z nią pomówić. Udzielić konsultacji. Żeby Chenise zrozumiała, że trzeba się pozbyć tego małego bękarta...
 - Czy doktor Devane robiła coś jeszcze oprócz rozmowy z Chenise?
 - Nie rozumiem.
 - Czy przeprowadziła jakieś badania psychologiczne?
- Wahanie.
- Nie, a dlaczego miałyby to zrobić?
 - Jest pani pewna?
 - Ja... nie było mnie przy nich przez cały czas.
 - Kto opiekował się Chenise zaraz po przeprowadzonej operacji?
 - Chyba doktor Cruvic i jego pielęgniarka.
 - Chyba?
 - To było wieczorem. A ja pracuję do późna. Odebrałam ją już w nocy. Wciąż była lekko oszołomiona narkozą i zaczęła wymiotować. Zapaskudziła mi samochód.
 - W porządku - rzekł Milo siadając. - Zabiegów dokonano w Centrum Zdrowia Kobiet w Santa Monica, prawda?
 - Jasne.
 - Kto panią tam skierował?

Niespokojnie poruszyła się na krześle.

- Nikt. Wszyscy wiedzą, czym się tam zajmują.

- Aborcjami i sterylizacją?

- Tak, i co z tego?

- Czy Chenise wiedziała, co jej zrobiono?

- Oczywiście.

- Powiedziała, że nie.

- To bzdura. Ma kłopoty z koncentracją. Czasami buja gdzieś w obłokach. Szybkie spojrzenie w moją stronę. - Ale co to za problem? Następnego dnia po operacji mogła już normalnie chodzić.

- Mówiła, że miała kurcze - odezwała się Boatwright.

- I co z tego? Pani nie wie o co chodzi? Miała je i cały dzień męczyły ją gazy. Ale to ją tylko śmieszyło. Gdyby nie była taka, jaka jest, w ogóle nie byłoby sprawy. A do kompletu przypętał się ten głupi śmieć. Czuł się już ojcem! A teraz powtarza jej, że ma wiatr w dupie. Idiota. Ona nie wie nawet, co to znaczy. Mówię wam, że to nic wielkiego. Co z tego, że miała gazy? Chwila bólu i po wszystkim. Powiadam, że już następnego dnia mogła normalnie chodzić.

- Brzmi to tak, jakby znała pani wiele kobiet, które przeszły ten zabieg przemówiła Angela Mary Farney wpiła w nią pełne złości spojrzenie.

- No i co z tego?

Boatwright wzruszyła ramionami.

- Tak, ja też się na to zdecydowałam, no i co? - ciągnęła matka Chenise. Doktor Cruvic powiedział mi, że kolejna ciąża stanowi dla mnie zagrożenie. Z uwagi na moją budowę. Teraz jest pani zadowolona? Może też potrzebowałam pani zgody?

Machnęła ręką.

- Ale co pani wie na ten temat? Po urodzeniu Chenise i ostatecznym stwierdzeniu, że nigdy nie będzie normalna, jej ojciec uciekł ode mnie. Ma pani dzieci?

- Nie.

Uśmiechnęła się triumfalnie.

- Nie dajcie sobie wmówić, że nic nie wiedziała, bo to nieprawda. Sama się podpisała. To ten mały dupek ją podburza. Namawiał, żeby zabawili się w mamusię i tatusia. Jakby to na pewno był jego dzieciak.

- A nie był? - zdziwił się Milo.

- A kto to może wiedzieć? W tym właśnie rzecz. A nawet jeśli był ojcem, co z tego? Chłopak ledwie umie czytać. Potrafiłby zająć się Chenise i dzieckiem?

- Czy Chenise umie czytać? - zapytałem.

- Trochę.

- Proszę dokładniej.

Milczenie.

- Nie wiem, bo dawno nie była sprawdzana.

- Ale podpisała się, wyrażając zgodę na zabieg?

- Wyjaśniłam, o co chodzi, i podpisała się.

- Aha.

- A pan ma dzieci? - zapytała Milo.

W odpowiedzi przecząco pokręcił głową.

- Żadne z was ich nie ma. Widocznie tylko ja jestem taka szalona. A pan? zwróciła się w moją stronę.

- Nie.

Roześmiała się.

- Mogę zapalić? - Nie czekając na odpowiedź, sięgnęła do torebki po paczkę Virginia slims, wyjęła papierosa i zapaliła go.

- Kiedy po raz ostatni robiono Chenise testy na inteligencję? - zapytałem.

- Nie wiem. Chyba w szkole.

- Chyba?

- Myśli pan, że mówili mi, co robią? Produkowali tylko jakieś papiery, całe ich sterty.

- Jaki wynik uzyskała w ostatnim teście? - nie ustępowałem.

- Co, myśli pan, że jest za głupia, żeby pojąć, o czym jej mówiłam? Otóż jestem jej matką i najlepiej wiem, że rozumiała. Kiedy daję jej pięć dolców na wydatki, prosi o dziesięć, i dobrze wie dlaczego. Gdy późno wraca do domu, też potrafi się tłumaczyć. Jeżeli Darrell albo inny śmieć umawia się z nią na określoną godzinę, przychodzi na czas. Jasne? Tylko niektórych rzeczy nie chce zrozumieć.

- Na przykład jakich?

- Żeby sprzątnąć swój pokój. Albo żeby, widząc młodego chłopaka, nie zdejmować majtek.

Uśmiechnęła się smutno.

- Zawsze ją do tego ciągnęło. Odkąd skończyła jedenaście lat, kręcili się koło niej chłopcy. Wystarczy, że mrugnie okiem, zakręci tyłkiem. Przez tyle lat tłumaczyłam, żeby tego nie robiła i

ostrzegałam, do czego to może doprowadzić. A ona uśmiechała się tylko i macała się po cyc... piersiach. Jakby chciała zamanifestować, że jest kobietą. I wreszcie tego dowiodła.

Wszyscy milczeliśmy.

- Kocham ją, rozumiecie? - ciągnęła. - Zanim zaczęła miesiączkować, była wspaniałym dzieckiem! Teraz mam z nią tylko same kłopoty. Boję się AIDS i innych świństw. W obecnej sytuacji ubył mi przynajmniej jeden problem. - Znów się uśmiechnęła. - Może powinna właśnie wam się narazić. Może lepiej, żebyście ją zamknęli. Bo ja nie jestem już w stanie jej upilnować. A co będzie, jeśli w końcu złapie AIDS?

Znów cisza.

- Uważacie, że potrafiłaby wychować własne dziecko? Chronię ją najlepiej jak umiem, a ona cholernie dobrze rozumie... Wiedzie, co mi kiedyś powiedziała o mężczyznach? Siedziałyśmy w samochodzie. Nagle się roześmiała i ja zaraz poczułam, że coś jest nie tak. Bez choćby odrobiny wstydu powiedziała mi, że lubi, kiedy mężczyźni się pocają. Zatkalo mnie. A ona dalej tłumaczy, że lubi, kiedy pocają się między jej nogami. Omal się nie zakrztusiłam. Miała wtedy zaledwie trzynaście lat. I smarkula spytała mnie, czy wiem dlaczego. Odetchnęła głęboko, roześmiała się i powiedziała, że bardzo jej się to podoba.

Tuż po pierwszej w nocy, ku niezadowoleniu matki, Chenise została zwolniona. Wkrótce potem przyjechała furgonetka, by przewieźć Darrella Ballitsera do aresztu okręgowego.

Wraz z Milo i Boatwright obejrzelśmy powtórzenie wiadomości w lokalnej stacji telewizyjnej Beverly Hills. Seksowna blondynka czytała wiadomości z profesjonalnym uśmiechem na ustach.

Po chwili pokazano ujęcie przedstawiające Cruvica wsiadającego do swojego bentleya. I komentarz: lekarz z Beverly Hills broni się przed szalonym skinheadem, który zaatakował go z powodu „nielegalnej sterylizacji jego dziewczyny. Policja bada powiązania między tą napaścią a nie rozwiązana dotychczas sprawą morderstwa feministki -psycholog Hope Devane, podobno współpracującej z doktorem Cruvicem. A teraz najświeższe wiadomości dotyczące korków we wschodnim Los Angeles...”

Milo wyłączył telewizor.

- Lepiej weźmy się do roboty i załatwmy nakaz, zanim te pijawki z mediów nas ubiegną. Dziękuję, Angela.

- Do usług - odpowiedziała. - Jak się zapatrujesz na ewentualny związek Ballitsera ze sprawą Devane?

- Chłopak nie ukrywa, że chciał zrobić coś złego Cruvicowi, ale nic nie wiedział o Devane.

- Ale zwróćcie uwagę, że często jeździ rowerem.

- To prawda. Dlatego trzeba sprawdzić ten jego pojazd i miejsce, gdzie mieszka. Może wtedy będę w stanie powiedzieć coś więcej. Jeszcze raz dziękuję za pomoc.

- Nie ma sprawy. Oprócz bogatych małolátów terroryzujących swoich rodziców nie mamy tu zbyt wielu ciekawych wydarzeń.

Civic Center Drive znów opustoszał, a drzwi garażu były zamknięte. Milo wyglądał na zmęczonego, ale nie przeszkadzało mu to w szybkim i sprawnym myśleniu.

- Wciąż wracamy do tego samego: jaki związek mógłby mieć Darrell z Mandy Wright?

- Masz absolutną rację. Poza tym, biorąc pod uwagę inteligencję, Kenny Storm przy Darrellu jest nieledwie Einsteinem, więc już to samo zdaje się go eliminować. Mam jeszcze coś, o czym ci już wspominałem. Zginęła także kelnerka z Club None. Cztery dni przed śmiercią Mandy w Vegas.

- Zadzgana w ten sam sposób?

- Nie, uduszona. W zaułku, o czwartej nad ranem, po zamknięciu lokalu. Dziewczyna nazywała się Kathy DiNapoli. Ciało porzucono za koszem na śmieci, z rozsuniętymi nogami,

zdartą bluzką i zdjętymi majtkami. Nie doszło do pełnego stosunku. Zapewne mordercą kierował motyw seksualny, ale chyba ktoś mu przeszkodził i został spłoszony. Nie można jednak wykluczyć, że była to jedynie chęć upozorowania gwałtu. To zabójstwo w niczym nie przypomina tamtych, owa część Sunset jest szczególnie niebezpieczna, ale zbieżność czasu jest zastanawiająca. Barman nie był w stanie powiedzieć, czy właśnie Kathy obsługiwała Mandy, ale to możliwe, bo dziewczyna pracowała podczas domniemanej wizyty Mandy.

- Więc Kathy mogła zginąć tylko dlatego, że widziała Mandy w czyimś towarzystwie. Gdyby jednak wszystkich morderstw dokonała ta sama osoba, to pierwsze świadczyłyby o tym, że już na długo wcześniej zaplanował pozostałe.

- Zgadza się. Musiałby wszystko dokładnie zaplanować.

- A więc Darrell odpada - orzekłem.

Milo roześmiał się.

- Z pewnością nawet nie wpuszczono by go do tego klubu. Ale z drugiej strony akurat w jego przypadku mamy motyw. Poza tym groził Cruvicowi nożem.

- Takim samym jak ten, którym zabito Mandy i Hope?

- Wielkość chyba pasuje, ale to jeszcze o niczym nie świadczy. Specjaliści porównają nóż z charakterystykami ran. Miejmy też nadzieję, że szybko uda się wejść do lokum Darrella. Może wtedy pojawi się coś nowego.

- Nadal chcesz, żebym pojechał do Higginsville? - zapytałem, zmieniając temat.

- Jasne. Sprawa sterylizacji trochę nie pasuje nam do reszty. Poza tym chciałbym się dowiedzieć, dlaczego Hope zajmowała tak jednoznaczną postawę w czasie publicznych wystąpień, a równocześnie była zamieszana w proceder przeprowadzania nielegalnych zabiegów. Jak sądzisz, Chenise wiedziała, co jej robią?

- Może, ale wątpię, żeby to dokładnie zrozumiała... zakładając, że rzeczywiście tłumaczono w czym rzecz. Z jej inteligencją nie sądzę, aby była w stanie pojmować takie sprawy. Poza tym podpis pod zgodą na zabieg jest niewiele wart, skoro to analfabetka.

- Dziękuję, mamusiu.

- Czy pani Farney zasługuje na jednoznaczne potępienie za to, co zrobiła? Nie nasza sprawa ją sądzić. Jak sama mówiła, my nie mamy dzieci, a ona musi na co dzień radzić sobie z Chenise. Nie ma wątpliwości, że Cruvic i Hope nie powinni uczestniczyć w tym procederze, ale pokusa widać była zbyt silna. Dziewięćset dolarów za aborcję, kolejnych dziewięćset za sterylizację, plus wynagrodzenie dla Hope, plus pozostałe wydatki.

- Ponad dwa kawałki za godzinę pracy. Nieźle.

- A można sądzić, że tej samej nocy przeprowadzili co najmniej kilka podobnych zabiegów.

- Może rzeczywiście byli stałymi partnerami w interesach, a Hope stanowiła zabezpieczenie Cruvica w przypadku nieletnich. Przy tak dużych dochodach z książki była w stanie ukryć w swoich rozliczeniach podatkowych zyski z tego procederu.

- A jeśli Mandy była także w jakiś sposób z nimi powiązana...? Może Cruvic był jej lekarzem, a później zmienili płaszczyznę kontaktów? Może przyprowadzała mu inne pacjentki - dziewczyny z branży? Całą galerię kobiet stale ryzykujących zajście w ciążę.

- A jednocześnie potencjalnych wrogów. Dlaczego więc Mandy zginęła?

- Dowiedziała się czegoś, o czym nie powinna wiedzieć, albo też komuś w czymś przeszkodziła - zasugerowałem.

- Ale w takim razie dlaczego Mandy i Hope nie żyją, a tymczasem Cruvic spokojnie robi sobie w domu okład z lodu?

Zabrakło mi argumentów.

- Ważne jest to, iż dysponujemy już dowodami, że Cruvic narusza zasady praktyki lekarskiej - rzekłem. - Może właśnie dlatego musiał opuścić Uniwersytet Waszyngtoński. Jeśli tak, nie wiadomo, co jeszcze mógł przeskrobać i co narobiło mu nie znanych nam jeszcze wrogów.

- Na przykład?

- Może spartaczył jakąś operację? I naraził się komuś inteligentniejszemu od Darrella. Wspólnie z Hope. A odegrała w tym także swoją rolę Mandy.

- Ale wraca znowu ten sam problem: one nie żyją, a on... Powiedz, czy twoim zdaniem wyglądał dziś na przestraszonego?

- Nie, ale może z natury jest po prostu pewien siebie. Albo nie zdaje sobie sprawy, że ktoś może czaić się w pobliżu, żeby w pewnym momencie wykończyć i jego, jako... główną nagrodę.

- Cierpliwy morderca?

- Jeśli w sprawę rzeczywiście zamieszana jest Kathy DiNapoli, to bardzo cierpliwy - stwierdziłem.

Przeciągnął palcem po wardze.

- Co jest? - zapytałem zaintrygowany.

- Sprawa przybiera interesujące kształty. Czekanie na okazję, dalekosiężne plany... i sposób zadawania ran. Cholerna choreografia...

Karczochoy? - zdziwił się benzyniarz. - Nie chodzi przypadkiem o Castroville, gdzieś pod Monterey?

Miał krzywe nogi, wydatny brzuch i opaloną na brąz łysinę, barwą odpowiadającą zębom.

- Karczochoy - powtórzył, chichocząc, gdy mył szybę, po czym przyjął ode mnie dwudziestkę.

Zjechałem z drogi numer pięć, tuż za Grapevine, gdzie ruch niespodziewanie się zwiększył. Tego ranka było gorąco i mglisto, ale mimo zwykłych tu problemów z czystym powietrzem widoczność pozostawała całkiem niezła.

Wróciłem na autostradę i dalej jechałem na pomoc. Z mapy wynikało, że Higginsville znajduje się na zachód od Bakersfield i na południe od Buena Vista Lake. Raptem sto pięćdziesiąt kilometrów od Los Angeles, a zrobiło się dwadzieścia stopni cieplej. Teren był tu dość płaski, z zielonymi polami i rozrzuconymi tu i ówdzie potężnymi drzewami gumowymi. Truskawki, brokuły, lucerna, wszystko w przesyconym zapachem spalin powietrzu.

Po skręceniu w dwupasmówkę znalazłem się na wyżynie usianej niewielkimi ranchami i w większości pozamykanymi przydrożnymi knajpkami. Zjechałem znowu w dół i wreszcie ujrzałem tablicę: HIGGINSVILLE, liczba mieszkańców: 1234. Litery były ledwie widoczne, a płyta od góry zardzewiała.

Minąłem potężny dąb i błotnistą rzeczkę. Dalej parking i rozpadająca się stodoła z przekrzywionym napisem western attire na dachu. I wreszcie dwukwartalowe centrum, noszące nazwę Lemon Boulevard, z parterowymi budynkami: sklepem spożywczym, kawiarnią, barem i kościołem.

Z samego rana, zanim wyjechałem, zadzwonił do mnie Milo i poinformował, że prawo jest tu reprezentowane przez szeryfa nazwiskiem Botula. Jego biuro znalazłem na końcu ulicy, poznając je po fordzie z emblematami, zaparkowanym w poprzek podjazdu.

W środku, za barierką z kontuarem, siedziała ładna, może nieco zbyt otyła, wyglądająca na bardzo młodą, jasną blondynkę. Była zwrócona bokiem do mnie, a twarzą do centralki telefonicznej i z uwagą coś czytała. Za nią nad metalowym biurkiem pochylał się mężczyzna o ciemnej karnacji i charakterystycznej południowoamerykańskiej urodzie, ubrany w mundur koloru khaki. On także czytał jakieś papiery. Nie wyglądał na dużo starszego od dziewczyny.

Gdy zadźwięczał dzwonek podczepiony nad drzwiami, oboje podnieśli głowy, a mężczyzna wyprostował swoje metr osiemdziesiąt pięć wzrostu. Zwróciłem przy okazji uwagę na jego

szerokie indiańskie usta. Czarne włosy były proste, grube, krótko przystrzyżone nad skroniami i równo przyczesane. Oczy miał migdałowe, niezwykle bystre.

- Doktor Delaware? Szeryf Botula. - Podeszedł do kontuaru, otworzył uchylne drzwiczki i wyciągnął w moją stronę ciepłą, silną dłoń. - A to Judy, moja zastępczyni, administratorka i depeszowiec w jednej osobie.

Dziewczyna uśmiechnęła się do niego wesoło, a on wyszczerzył do niej zęby.

- A poza tym moja żona - dodał.

- Judy Botula - przedstawiła się, zamykając książkę i podchodząc bliżej.

Odczytałem tytuł na okładce: „Podstawy zabezpieczania śladów i dowodów”.

- Zapraszam, przygotowaliśmy się nieco, wiedząc o pańskim przyjeździe... Właściwie Judy się tym zajęła.

- Nic wielkiego - rzekła jego żona.

- Jesteśmy tu nowi i wciąż na etapie aklimatyzacji - wyjaśnił.

Przeszedłem za kontuar i usiadłem na krześle obok biurka.

- Jak bardzo nowi? - zapytałem.

O ścianę stał oparty zmywak na kiju. Zauważywszy go, Botula pospiesznie wsunął narzędzie za szafę. Ściany były czyste, lecz zupełnie gołe, bez zwykle wiszących w takim miejscu plakatów i biuletynów. Podłoga również była zadbana, lecz nosiła wyraźne ślady zniszczenia.

Judy podsunęła sobie krzesło i usiadła obok mnie. Wzrostem niemal dorównywała mężowi, a szerokie barki oraz grubokoścista budowa sprawiały, że wyglądała naprawdę potężnie. Miała na sobie białą bluzkę, dzinsy i sportowe buty, a przy pasie przypiętą odznakę. Jej oczy były idealnie błękitne, aż prawie nienaturalnie. Wydało mi się, że widzę w nich jakby dezaprobatę.

- Oboje uczestniczyliśmy w programie walki z przestępczością we Fresno State - odpowiedziała. - Chcieliśmy wstąpić do akademii FBI, ale to nie lada sztuka, więc stwierdziliśmy, że rok praktyki w terenie bardzo się nam przyda. Tyle tylko, że to miejsce nie jest zbyt atrakcyjne.

- Miło i spokojnie - dodał mąż.

- Mówiąc oględnie.

Botula uśmiechnął się.

- Mamy mnóstwo czasu na naukę. Ale... wróćmy do sprawy tego morderstwa. Słyszeliśmy o nim już dużo wcześniej, ale pojawiło się też coś w dzisiejszych doniesieniach... Jakieś aresztowanie...

- Zapewne fałszywy trop.

- Tak, to samo powiedział detektyw Sturgis... Psycholog, zajmujący się zabójstwami? Czy to powszechnie praktykowane w Los Angeles?

- Nie. Czasami współpracuję z detektywem Sturgisem.

- Psychologia bardzo mnie interesuje. W Quantico zamierzam dostać się do grupy badania zachowań. Robił pan kiedykolwiek portret psychologiczny jakiegoś seryjnego mordercy?

- Nie.

Przytaknął, jakbym udzielił twierdzącej odpowiedzi.

- To bardzo ciekawe. Na czym koncentruje się pan w tym przypadku?

- Staram się dowiedzieć jak najwięcej o doktor Devane.

- Dlatego, że i ona była psychologiem?

- Głównie dlatego, że posiadamy bardzo mało informacji na jej temat.

- Rozumiem... Dobra, powiem może, co zdiagnozowaliśmy. Po rozmowie z detektywem Sturgisem zastanawialiśmy się długo, gdzie można zdobyć jakieś informacje, i stwierdziliśmy, że trzeba będzie dotrzeć do: a) danych miejskich, b) danych szkolnych, c) starszych ludzi mieszkających tu wystarczająco długo, żeby znać ofiarę. Okazało się, że wszystkie stare akta dziesięć lat temu zostały odesłane do Sacramento i jak dotąd nie udało się nam ich zlokalizować. Szkołę zamknięto mniej więcej w tym samym czasie.

- Czy coś szczególnego zdarzyło się dziesięć lat temu?

- Tak, to miasteczko praktycznie umarło - odpowiedziała Judy. - To zresztą widać. Kiedyś były tu gaje cytrynowe, obozy sezonowych robotników i liczne firmy przerabiające cytrusy. Ale dziesięć lat temu potężne mrozy zdziesiątkowały plantacje, a to, co po nich zostało, zniszczyły szkodniki. Robotnicy przenieśli się gdzie indziej, obozy zlikwidowano, a zamiast odbudować plantacje, firmy nabyły lepsze ziemie w innych rejonach. Miejscowi żyli z tego przemysłu, więc znaczna ich część także wyjechała. Z tego co wiem, próbowano przyciągnąć tutaj turystów, ale jak widać i to nie wyszło. Zbyt daleko od drogi międzystanowej.

- Mijałem znak, z którego wynikało, że mieszka tu tysiąc dwieście osób.

- Tak było w rzeczywistości, ale przed laty. Z naszych przybliżonych wyliczeń wynika, że teraz mamy trzystu mieszkańców, z których część przyjeżdża tylko w sezonie, żeby w jeziorze łowić ryby. Prawie wszyscy miejscowi pracują poza miasteczkiem, z wyjątkiem kilku kobiet prowadzących sklepy. Przeważnie żyją tu ludzie starsi, więc nie mamy dużo dzieci i stąd brak zapotrzebowania na szkołę. Te, które są, dojeżdżają do Ford City, a szkoła średnia jest w Bakersfield.

Hope także była uczennicą Bakersfield High, więc nawet w czasach jej młodości Higginsville musiało być sennym miasteczkiem.

- Jeżeli chodzi o starsze osoby, z racji wieku mogące znać ofiarę, większość już poumierła. Udało się nam jednak znaleźć kobietę, która mogła ją uczyć w miejscowej szkole.

- Mogła? - zdziwiłem się.

- No cóż, nie była zbyt rozmowna - wyjaśnił Botula. Palcem dotknął skroni, gestem oznaczającym świra. - Może to dobrze, że jest pan psychologiem.

- Pojechalibyśmy z panem, ale to może tylko zaszkodzić - dodała Judy.

- Były z nią jakieś problemy?

- Odwiedziliśmy ją wczoraj. Ale wizyty nie da się uznać za produktywną.

- Mówiąc oględnie - dodała Judy zerkając na centralkę, która milczała uparcie, odkąd się tu pojawiłem.

Botula odprowadził mnie do samochodu.

- Judy uważa, że wrogość tej kobiety wynika z uprzedzeń rasowych... do naszego małżeństwa.

- A pan ma inne zdanie?

Spojrzał w górę, na słońce.

- Nie wiem, dlaczego ludzie zachowują się tak, jak się zachowują. W każdym razie babka nazywa się Elsa Campos i mieszka na Blossom, w lewo za zakrętem.

Moje zdziwienie wywołało uśmiech na jego twarzy.

- Kiedy powiedziałem o uprzedzeniach rasowych, pomyślał pan, że jest wrogo nastawiona do rodowitych mieszkańców Ameryki?

- Tak.

- No tak, to logiczne. Ludzie są tylko ludźmi. Mieszka przy Blossom numer osiem, ale adres jest zbyteczny. Zorientuje się pan, kiedy będzie już na miejscu.

Blossom Lane nie miało chodników, tylko wydeptane ścieżki obok jezdni. Kilka rosochatych drzew cytrynowych rosło przy krawężniku, a ponad nimi wznosił się gigantyczny eukaliptus. Tutaj także nie dbano o przycinanie drzew.

Północną stronę ulicy zajmowały domy, a od południowej były tylko pola. Na posesjach od numeru 1 do 7 stały rozpadające się niewielkie domki. Siedziba Elsy Campos była dużo większa - piętrowy, drewniany bungalow z gankiem pomiędzy masywnymi cedrami. Leżący odłogiem teren wokół otaczała dwumetrowej wysokości siatka. Napis uwaga na psy był właściwie zbyteczny, ponieważ za ogrodzeniem czekało, kręciło się i skakało co najmniej dwadzieścia psów.

Teriery, spaniele, doberman, mieszańce wszelkiej maści i rozmiarów oraz jakiś miśkowaty olbrzym trzymający się z tyłu, leniwie wachający ziemię.

Wywoływany przez nie hałas był nie do wytrzymania. Ale żadne ze stworzeń nie sprawiało wrażenia zaniedbanego. Wprost przeciwnie. Wszystkie miały wysoko uniesione ogony i lśniąca sierść.

Gdy wysiadłem z wozu, jazgot jeszcze przybrał na sile.

Psów było więcej, niż początkowo sądziłem. Ze dwadzieścia pięć. Z taką liczbą czworonogów na niewielkim przecież terenie musiał być nie lada kłopot, skoro już z daleka doleciał do mnie nieprzyjemny odór ich odchodów.

Żadnego dzwonka ani zamka, jedynie klamka. Zwierzęta szczekały i rzucały się, a kilka spośród nich wystawiło nawet pyski przez oczka siatki. Na gołej ziemi pełno było odchodów, tylko trzymetrową przestrzeń wokół domu starannie zagrabiono.

Wyciągnąłem dłoń w stronę jednego ze spanieli. Polizał ją. Po chwili dołączył do niego jakiś pies myśliwski. Doberman podbiegł bliżej i, już nie szczekając, przyglądał mi się uważnie. Inne psy tłoczyły się w moją stronę, aż brama zaczęła się kołysać. Tylko czarny olbrzym wciąż trzymał się w przyzwoitej odległości.

Kiedy zastanawiałem się, czy ryzykować wejście, drzwi na ganek otworzyły się i stanęła w nich starsza kobieta w różowym podkoszulku i dżinsach, z miotłą w ręku.

Psy jak na komendę pognały w jej stronę.

- Dajcie pożyć - mruknęła, ale sięgnęła do kieszeni i rzuciła coś na ziemię. Szukaj!

Psy rozproszyły się i zaczęły chaotycznie biegać po podwórku. Scena była jak żywcem wyjęta z wczesnych filmów rysunkowych Warner Brothers. Kobieta odwróciła się w moją stronę i podeszła do bramy, ciągnąc za sobą miotłę.

- Dzień dobry - powiedziałem.

- Dzień dobry.

Mrużąc oczy, przyglądała mi się uważnie. Miała ponad metr siedemdziesiąt wzrostu i była dość szczupła. Długie aż do pasa ciemne włosy miała zaplecione w warkocz. Jej policzki były zapadnięte i tak suche jak ziemia, a żółtkłe paznokcie zagięte w dół. Na koszulce widniał napis *reno!*

Wielki czarny pies zbliżył się do niej dostojnym krokiem. Był tak kudłaty, że wcale nie widać było jego oczu. Głową sięgał swej pani do pasa, a jego język był wielki jak łopata.

- Nie ma mowy, Leopoldzie - odezwała się kobieta chropawym głosem. Szukaj, jak cała reszta.

Pies przekrzywił łeb w taki sam sposób jak Spike i błagalnie patrzył jej prosto w oczy.

- Nie, nie ma mowy. Szukaj.

Potężny łeb otarł się o biodro staruszki. Przypomniało mi to coś: zachowanie bullmastiffa pani Green. Z kudłatego pyska dobył się błagalny jęk.

Kobieta rozejrzała się ukradkiem i stwierdziła, że cała jej menażeria wciąż jest zajęta poszukiwaniami. Sięgnęła więc do kieszeni spodni i wyjęła garstkę psich ciasteczek.

- Szukać! - zawołała, rzucając je przed siebie.

Psy przyspieszyły jeszcze, ale czarny olbrzym ani drgnął. Kobieta znów rozejrzała się wokół i ukradkiem wepchnęła mu do pyska duże ciasteczko.

- Dobra, Leopoldzie, a teraz zmykaj.

Pies jadł, merdając ogonem, po czym odszedł, stąpając majestatycznie.

- Czyżby to był pies pasterski? - zapytałem zaintrygowany.

- Bouvier des Flandres. Belgijska rasa. Uwierzy pan, że ktoś go porzucił?

- Musi mu być strasznie gorąco w takim futrze.

Popatrzyła na mnie sceptycznie.

- Są wytrzymałe. I bardzo opiekuńcze.

- Sam mam francuskiego buldożka. Dużo mniejszy, ale ma podobne podejście do życia co ten tutaj.

- Czyli?

- „Jestem gwiazdą. I masz mnie karmić”.

Jej oblicze pozostało bez wyrazu.

- Francuski buldożek - powtórzyła. - Mały, z dużymi uszami? Nigdy takiego nie miałam. To jedyne?

Przytaknąłem.

- Cóż, ja mam tu ich dwadzieścia dziewięć. Licząc te trzy chore, trzymane teraz w domu.

- Porzucone?

- Niestety. Część ze schronisk, inne z wypraw po okolicy - wciągnęła do płuc powietrze. - Trochę już śmierdzi. Trzeba się tym zająć. Mam te świetne nowe chemikalia, które rozkładają odchody. Kim więc pan jest i czego chce?

- Powiedziano mi, że kiedyś uczyła pani w miejscowej szkole, pani Campos.

- Kto panu powiedział?

- Szeryf Botula i jego...

Parsknęła.

- A, tych dwoje. Co jeszcze panu powiedzieli? Że jestem wariatką?

- Tylko tyle, że może pani okazać mi pomoc w zdobyciu informacji na temat kobiety, która się tu wychowywała. Niestety, została zamordowana w Los Angeles i tamtejsza policja poprosiła mnie o...

- Zamordowana? O kim pan mówi?

- O Hope Devane.

Wyraźnie pobladła. Obejrzała się na buszujące psy i, gdy znów na mnie spojrzała, jej twarz wyrażała niepokój.

- Co się z nią stało? Kiedy?

- Trzy miesiące temu ktoś zamordował ją przy użyciu noża nieopodal jej domu.

- Gdzie?

- W Los Angeles.

- Straszne. Proszę powiedzieć, czy została lekarzem?

- Była psychologiem.

- To prawie to samo.

- Chciała być lekarzem?

Popatrzyła ponad moim ramieniem, na puste pole. Przesunęła dłońmi po policzkach i gdy naciągnęła skórę, przez moment miałem przed sobą o dobrych kilka lat młodszą kobietę.

- Zamordowana. To niewiarygodne. Wiadomo już, kto to mógł zrobić?

- Nie, dotychczas sprawa pozostaje nie rozwiązana. Właśnie dlatego policja usiłuje dowiedzieć się o niej możliwie jak najwięcej.

- Poprosili więc, żeby pan tu przyjechał?

- Tak.

- Mówi pan o policji w trzeciej osobie. To znaczy, że nie jest pan policjantem?

- Jestem psychologiem, jak ona, pani Campos. Od czasu do czasu pracuję dla policji jako konsultant.

- Ma pan na to jakiś dowód?

Okazałem swój identyfikator.

Przyjrzała mu się uważnie.

- Chciałam się tylko upewnić, czy nie jest pan reporterem. Nienawidzę ich, bo kiedyś napisali artykuł o moich psach, a ze mnie zrobili wariatkę.

Dotknęła swojego szpiczastego podbródka.

- Mała Hope. Nie twierdzą, że pamiętam wszystkich swoich uczniów, aleją pamiętam akurat bardzo dobrze. W porządku, proszę wejść.

Ruszyła w stronę domu, pozostawiając mi otwarcie sobie furtki. Bouvier odszedł na przeciwny skraj posesji, ale gdy znalazłem się w jej granicach, puścił się pędem w moją stronę.

- W porządku, Lee - uspokoiła go Elsa Campos. - Nie zjedz pana. Przynajmniej na razie.

Przeszedłem za nią na ganek i dalej, do pograżonego w półmroku salonu z tanimi meblami i miskami dla psów. Półki, pełne rozmaitych naczyń ozdobnych i szkła, a w powietrzu zapach psiej sierści i jakichś substancji chemicznych. Nad kominkiem zegar z kukułką.

Pomieszczenie było niewielkie, z przylegającą doń kuchnią. Poprosiła, bym usiadł, przeszła do kuchni. Przez otwarte drzwi zauważyłem w niej suszarkę do włosów, kilka butelek psiego szamponu, kuchenkę mikrofalową i niewielką klatkę, w której znajdowało się coś małego, białego i nieruchomego. Obok jakieś ampułki, strzykawki i bandaże.

- Hej! - rzuciła Elsa Campos, wtykając palec przez druty klatki. Malutki piesek poruszył się, zapiszczał i polizał ją.

Przez chwilę przemawiała do niego.

- Mała shih tzu. Ma dopiero rok. Ktoś uderzył ją w głowę. Została sparaliżowana i wyrzucona na śmietnik. Dostała zapalenia stawów. Kiedy ją znalazłam, była kupką kości. Nigdy nie będzie normalnie chodzić, ale reszta mojej zgrai przyzwyczai się do niej. Leopold tego dopilnuje. To przywódca stada. Jest wyjątkowo opiekuńczy wobec takich biednych stworzonek.

- To wspaniale - stwierdziłem i nagle przed oczami stanął mi Milo, ze swoją grubo ciosaną twarzą, ciemnymi brwiami, przenikliwym wzrokiem i powolnymi ruchami.

- Może coś do picia?

- Nie, dziękuję.

Zapadłem się w miękki fotel. Poniżej zegara, na półce nad kominkiem, stały wyblakłe zdjęcia plenerów. Zasłony wykonane były z brązowego kordonka, a u sufitu wisiał żyrandol z jeleniego poroża.

Sięgnęła po piwo do starej lodówki.

- Obawia się pan, że w tym zwierzyńcu można się czymś zarazić? - otworzyła kapsel i napiła się. - Nie ma się czego bać. Nic nie mogę poradzić na zapachy, ale to, że opiekuję się rannymi i bezdomnymi zwierzętami, nie oznacza, iż lubię żyć w brudzie. Proszę powiedzieć to tamtej dwójce.

- Botulom?

- Botulom. Pani i panu Sherlockom Holmesom. - Roześmiała się. - Od pierwszego tygodnia, kiedy tu przyjechali, zaczęli jeździć tym starym służbowym gruchotem, jakby rzeczywiście mieli coś do zrobienia. Jak „Dagnet”... Jest pan jednak zapewne zbyt młody, żeby to pamiętać.

- Tylko relacje.

Na moment uśmiech rozjaśnił jej twarz.

- A jakie przerażające fakty można ujawnić tutaj? Że zielsko urosło o kolejne pięć centymetrów? I należy wysłać próbki do FBI? - Napila się piwa. Co za para. Wciąż kręcili się w pobliżu. Już w pierwszym tygodniu pobytu zainteresowali się moją trzódką. Próbowali nawet dobijać się do bramy. Sam pan rozumie, że psy zaczęły się denerwować. Miałam wtedy jeszcze goldena o trzech łapach, który uwielbiał szczekać, a robił przy tym tyle zamieszania co cała reszta. - Znow się uśmiechnęła. - Wyrzałam, żeby zobaczyć, co się dzieje. Próbowali policzyć zwierzęta. Ona mierzyła mnie wzrokiem od stóp do głów, a on zaczął bredzić coś o warunkach bytowych i zagroził, że będę musiała wystąpić o pozwolenie na schronisko. Roześmiałam się tylko i wróciłam do domu. Od tego czasu staram się nie mieć z nimi nic wspólnego. Wkrótce zapewne stąd znikną, jak poprzednicy.

- Jak wielu było tych poprzedników?

- Straciłam już rachubę. Władze okręgowe przysyłają ich z Fresno na roczny staż. Nic się tu nie dzieje, nie ma McDonald'sa, kablówki, więc wszyscy błyskawicznie stąd uciekają. - Roześmiała się, lecz natychmiast spoważniała. - Co za pokolenie. Boże, dopomóż zwierzętom i reszcie przyrody, kiedy oni zajmą nasze miejsce.

Zajrzała do klatki.

- Nie martw się, malutka. Wkrótce będziesz z całą resztą.

Pokręciła głową, aż rozhuśtał się warkocz.

- Wyobraża pan sobie, że ktoś mógłby zrobić krzywdę takiemu bezbronnemu stworzonku?

- Nie, to tak samo nie do pomyślenia jak zabójstwo - odparłam.

Wyprostowała się, oparła o kuchenną ladę, odstawiła piwo i sięgnęła po ampulkę jakiegoś lekarstwa. Odczytała etykietę, odstawiła fiolkę i przeszła do salonu.

Usiadła w podniszczonym trzcinowym fotelu i wyciągnęła przed siebie nogi.

- Hope nie żyje. Wie pan, co Grecy robili z przynoszącymi złe wieści? Palcem w wymownym geście przeciągnęła po gardle.

- Mam nadzieję, że nie jest pani Greczynką.

Uśmiechnęła się wesoło.

- Na szczęście dla pana nie. Opowiadałam wszystkim swoim uczniom o Grekach, ale nie tak, jak robi się to zazwyczaj. Znacznie mniej mówiłam o ich kulturze, szlachetności, wspaniałej mitologii i igrzyskach olimpijskich. Pokazywałam za to dzieciom na ich przykładzie, że z pozoru można być szlachetnym, a jednocześnie robić rzeczy potwornie niemoralne. Bo oni byli brutalni wobec wszystkich, z którymi się zetknęli, podobnie zresztą jak Rzymianie. W szkołach nie mówi się obecnie o moralności, chyba że w kontekście seksu i płynących z niego zagrożeń dla ludzkiego

życia. Co zresztą nie powinno być tematem tabu, bo nie da się zrobić niczego dobrego, kiedy leży się już w grobie. Ale powinny ich obchodzić także inne sprawy... Czego spodziewa się pan ode mnie dowiedzieć?

- Czegoś na temat przeszłości Hope, co mogłoby rzucić nowe światło na przyczyny jej śmierci.

- Dlaczego jej przeszłość miałaby cokolwiek wyjaśnić?

Przewiercała mnie swoimi ciemnymi oczami.

- Istnieją pewne poszlaki świadczące o tym, że już jako dorosła mogła być molestowana seksualnie. Czasami sposób reagowania na takie sytuacje ma ścisły związek z przeżyciami w dzieciństwie.

- Jakimi przeżyciami?

- O charakterze fizycznym. Prześladowaniem, biciem...

- Była mężatką?

- Tak.

- Kim był jej mąż?

- Profesorem historii, sporo od niej starszym.

- Czy to on ją molestował?

- Nie wiadomo.

- Czy jest podejrzany o to zabójstwo?

- Nie.

- Nie? A może jeszcze nie?

- Trudno cokolwiek przesądzać. Nie mamy przeciwko niemu żadnych dowodów.

- Profesor historii i psycholog - mruknęła i zamknęła oczy, jakby próbowała ich sobie wyobrazić.

- Hope także miała profesorski tytuł. Była dość znana.

- A czym się zajmowała?

- Psychologią kobiet. Zagadnieniami płci. Samokontrolą.

Na dźwięk ostatniego słowa wyraźnie zadrżała, ale nie miałem pojęcia dlaczego.

- Rozumiem... Proszę powiedzieć, jak dokładnie zginęła.

Opowiedziałem o sposobie, w jaki zadano jej rany, a później dodałem jeszcze kilka słów o książce i udziale Hope w życiu publicznym.

- Wygląda na to, że była sławną osobą.

- Rzeczywiście, od ubiegłego roku.

Uniosła nieco głowę i zmrużyła oczy. Czuję się jak zając wypatrzony przez sokoła.

- Co więc wspólnego z całą tą sprawą ma jej dzieciństwo?

- Sprawdzamy wszystkie możliwe wersje. Pani jest kluczem do jednej z nich.

Wciąż nie spuszczała ze mnie wzroku.

- Była sławna. Tak to jest, gdy nie czyta się gazet i nie ogląda tego pudła dla idiotów. Od lat nie korzystam ani z jednego, ani z drugiego... To ciekawe.

- Co takiego?

- Że stała się sławna. Kiedy ją poznałam, była bardzo nieśmiała. Wstydziła się nawet czytać na głos. Ma pan jej zdjęcie?

- Nie.

- Szkoda. Bardzo chciałabym ją zobaczyć. Była ładna?

- Nawet bardzo.

Gdy opisałem wygląd Hope, jej oczy stały się wilgotne.

- Była przepięknym dzieckiem... nie mogę przestać myśleć o niej jako o dziecku. Mała blondyneczka. Jej włosy były niemal białe... Aż do pasa, takie faliste... Duże piwne oczy... Nauczyłam ją, jak zaplatać warkocze, a nawet na zakończenie roku szkolnego dostała ode mnie w prezencie książkę na ten temat.

- Kiedy skończyła szóstą klasę?

Przytaknęła zamyślona. Kukułka wychyliła się z zegara i raz zakukała.

- Czas na podanie lekarstw - rzekła wstając. - W sypialni mam jeszcze dwa w stanie jeszcze gorszym niż shih tzu. Collie, potrącony przez ciężarówkę na drodze numer pięć, i niemal uduszony kundelek.

Przeszła do kuchni, napelniła dwie strzykawki i zniknęła za drzwiami w głębi korytarzyka.

Siedziałem w półmroku salonu, dopóki nie wróciła z posępną miną.

- Jakież problemy? - zapytałem.

- Wciąż myślę o Hope. Przez te wszystkie lata nie zaprzętałam sobie nią głowy, zakładając, że u niej wszystko w porządku, ale teraz wciąż widzę przed oczami jej twarz. Dziękuję, że powiedział mi pan o tym, co się zdarzyło.

- Zakładała pani, że u niej wszystko w porządku - powtórzyłem. - To znaczy, że mogłoby być inaczej?

Usiadła i roześmiała się.

- Widać, że pan jest psychologiem.

Podniosła wzrok na zegar i wpatrywała się w niego, nie zmieniając pozycji.

- Mówi pani, że nie pamięta wszystkich swoich uczniów, ale ona wyraźnie wryła się pani w pamięć. Czym więc się wyróżniała?

- Inteligencją. Uczyłam przez czterdzieści osiem lat, ona była jednym z najmądrzejszych dzieci, z jakimi się zetknęłam. Może nawet najmądrzejszym. Wszystko łapała w lot. I potrafiła ciężko pracować. Znaczna część spośród tych najbardziej uzdolnionych nie potrafi, o czym zapewne świetnie pan wie. Spoczywają na laurach i myślą, że cały świat leży u ich stóp. Ale Hope potrafiła ciężko pracować. I to nie dzięki warunkom, jakie miała w domu.

Skóra wokół jej ciemnych oczu napięła się.

- Nie? - zapytałem z wyraźnym zainteresowaniem.

- Nie. Nie dzięki panującym tam warunkom, ale pomimo nich.

Znów się podniosła.

- Na pewno nie chce pan nic do picia?

- Może coś bez alkoholu.

Sięgnęła do lodówki i wyjęła z niej kolejne piwo i puszkę napoju pomarańczowego.

- Może być?

- Oczywiście.

Usiadła i nerwowo zaczęła poruszać stopą. Wygładziła narzutę na fotelu, sięgnęła po warkocz, zdjęła gumkę i zaczęła go poprawiać.

- Musi pan coś zrozumieć - rzekła. - Tamte czasy bardzo różniły się od dzisiejszych. Hope przyjechała tu z matką jeszcze jako niemowlę. Nigdy nie widziałam jej ojca. Matka powiedziała, że był marynarzem i zginął na morzu... Dlaczego uważacie, że jej mąż ją bił?

- Nie wiemy, czy to robił. Istnieje tylko takie prawdopodobieństwo.

- Z jakiego powodu?

- Bo mężowie niejednokrotnie robią takie rzeczy swoim żonom.

- Czy jest porywczy?

- Nie wiem - skłamałem. - A dlaczego pani pyta?

- Miałam dwóch mężów, ale żadnego nie nazwałabym brutalnym, chociaż obaj miewali humory i wtedy autentycznie ich się bałam. O ile starszy był od Hope?

- Piętnaście lat. Sądzi pani, że to ma jakieś znaczenie?

Uniosła butelkę do ust i piła długo.

- Zawsze była dojrzała jak na swój wiek.

- Skąd pochodziły Hope i jej matka?

Wzruszyła ramionami i znów się napiła. Spróbowałam swojego napoju. Smakował jak landrynki wymieszane z jakimś rozpuszczalnikiem. Czekałam, aż do ust spłynie mi ślina, by móc poprawić sobie smak, ale jak na złość miałem okropną suchość w gardle.

- Jej matka miała na imię Charlotte. Wszyscy mówili na nią Lottie. Ona i mała przyjechały tu pewnego dnia z grupą robotników sezonowych. Lottie była ładna, ale miała pewne cechy urody Okie, więc może była jedną z nich. Albo ktoś z jej rodziny miał takie pochodzenie. Słyszał pan o nich?

Potakująco kiwnąłem głową.

- A skąd pochodzi pańska rodzina?

- Z Missouri.

Zamyśliła się na moment.

- No cóż, Lottie wyglądała mi na czystej krwi Okie. Już mówiłam, że była ładna, ale szczupła i koścista. Nosowy akcent i rzucający się w oczy brak wykształcenia. Wiem, że to obraźliwe określenie tej narodowości, ale jestem już zbyt stara, żeby martwić się o takie rzeczy. Wtedy nie przeszkadzało im, że mówi się o nich „Okie”, więc dalej ich tak nazywam. Moja rodzina częściowo wywodzi się spośród Californio i pomimo różnych nieprzyjemności jakoś sobie poradziłam w życiu. Wie pan, kim są Californio?

- To osadnicy z Meksyku.

- Osadnicy, którzy przyszedli tu po Indianach, zanim Anglicy dotarli na zachód w poszukiwaniu złota. Nie wyglądam jak rodowita Amerykanka, więc całe życie musiałam udawać, że nie słyszę drwin za moimi plecami. Ale nauczyłam się nie zwracać na to uwagi i zajmować się własnymi sprawami. A Lottie Devane była Okie.

Wysączyła piwo do końca.

- Była całkiem niebrzydką dziewczyną: szczupłą, z bujnymi piersiami i zgrabnymi nogami. A kiedy szła, zdawało się, że tańczy. Była także naturalną blondynką. Ale nie taką jasną jak Hope. Zaraz po przyjeździe ufarbowała się na platynowo. Lubiła malować oczy na niebiesko, przyklejać sobie sztuczne rzęsy, używać ostrej, czerwonej szminki i nosić obcisłe spódnice. Każda dziewczyna chciała wtedy wyglądać jak Marylin Monroe, bez względu na to, czy miała dostateczne predyspozycje.

Rzecz w tym, że Lottie przyjechała z robotnikami zajmującymi się zbieraniem owoców, ale nie podjęła tej pracy - ciągnęła. - Udało się jej wynająć dwupokojowe lokum przy Citrus Street. - Wskazała palcem. - To trzy przecznice stąd. Nazywaliśmy ją ulicą skórek, bo migranci zabierali do domów przejrzałe cytryny, żeby na własny użytek robić lemoniadę, więc rynsztoki pełne były skórek. Rzędy baraków w opłakanym stanie. Zbiorowe szalety. Tam właśnie początkowo mieszkały Lottie i Hope. Ale szybko przeniosły się do prawdziwego mieszkania. Kiedy Lottie była w miasteczku, zazwyczaj siedziała w domu.

- Wyjeżdżała często?

Wzruszyła ramionami.

- Zwykła wyjeżdżać na całe dni.

- Dokąd?

- Nie miała samochodu, więc jeździła autostopem. Zapewne do Bakersfield albo do Fresno, bo przywoziła ładne rzeczy. Dopiero później kupiła sobie wóz.

- Ładne rzeczy?

Skóra wokół ciemnych oczu znów się napięła.

- Mój drugi mąż był asystentem szefa jednej z lemoniadowych firm i wszystko o wszystkich wiedział. Mówił, że kiedy Lottie czekała na okazję, stawała na poboczu i zadzierała spodnicę... Wraz z Hope mieszkały tu, dopóki dziewczynka nie skończyła czternastu lat. Później przeprowadziły się do Bakersfield. Hope twierdziła, że to dlatego, żeby miała bliżej do średniej szkoły.

- Tyle lat wynajmowała mieszkanie nie pracując? - zdziwiłem się.

- Wiedziała, jak to robić.

- Mówimy o stałym kochanku czy o interesie?

Popatrzyła na mnie uważnie.

- Dlaczego w dzisiejszych czasach wszyscy muszą być tacy dokładni?

- Chciałbym wrócić z konkretną wiedzą, a nie domysłami, pani Campos.

- No cóż, nie wiem, w czym coś takiego może panu pomóc... Tak, brała pieniądze od mężczyzn. Ile? Nie wiem. Nie jestem także w stanie powiedzieć, czy działała oficjalnie, czy też sugerowała tylko, by zostawiali jej coś pod poduszką, bo pilnowałam wyłącznie własnych spraw. Czasami wyjeżdżała na kilka dni i wracała z mnóstwem nowych ubrań. Nie wiem, czy to było coś więcej niż tylko zwykły wyjazd na zakupy. Pamiętam jednak, że zawsze kupowała ubrania także dla Hope. I to najlepsze. Lubiła stroić dziecko. Inne dziewczynki biegały w dżinsach i podkoszulkach, a mała Hope zawsze miała ładną, czystą sukienkę. A i sama bardzo dbała o swoje ubrania. Nie widziałam nigdy, żeby się wybrudziła. Najczęściej siedziała w domu, czytała i ćwiczyła pisanie. Nauczyła się czytać w wieku pięciu lat i zawsze kochała książki.

- Czy cokolwiek wskazywało na to, że Hope zdawała sobie sprawę, czym zajmowała się jej matka?

Wzruszyła ramionami i przełożyła pustą butelkę po piwie z jednej ręki do drugiej.

- Czy Hope kiedykolwiek rozmawiała z panią na ten temat, pani Campos?

- Nie byłam jej psychologiem, czy, jak wy to teraz nazywacie, psychoterapeutką, tylko nauczycielką.

- Dzieci zazwyczaj wolą rozmawiać ze swymi nauczycielami niż z psychologami.

Odstawiła butelkę i splotła ręce na piersiach.

- Nie, nigdy na ten temat ze mną nie rozmawiała, ale wszyscy o tym wiedzieli, a ona nie była głupia. Zawsze myślałam, że to wstyd spowodował, iż lubiła samotność.

- Widziała się z nią pani po przeprowadzce do Bakersfield?

- Rok później przyjechała z wizytą - wyznała niechętnie. - Zdobyła nagrodę i chciała mi ją pokazać.

- Jaką nagrodę?

Za osiągnięcia w nauce. Stypendium ufundowane przez jakąś dużą firmę. Wręczano ją w czasie targów okręgu Kern. Przysłała mi zaproszenie, ale akurat miałam grypę, więc przyjechała dwa dni później ze zdjęciami. Wyróżniono w ten sposób ją i jeszcze jednego ucznia. Najmądrzejsi chłopiec i dziewczynka. Wciąż powtarzała mi, że to ja powinnam dostać tę nagrodę za całą przekazaną jej wiedzę. Chciała dać mi otrzymany pucharek.

- Dojrzała opinia jak na nastolatkę.

- Mówiłam panu, że zawsze była dojrzała jak na swój wiek. Uczyłam w szkole jedną klasę i, kiedy starsze dzieci zazwyczaj pomagały rodzicom przy zbiorach, mogłam poświęcić jej sporo czasu. Właściwie tylko dostarczałam. Hope wciąż nowe książki. Pochłaniała wiadomości niczym kombajn.

Wstała i bez słowa wyszła z salonu na tył domu. Podeszedłem do klatki z shih tzu i wsunąłem do środka palec. Piesek popatrzył na mnie zbolalym wzrokiem. Oddychał szybko.

- Cześć, malutka - szepnąłem. - Szybko wracaj do zdrowia.

Kosmate uszy z trudem się uniosły. Palcem pogładziłem delikatnie jej jedwabiste, białe futerko.

- Proszę - powiedziała Elsa Campos za moimi plecami.

W rękę trzymała niewielki brązowy puchar ze złożoną plakietką, który wymagał oczyszczenia. Wręczyła mi go, a ja odczytałem wygrawerowany na przywieszce napis:

NAGRODA BROOKE-HASTINGS
ZA WYBITNE WYNIKI W NAUCE
DLA
HOPE ALICE DEVANE

- Brooke-Hastings -powtórzyłem głośno.

- Tak nazywała się ta firma.

Zwróciłem pucharek, a ona odstawiła go na stół. Wróciła na swoje miejsce.

- Uparła się, żebym go wzięła. Po śmierci drugiego męża pochowałam wiele przedmiotów do szaf. Zapomniałam o nim aż do teraz.

- Czy Hope mówiła wówczas o czymś jeszcze?

- Rozmawialiśmy, jak powinna przebiegać jej dalsza edukacja. Powiedziałam, że Berkeley jest dobre jak każda inna szkoła, a wyraźnie tańsze od pozostałych. Nigdy nie dowiedziałam się, czy mnie posłuchała.

- Posłuchała. Ukończyła ten college - powiedziałem, na co uśmiechnęła się radośnie.

- Już wtedy opiekowałam się kilkoma psami i rozmawialiśmy o tym. O niesieniu pomocy słabszym. Interesowały ją nauki przyrodnicze i pomyślałam, że być może zostanie lekarzem lub weterynarzem. Psycholog... to też pasuje.

Znów zaczęła bawić się warkoczem.

- Może jeszcze coś do picia?

- Nie, dziękuję - odpowiedziałem zdecydowanie.

- Ja też nie będę już pić piwa, bo pomyśli pan sobie, że jestem starą pijaczką. .. No więc była grzeczną dziewczynką, bardzo schludną, dbającą także o czystość języka. To miasteczko nie jest sympatycznym miejscem, ale ona nigdy do niego nie należała. Jakby przyjechała tu wyłącznie z wizytą. W pewnym sensie to samo tyczyło się Lottie... Nawet z jej... zachowaniem wybiła się ponad przeciętność. Hope opowiadała mi także, czym Lottie zajmuje się w Bakersfield. Tańczyła. Wie pan, o czym mówię, i proszę nie zmuszać mnie, żebym to nazwała po imieniu. Knajpa nazywała się Niebieska Stajnia. Jedna z tych kowbojskich spelun. Kiedyś przy wyjeździe z miasta stał ich cały rząd, pośród magazynów, kuźni i podobnych zakładów. Nazywali je świńskimi barami. Muzyka country and western plus mnóstwo kręcących się wokół, gotowych na wszystko dziewczyn. Mój drugi mąż kilkakrotnie odwiedzał te lokale, dopóki się nie dowiedziałam i nie ukróciłam tego.

- Mówi pani, że to była Niebieska Stajnia.

- Proszę się nie trudzić szukaniem jej. Została zamknięta wiele lat temu. Jej właścicielem był przyjezdny gangster, który robił interesy na bydle niewiadomego pochodzenia. Otwierał podobne budy w latach sześćdziesiątych, za czasów hippisów i zarobił na nich fortunę. Później zwinął wszystko i przeniósł się do San Francisco.

- Dlaczego?

- Zapewne dlatego, że tam można było robić jeszcze łatwiej pokątne interesy.

- Kiedy to było?

Zamyśliła się.

- W latach siedemdziesiątych. Słyszałam, że kręcił także świńskie filmy.

- I był szefem Lottie?

- Jeśli można nazwać to pracą.

- To musiało być bardzo smutne dla Hope.

- Kiedy mi o tym opowiadała, płakała. Przeżywała tak bardzo nie dlatego, że Lottie robiła to, żeby wyżyć, ale była przekonana, że robi to wyłącznie dla niej. Ale spójrzmy prawdzie w oczy: niektóre kobiety nie chcą się niczego nauczyć, skoro mogą zapewnić sobie byt w zupełnie inny

sposób. Pierwszego dnia po przyjeździe do Higginsville Lottie wyszła wieczorem w obcisłej czerwonej sukience, żeby wstępnie zaprezentować się potencjalnej klienteli.

- Przeprowadziła się do San Francisco wraz z tym właścicielem klubu?

- Nie wiem, ale dlaczegoż miałby ją ze sobą zabierać, skoro pod ręką było mnóstwo znacznie młodszych od niej dziewczyn? Wtedy była już za stara do tego rodzaju pracy.

- Jak nazywał się tamten facet?

- Kruvinski. Polak, Jugosłowianin albo Czech... Ludzie mówili, że podczas drugiej wojny światowej był jakimś generałem, przywiózł z Europy trochę pieniędzy, przyjechał do Kalifornii i zaczął kupować ziemię. A dlaczego pan pyta?

- Hope współpracowała z doktorem nazywającym się Milan Cruvic.

- No proszę - mruknęła uśmiechając się. - Wygląda na to, że wreszcie trafił pan na coś ciekawego. Bo Kruvinski także miał na imię Milan. Ale wszyscy mówili na niego Micky. Duży Micky Kruvinski. Duży w tym znaczeniu. - Pokazała wydatny brzuch. - Nie był niski, ale w oczy rzucała się jego tusza. Gruby kark, brzuch, grube wargi. Kiedyś, gdy pojechałam z mężem do Bakersfield, wpadliśmy na niego akurat, kiedy jadł śniadanie. Szeroki uśmiech, szczery uścisk dłoni, zupełnie przyzwoity facet. Ale Joe, mój mąż, ostrzegł mnie przed nim. Powiedział, że nie mam nawet pojęcia, na co go stać. Ile lat ma ten doktor Cruvic?

- Jest mniej więcej w wieku Hope.

- Więc to musi być jego syn. Bo Duży Micky miał jedynaka. Małego Micky'ego. On i Hope chodzili do tej samej klasy w Bakersfield High. I to on był tym chłopcem, który wraz z Hope zdobył nagrodę Brooke-Hastings. Wszyscy mówili, że to pic, ale skoro został lekarzem, może rzeczywiście był inteligentny.

- Dlaczego to miałby być pic?

- Bo to Duży Micky był właścicielem Brooke-Hastings Company. Podobnie jak największej rzeźni w mieście, automatów handlowych, stacji benzynowej i znacznych obszarów ziemi. Wszystko za dochody z klubów. Facet wciąż tylko coś dokupował.

- Żyje jeszcze?

- Nie wiem. Trzymam się z dala od miasta, siedzę tu sobie i zajmuję się wyłącznie własnymi sprawami.

Wzięła pucharek w ręce i gładziła go palcami. Plakietka była wykonana z marnego surowca i kawałki złotej blaszki odłaziły z jej powierzchni.

- Joe, mój mąż, był nałogowym palaczem. Cztery paczki na dzień, i w końcu zachorował na rozedmę płuc. Tego dnia, gdy Hope przyjechała w odwiedziny, leżał pod tlenem w sypialni na tyle domu. Kiedy wyszła, pokazałam mu puchar i artykuł opisujący uroczystość, a on wybuchnął

śmiechem. Aż się zakrztusił i zaczął dusić. Pytałam, co w tym śmiesznego, a on z kolei zapytał, czy wiem, kim jest ten chłopiec, który także otrzymał nagrodę. Wyjaśnił, że to syn Dużego Micky'ego, i stwierdził, iż Lottie musiała bardzo się starać u szefa, żeby jej córeczka także zasłużyła na tę nagrodę. Obraziłam się na niego. Czułam się taka dumna ze swojej pracy, a on powiedział mi coś takiego. Ale nie odezwałam się ani słowem, bo z mężem było nie najlepiej, a poza tym bałam się, że może mieć rację. Wiedziałam, na co stać Lottie. Ale jednocześnie znałam Hope i miałam pewność co do jej zdolności, więc niewątpliwie rzeczywiście zasłużyła na tę nagrodę. A jakiej specjalności lekarzem został Mały Micky?

- Ginekologiem.

- Jak najbliżej kobiet. Coś jest w powiedzeniu, że jabłko pada niedaleko od jabłoni. I Hope z nim współpracowała? Jak to możliwe?

- Zajmował się leczeniem bezpłodności - wyjaśniłem. - Podobno Hope opiekowała się jego pacjentkami.

- Leczenie bezpłodności. A to dobre.

- Nie rozumiem.

- Syn Dużego Micky'ego pomaga tworzyć nowe życie. Czy to przyzwoity człowiek?

- Nie wiem.

- Byłoby dobrze, gdyby był przyzwoity. Wtedy on i Hope wyzwoliliby się z obciążeń wynikających z przeszłości swych rodziców. Tworzenie nowego życia, a nie przecinanie go w ten sposób, jak robił to jego ojciec.

- Duży Micky zabijał ludzi?

- To bardzo prawdopodobne, ale chodzi mi głównie o duchowe wyniszczanie tych dziewczyn. Wykorzystywał je do granic możliwości, a później na ich miejsce przychodziły inne. - Zacisnęła dłonie w pięści. - I tak samo traktował zwierzęta. To zawsze wiele mówi o człowieku. Jego rzeźnia mieściła się w potężnym szarym budynku, przez który przebiegały tory kolejowe. Z jednego końca wagonami wjeżdżało potwornie stłoczone bydło, a z drugiej wyjeżdżały ćwierci wiszące na hakach. Widziałam to na własne oczy, bo Joe był tak miły, że kiedyś, gdy pojechaliśmy do miasta na kolację, pokazał mi ten zakład. Według niego to był dobry żart. Właśnie się najedliśmy i na deser pokazał mi te okropieństwa.

Zwilżyła wargi, jakby starając się pozbyć niesmaku w ustach.

- Było już późno, ale w rzeźni wciąż trwała praca - ciągnęła. - Słysząc ją było i czuć już z odległości kilometra. Byłam wściekła. Kazałam Joemu natychmiast zawrócić. Posłuchał, ale najpierw opowiedział o Dużym Mickym. Podobno lubił bywać tam osobiście. Na ogół w nocy.

Ubierał się wówczas w gumowy fartuch i gumowce i brał nabijany gwoździami kij baseballowy. Zatrzymywano wtedy linię produkcyjną, a on do woli wyżywał się na cielakach i tucznikach.

Jej ciałem wstrząsnął dreszcz.

- Joe powiedział, że to była ulubiona rozrywka Dużego Micky'ego.

Podreptała do kuchni i zajrzała do klatki shih tzu.

- Hope i Mały Micky, po tylu latach.

Najzdolniejszy chłopiec i dziewczynka.

- Hope współpracowała też z prawnikiem nazwiskiem Barone.

- Nigdy o nim nie słyszałam.

- A mówi coś pani nazwisko Casey Locking?

Przeczący ruch głową.

- Może Amanda lub Mandy Wright?

- Nie. Kto to?

- Ludzie, których znała Hope.

- Będąc sławną, musiała mieć mnóstwo znajomych.

- W tym właśnie problem. Jej książka była mocno kontrowersyjna. Niewykluczone, że właśnie z tego powodu została napadnięta i zamordowana.

- Kontrowersyjna w jakim sensie?

Wyjaśniłem pokrótce.

- I mówi pan, że to był bestseller?

- Tak.

- Przykro mi, że nigdy nawet nie słyszałam o tej książce - powiedziała, pochylając się nad pieskiem.

- Czy Hope mówiła o czymś jeszcze podczas tamtych odwiedzin?

Już kilkakrotnie na bezpośrednie pytania reagowała zmianą tematu i spodziewałem się, że i tym razem postąpi podobnie. Ale ona podeszła do mnie, usiadła i popatrzyła mi prosto w oczy.

- Powiedziała mi, że Lottie ją wiązała.

Jej wargi drżały.

Siedziałem bez ruchu, czując, jak serce wali mi w piersiach.

- Jak to? - zapytałem ostrożnie.

- Robiła to, kiedy Hope była jeszcze mała, a ona zamierzała wyjechać. Poza tym wtedy, gdy sprowadzała do domu mężczyzn.

- Wiazała ją w jakiś szczególny sposób?

- W jej pokoju. Przywiązywała do łóżka. Do jego ramy. Pamięta pan, mówiłam, że zajmowały dwupokojowe mieszkanie. Jeden należał do Hope, a drugi do Lottie. Lottie używała psiej smyczy i zapięcia do rowerów.

- Jak długo to trwało?

- Całe lata. Nie zorientowałam się, bo Hope nigdy się nie skarżyła. Dzięki Bogu, że nie doszło tam do pożaru. Kiedy Hope opowiedziała mi o tym, ogarnęła mnie wściekłość, ale dziewczyna powtarzała, że to nic takiego, że Lottie zawsze zostawiała jej jedzenie i picie, zabawki, książki, radio. Później nawet telewizor. Hope, mówiąc o tym, nie czuła się poszkodowana. Wciąż powtarzała, że to nic, bo mama robiła to, co uznała, że będzie dla niej najlepsze.

- Dlaczego więc w ogóle o tym powiedziała?

- Bo żal jej było matki, za to, co Lottie robiła, żeby utrzymać je obie i na co Lottie musi pozwalać mężczyznom.

- Lottie sprowadzała ich do domu?

- Tak. Facetów, których poznawała w Niebieskiej Stajni i w innych miejscach. Hope nazwała ich regularnymi gośćmi. Wraz z Lottie przeprowadziły się już wtedy do ładnego domku w Bakersfield. Umówiły się, że gdy Lottie będzie pracować, wywiesi na kłamce kartonik, taki, jakich używają w hotelach. Hope miała zawsze obowiązek wchodzić tylnym wejściem i sprawdzać, czy na kłamce nic nie wisi. Jeżeli zobaczyła kartonik, miała iść prosto do swojego pokoju i nie wychodzić z niego, dopóki matka sama do niej nie przyjdzie.

- Dalszy ciąg więzienia.

Pokiwała głową.

- Mimo to Hope czasami słyszała, co się tam działo. - Pełnym zmęczenia gestem potarła powieki. - I to pomijając seks. Krzyki. Czasami Lottie nosiła później znaki.

- Siniaki?

- A poza tym otarcia na nadgarstkach i kostkach. Lottie tuszowała je pudrem, ale Hope i tak to zauważała.

- A więc i Lottie była krępowana.

- Wyobraża pan sobie? To właśnie miałam na myśli, mówiąc, że doszła do czegoś mimo warunków panujących w domu.

- Czy Hope rozmawiała o tym ze swoją matką?

- Gdy zapytałam wprost, zaprzeczyła, traktując to jako niedorzeczne pytanie. „Oczywiście, że nie, pani Campos. Przecież jest moją mamą!”

- Ale z panią mówiła o tym bez oporów.

- Tak... ale później nagle urwała. Wydaje mi się, że potrzebowała się komuś wygadać, ale do końca otworzyć się nie była w stanie. Nigdy potem już jej nie widziałam.

Znów zerknęła na zegar z kukułką.

- Jak się zachowywała, opowiadając? - zapytałem.

- Była spokojna, tylko gdy wspominała o Lottie, płakała. Martwiła się, że jakiś „klient” może naprawdę zrobić Lottie poważną krzywdę. Tłumaczyła matkę, mówiąc, że z powodu braku wykształcenia musiała robić, to co robiła, żeby zapewnić im byt. Co mogłam na to powiedzieć? „Spójrz prawdzie w oczy, dziecko, twoja matka jest prostytutką”? Wiedziałam, że musi cierpieć. Cały czas była więźniem we własnym domu... przecież nie mogła także przyprowadzać do domu żadnych przyjaciół. Staralam się nakłonić ją do rozmowy o uczuciach, ale unikała tego tematu.

- Biedne dziecko.

- Tak, ale, patrząc na nią, nie przyszłoby to nikomu do głowy. Ładna, zrównoważona, idealnie ułożone włosy, delikatny makijaż. A Lottie nadal dbała o jej stroje. Jedwabne bluzki, garsonki, pończochy... Wyglądała w tym wszystkim na dwadzieścia lat. Młoda dama. Poza tym pochwaliła mi się, że w Bakersfield dostaje same A i po każdym semestrze jest na liście najlepszych w szkole uczniów.

- Szkoła była zapewne jedynym miejscem, w którym czuła się wolna - zauważyłem, uświadamiając sobie, jak daleko naprawdę zaszła Hope.

Pokonała strach, wstyd i wyrwała się z izolacji tylko po to, by stracić życie w ciemnej, pustej uliczce. Poczulem niewidzialną rękę zaciskającą mi gardło.

- Zapewne - zgodziła się. - W taki właśnie sposób sama się rozgrzeszałam.

- Za co?

- Za bezczynność. Za niezgłoszenie tego władzom. Bez względu na to, jak dobrze się prezentowała, wciąż była przecież nieletnią przebywającą w niewłaściwym otoczeniu, a ja pozostawałam prawdopodobnie jedyną osobą postronną, która o tym wiedziała. Ale tłumaczyłam sobie, że skoro znalazła dla siebie jakiś azyl, to sama da sobie radę. A wtedy sprawy wyglądały inaczej niż teraz. Nie wiedziałam, czy gdyby władze zainteresowały się jej losem, nie wyparłaby się wszystkiego. I czy w ogóle ktoś by mnie wysłuchał. Bo Lottie pracowała dla Dużego Micky’ego, a on miał wszędzie układy. Gdyby Lottie zwróciła się do niego o pomoc, nie wiem, co mogłoby mi się stać.

- Czy istniały jakieś dowody, że był stręczycielem Lottie? Albo jej kochankiem?

Popatrzyła na mnie z dezaprobatą, jakbym wreszcie dał jej powód do okazania złości.

- Mówiłam już panu, że nie orientuję się w tego rodzaju szczegółach.

- Czy Hope mówiła cokolwiek o Dużym Mickym?

- Nie. Mówiła tylko o Lottie. A później nagle się zablokowała i zmieniła temat. Odniosłam wrażenie, że ta wizyta była dla niej swego rodzaju eksperymentem: jak daleko będzie w stanie się posunąć. A ja nie zachęcałam jej zbyt... Przez nią przeżyłam wiele bezsennych nocy, doktorze Delaware. Myślałam o tym biednym dziecku, więzonym i zamykanym wbrew swojej woli.

Wreszcie pośród wielu własnych bolesnych doświadczeń zapomniałam o tym. Wspomnienia wróciły dopiero, gdy pan się zjawił.

Znów rzut oka na zegar.

- To wszystko, co wiem - powiedziała, wstając i podchodząc do drzwi. Otworzyła je i wyszła na werandę. Od razu na podwórzu rozległ się psi jazgot. Kiedy ją dogoniłem, była już otoczona przez swoich podopiecznych. Leopold, ten bouvier, obserwował mnie wyniośle.

Pomyślałem o rottweilerze Hope, niezdolnym, by ją obronić, zapewne podtrutym.

I o Hope przeobrażającej się z więźnia w obrończynię praw kobiet.

Ale nikt nigdy nie próbował nawet jej bronić.

Elsa Campos zmierzała w stronę bramy.

- Jeśli dowie się pan, kto ją zamordował, proszę mnie o tym powiadomić.

- Obiecują to pani.

- Naprawdę? Bo nie chciałabym czekać na darmo.

- Przyrzekam.

- A więc dobrze... Wyrwę się stąd, pojedę do biblioteki w Bakersfield i spróbuję znaleźć tam tę książkę. Niewiele miejscowych dzieci staje się sławnymi.

Ostatnie słowa wypowiedziała przez ściśnięte gardło. Nagle po jej policzkach popłynęły łzy. Otarła je rękawem.

- Do widzenia - powiedziała. - Nie wiem, czy dziękować, czy pana wyprosić stąd.

- Do widzenia. Dziękuję bardzo.

Ruszyłem przed siebie.

- Kiedy to wszystko wyjdzie na jaw, ja okażę się głupią nauczycielką, która nie postąpiła jak należy.

- Nie ma powodu, żeby to gdziekolwiek publikować.

- Nie? Przecież przyjechał pan tu w związku z jej zamordowaniem.

- Ale może się okazać, że pani informacje nie mają z nim nic wspólnego.

Zmusiła się do uśmiechu.

- Wie pan, jak ona to sobie tłumaczyła? To jej krępowanie? Twierdziła, że uczyniło ją silniejszą. Nauczyło koncentracji. Powiedziałam: „Dziecko, proszę, umieć się nie skarżyć to jedno, ale nie mów, że to było dla twojego dobra”. W odpowiedzi uśmiechnęła się tylko i położyła dłoń na moim ramieniu. Jakby to ona była starszą powiernicą moich tajemnic. Jakby żałowała mnie za to, że nie rozumiałam. Wciąż pamiętam, co mi powiedziała: „Naprawdę, pani Campos, nic się wielkiego nie stało. Wykorzystałam to do własnych celów. Nauczyłam się panować nad sobą”.

Pięćdziesiąt kilometrów, dzielących mnie od Bakersfield, pokonałem w dwadzieścia pięć minut. Ale kiedy dotarłem na miejsce, natychmiast zorientowałem się, że była to tylko strata czasu i benzyny.

Ile lat upłynęło, odkąd ostatni raz tu byłem? Co najmniej dziesięć. Miasto zachowało coś ze swojego prowincjonalnego uroku: sklepy z kowbojskimi strojami, kowbojskie bary, zbyt nowe i rzucające się z oczy, by być tymi samymi, o których mówiła Elsa Campos. Ale teraz wszystkie miasta wyglądały już podobnie. Wszędzie tylko fast-foody i chłodny, czysty komfort.

Nikt, kogo zagadywałem, nie wiedział nic o Brooke-Hastings Company, ale kiedy pewnemu starszemu facetowi za ladą Burger Kinga wspomniałem o rzeźni, popatrzył na mnie podejrzliwie, po czym wskazał drogę.

Północny skraj miasta, gdzie wieś stykała się z miastem.

Dostrzegłem pozostałości torów kolejowych, przypominające elementy dziecięcej kolejki.

Zobaczyłem też sam budynek. Potężny, szary i tak brzydki, że trudno było uwierzyć, iż ktokolwiek go zaprojektował. Dziury w miejscach nielicznych okien. Zerwany dach.

Wymalowany na białą emblemat Brooke-Hastings był ledwie czytelny. Obok wypływały napisy:

KIEŁBASKI WIEPRZOWE, WYŚMIENITE MIĘSO

Wysokie ogrodzenie z drutu kolczastego otaczało tę betonową ruinę.

Wokół ciągnęły się całe akry pól, obsadzonych pomidorami i kukurydzą.

Pośród nich kręcili się robotnicy.

Jedna z pracujących kobiet zauważyła mnie i uśmiechnęła się przyjaźnie.

Kobieta o meksykańskiej urodzie, mimo upału ubrana w wiele warstw szmat, z rękami tak brudnymi, że zdawały się należeć do glinianej rzeźby.

Na widok mojego ubioru i samochodu w jej oczach po chwili pojawiła się obawa.

Zawróciłem w stronę Los Angeles.

Panowanie nad sobą.

Wiele lat później Hope sprowadziła ten temat do akademickich rozważań.

Dziecko prostytutki. Nie pasowała do klanu kadry naukowej uczelni. Jeśli Seacrest znał jej przeszłość, nic dziwnego, że nie był skory do rozmów.

Mały Micky. Mała Hope.

Najzdolniejszy chłopiec i dziewczynka.

Uroczystość na okręgowych targach. Uśmiechy, błyski fleszy, transparenty, puchary. Niemal czułem zapach hot dogów i gotowanej kukurydzy.

Dziewczynka zamykana w domowym więzieniu. Nastoletnia wzorowa uczennica, wysłuchująca krzyków swojej matki. I oglądająca sińce na jej ciele.

Cruvic, czujący od swego ojca odór z rzeźni.

Oboje złączeni specyficzną więzią. Dobre stopnie, wysokie aspiracje i ciężąca na nich przeszłość rodziców.

Znajomi ze szkolnej ławki, może nawet zakochana w sobie para.

Kolaboranci. Przy leczeniu bezpłodności, aborcjach i sterylizacji.

Panowanie nad sobą.

Duży Micky przeprowadził się do San Francisco. Był właścicielem klubów z panienkami, zajmował się kręceniem filmów pornograficznych... Robert Barone, ten prawnik, był obrońcą w sprawach dotyczących oskarżeń o pornografię. I do tego działał właśnie głównie w San Francisco.

Hope również z nim współpracowała.

Bezpłodność, sterylizacja. Co jeszcze?

Wyobraziłem sobie Dużego Micky'ego ze swoim kolczastym kijem baseballowym. Sprzedawał kobiety i handlował mięsem.

Jego syn przerwał studia medyczne już po pierwszym roku.

Zamelinował się w Instytucie Brooke-Hastings.

Niezły żart.

Ciekawe, czy Hope też się z niego śmiała.

Wróciłem tuż po siedemnastej. Dom był pusty, a na kuchennym stole znów znalazłem kartkę zostawioną przez Robin:

Kochanie,

Mam nadzieję, że nie pojechałeś na darmo. Mam pilne wezwanie do Saugus, a później muszę jeszcze dostarczyć kilka instrumentów do studia HotSound w Hollywood. Razem ze Spike'em spróbujemy wrócić na 23:00, ale niewykluczone, że się nie wyrobimy.

To numer, pod którym będę uchwytana. Jeśli nie jadałeś, zajrzyj do lodówki. Dzwonił Milo. Kocham.

W lodówce znalazłem ogromną kanapkę złożoną z sześciu segmentów. Zabierając się do niej, wykręciłem numer na komisariat. Czekając na połączenie, sięgnąłem po piwo. Kiedy wreszcie w słuchawce usłyszałem jego głos, nie wytrzymałem i podekscytowany wykrzyknąłem:

- Wiem, dlaczego panowanie nad sobą było dla niej tak ważne!

Już nieco spokojniej opowiedziałem o swoich dzisiejszych odkryciach.

- Nie ma to jak miłość macierzyńska - rzekł. - Wiązana dla swego własnego dobra. Jezu...

- Wmawiała to sobie, Milo. Kiedy dorosła, wróciła do tego, co знаła z dzieciństwa.

- Wiązana i bita... Kto mógł ją posiniaczyć? Seacrest, Cruvic albo ktoś inny... do diabła, a dlaczego na przykład nie Locking?

- To możliwe - przyznałem. - Rozmawiałeś dziś z Cruvicem?

- Wyraźnie mnie unika. W domu w Mulholland nastawił automatyczną sekretarkę. Dom nie jest jego własnością, tylko go wynajmuje. A kiedy zadzwoniłem do kliniki, nasza niezastąpiona siostra Anna oświadczyła chłodno, żebym skontaktował się z jego prawnikiem. Zgadnij z kim?

- Z Robertem Barone?

- Brawo, wygrałeś zmywarkę. Skąd wiedziałeś?

- Duży Micky działał w branży pornograficznej w San Francisco.

- Ojciec był producentem pornosów, a syn został lekarzem. Jak w oryginale brzmi ich nazwisko?

Powiedziałem mu.

- Spróbuję sprawdzić tatusia. Namierzyłem ten szpital w Carson, dokąd synek trafił po wyjeździe z Seattle. Prowadzony przez prywatną firmę, która popadła w problemy finansowe i została przejęta przez konkurencję. A Fidelity był jedną z nierentownych placówek, która natychmiast została zamknięta, a więc Mały Micky trafił tam niejako za karę. Niewykluczone, że musiał się ukrywać.

- Incydent z Ballitserem zwrócił na niego uwagę opinii publicznej - zauważyłem - a przecież ma wiele rzeczy do ukrycia: praktyka lekarska, pogmatwany życiorys akademicki. Gangsterskie dziedzictwo. A do tego może i zabójstwo Hope. Znaleźliście coś u Darrella?

- Nie... Tylko metadynę, pod której wpływem pozostawał, kiedy go zatrzymaliśmy. Ale zupełnie nic, co można by wiązać ze sprawą Hope, więc jeśli się nie przyzna, Kasanjian bez trudu zdoła wyciągnąć go z aresztu za kaucją. A jeśli Cruvic nie oczyści się z ciężących na nim podejrzeń, prokurator zapewne nie będzie zainteresowany oskarżaniem chłopaka o naruszenie nietykalności osobistej. Co właściwie jest mi obojętne, bo nigdy nie widziałem w nim potencjalnego podejrzanego w naszej sprawie. Natomiast pan doktor Cruvic staje się coraz lepszym kandydatem na głównego podejrzanego. Ta wersja najlepiej tłumaczyłaby śmierć Hope i obecne

unikanie nas. Sprawy naprawdę musiały zajść daleko, jeśli Hope nie chciała już brać w tym udziału. Może Cruvic obawiał się, że go wsypie i uciszył ją.

- A Mandy Wright? - zapytałem. - Ją z kolei Cruvic mógł spotkać w związku z interesami tatusia - sam udzieliłem sobie odpowiedzi.

- Zgadza się. Club None to niemal wymarzone miejsce dla synalka gangstera. A i dla Mandy mógł stanowić dobre miejsce pracy. Aha, udało mi się wreszcie zlokalizować tego jej chłopaka, Teda Barnaby. Wciąż jest krupierem blackjacka, ale już nie w Nevadzie. Teraz pracuje w Palm Springs, w jednym z tych kasyn należących do Indian. Wkrótce tam pojedę, żeby go zaskoczyć, więc może znów dowiemy się czegoś ciekawego.

- Masz ochotę na towarzystwo?

- A nie masz na dziś wieczór żadnych planów?

- Robin ma pilną robotę. A zamierzasz zatrzymać się tam do jutra?

- Nie, nie ma sensu. Nie grywam w golfa ani się nie opalam. Rick zabrał explorera, więc mam porsche. Droga zajmie nam niecałe półtorej godziny i niech tylko ktoś spróbuje wlepić mi mandat.

Los Angeles dzieli od Palm Springs niewiele więcej niż dwieście kilometrów szeroką drogą międzystanową numer dziesięć.

Początkowo wiedzie przez przedmieścia, przecina Azura, Claremont, Upland, Rancho Cucamonga i wjeżdża do okręgu San Bernardino, gdzie powietrze, w zależności od kierunku wiatru i woli boskiej, jest krystalicznie czyste lub tak ciężkie od zanieczyszczeń, że aż trudno nim oddychać. Dalej wzdłuż autostrady ciągnie się monotony krajobraz centrów handlowych, otoczonych gigantycznymi parkingami. Dopiero w okolicach Fontana, za Yucaipa, ruch na drodze maleje i placówki handlowe zastępują obszary rolnicze, powietrze zaś staje się suche i zawsze czyste. Obok drogi ciągną się wiśniowe sady, a z prawej widać zwieńczone śnieżnymi czapami szczyty San Bernardino Mountains.

Pusta autostrada prowokuje do szybkiej jazdy i część kierowców ulega pokusie. Podczas wiosennych wakacji dzieciaki uzupełniają zapasy piwa oraz trawki i wybierają się w poszukiwaniu wrażeń do Palm Springs. Zazwyczaj docierają na miejsce, ale wielu spośród szaleńców drogowych kończy krótkie życie w efekcie wypadków. Lotne patrole policyjne są tu nadzwyczaj aktywne, robiąc wszystko co w ich mocy, by zmniejszyć liczbę tych nieszczęśliwców do minimum.

Milo został zatrzymany tylko raz, tuż przed San Gorgonio, już po zapadnięciu zmroku. Wskazówka na prędkościomierzu porsche nie schodziła od Riverside poniżej stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Był to biały model 928, pięcioletni, ale w idealnym stanie, i młody policjant, który nas zatrzymał, patrzył na niego z wyraźnym podziwem. Poprosił Milo o dokumenty, lecz oddał mu je natychmiast, gdy usłyszał, że prowadzimy sprawę o zabójstwo i jak najszybciej musimy dotrzeć do ważnego świadka.

Zdażył jeszcze wyrecytować ostrzeżenie o wariatach drogowych i prośbę o rozważną jazdę, zanim powąchał dym z naszych opon.

Do Palm Springs dotarliśmy o dwudziestej drugiej. Mijaliśmy ulice tanich czynszówek, nim dotarliśmy do dzielnicy biznesowej. W przeciwieństwie do Bakersfield tutaj niewiele się zmieniło. Taka sama jak niegdyś mieszanina sklepów z używanymi rzeczami, antykami, butików, galerii i moteli. Naprawdę duże pieniądze ulokowano na Palm Desert i Rancho Mirage oraz ulicach nazwanych imieniem Dinah Shore i Bobie Hope.

- Jedziemy na Palm Grove Way - poinformował Milo. - Do Sun Palace Casino.

- Nie wygląda mi to na indiański rezerwat.

- A czego się spodziewałeś? Tipi i totemów? Ci Indianie to szczęściarze: wygnani na pustynię, gdzie nikt nie spodziewał się złóż ropy, która przyniosła im pieniądze. Byli do tego na

tyle sprytni, że obwołując się odrębnym narodem, zażądali prawa do prowadzenia gier hazardowych. Władze pozwoliły im w końcu otworzyć salony bingo.

- Ale później rząd sam zainteresował się grami losowymi - stwierdziłem.

- Zgadza się. Indianie w całym stanie idą z duchem czasu. W Santa Ynez znów otworzyli nowe kasyno. Władze robią wszystko, żeby powstrzymać ich ekspansję. Piętrzą trudności z pozwoleniami i zabraniają Indianom produkować jednoręcznych bandytów bądź sprowadzać ich spoza granic stanu. Bo te właśnie maszynki przynoszą największe zyski. Ale czerwonoskórzy szmuglują je do swoich rezerwatów, a wtedy nic nie można im już zrobić.

- Detektywie, czyżby popierał pan łamanie prawa? - zapytałem ze sztuczną powagą.

- To zależy od samego prawa.

- Palm Grove - powiedziałem, wskazując następną przecznicę.

Milo skręcił. Kolejna rojna ulica. Znów motele, pralnia i fast-foody pełne ludzi wdychających zapach palonego tłuszczu i ciężkie powietrze. A dalej migające na turkusowo i żółto światła w kształcie kapelusza, wiszącego piętnaście metrów nad ziemią na specjalnie zbudowanej wieży.

- Ale gust, co?

- Jak to jest? Całe centrum to rezerwat? - zapytałem.

- Nie. Indianie wyszukują tereny będące własnością kogoś z ich rasy i oferują współpracę. No, jesteśmy na miejscu.

Skręcił ostro na rozległy, nie utwardzony parking otaczający kasyno. Za wieżą z kapeluszem znajdował się niewielki parterowy budynek cały w światłach, z ogromnym napisem sun palace i neonem w kształcie szkarłatnej dłoni.

Między budynkiem a wieżą zbudowano jasno oświetlone podwyższenie. Tkwił na nim nowiutki purpurowy camaro obwiązany różową wstążką. Odczytałem duży napis na przedniej szybie: nagroda za cztery blackjacki z rzędu!

Inny napis na wieży obiecywał odprowadzanie samochodów, ale nikogo nie było w pobliżu i Milo sam znalazł wolne miejsce. Gdy tylko wysiedliśmy, podbiegł do nas krzepki ciemnoskóry chłopak w białej koszulce polo.

- Hej, mogłem go odstawić! - krzyknął i wyciągnął rękę.

Milo pokazał mu swoją odznakę.

- A ja dołączyłbym do Beatelsów, gdybym nazywał się McCartney - warknął.

Chłopak wyraźnie zgłupiał. Stał przez chwilę niezdecydowany, po czym rzucił się biegiem w stronę podjeżdżającego potężnego żółtego cadillaca, pełnego roześmianych siwowłosych gości.

Przekroczyliśmy podwójne szklane drzwi kasyna akurat w momencie, gdy opuszczał je bardzo wysoki mężczyzna w czerni. Za nim toczyła się korpulentna kobieta w kwiecistej sukience i plażowych sandałach. Była wyraźnie poirytowana i zapewne dlatego mężczyzna wołał trzymać się z dala od niej.

Drzwi zamknęły się za naszymi plecami. Otoczył nas hałas i drażniące oczy fluorescencyjne światła. Staliśmy na niewielkiej platformie z niebieskozieloną wykładziną, poprzedzielanej mahoniowymi słupami. Schody z obu stron prowadziły do sali gier: pojedynczego pomieszczenia o wymiarach mniej więcej trzydzieści na piętnaście metrów. Tam też dominowały morska wykładzina i mahoniowe słupy, wspierające kasetonowy sufit. Białe ściany, żadnych okien czy zegarów.

Z prawej stał stół do pokera, a przy nim grupa mężczyzn w kraciastych koszulach, wiatrówkach, ciemnych okularach, z pełnymi napięcia minami. Dalej rzędami ustawiono jednoręcznych bandytów, buczących i migających różnobarwnymi światłami. Była ich na pewno ponad setka. Zdawały się mieć w sobie więcej życia niż ludzie szarpiący ich dźwignie. Lewą część pomieszczenia zajmowały stoły do blackjacka, ustawione tak ciasno jeden obok drugiego, że mieścili się przy nich tylko grający. Krupierzy w bordowych koszulkach, z białymi plakietkami z imieniem, stali do siebie plecami, zajęci przyjmowaniem sztonów, rozdawaniem kart i wypłacaniem wygranych.

Hałas, powietrze przesycone dymem papierosowym, niewielkie okienko kasy z tyłu. Ale było zbyt wcześnie, by ktokolwiek wymieniał wygrane sztony na pieniądze. Wśród grających dominowali emeryci, japońscy turyści, pracownicy fizyczni, Indianie i jacyś biedacy w wymiętych garniturach i koszulach z lat siedemdziesiątych. Wszyscy sprawiali wrażenie, że przychodzą tu wyłącznie, by wygrać, a samo miejsce niczym nie różniło się od Vegas. Zgrabne jak lalki dziewczyny w białych sukieneczkach kursowały wokół, zręcznie balansując tacami pełnymi drinków. Potężni faceci w bieli i czerni, z ogromnymi kaburami u pasa, patrolowali pomieszczenie, omiatając grających wzrokiem bez wyrazu jak obiektywy kamer.

Jeden z mężczyzn, stojących na platformie, wskazał nas lekkim ruchem głowy. Siwowłosy, wąsaty, w eleganckim szarym garniturze i krawacie z jedwabnej krepy. Miał około pięćdziesięciu pięciu lat, pociągłą twarz, wąskie usta i włosy zaczesane do tyłu na brylantynę. W ręku trzymał walkie-talkie. Gdy na niego spojrzałem, uciekł wzrokiem gdzieś w bok. Ale widać już zdążył zwrócić uwagę na naszą obecność, bo dwóch uzbrojonych strażników natychmiast zajęło pozycje przy zejściach z platformy. Jednym był Indianin, drugim zaś piegowaty rudzielec. Obaj wysocy, szerocy w barach, o ramionach jak udo dorosłego mężczyzny. Na pasie Indianina widniały czerwone litery tworzące napis: garrett.

Ludzie napływali do środka nieprzerwanym strumieniem, znacznie przewyższając liczbą wychodzących. Gdy Milo zbliżył się do mosiężnej barierki, siwowłosa ruszył w jego stronę, a Garrett zablokował zejście.

- Mogę w czymś pomóc, panowie? - zapytał wąsacz głębokim basem. Na piersi miał identyfikator: larry giovanne, manager.

Milo dyskretnie pokazał mu swoją legitymację.

- Ted Barnaby - mruknął tylko.

Giovanne jakby nie usłyszał. Legitymacja powędrowała z powrotem do kieszeni.

- Barnaby pracuje dziś, prawda?

- Ma jakieś kłopoty?

- Nie, mamy tylko kilka pytań.

- Jest nowy.

- Zaczął pracę dwa tygodnie temu, w środę - uprzejmym tonem poinformował Milo.

Manager spojrział mu prosto w oczy, po czym z uwagą zaczął lustrować jego strój, zapewne w poszukiwaniu wybruszenia od broni.

- Żadnych kłopotów?

- Nie. Gdzie Barnaby?

- Kontaktowaliście się z policją plemienną?

- Nie.

- Więc nie macie podstaw prawnych, żeby przesłuchiwać naszego pracownika.

Milo uśmiechnął się w odpowiedzi.

- Ale możemy sami odszukać Barnaby'ego, usiąść przy jego stole i zrobić małe przedstawienie.

Giovanne niemal niezauważalnie pokręcił głową.

- Czego od niego chcecie?

- Jego dziewczyna została zamordowana pół roku temu. Nie jest podejrzany, ale chcemy zadać mu kilka pytań w związku z tą sprawą.

- My też działamy tu od niedawna - wyznał manager już bardziej pojednawczym tonem. - Od otwarcia upłynęły trzy miesiące i nie chcielibyśmy popsuć obiecującego początku.

- W porządku. Co pan na to: przyśle go pan do mnie, kiedy będzie miał przerwę, a ja nie będę wchodził wam w drogę.

Giovanne podciągnął mankiet i popatrzył na złoty zegarek.

- Barnaby ma przerwę za niecałą godzinę. Jeśli rzeczywiście nie będziecie sprawiać kłopotów, wypuszczę go do was wcześniej. Pasuje?

- Jak najbardziej. Dziękuję.

- Będzie wolny za jakieś pięć minut. Macie ochotę w tym czasie zagrać?

Milo uśmiechnął się.

- Nie dzisiaj.

- Dobra, a więc wyjdźcie na zewnątrz, a ja przyślę chłopaka pod camaro. Może coś do picia, albo orzeszki?

- Nie, dziękujemy. Ktoś wygrał ostatnio taki samochód?

- Jak dotąd poszły trzy... Kiedy z nim skończycie, wróćcie i spróbujcie szczęścia.

- Spróbowałbym, gdybym je miał.

Dziewczyna w minispódniczce mimo wszystko przyniosła nam po piwie, więc popijaliśmy je, stojąc za purpurowym wozem i obserwując wchodzących oraz wychodzących. Parking zdawał się ciągnąć całymi kilometrami. W oddali widać było światła samochodów na drodze, ale panujący wokół kasyna harmider zagłuszał ich hałas.

Ledwie opróżniliśmy szklanki, gdy z kasyna wyszedł wysoki, szczupły mężczyzna w czerwonej koszulce. Rozglądał się niepewnie i gimnastykował najwyraźniej zmęczone palce.

Miał około trzydziestu lat, gęste blond włosy, a na nogach wysokie buty z beżowej skóry, częściowo schowane pod czarnymi spodniami. Z rękawków koszulki wystawały szczupłe, lecz żyłaste ramiona. Na nadgarstku dostrzegłem srebrną bransoletę z turkusami, a złoty łańcuch zwisał na piersi, poniżej wyraźnie zaznaczonego jabłka Adama. Rysy twarzy przystojniaka, ale skóra w opłakanym stanie, znacznie gorszym niż u Milo. Szczególnie na skroni widać było czerwone plamy i podchodzące ropą wypryski. Za uchem miał przyklejony niewielki plaster, a na szyi znajdowały się głębokie blizny.

Milo odstawił szklankę i wyszedł mu naprzeciw.

- Pan Barnaby? - zagadnął.

Mężczyzna zatrzymał się i zacisnął dłonie w pięści. Na widok odznaki Milo odruchowo dał krok do tyłu.

Milo wyciągnął rękę i Barnaby uścisnął ją z wyraźnym ociąganiem. Detektyw zaproponował, by odejść na bok, lecz krupier stał bez ruchu. Zgodził się dopiero na widok nadchodzącego pracownika parkingu.

Gdy stanęli obok camaro, Barnaby popatrzył uważnie na mnie i na szklankę po piwie, którą trzymałem w ręku.

- O co wam chodzi, do diabła? Przez was pewnie wylecę z roboty.

- Mandy Wright.

Jego migdałowe oczy jakby nagle się zapadły.

- Co gliny z Los Angeles mają z tym wspólnego?

Milo oparł stopę na zderzaku wozu.

- Ostrożnie - ostrzegł Barnaby. - To nówka.

- A więc nie bardzo się przejąłeś śmiercią Mandy?

- Oczywiście, że się przejąłem. Ale od tamtej pory upłynęło już sporo czasu. Cholera, dlaczego przez nią mam teraz stracić pracę?

- Pomówię z Giovanne.

- Po co tu przyszliście? Nie mogliście skontaktować się ze mną w domu?

- Giovanne powiedział, że pana zwalnia?

- Jeszcze nie, ale po jego zachowaniu zorientowałem się, że zamierza to zrobić. Starają się jak mogą, żeby nie narobić sobie żadnych kłopotów, a chyba pomyśleli, że przeze mnie mogą je mieć.

Barnaby dotknął plastra za uchem i skrzywił się.

- Cholera, właśnie wynająłem mieszkanie w Cathedral City.

Milo ruchem głowy wskazał wejście do kasyna.

- To nie to samo co Ceasar's, Ted. Dlaczego tak nagle wyjechałeś z Vegas po śmierci Mandy?

- Miałem już dość tamtego miejsca.

- Więc wyjechałeś?

- Tak.

- Dokąd?

- Do Reno.

- A później?

- Do Utah.

- Dlaczego akurat tam?

- Stamtąd pochodzę.

- Jesteś mormonem?

- Kiedyś byłem... Proszę posłuchać, wszystko powiedziałem już tym gliniarzom z Vegas. Nie mam pojęcia, dlaczego zginęła. Pewnie zabił ją jakiś klient. Nigdy nie lubiłem tego, czym się zajmowała, ale dobrze nam było razem, więc musiałem to tolerować. Co miałbym wam jeszcze powiedzieć? I dlaczego w ogóle tą sprawą zainteresowano się w Los Angeles?

- Dlaczego nie wrócisz do Vegas, Ted?

- Złe wspomnienia.

- To jedyny powód?

- To wystarczy. Człowieku, to ja musiałem zidentyfikować jej ciało. - Pokręcił głową i zwilżył spierzchnięte wargi.

- A może starasz się usunąć kogoś z drogi?

- Komu?

- Zabójcy Mandy.

- Klientowi? Dlaczego miałbym się starać, aby mu nie wchodzić w drogę?

- Skąd wiesz, że to był jej klientem?

- Nie wiem, tylko zgaduję. A któż inny mógłby być? Pracująca dziewczyna ciągle naraża się na niebezpieczeństwo... Zresztą sami najlepiej o tym wiecie. Ryzyko zawodowe. Stale ją ostrzegałem.

- Wcześniej miała jakieś przejścia?

- Siniak tu i ówdzie. Ale nic poważnego. Aż do tamtego wieczora.

Znów palcami dotknął plastra.

- Wiesz, kto wcześniej narobił jej tych sińców?

- Nie. Nigdy nie podawała mi żadnych nazwisk... Taką mieliśmy umowę.

- Jaką dokładnie?

- Nie wtrącałem się do jej pracy, a ona poświęcała mi cały swój wolny czas. Wymuszony uśmiech. - Mnie zależało na niej znacznie bardziej niż jej na mnie. Widzieliście jej zdjęcie? To znaczy jeszcze za życia.

- Tak.

- Wspaniała, prawda?

- Mieszkaliście razem?

- Nigdy. Właśnie wam to tłumaczę. Potrzebowała własnego lokum i przestrzeni życiowej.

- Innymi słowy, własnego miejsca do pracy.

- Tak - przyznał Barnaby. Smutno popatrzył na swe dłonie. - Była wspaniała. Pół-Hawajka, pół-Polinezyjka. Takie dziewczyny są najwspanialsze na świecie.

Z początku zupełnie oszalałem na jej punkcie. Chciałem mieć ją całą dla siebie. Mówiłem, żeby nauczyła się mojego fachu, a z jej wyglądem żyłaby jak królowa z samych napiwków. Ale ona śmiała się tylko i powtarzała, że sama musi być sobie szefem. Kochała pieniądze. I ich wydawanie na mnóstwo, czasem zupełnie zbytecznych rzeczy.

- Na co?

- Ubrania, biżuterię, samochody. Co kilka miesięcy kupowała kolejny wóz. Ledwie nacieszyła się nim, zaraz szukała czegoś nowego. Corvetty, firebirds, bmw. Jej ostatnim

nabytkiem było mało używane ferrari. Kupiła je okazjnie w jakimś komisie za miastem. Uwielbiała kręcić się nim po Stripie. Nie znałem drugiej dziewczyny, która kochałaby samochody tak jak ona. Gdy jej o tym powiedziałem, roześmiała się i odparła, że pociągają ją potężne silniki. I dlatego ja jej tak pasuję. - Znow wykonał ruch rozluźniający palce. - Popatrzcie, do czego ją to doprowadziło.

Do kasyna weszła akurat grupa żołnierzy, rozbawionych jak dzieci. Barnaby wyprostował się i utkwiał wzrok w szklanych drzwiach.

- To wszystko, co wiem. Przyjechaliście tu, bo patrząc z waszego punktu widzenia, jakiś dupek załatwił jakąś dziewczynę w Los Angeles, prawda? W taki sam sposób jak Mandy.

Milo nie odpowiedział.

- Chodzi o jakiegoś seryjnego mordercę, prawda? - nie ustępował krupier.

- Dlaczego tak myślisz?

- Zawsze wybierają dziwki. Bo Mandy tak naprawdę była dziwką, chociaż zawsze uważała się za aktorkę.

- Mówiła ci, że jest aktorką?

- Tak, ale w żartach.

- Nie rozumiem.

- Powiedziała na przykład, że udaje taką, jaką klient chce, żeby była. I to właśnie nazywała aktorstwem.

- Grała kiedyś w filmach porno?

- Nic mi o tym nie wiadomo.

- Nie?

- Nie!

- Powiedziała kiedyś, jakie konkretnie udawanie miała na myśli?

- Nie.

- Albo przed kim udawała?

- Kiedy o to zapytałem, wkurzyła się, więc drugi raz już nie próbowałem. Już mówiłem, że starała się oddzielić pracę od życia osobistego.

Cóż za podobieństwo między prostytutką a profesorką. Milo porozumiewawczo zerknął w moją stronę.

- Mieszkaliście oddzielnie, prawda, Ted?

- Tak.

- Gdzie się spotykaliście? U ciebie czy u niej?

- Przeważnie u mnie.

- A u niej nigdy?

- U niej we wtorki. Wtedy robiła sobie wolne. - Zwilżył spieczone wargi. Teraz mam już inną dziewczynę, która nic nie wie o Mandy. - Przegiął palce. Wynająłem mieszkanie, a tu nagle wszystkie plany biorą w łeb, bo jakbym stracił już robotę.

- Czym zajmuje się twoja nowa dziewczyna?

- Nie tym co Mandy. - Dłonie Barnaby zwinęły się w pięści. - Jest krupierką, jasne? Pracuje w Thrifty Drug. Pod względem urody nie ma się co równać z Mandy, ale mnie to nie przeszkadza. Mieszka w Indio, ale już rozmawialiśmy o zamieszkaniu razem.

- Gdzie się poznaliście?

- Tutaj. Na przyjęciu. A jakie to ma znaczenie?

- A gdzie poznałeś Mandy?

- W kasynie. Jestem dobry, więc stawiali mnie przy pięćsetdolarowym stole, przy którym ona zwykła się kręcić. Od czasu do czasu sama grała, ale prawie natychmiast zorientowałem się, o co jej chodzi.

- O co?

- Szukała dzianych gości. Patrzyła, kto gra o najwyższe stawki, siadała obok w krótkiej sukience i starała się zwrócić na siebie uwagę.

- Udawało się?

- A jak sądzicie?

- Miała stałych klientów?

- Nie wiem. Mogę już iść?

- Zaraz, Ted. Z tego, co mówisz, to ona ustalała wszelkie zasady obowiązujące w waszym związku.

- Pozwalałem jej na to. Była tak wspianiała. Ale w końcu i ja zmądrzałem. Jeśli chce się być szczęśliwym, trzeba się ożenić z brzydką dziewczyną.

- Planowaliście małżeństwo?

- Chyba pan żartuje. Ona i dwójka dzieci oraz cichy domek z ogródkiem. Mówiłem, że ona lubiła trwonić pieniądze.

- Na ubrania, biżuterię i samochody?

- Tak.

- I na kokainę?

Barnaby znów zacisnął dłonie w pięści. Popatrzył w niebo.

- Nie dam się wciągnąć rozmowę na ten temat.

- Bo?

- Na terenie rezerwatu nie macie prawa niczego ode mnie żądać i o nic oskarżyć. Rozmawiam z wami, bo zależało mi na Mandy. W każdej chwili mogę wrócić na salę. Mam do tego prawo.

- To prawda - zgodził się Milo. - Ale co będzie, jeśli wpadnę na posterunek w Cathedral City i opowiem o twojej przeszłości?

- Jakiej przeszłości?

- Gliniarze z Vegas mówią, że wraz z Mandy regularnie zażywaliście kokainę, i to ty ją załatwiałeś.

- Bzdura.

- Mówią też, że po jej śmierci tobie wiodło się coraz gorzej. Podobno nikt w Vegas nie chciał cię już zatrudnić.

Krople potu spływały po kamiennej twarzy krupiera. Odwrócił się do nas plecami. Teraz jeszcze wyraźniej widać było blizny na jego szyi i karku.

- Dlaczego mi to robicie?

- Nic ci nie robimy, Ted. Chcemy tylko, żebyś powiedział wszystko, co wiesz o Mandy.

- A ja przecież wam to mówię!

- Wspomniałem o narkotykach, bo interesuje mnie styl życia Mandy.

- Jej styl życia? To przecież jasne. Dogadzała facetom!

- Koka wskazuje, że niekoniecznie delikatnym, a tacy potrafią, i często nawet lubią zrobić dziewczynie krzywdę.

Barnaby milczał.

- Była komuś winna pieniądze? - zapytał Milo.

- Nigdy nie wsadzałem nosa do jej konta bankowego.

- Czy któryś z facetów, tych, od których kupowałeś towar, wkurzył się na nią?

- To pan mówi, że ją zaopatrywałem.

- Czy jakikolwiek facet wkurzył się na nią?

- Nic mi o tym nie wiadomo.

- Dostawała kokę za seks?

- Nie wiem.

- A ty nigdy jej do tego nie namawiałeś?

- Nie jestem alfonsem.

- Tylko jej chłopakiem, jeśli znajdowała dla ciebie czas.

- Proszę posłuchać... to nie wyglądało w ten sposób - rzekł wzburzony krupier. - Nigdy nie mówiłem jej, co ma robić. Sama o tym decydowała. Lubiła mnie, bo potrafiłem jej słuchać. Kiedy pracuje się w kasynie, cały dzień trzeba wysłuchiwać smętnych historii.

- A jakie problemy miała Mandy?

- Ja nie słyszałem o żadnych.

- Była więc szczęśliwą dziewczyną?

- Na to wygląda.

- I nie masz pojęcia, kim byli jej stali klienci?

- Nie.

- Tego wieczora, kiedy zginęła... mówiła coś, z kim się ma spotykać?

Krupier niecierpliwym gestem pomasaował szyję.

- Dalej nic nie rozumiecie. Ona nigdy nie mówiła o swojej pracy.

- W Vegas twierdziłeś, że tego wieczora pracowałeś.

- Widziało mnie mnóstwo ludzi. O śmierci Mandy dowiedziałem się dopiero następnego dnia, kiedy zadzwoniłem do niej i odebrał jakiś glina. Powiedzieli, żebym zgłosił się na komisariat. A później kazali zidentyfikować jej zwłoki.

- Czy pracowała jeszcze gdzieś poza własnym mieszkaniem?

- Być może.

- Być może?

- Jeśli złowiła jakiegoś gracza, który miał wynajęty pokój w hotelu przy kasynie, szli do niego.

- Jeśli?

- W porządku, kiedy.

- Pracowała także na ulicy?

- Nie, brzydziła się sterczącymi tam szmatami.

- Jak sądzisz, dlaczego zginęła właśnie na ulicy?

- Zapewne odprowadzała faceta, kiedy nagle mu coś odbiło.

- Miała w zwyczaju odprowadzać klientów?

- Skąd mam wiedzieć? Chcieliście, żebym zgadywał, więc zgaduję.

- Nigdy nie wpadłeś do niej, podczas gdy pracowała?

- Po co? Żeby nie chciała się już ze mną spotykać?

- A więc to rzeczywiście ona dyktowała zasady.

- Była gwiazdą, człowieku. - Barnaby uśmiechnął się lekko. - Pewnego razu, kiedy byliśmy... kiedy ona była w dobrym nastroju, powiedziała: „Wiem, że wściekasz się na to, co robię,

Teddy, ale wyluzuj, to nic wielkiego, tylko aktorstwo”. „Tak”, odpowiedziałem, „tylko nie da się w tej konkurencji zdobyć Oscara”. Roześmiała się beztrudno i przyznała mi rację. Powiedziała: „Mnie na pewno by się należało... Jestem jak inne aktorki, tylko częściej rozkładam nogi”. Nie chciałem tego słuchać, ale według niej było to zabawne. Długo się z tego śmiała.

- Kiedy została wysterylizowana?

- Co?

- Kiedy została wysterylizowana? Kiedy podwiązano jej jajowody?

- Zanim ją poznałem.

- To znaczy kiedy?

- Nie wiem.

- Ale powiedziała ci?

- Sprawa wyszła tylko dlatego, że byłem na tyle głupi i zacząłem mówić, jak bardzo lubię dzieci i że chciałbym mieć dwójkę. Ona tylko się śmiała... - Ponownie zwilżył wargi. - Zapytałem, co widzi w tym śmiesznego. Powiedziała, że jestem miłutki, ale do tego musiałbym znaleźć sobie jakąś inną panienkę. I żeby przy okazji załatwił jeszcze jedną dla niej, bo jest „naprawiona”. Nie zrozumiałem. Wyjaśniła, że miała operację. Nie mogłem zrozumieć, dlaczego to zrobiła. Odpowiedziała: „To po prostu bardzo wygodne”. Śmiała się i stwierdziła, że traktuje to jako wydatek na narzędzia pracy, tyle tylko, że nie da się go odliczyć od podatku. Świetny żart. Nie podobało mi się to, ale z Mandy albo jedzie się tym samym autobusem, albo się z niego wysiada. Kiedy jej żarty uznawało się za śmieszne, wszystko było w porządku.

- A jeśli nie?

- Wtedy szukała sobie innego towarzystwa.

- A więc wysterylizowała się przed waszym poznaniem. To znaczy przynajmniej rok temu.

- Poznaliśmy się na półtora roku przed jej śmiercią.

- Mówiła, gdzie miała tę operację?

Chwila wahania.

- Nie.

- A wspomniała kiedyś nazwisko lekarza, który ją wykonywał?

- Nie.

- O co chodzi, Ted?

- Nigdy nie mówiła, jak się nazywa.

- Ale mówiła ci coś na jego temat?

- Nie, ale widziałem go.

- Gdzie?

- W kasynie.
- Kiedy?
- Może jakiś miesiąc wcześniej.
- Przed jej śmiercią?
- Tak.
- Opowiedz o tym.
- Po co? Czy to...

Milo uniósł swoją potężną rękę.

- Mów, Ted.

- Dobra, dobra. Pracowałem, a Mandy kręciła się przy moim stole. Była w krótkiej czarnej sukience z dużym dekoltem, z włosami zaczesanymi w kok i fałszywymi brylantowymi kolczykami. - Na moment przymknął oczy, zapewne odtwarzając w pamięci jej wizerunek. - Mrugnąłem do niej, bo myślałem, że może spotkamy się jeszcze tego wieczora. Uśmiechnęła się, ale dopiero po chwili zorientowałem się, że nie do mnie.

- Do doktora?

- Nie wiedziałem, że jest doktorem. Powiedziała mi o tym dopiero później. Minęła mój stolik i przeszła do innego pięćsetdolarowego, przy którym on grał. Przywitała się z nim i jeszcze jednym facetem. Pocałowali się tak, jakby byli dobrymi znajomymi. Gość zebrał swoje sztony i wszyscy wyszli. Następnego dnia wypomniałem jej, że zupełnie nie zwracała na mnie uwagi. Później powiedziała, że bym się nie gniewał, bo to doktor, który ją naprawił, i jest jego dłużniczką.

- Określiła, o jaki dług chodzi?
- Może zrobił to za darmo, kto wie?
- Transakcja handlowa?

Barnaby wzruszył ramionami.

- Jak wyglądał ten doktor? - zapytał Milo.

- Nic specjalnego. Trzydzieści pięć, czterdzieści lat. Niewysoki, ale szeroki tutaj. - Wskazał na swe barki. - Jak jakiś sportowiec. Krótko przystrzyżone włosy, trochę skośne oczy. Dobry garnitur.

- A ten drugi?
- Jaki drugi?
- Mówiłeś, że był z nim ktoś jeszcze.

- Tak, ale tamten był stary. Wyglądał na chorego... Siedział na wózku i miał taką żółtawą skórę. Doktor woził go po kasynie. Może to jakiś nadziany pacjent, którego ostatnią w życiu rozrywką miała być wizyta w jaskini hazardu? W Vegas mnóstwo takich przychodziło do nas.

Zupełnie popieprzeni ludzie, paralitycy, bez rąk i nóg. Wożono ich po całym kasynie, a oni tylko tracili garście sztonów.

- Co jeszcze Mandy o nich mówiła?
- O tym starym nie wspomniała nawet słowem.
- A o doktorze?
- Tylko tyle, że ją naprawił.
- I że była jego dłużniczką?
- Tak. Czy to jakiś świr?
- Nie, to podobno bohater - odparł Milo.

Barnaby wyglądał na zaskoczonego.

- Coś jeszcze przychodzi ci do głowy? - zapytał policjant.
- Nie.
- W porządku. Dziękujemy.
- Nie ma za co.
- Ten adres na Vista Chino jest aktualny?
- Tak.

- A gdzie jest to mieszkanie, które masz zamiar wynająć?
- Jakie to ma znaczenie? Jeśli mnie wyrzucą, to i tak go nie wezmę.
- Na wszelki wypadek.

Krupier wyrecytował pełny adres. Wcisnął ręce w kieszenie i odwrócił się na pięcie.

- Chcesz, żebym pomówił z Giovanne? - zapytał Milo.
- To nic nie da.
- Jak uważasz.

Barnaby zatrzymał się i rzucił przez ramię:

- Chce pan, w porządku. Może zrobi pan przynajmniej jedną pożyteczną rzecz.

Pięciokrotnie bez powodzenia zagraliśmy w blackjacka, podziękowaliśmy szefowi sali i wróciliśmy do samochodu. Po chwili byliśmy z powrotem na autostradzie, pędząc przez pustynię. Siwy księżyc wisiał nisko na niebie i w j ego świetle piasek miał barwę śniegu.

- Stary mężczyzna na wózku - mruknąłem. - Może to Duży Micky Kruvinski?

Milo przyjął wygodniejszą pozycję, przygotowując się do dłuższej jazdy.

- Albo rzeczywiście jakiś bogaty pacjent. A tę wizytę w kasynie wliczono w koszty jego ubezpieczenia. Bóg jeden wie, jakie jeszcze numery wyczynia Cruvic.

- Najistotniejsze jest to, że Cruvic znał Mandy.

- Drań. Muszę znaleźć sposób, żeby się do niego dobrać. Barone jest fachowcem w swojej branży, a jak dotąd na niekorzyść Cruvica przemawiają jedynie nasze podejrzenia. Nie dysponujemy właściwie niczym namacalnym.

- Zapytałeś Teda o narkotyki, bo sądzisz, że mogą mieć coś wspólnego z naszą sprawą?

- Zapytałem, bo nadal bierze... Widziałeś, jak się poci? I te szkliste oczy.

- Hope i kokaina? Nic nie wskazuje na to, że kiedykolwiek jej używała.

- Wiadomo tylko, że nie zażywała jej jakiś czas przed śmiercią.

- Casey Locking wygląda na kogoś, kto mógłby ją zaopatrywać - mruknąłem. - Poza tym ma jakieś powiązania z Cruvicem. Przypomina mi się nasza rozmowa w miasteczku akademickim, gdy mówił o porządku i dyscyplinie. Takie poglądy często prezentują psychopaci: „Zasady obowiązują wszystkich z wyjątkiem mnie”. Może uda mi się dowiedzieć o nim czegoś od tej drugiej studentki Hope, z Londynu. Jeszcze raz spróbuję się z nią skontaktować.

Milo rozpędził porsche do stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę.

- To dziwne, Alex - mruknął. - Na początku mieliśmy do czynienia z zupełnie inną społecznością, profesorowie, inteligenci, a teraz zeszliliśmy do ćpunów, dealerów, dziwek i różnych typków spod ciemnej gwiazdy.

- Wciąż nie daje mi spokoju ten dokonywany przez Hope podział swego życia na różne, nie przenikające się wzajemnie sfery, jakby pozamykała je szczelnie w kilku pudełkach.

Milo milczał przez kilka kilometrów.

- Tak, ale w którym z nich ukryty jest grzechotnik?

Zatrzymaliśmy się jeszcze na kawę w całodobowym barze w Ontario i do Los Angeles dotarliśmy tuż przed drugą w nocy. Na kuchennym stole przybyła kolejna notka:

Obudź mnie, jeśli chcesz.

Twoja korespondencyjna przyjaciółka R.

Pomimo wypicia czterech kubków kawy wskutek tego cholernego pustynnego powietrza wciąż czułem suchość w gardle. Nalałem więc cały kubek zimnej wody mineralnej i usiadłem na stołku w kuchni. Uświadomiłem sobie, że w Wielkiej Brytanii jest teraz ranek, przeszedłem więc do biblioteki, aby odszukać numer telefonu Ann Gonsalvez.

Tym razem nie musiałem długo czekać, by ktoś odebrał. W słuchawce usłyszałem miękki kobiecy głos:

- Halo?

Przedstawiłem się.

- Tak, odebrałam pańską wiadomość. - Żadnych emocji.

- Ma pani trochę czasu, żeby porozmawiać o profesor Devane?

- Chyba tak... To takie straszne. Wiecie, kto mógł to zrobić?

- Niestety, nie.

- Straszne - powtórzyła. - Dowiedziałam się o wszystkim dopiero tydzień po fakcie, kiedy z uczelni przysłano mi faks. Nie mogłam uwierzyć, że to prawda. Ale... nie bardzo wiem, jak mogłabym panu pomóc.

- Staramy się dowiedzieć wszystkiego, co się tylko da, na temat profesor Devane. Jaką była osobą. I poznać stosunki, jakie łączyły ją z najbliższym otoczeniem.

- To dlatego zajął się pan tą sprawą, panie Delaware?

- Tak.

- Interesujące... to coś zupełnie nowego w naszej branży. Przepraszam, że nie oddzwoniłam, ale po prostu uważałam, że nie mam nic do powiedzenia. Według mnie była dobrym opiekunem.

Wyraźnie położyła akcent na słowo „mnie”.

- Według pani? A co sądzili o tym inni? - zapytałem.

Chwila ciszy.

- Chodzi mi o to, że odpowiadał mi jej sposób bycia. Nie starała się nic narzucić, ale jednocześnie okazała się bardzo pomocna w załatwieniu funduszy na mój pobyt w Anglii.

- Czego konkretnie nie starała się narzucić?

- Pozwalała mi skoncentrować się na tym, co mnie interesowało. Sama potrafię organizować sobie pracę, więc ten układ odpowiadał obu stronom.

- Zosia samosia?

Roześmiała się.

- Można to i tak określić.

- Więc ktoś, kto wymagał prowadzenia za rączkę, mógłby ze strony profesor Hope nie uzyskać takiej pomocy.

- Chyba tak, chociaż to tylko przypuszczenia.

- A co z Caseyem Lockingiem? Czy i on jest równie samodzielny?

- Nie znam Caseya - odpowiedziała z wyczuwalnym napięciem w głosie.

- W ogóle?

- Słabo. Jako pracownik naukowy wie pan, jak wygląda program studiów: trzy lata wykładów, odsiew, a później wszystko zostaje ukierunkowane na zbieranie materiałów do pracy. Część studentów od razu wie, czego chce. Ja nie byłam do końca zdecydowana. Poza tym nauka, praca i wychowywanie córeczki sprawiały, że nie dysponowałam zbyt dużą ilością wolnego czasu.

- Ile lat ma córeczka?

- Trzy. Właśnie odprowadziłam ją do żłobka. Mają tu wspaniale zorganizowaną opiekę nad dziećmi.

- Lepiej niż w Los Angeles?

- Na pewno lepiej niż w miejscach, które dotychczas poznałam. Chodziło mi o coś więcej niż tylko o przechowalnię. Ale wracając do tematu, rozumie pan, że nie miałam czasu na poznawanie innych studentów, włącznie z Caseyem.

- Utrzymywała z nim pani jakikolwiek kontakt?

- Ograniczony do minimum. On... nasze ścieżki nie mogły się jakoś ze sobą spotkać.

- Jak mam to rozumieć?

- Mnie interesują badania kliniczne. Dla niego zaś ta forma poznawcza w ogóle nie istnieje.

- Czyste badania?

- Tak.

- On jest nieco inny - spróbowałem.

- Nie rozumiem.

- Weźmy na przykład jego skórzany płaszcz.

- Tak - zgodziła się. - Rzeczywiście stara się wykreować dość specyficzny image.

- A więc chociaż oboje byliście podopiecznymi profesor Devane, niewiele mieliście ze sobą wspólnego?

- Zgadza się.

- Wie pani coś na temat jego pracy?

- Zajmuje się jakimiś problemami dotyczącymi samokontroli. Chyba chodzi o reakcje zwierząt.

- I do jego pracy profesor Devane także starała się zbytnio nie wtrącać?

- No cóż, wspólnie publikowali, więc musieli pracować na innych zasadach. A dlaczego pan pyta? Czy Casey... jest o coś podejrzany?

- A gdyby tak było, zdziwiłoby to panią?

- Oczywiście, że tak. Myśl o tym, iż którakolwiek ze znanych mi osób mogłaby dopuścić się takiego okrucieństwa, jest wprost niewyobrażalna. Doktorze Delaware, muszę stwierdzić, że czuję się bardzo nieswojo, rozmawiając z panem. Nie mam nawet pewności, że jest pan tym, za kogo się podaje.

- Jeśli pani sobie życzy, mogę podać numer telefonu detektywa, któremu przydzielono tę sprawę.

- Nie, nie ma potrzeby. I tak nie mam już nic więcej do powiedzenia.

- Ale rozmowa o Casey sprawiła, że poczuła się pani nieswojo.

Roześmiała się lekko.

- To brzmi jak rozpoznanie terapeuty, doktorze.

- Ale czy błędne?

- Tego typu rozmowa na czyjkolwiek temat sprawia, że czuję się nieswojo. Po prostu nie lubię plotkować.

- A więc według pani Casey nie ma nic wspólnego z tą tragedią?

- On... Jest w nim coś niepokojącego, ale to naprawdę nieważne.

- Nie lubi go pani?

- Wolałabym nie odpowiadać na to pytanie - rzekła, wyraźnie podnosząc głos.

- Panno Gonsalvez, profesor Devane zginęła w wyniku niezwykle brutalnego działania.

Właściwie wciąż brak wyraźnych poszlak i nie da się w tej chwili stwierdzić, co może być istotne dla sprawy, a co nie.

- A więc Casey jest podejrzany?

- Nie, nie jest. A przynajmniej nie formalnie. Ale jeśli istnieje coś, co panią w nim niepokoi, chciałbym usłyszeć, z czego wynika takie wrażenie. Albo będę zmuszony poprosić, by detektyw Sturgis się z panią skontaktował.

- Kurczę, naprawdę niezręcznie mi o nim mówić. Nie twierdzę, że się go boję, ale to osoba, której nie chciałabym się narazić.

- A miała pani okazję przekonać się, do czego może być zdolny?

- Nie, ale jest... widziałam go kiedyś podczas badań. Nie byłam do końca szczerą, mówiąc, iż prawdopodobnie prowadzi badania na zwierzętach. Wiem to na pewno, bo pewnego wieczora, będąc w podziemiach, przechodziłam obok jego laboratorium. Miałam zapoznać się z jakimiś

materiałami, które były w pracowni profesor Devane. Było już chyba koło dwudziestej trzeciej i sądziłam, że nikogo nie ma już w podziemiach. Nagle usłyszałam muzykę heavy metal i zobaczyłam światło sączące się przez przymknięte drzwi. Zajrzałam więc i zobaczyłam odwróconego do mnie plecami Casey'a. Wokół stały klatki ze szczurami i rozmaity sprzęt badawczy. Muzyka grała bardzo głośno, dlatego nie zorientował się, że go obserwuję. W rękę trzymał szczura. Łebek wystawał mu pomiędzy palców. A on ścisnął szyję zwierzęcia. Stworzonko piszczało i wiło się z bólu. I nagle Casey zaczął poruszać się w rytm muzyki. Nie mogłam patrzeć, jak ten szczur cierpi. Chciałam wejść do środka i przerwać to znęcanie się. Ale gdy pomyślałam, że jestem sama, ogarnął mnie strach. Od tamtego momentu już zawsze budził we mnie niepokój i obawę. Ten jego strój i zachowanie. Widział pan, jaki nosi sygnet?

- Ten z trupią czaszką?

- Jest ohydny. Kiedy zobaczył, że mu się przyglądam, oświadczył, że dostał go w prezencie od Hope. Trudno mi w to uwierzyć.

- Dlaczego?

- To nie w jej stylu. Casey chciał zapewne tylko mnie zirytować... i udało mu się, bo długo nie mogłam się uspokoić. I ten szczur. Wciąż nie opuszczała mnie myśl, że powinnam kogoś powiadomić o tym, co robił. Mamy wyraźne przepisy, dotyczące obchodzenia się ze zwierzętami. Ale to przecież Hope była jego opiekunką i wiedziałam, że go lubi... Może zachowuję się jak dziecko, któremu wydaje się, że jest mniej kochane od rodzeństwa, ale on bez wątplenia był jej ulubieńcem. Więc gdybym narobiła mu kłopotów, jak zareagowałaby profesor Devane? Niewykluczone, że to tchórzostwo, doktorze, a zależy mi na skończeniu studiów, wypłynięciu na szerokie wody i stworzeniu jak najlepszych warunków mojej córeczce. Hope nigdy nie wtrącała się do mojego życia i wołałam, żeby tak pozostało.

- Czy to aby nie przesada?

- Szczerze? Zdarzało się, że jej potrzebowałam, a ona była nieosiągalna, napięty plan zaś nie pozwalał mi praktycznie na żadną zwłokę. Usiłowałam jej nawet o tym powiedzieć. Była miła, ale nie chciała słuchać tego, co zamierzałam jej wytłumaczyć, i więcej już nie próbowałam. Kiedy wybierałam ją na swoją promotorkę, uważałam, że będzie idealna ze względu na feministyczne poglądy. Interesuje mnie bowiem znaczenie i rola płci w różnych kulturach oraz problem wychowania dzieci. Miałam nadzieję, że ta tematyka wzbudzi jej zainteresowanie, ale myliłam się.

- Jednak w przypadku Casey'a było inaczej?

- Oczywiście. Dla niego zawsze potrafiła znaleźć czas. Proszę nie zrozumieć mnie źle... kiedy się z nią spotykałam, była wspaniała, pomocna i bardzo błyskotliwa. I naprawdę, chyba to ona załatwiła mi ten wyjazd. Ale zawsze trudno mi było ściągnąć na siebie jej uwagę, a kiedy

wydano tę książkę, stało się to już niemal niemożliwe. Gdy wyjeżdżałam do Anglii, czułam się niemal sierotą.

- Skąd pani wie, że dla Casey potrafiła znaleźć czas?

- Bo widywałam ich razem, a poza tym Casey chwalił się tym przede mną. Mówił na przykład: „Dzisiaj jadłem z Hope lunch”, albo „Dzisiaj byłem w domu u Hope”. Był z siebie bardzo zadowolony... Boże, to naprawdę brzmi tak, jakby przemawiała przeze mnie zazdrość, prawda?

- Studia podyplomowe często wyglądają tak, że promotor i student podejmują partnerską współpracę, a przy okazji zacieśniają znajomość.

- Może i tak. Zabierała go nawet ze sobą do telewizji. Tym także mi się chwalił.

- Męczenie szczura, chwalenie się... wygląda na to, że lubi mieć cały świat u swoich stóp.

- Tak. Zdecydowanie postrzegam go jako osobę o silnym, dominującym charakterze - zgodziła się dziewczyna. - Taką, która nie chce mieć do czynienia z niczym, nad czym nie jest w stanie zapanować. Ale jednocześnie, co trzeba przyznać, jest inteligentny. I to bardzo.

- Skąd pani wie?

- Jeszcze w okresie wykładów zawsze miał wspaniałe wyniki, a pamiętam, że ktoś mówił mi, iż był jednym z najlepszych wychowanków Berkeley.

- Ale zupełnie nie interesowały go badania kliniczne?

- Aż do przesady. Pogardzał nimi, twierdząc, że psychologia to nauka dla zarozumiałców, bo nie jest oparta na podwalinach pozwalających pomagać ludziom. Taki sam pogląd prezentuje wiele osób będących we władzach naszego wydziału, więc zapewne Casey skończy jako profesor. A z jego głową i potrzebą dominacji niewykluczone, że w rezultacie zostanie dziekanem.

- Dziekan w skórzanym płaszczu?

- Jestem pewna, że to tylko stadium przejściowe. Może już za rok zacznie nosić tweedową marynarkę z łatami na łokciach.

Długo siedziałem, myśląc o szczurze, którego męczył Locking. Mister Trupia Czaszka.

Podarunek od Hope.

Kolejny wychowanek Berkeley.

Północnokaliifornijskie powiązania... Duży Micky przeniósł się do San Francisco, bo tam w jego branży można było bezkarnie zdziałać jeszcze więcej.

Jak wiele było takich, prowadzących głęboko w przeszłość nitek? I dokąd tak naprawdę mogły zawieść?

Na palcach przeszedłem do sypialni, starając sienie obudzić Robin. Ostrożnie położyłem się do łóżka. Ale rozległo się senne „Kochanie?” i poczułem obejmujące mnie ramię.

Przytuliłem się do niej.

Następnego ranka wszystkie moje myśli przypominały celownik nakierowany na Caseya Lockinga.

Zacząłem dzwonić o dziewiątej, będąc jeszcze w piżamie. Nikt nie odbierał w jego mieszkaniu ani w biurze na uczelni. Czyżby siedział w laboratorium, ze swoimi szczurami?

Jego akta zaginęły, więc nie dysponowałem nawet adresem domowym. Czyżby sam je zabrał? Może też miał coś do ukrycia?

Wybrałem numer wydziału psychologii i nadałem swemu głosowi władczy ton.

- Mówi doktor Delaware. Muszę skontaktować się ze studentem studiów podyplomowych w sprawie związanej z jego badaniami. Chodzi o Caseya Lockinga. Jego akta podobno zaginęły u was i otrzymałem jedynie numer telefonu, ale potrzebny jest mi także adres.

- Chwileczkę, doktorze... 1391 Londonderry Place.

- A co z jego laboratorium? Ma tam może telefon?

- Zaraz sprawdzę... Nie, niestety.

- Dziękuję. Aha, jaki jest do niego kod?

- L.A. 90069.

Hollywood Hills, na północ od Sunset Strip. Niezły adres jak na studenta. Podziękowałem jeszcze raz, rozłączyłem się i przebrałem.

Pojechałem Sunset przez Beverly Hills, do Zachodniego Hollywood, mijając agencje wyszukujące młode talenty, biura drogich obrońców i salony z używanymi ferrari i lamborghini. Przejechałem obok Roxy, House of Blues i Snake Pit, gdzie przed pożarem mieścił się Gazzarri. W Holloway wypatrzyłem napis ponad neonem w kształcie wysokiej szklanki i shakera, głoszący: club none.

A więc Locking mieszkał niedaleko miejsca, gdzie bywała Mandy.

Dalej znajdowała się Sunset Plaza z drogimi butikami i kafejkami pełnymi klientów, marzących o zawodzie aktora. Ci, których sny zaczęły się spełniać, wyróżniali się spośród reszty znacznie elegantszymi ubiorami.

Londonderry Place znajdowało się jedną przecznicę za ostatnią kafejką i całodobowym sklepem Bena Franka. Wokół idealnie przystrzyżone trawniki i duże domy o wybitnie nowoczesnej architekturze.

Dom należący do Lockinga znajdował się jeszcze nieco dalej. Parterowy, zbudowany najpewniej w latach pięćdziesiątych i nie przebudowywany od tego czasu. Z pagórka, na którym

stał, musiał rozciągać się wspaniały widok na miasto, ale teraz okna były pozasłaniane. Na trawiastym stoku rosły juki i gazanie. Betonowe schody prowadziły do frontowych drzwi.

Przeszedłem długim podjazdem, ciągnącym się łukiem aż na tył domu. Było tu dość miejsca dla co najmniej sześciu samochodów, ale stał tylko jeden: czarne bmw 530i. Przez otwartą drewnianą bramę zobaczyłem błękitny basen i betonowy placyk z ustawionymi na nim meblami ogrodowymi, oświetlony fikusami o zwieszających się nisko gałęziach.

Nic nadzwyczaj luksusowego, ale wynajem musiał kosztować nie mniej niż dwa tysiące dolarów miesięcznie.

Wspiąłem się po schodach do drzwi. Nie zauważyłem żadnej poczty, ale przecież była jeszcze dość wczesna pora. Samochód wskazywał na to, że Locking jest w domu.

Przycisnąłem dzwonek i czekałem. Zza drzwi dobiegała muzyka. Głośna, z mocno akcentowanym rytmem. Krzyk wokalisty.

Thrash metal. Ulubiona muzyka Lockinga.

Zastukałem mocno, jeszcze raz zadzwoniłem, ale wciąż nie było reakcji. Cofnąłem się na podjazd i wyjrzałem na ulicę. W zasięgu wzroku nie było jednak żadnych sąsiadów. W Los Angeles to nic niezwykłego.

Minąłem bmw i przeszedłem wzdłuż ściany domu. I tu wszystkie okna były pozasłaniane. Basen miał pokaźne rozmiary - styl lat pięćdziesiątych, owalny, zajmujący większą część podwórka. Obok rósł bluszcz splatający się z dwoma rozłożystymi fikusami. Oba wznosiły się na dwadzieścia metrów, a ich potężne korzenie wyraźnie naruszyły betonowy placyk, miejscami krusząc go i deformując. Trzy leżanki miały pordzewiałe metalowe elementy. Obok stał gazowy grill, a dalej leżał skłębiony wąż ogrodowy.

Z tyłu budynku muzyka brzmiała zdecydowanie głośniejsz.

Dobiegała przez nie domknięte przesuwne, szklane drzwi.

Podszedłem bliżej i zajrzałem do środka. Pokój przypominał trzeciorzędny bar. Zastawiony butelkami barek, lustra jak w pubie, reklamy piw, wiszące u sufitu kieliszki i duże, plastikowe popielniczki. Półmrok, w którym w oczy rzucały się wyświetlacze wysokiej klasy wieży stereo. Ogłuszająca muzyka pochodziła z kompaktu.

Starając się nie zwracać na nią uwagi, przyłożyłem dłoń do szyby i przymrużyłem oczy. W rogu panel alarmowy, a paląca się zielona kontrolka świadczyła, że nie był włączony.

Na szarym przybrudzonym dywanie stał komplet wypoczynkowy, obciągnięty czarną skórą, i czarny, lakierowany stół, a dalej rzeźba nagiej kobiety pochylającej się jakby na powitanie. Jedną ze ścian zajmowała potężna litografia kolejnej nagiej postaci kobiecej, w pilotce zsuniętej na jedno

oko. Przeciwległą ścianę zajmował granitowy kominek. W zasięgu wzroku nie było żadnego opału do niego. Obok fotele. Na jednym leżało pudełko od płyty CD.

Zlewająca się w jedno perkusja, jazgot gitar i ochrypy, niewyraźny wokal.

I ani śladu Lockinga.

. Rozsunąłem nieco drzwi balkonowe i zawołałem:

- Dzień dobry!

Papierosy, niedopałki i popiół na dywanie. Na stoliku leżał stos pism.

Wszedłem do środka i krzyknąłem:

- Halo!?

Psychologiczne pisma, przemieszane z takimi, do których zrozumienia nie potrzeba było wyższego wykształcenia.

Barwne fotografie różowych sutków, ostro umalowanych ust i odkrytych łon. Ostre porno.

„Dziennik praktyki klinicznej” w otoczeniu czegoś takiego?

Oryginalna koncepcja Lockinga.

Na drugim stoliku stała otwarta puszką coli, niemal opróżniona butelka bacardi i kieliszek z czymś mającym bursztynową barwę. Kostki lodu rozpuściły się zupełnie, więc drink musiał być przygotowany przynajmniej godzinę temu.

Jeden kieliszek.

Może Locking w samotności wlał w siebie tyle alkoholu, że teraz mnie nie słyszy?

Na wszelki wypadek zawołałem jeszcze raz.

Żadnej odpowiedzi.

Pokój był przesycony dymem papierosowym i jakimś jeszcze nieprzyjemnym odorem. Duża czarna popielniczka, stojąca na barze, pełna była niedopałków. Widniał na niej emblemat kasyna w Vegas, w którym kiedyś pracował Ted Barnaby.

Z okładki płyty na fotelu odczytałem, że grającym zespołem jest „Sepultura”.

Po hiszpańsku znaczyło to „grób”.

Bardzo miłe.

Wyłączyłem muzykę.

Cisza. Nikt nie zaprotestował.

- Halo?

Nic.

Wolałem nie zagłębiać się dalej. Połowa ludzi w Los Angeles miała broń, a poglądy Lockinga plus jego powiązania z Crubicem pozwalały przypuszczać, że mógł należeć do tej

bardziej zapobiegliwej części społeczeństwa. Jeżeli gdzieś spał, obudzenie go mogło okazać się niebezpieczne. Przecież w ogóle nie powinienem wchodzić do środka.

Odwróciłem się do wyjścia, gdy nagle zobaczyłem coś przy jednej z popielniczek.

Zdjęcie z polaroida. Ułożone równiutko przy brzegu lady.

Jakby umieszczone tam celowo, na pokaz.

Fotografia kobiety.

Nagiej do pasa, z rękami ponad głową, skrępowanymi w nadgarstkach i przywiązany do drewnianej ramy łóżka.

Miała drobne piersi, a pod napiętą, delikatną, bladą skórą wyraźnie rysowały się żebra.

Jej twarz była ukryta pod skórzanym kapturem z kilkoma suwakami na nos i usta.

Przez szpary widać było duże piwne oczy.

Poniżej, na piersiach spoczywały dwie męskie ręce.

Wyraźnie należące do dwóch różnych facetów.

Ta z lewej - słabo owłosiona, z niewielkim tatuażem w kształcie kotwicy na przedramieniu.

Dłoń z prawej była delikatna, wystająca z czarnego rękawa.

Na palcu widoczny sygnet. Srebrna czaszka z czerwonymi oczami.

Pochyliłem się nad zdjęciem.

I wtedy zobaczyłem Lockinga.

Leżał na podłodze za barem.

Wciśnięty w róg, z podgiętymi nogami. Jedna dłoń zaciśnięta w pięść, druga rozprostowana.

Sine paznokcie i usta.

Trupia czaszka z sygnetu szczyrzyła się w moją stronę.

Głowa Lockinga była nienaturalnie odgięta do tyłu, a zazwyczaj starannie uczesane włosy potargane.

Czarny, jedwabny szlafrok nie osłaniał jego szczupłego, jasnego ciała.

Jasnego, poza plamami krwi, która zakrzepła, gdy już przestał oddychać.

Usta były szeroko otwarte.

Za życia był pewny siebie i zadziorny, ale opuścił ten świat wyraźnie zdziwiony i zaskoczony.

Na samym środku czoła widniał okrągły otwór.

Wokół gruby skrzep krwi, która strużkami spływała po twarzy na nieowłosioną pierś, barwiąc na brązowo czarny jedwab szlafroka.

Krew znajdowała się także na dywanie i ścianie z tyłu.

Wszędzie pełno krwi. Jakże mogłem jej nie zauważyć tuż po wejściu?

Oczy Lockinga były na wpół przymknięte, bez wyrazu, jak u ryby. Długie rzęsy krew zabarwiła na czerwono.

Widziałem już mnóstwo trupów. Ostatnim razem mężczyzny, którego zabiłem we własnej obronie.

Słyszałem własny głośny oddech.

Dopiero teraz poczułem, że pokój wypełniony jest kwaśnym odorem.

Moją uwagę zwróciło ułożenie głowy. Powinna raczej opaść na pierś, wracając po odrzuceniu w momencie trafienia pociskiem.

Ale była odchylona i oparta o ścianę.

Czyżby rozmyślnie ułożona w takiej pozycji?

Do tego jeszcze wokół ciała leżało znacznie więcej fotografii.

Całe mnóstwo. Otaczały trupa ze wszystkich stron.

A na wszystkich ta sama kobieta, związana i z zasłoniętą twarzą.

Zbliżenia jej ud, łona, piersi i brzucha.

Pełen obraz jej nagiego ciała, szczupłego, o jasnej karnacji, ułożonego z rozszerzonymi nogami na białej pościeli łóżka.

Nogi w kostkach przywiązane do jego ramy, biodra wyprężone w górę, jakby w geście wyzwania dla fotografującego.

Zdjęcia tylko jej. Inne, z tymi samymi męskimi rękami.

Szczypiącymi, ściskającymi, masującymi, wdzierającymi się w najintymniejsze miejsca.

Ginekologiczne zbliżenia.

I wreszcie jedno ujęcie twarzy kobiety, położone tuż obok prawej ręki Lockinga.

Była na nim bez kaptura.

Blond włosy spięte do tyłu, by nie zasłaniać twarzy.

Twarzy o pięknych rysach.

Otwarte usta wyrażały strach lub doznawaną rozkosz. Albo jedno i drugie. Oczy były szeroko rozwarte, błyszczące, zapatrzone gdzieś w dal, a jednocześnie jakby skupione.

Nawet w tak jednoznacznej pozie emocje Hope Devane były trudne do rozszyfrowania.

Moje spojrzenie wróciło znowu do ciała Lockinga.

Na podłodze leżało jeszcze coś.

Kartonowe pudełko. A w nim kolejne zdjęcia. Całe ich setki.

Na boku wypisana równymi literami informacja:

BADANIA NAD PROBLEMAMI SAMOKONTROLI, CZĘŚĆ 4, WYNIKI WSTĘPNE

Kiedy Locking wynosił ten karton z domu Seacresta, nie zadbał nawet o jego zamknięcie. Ukrył jedynie zdjęcia pod warstwą komputerowych wydruków.

Zrobił gliniarzom niezły kawał.

Także Seacrest maczał w tym palce. Rzeczywiście ostrzegł Casey'a.

Ramię z tatuażem. Partner.

Nagle bzyczenie sprawiło, że aż drgnąłem.

Lśniąca, zielona mucha wleciała do pokoju przez otwarte drzwi. Przez chwilę jakby beładnie przemierzała pomieszczenie, przysiadła na moment na barze, sprawdziła popielniczkę i przyleciała do mnie. Odpędziłem ją machnięciem ręki. Zatoczyła wówczas koło na ciałem Lockinga i wylądowała na jego odsłoniętym brzuchu.

Zatrzymała się tam na moment, po czym wystartowała i znowu usiadła, tym razem na nieruchomej twarzy.

Na krwawym skrzepie.

I ani myślała odlecieć. Pocierała tylko przednimi nóżkami.

Wstałem i rozejrzałem się za telefonem.

To nie zbrodnia - powtórzył Philip Seacrest.

Może i miał praktykę w występowaniu przed studenckim audytorium, ale Milo bezsprzecznie nie był jednym z nich.

Pokój przesłuchań w Zachodnim Los Angeles. Włączona kamera wideo, ale Milo i tak pospiesznie coś notował. Siedziałem sam w pomieszczeniu operacyjnym, z kubkiem zimnej kawy w dłoni.

- To prawda, profesorze.

- Nie spodziewam się, że mnie pan zrozumie, ale czasami właśnie tak wygląda osobiste życie.

Milo przestał pisać.

- Kiedy to się zaczęło, profesorze?

- Nie wiem.

- Nie?

- To nie był mój pomysł... Nigdy nie gustowałem w podobnych rzeczach.

- A więc kto był inicjatorem?

- Hope. I Casey. Nigdy właściwie się nie dowiedziałem, które z nich.

- A kiedy pan się przyłączył? - zapytał policjant, sięgając po jedną z fotografii.

Seacrest odwrócił głowę. Wcześniej już zdjął szarą marynarkę i podwinął rękawy białej koszuli, odsłaniając tatuaż. Teraz znów się ubrał.

Zaczął skubać nierówno przystrzyżoną brodę. Na widok zdjęć w rękach policji zareagował szokiem. Później nadeszła rezygnacja. Nie został aresztowany, choć Milo podczas przesłuchania zaproponował mu prawnika. Seacrest podziękował lodowatym tonem, jakby czując się urażony już samą propozycją. Wraz z upływem czasu to oburzenie jeszcze w nim wzbierało.

- Kiedy więc i pan się zaangażował, profesorze?

- Później.

- O ile później?

- Skąd mam to wiedzieć, panie Sturgis? Mówiłem przecież, że nie mam pojęcia, kiedy zaczęli.

- A kiedy pan do nich dołączył, określając dokładnie?

- Rok... może półtora roku temu.

- A Locking był studentem pana żony od ponad trzech lat.

- Chyba tak.

- A więc przed włączeniem pana mogło to trwać prawie dwa lata.

- To - mruknął Seacrest, uśmiechając się gorzko. - Tak, to mogło tyle trwać.

- Jak więc do tego doszło? - zapytał Milo. - Oboje powiedzieli nagle pewnego dnia, że lubią zabawy sadomasochistyczne, i zapytali, czy ma pan ochotę też spróbować?

Profesor zaczerwienił się, ale jego głos pozostał spokojny.

- Nie zrozumiałby pan.

- Proszę próbować.

Pokręcił głową, a uśmiech do końca nie zniknął z jego twarzy.

- To coś zabawnego, profesorze?

- Już samo ściągnięcie mnie tu jest perwersją. Moja żona została zamordowana, a wy zajmujecie się takimi rzeczami.

Milo nagle pochylił się do przodu, patrząc przesłuchiwanemu prosto w oczy. Seacrest był tym wyraźnie zaskoczony, ale wytrzymał przewiercające go spojrzenie.

- Perwersyjnymi, trywialnymi i bez znaczenia - dokończył profesor.

- Proszę mnie także rozbawić. A więc, jak został pan wciągnięty?

- Ma pan rację, że to zabawa. Właśnie tak. Tylko zabawa. Nie spodziewam się, że będzie pan tolerancyjny wobec... podobnego odchylenia, ale tak to właśnie wygląda.

Milo uśmiechnął się.

- „Odchylenia”?

Profesor nie zareagował.

- A więc poprosili, czy też proponowali, by uczestniczył pan w tym „odchyleniu”?

- Nie. Oni... zaskoczyłem ich. Pewnego popołudnia, kiedy miałem mieć wykład. Nie opuszczałem wtedy jakiś dziwny niepokój, coś jakby przeczucie, więc odwołałem zajęcia i wróciłem do domu.

- I zaskoczył ich pan?

- Tak, panie Sturgis.

- Gdzie?

- W naszym łóżku. W łóżu małżeńskim.

- To musiał być ogromny szok.

- Mówiąc oględnie.

- Co pan zrobił?

Seacrest długo zwlekał z odpowiedzią.

- Nic.

- Nic?

- Zgadza się, panie Sturgis. Nic.

- Nie zdenerwował się pan?

- Nie pyta pan, jak się czułem, tylko co zrobiłem. A odpowiedź brzmi: nic. Odwróciłem się i wyszedłem.

- A jak się pan czuł?

Znów długa przerwa.

- Naprawdę trudno mi udzielić precyzyjnej odpowiedzi. To nie była wściekłość, bo ona nic by nie dała.

- Dlaczego?

- Hope nie reagowała na nią dobrze.

- Nie rozumiem.

- Nie tolerowała jej. Gdybym okazał złość, doszłoby do... konfrontacji.

- Małżonkowie czasem walczą ze sobą, profesorze. A według mnie miał pan cholernie dobry powód.

- Cóż za zrozumienie z pana strony, panie Sturgis. Tyle tylko, że ja i Hope nigdy ze sobą nie „walczyliśmy”. Nie było to w stylu żadnego z nas.

- Co więc rozumiał pan pod pojęciem „konfrontacji”?

- Wojnę milczenia. Zimne, zdające się trwać wieczność milczenie. Kara psychologiczna. Nawet gdy Hope mówiła, że wybacza, nie zapominała. Znałem jej emocjonalny repertuar, jak dyrygent zna partyturę. Kiedy więc zobaczyłem ich oboje, zachowałem spokój i po prostu wyszedłem.

- A później?

- Później... - Seacrest znów pogładził brodę - któreś z nich zamknęło drzwi i chyba... skończyli. Z pewnością uważa pan moją reakcję za godną pogardy. Za tchórzostwo. Z pewnością jest pan przekonany, że sam zareagowałby inaczej. Pan wraca co wieczór do kochającej żony i grzecznych dzieci, znajdując w domu spokój po wyczerpującej nerwowo pracy. Tradycyjny, wymarzony styl życia.

Milo odchylił się na krześle i przycisnął kciuk do podbródka.

Seacrest, wyglądając nagle na niezwykle znużonego, skrył twarz w dłoniach. Dopiero po kilkudziesięciu sekundach opuścił je znowu na kolana.

- Miałem do wyboru przyłączyć się albo...

- Albo co?

- Albo ją stracić. A teraz i tak odeszła.

Skulił się i zaczął łkać.

Milo czekał długo, nim powiedział:

- Przynieść coś panu do picia, profesorze?

Przeczący ruch głową. Wreszcie Seacrest uniósł głowę i zatrzymał wzrok na fotografiach.

- Możemy już to skończyć? Chyba nasłuchał się pan wystarczająco dużo o dziwnym świecie intelektualistów.

- Proszę odpowiedzieć jeszcze na kilka pytań.

Profesor westchnął ciężko.

- Kiedy nakrył pan żonę i Lockinga w niedwuznacznej sytuacji, nie pomyślał pan, że już ją stracił?

- Oczywiście, że nie. To nie wyglądało jak...

- Jak pierwszy raz?

Przesłuchiwany nie odpowiedział.

- Profesorze?

- Tego właśnie się obawiałem... że to naruszy reputację Hope. Odmawiam uczestnictwa w tym.

- W czym?

- W drażeniu jej przeszłości.

- A jeśli właśnie ta przeszłość jest przyczyną jej śmierci?

- Jest pan tego pewien?

- Teraz, kiedy Locking nie żyje, nie zgodzi się pan ze mną?

Milczenie.

- Z iloma jeszcze mężczyznami zabawiała się w podobny sposób, profesorze?

- Nie wiem.

- Ale wie pan, że byli inni.

- Nie mam pewności, ale miała... sporo sprzętu.

- Chodzi panu o kaptur, więzy i skórzaną bieliznę w jej rozmiarze, które znaleźliśmy w domu Lockinga?

Seacrest zrezygnowany przytaknął ruchem głowy.

- Miała coś jeszcze oprócz tych rzeczy?

- Nic mi o tym nie wiadomo.

- Żadnych biczy czy czegoś w tym rodzaju?

Profesor prychnął.

- Nie interesował jej ból. Tylko...

- Co?

- Pozbawienie swobody ruchów.

- Samokontrola?

Seacrest nie odpowiedział.

Milo zanotował coś szybko.

- Od jak dawna miała ten sprzęt?

- Pięć, sześć lat.

- A więc na jakieś trzy lata przed poznaniem Lockinga.

- Świetnie radzi pan sobie z obliczeniami.

- Gdzie go przechowywała?

- W swoim pokoju.

- Dokładnie, profesorze?

- W pudełku w szafie. Znalazłem go przez przypadek i nigdy jej o tym nie powiedziałem.

- Co jeszcze tam było?

- Zdjęcia.

- Jej?

- Nasze. Te, które sami robiliśmy. Powiedziała mi, że je wyrzuciła. Widocznie lubiła do nich wracać.

- Kto przeniósł to wszystko do domu Lockinga?

- On.

- Kiedy?

- Tego wieczora, kiedy mnie odwiedziliście.

- Widziałem, że wynosił tylko jedno pudełko.

- Wrócił jeszcze raz. Wcześniej poprosiłem, żeby je zabrał. Zaraz po śmierci Hope.

Obawiałem się sytuacji takiej jak ta, do której doszło.

- Dlaczego nie zrobił tego wcześniej?

Seacrest pokręcił głową.

- Powiedział, że zabierze, ale się nie spieszył. Był dość wyrachowanym facetem.

- Nie lubił go pan?

- Hope go lubiła, i to wystarczyło.

- Pańskie uczucia się nie liczyły?

Profesor uśmiechnął się dziwnie.

- Ani trochę, panie Sturgis.

- Jeśli Locking ociągał się, dlaczego po prostu nie wyrzucił pan wszystkich tych rzeczy?

- Należały do Hope.

- I?

- Uważałem, że powinny zostać zachowane.

Zwilżył spieczony wargi i przeniósł wzrok gdzieś w bok.

- Przed śmiercią były własnością pańskiej żony. Więc później należały się panu. Dlaczego więc przekazywać je Lockingowi?

- Dla bezpieczeństwa. Obawiałem się, że policja może zechcieć przeszukać pokój Hope.

- Nie chciał pan narażać na szwank dobrego imienia Hope, a jednocześnie trzymał pan co najmniej kilkaset niewątpliwie kompromitujących ją zdjęć - rzekł Milo.

- Ukryłem je - odpowiedział Seacrest. - W swoim uniwersyteckim biurze. Chociaż właściwie okazało się to niepotrzebne. Tym dwóm pierwszym detektywom nie chciało się nawet przeszukać pokoju Hope. Wy też właściwie tego nie zrobiliście.

- Więc zaniósł je pan do swojego biura, a później przeniósł z powrotem do domu?

- Zgadza się.

- Później czekał pan, aż Casey Locking je zabierze... ale jakie znaczenie miały dla pana?

Profesor poruszył się niespokojnie.

- A jakie powinny mieć?

- To ja zadaję pytania - skarcił go ostrym tonem Milo. - Wiem tylko, że zachował je pan zamiast zniszczyć. A to znaczy, że były panu do czegoś potrzebne.

Seacrest pochylił się naprzód i zacisnął dłonie w pięści.

- Panie Sturgis, to były jedyne jej zdjęcia, jakie posiadałem, oczywiście nie licząc fotografii na okładce książki. Nienawidziła aparatu fotograficznego i nienawidziła się fotografować.

- Z wyjątkiem takich, dość specyficznych sytuacji.

Przesłuchiwany przytaknął.

- A więc to była jak gdyby pamiątka?

Seacrest z całych sił zacisnął szczęki.

- Ale mimo to oddał je pan Lockingowi - nie ustępował Milo.

- Część zachowałem.

- Gdzie?

- W domu.

- Jakież szczególne, czy też wybrane na chybił trafił?

Profesor poderwał się na równe nogi.

- Dość już tego!

- W porządku - mruknął policjant. - Wygląda na to, że będę musiał uzyskać potrzebne informacje z innego źródła. Pokręcić się po klubach sado-maso i sprawdzić, czy nikt nie zna tam

pańskiej żony. A jeśli to nie pomoże, spróbuję skontaktować się z prasą i może oni się do czegoś dogrzebią.

- Chce pan, - zaczął profesor, lecz urwał i odetchnął głęboko. - Obiecywał pan, że jeśli przyjdę tu i zgodzę się na rozmowę, zachowa pan dyskrecję.

- To prawda, ale chodziło o współpracę.

- Przecież właśnie to robię.

- Tak pan sądzi?

Seacrest poczerwieniał na twarzy, tak jak w czasie rozmowy w jego biurze. Obserwowałem, jak szybko oddycha, dopóki nie zamknął oczu i zmusił się do opanowania.

- Czego jeszcze pan oczekuje? - zapytał wreszcie. - Przecież mówię, że to nie ma nic wspólnego z morderstwem Hope.

- Tak, to prawda, profesorze.

- Znałem ją! Lepiej niż ktokolwiek inny. Nie odwiedzała żadnego klubu sado-maso! Nigdy nie aprobowała czegoś tak...

- Plebejskiego?

- Tak wulgarnego... i proszę przestać wciąż spoglądać na te fotografie, ilekroć jej bronię. Dotyczą życia prywatnego.

- Prywatne igraszki.

- Tak! - Seacrest wykonał gwałtowny ruch ręką, zrzucając większość zdjęć ze stołu. Wbił wzrok w Milo, oczekując odpowiedzi, z ręką wyzywająco wspartą na biodrze.

Milo zmierzył go wzrokiem i zapisał coś spokojnie w notesie.

But profesora dotknął jednej z fotografii. Nastąpił na nią i zdusił pod obcasem.

- Prywatne - powtórzył Milo. - Hope, Locking i pan.

- Właśnie. Nic nielegalnego... zupełnie nic! Żaden z nas jej nie zabił.

Spodziewałem się, że Milo podaży tym tropem, ale ten zapytał:

- Czy chce pan przerwać przesłuchanie?

- Jeśli zostanę, obieca pan, że nie oczerni Hope?

- Niczego nie mogę obiecać, profesorze. Ale jeśli będzie pan naprawdę współpracować, zrobię wszystko co w mojej mocy.

- Kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy, twierdził pan, że jesteśmy po tej samej stronie.

- Proszę więc dowieść, że tak jest w rzeczywistości, profesorze.

- A to prawda?

- Ja zamierzam dołożyć wszelkich możliwych starań, żeby znaleźć zabójcę pańskiej żony. A pan?

Ciałem Seacresta wstrząsnęły drgawki.

- Gdybym tylko go znalazł, zabiłbym bez namysłu! I użyłbym do tego jednego ze średniowiecznych narzędzi tortur, żeby zaznał jak największych katuszy!

- Czy domyśla się pan, kto mógł zabić Lockinga?

- Nie.

- Żadnych hipotez?

Profesor pokręcił głową.

- Casey był... tak naprawdę wcale go nie znałem.

- Poza tymi zabawami...

- Tak.

- Tego wieczora, kiedy pana odwiedziłem, zwracał właśnie samochód żony.

- Tak.

- Pomagał?

- Tak.

- Mimo że właściwie się nie znaliście?

- Hope go znała.

- I tym zasłużył na jeżdżenie jej wozem?

- Tak. I byłem mu za to wdzięczny.

- Za co?

- Za przyjemności, które sprawiał Hope.

- Tego wieczora zachowywał się w stosunku do pana nadzwyczaj oficjalnie. Zwracał się per „profesorze”. Jakby nic osobistego was nie łączyło.

- Bo tak było w rzeczywistości.

Milo podniósł z podłogi jedno ze zdjęć.

- Nie było żadnego porozumienia, związku między mną a Caseyem, panie Sturgis - powtórzył Seacrest. - Oba związki... wszystko kręciło się wokół Hope. Ona była... spoiwem.

- Jedno słońce, dwa księżyce - rzekł Milo.

Profesor zdobył się na uśmiech.

- Świetne porównanie. Rzeczywiście obaj krążyliśmy po jej orbicie.

- Kto jeszcze na niej był?

- O nikim innym mi nie wiadomo.

- Żadnych innych zabaw?

- O żadnych mi nie mówiła.

- A gdyby rzeczywiście były, powiedziałyby panu?

- Mam nadzieję.
- Dlaczego?
- Bo była szczerą.
- We wszystkim?

Seacrest spojrział wyraźnie zde gustowany.

- Widział pan zdjęcia. Czy można być jeszcze bardziej szczerym?

Milo wskazał przesłuchiwanemu krzesło.

- Postoję, panie Sturgis.

Uśmiechając się Milo wstał, przykucnął i zaczął zbierać porzucane fotografie.

- Trójkąt, którego dwa boki już nie żyją. Nie czuje się pan zagrożony?
- Chyba tak.
- Chyba?
- Nie myślę zbyt wiele o sobie.
- Nie?

Seacrest pokręcił głową.

- Nie staram się dbać o własny interes.
- To brzmi co najmniej przygnębiająco.
- Bo jestem przygnębiany. I to bardzo.
- Można by powiedzieć, że miał pan motyw, by zabić ich oboje.
- A jakież to motyw?
- Zazdrość.

- Dlaczego więc zostawiłbym te zdjęcia przy ciele Caseya, by w ten sposób skierować podejrzenia na siebie?

Milo nie odpowiedział.

- Marnuje pan i mój, i swój czas, panie Sturgis. Kochałem żonę tak mocno, jak rzadko kto potrafi kochać... Dla niej zrezygnowałem ze wszystkiego. Wraz z jej utratą z mojego życia zniknęła wszelka radość. Tolerowałem Caseya, bo on dawał jej radość. Poza tym nic dla mnie nie znaczył.

- A skąd brała się pańska radość?

- Od Hope. - Seacrest wygładził kłapy marynarki. - Proszę spróbować myśleć logicznie: Casey został zastrzelony, a przecież stwierdził pan, że posiadana przeze mnie broń nie była ostatnio używana. Mówiąc szczerze, nie korzystałem z niej od chwili zwolnienia ze służby. Ponadto, w czasie gdy Casey zginął, byłem w domu.

- I czytał pan?
- Chciałby pan wiedzieć co?

- Na pewno coś romantycznego.

- „Raj utracony” Milтона.

- Grzech pierworodny.

Seacrest machnął ręką.

- Proszę sobie oszczędzić interpretację... Niech Delaware to robi, bo nudzi się przy panu. Mogę już iść? Obiecuję nie wyjeżdżać z miasta. Jeżeli mi pan nie wierzy, proszę przydzielić do pilnowania mnie policjanta.

- Nic więcej nie chce pan powiedzieć?

- Nie.

- W porządku. Proszę bardzo.

Seacrest chwiejnym krokiem podszedł do drzwi prowadzących do pokoju operacyjnego i stwierdził, że są zamknięte.

- Tędy - rzekł Milo, wskazując wyjście znajdujące się po przeciwnej stronie pomieszczenia.

Profesor wyprostował się i odwrócił na pięcie.

Milo pedantycznie układał stosik zdjęć.

- Czytał pan w domu - mruknął. - To niezbyt dobre alibi.

- Nie sądziłem, że będzie mi potrzebne.

- Pomówimy jeszcze później, profesorze.

- Mam nadzieję, że nie. - Seacrest zatrzymał się przy samych drzwiach. Nie sądzę, by mi pan uwierzył, ale Hope nigdy nie była do niczego przymuszana. Wprost przeciwnie. To ona ustalała reguły i to ona panowała nad sytuacją. Podniecało ją poddawanie się bez strachu, a jej przyjemność powodowała, że i ja ją odczuwałem. Przyznaję, że początkowo zostałem odrzucony, ale człowiek uczy się na własnych błędach. Ja też się nauczyłem. Hope mnie nauczyła.

- Nauczyła czego?

- Zaufania. O to właśnie chodzi, panie Sturgis. O pełne zaufanie. Proszę o tym pomyśleć...

Czy pańska żona ufa panu tak, jak moja ufała mnie?

Milo ukrył uśmiech za potężną dłoń.

- Wiem, że właściwie nie ma sensu prosić pana, by te fotografie nie trafiły do policyjnego archiwum, ale i tak to robię.

- Jak już mówiłem, profesorze, jeśli okaże się, że nie mają nic wspólnego ze sprawą morderstwa, nie będzie powodu, by ujrzały światło dzienne.

- Nie mają. To był element jej życia, a nie śmierci.

Rzeczywiście od długiego czasu nie korzystał ze swojej broni - powiedział Milo. - Ale przecież mógł wynająć kogoś do zastrzelenia Lockinga. Może kogoś z grona znajomych sado-masochistów.

- Jego tłumaczenie, dlaczego nie zniszczył fotografii, brzmi wiarygodnie zauważyłem. - Gdyby to zrobił, nigdy nie dowiedzielibyśmy się o łączących tę trójkę związkach. Może więc właśnie te „zabawy” były przyczyną jego rezerwy i niechęci w stosunku do nas.

- A więc dlaczego zachował zdjęcia?

- Z powodu, o którym mówił. Chodziło o wspomnienia.

- Dla zachowania w pamięci czy ze względów erotycznych?

- Dla jednego powodu i dla drugiego.

- A więc kupujesz jego historię o całkowitym podporządkowaniu i uzależnieniu. Hope była bogiem, a on jej czicielem?

- To tłumaczyłoby ich małżeństwo. Jako dziecko była pod taką kontrolą, że szukała kogoś, kto byłby gotów bez reszty jej się podporządkować. Wbrew temu, co Elsa Campos mówiła o okolicznościach jej krępowania i zamykania w samotności, mała Hope gdzieś w głębi duszy musiała być przerażona. I teraz, jako dorosła, usiłowała pozbyć się fobii. A pasywność Seacresta sprawiała, że był dla niej wymarzonym partnerem. Powiedział Pazowi i Fellowsowi, że wcześniej był zatwardziałym kawalerem. Może dlatego, że rzeczywiście był księżycem czekającym na swoje słońce?

- Starła się pozbyć fobii? - powtórzył Milo. - I dlatego znów zgadzała się na wiązanie? Na manipulowanie sobą i bicie?

- Odtwarzała to, by móc spojrzeć na podobną sytuację z zupełnie innej strony - wyjaśniłem.

- Teraz sama kierowała tym, co ma być z nią robione.

- Z opowieściami o swoich igraszkach cała trójka mogłaby wystąpić w dłuższym cyklu talk-show.

- Mówisz teraz nie jak żywa legenda posterunku w Zachodnim Hollywood, ale jak burżuazyjny gliniarz, mający ciepłe gniazdko i oddaną żonę.

Roześmiał się szczerze po raz pierwszy od dłuższego już czasu.

- W domu Lockinga było sporo broni - zmieniłem temat.

- Tak. Trzy pistolety i strzelba. Wszystko naładowane, ale zamknięte w szafie. Chłopak był zbyt zarozumiały i próżny, by mieć je naprawdę pod ręką.

- A co powiesz o tej kolekcji porno filmów? Pochodził z San Francisco. To miasto Dużego Micky'ego, w którym robił swoje ciemne interesy. Do kogo należy ten dom?

- Jeszcze nie wiem, ale sąsiedzi twierdzą, że był wynajmowany. Przed Lockingiem było wielu innych lokatorów.

- Byłoby bardzo interesujące, gdyby należał do tej samej osoby co dom Cruvica w Mulholland.

- Cruvic płaci za wynajem firmie mającej siedzibę tutaj, w Los Angeles Triad, albo Triton... coś takiego - ale jak dotąd nie wiemy, kto za nią stoi. Co zaś tyczy Dużego Micky'ego, to udało mi się ustalić, że był ważną postacią w seksbiznesie: agencje towarzyskie, bary ze striptizem, salony masażu, ale z powodów zdrowotnych wycofał się z interesu. Serce, wątroba, nerki, wszystko po kolei zaczęło mu wysiadać. Przeszedł kilka transplantacji nerek, z których żadna się podobno nie udała.

- Ten stary, którego Ted Barnaby widział w Vegas w towarzystwie Cruvica, miał żółty odcień skóry - zauważyłem. - A to może oznaczać żółtaczkę mechaniczną związaną z niedomaganiem wątroby. Są jakieś ustalenia, czy Mandy Wright pracowała kiedyś w San Francisco?

- Jeszcze nic. Ale znalazłem kolejną ciekawostkę: w San Francisco umarła także matka Hope. W Centrum Medycznym Stanford. Na raka piersi. Wszystkie rachunki były pokrywane przez anonimowego opiekuna. Staramy się ustalić, kto nim był.

- Sprawa coraz bardziej cuchnie - mruknąłem.

- Pani profesor mająca powiązania z gangsterem - rzekł Milo skrobiąc się po brodzie. - Jest coraz gorzej. Zbyt wielu tu cholernie mądrych ludzi.

Wyszliśmy z posterunku. Kiedy zatrzymaliśmy się na chodniku na Purdue, ktoś zawołał:

- Detektyw Sturgis?

Po przeciwnej stronie ulicy, w czerwonej strefie, stał zaparkowany niebieski mercedes. Na pokrywie bagażnika dwie anteny od telefonu komórkowego i radiostacji. Już na pierwszy rzut oka widać było, że to wóz wykonany na zamówienie, bo miał ażurowe alufelgi, spojler z tyłu i nietypowy przód. Prawie nie słyszało się pracującego silnika.

Mężczyzna za kierownicą zapewne przekroczył już sześćdziesiątkę. Miał krótko przystryżone włosy i aż nienaturalnie ciemną opaleniznę. Był ubrany w elegancki garnitur, białą koszulę i żółty krawat. Światło odbiło się od szkiełka drogiego zegarka, kiedy sięgał, by wyłączyć silnik. Wysiadł i przeszedł na naszą stronę ulicy. Miał ponad metr osiemdziesiąt wzrostu i smukłą

sylwetkę. Niewykluczone, że poddał się kilku operacjom odmładzającym, lecz wiek widać było po obwisłym podbródku.

- Robert Barone - przedstawił się. Wyciągnął opaloną rękę. - Wiem, że usiłował się pan ze mną skontaktować, ale nie było mnie w mieście.

- Był pan w San Francisco? - zapytał Milo, ściskając mu dłoń.

Barone uśmiechnął się lekceważąco.

- Na Hawajach. Nieco odpoczynku od pracy. - Zsunął z nosa okulary i popatrzył na mnie pytająco. - Detektyw...?

- W czym mogę panu pomóc, panie Barone? - zapytał policjant.

- Zamierzałem zadać panu to samo pytanie, detektywie.

- Przyjechał pan tu osobiście, by zaoferować pomoc zwykłemu szaremu policjantowi?

- W tej chwili przyda się wam zapewne każda pomoc... Ale mówiąc poważnie, mam z panem do omówienia pewną sprawę. Gdyby nie udało mi się skontaktować z panem, zamierzałem zwrócić się do pańskiego przełożonego.

Znów zerknął w moją stronę.

- Nie dosłyszałem pańskiego nazwiska.

- Holmes - wyręczył mnie Milo. - Detektyw Holmes.

- Jak Sherlock?

- Nie, jak Sigmund. Czego zatem życzy sobie doktor Cruvic? Policijnej ochrony, kiedy zrobiło się o nim głośno, czy też chciałby się do czegoś przyznać?

Barone momentalnie spowaźniał. Jego łysa czaszka pokryła się czerwonymi plamami.

- Może wejdziemy do środka?

- Parkuje pan w niedozwolonym miejscu.

Adwokat roześmiał się.

- Zaryzykuję.

- Zapewne za to panu płacą, ale gdy przyjdzie co do czego, proszę nie zwać winy na mnie.

- Milo odwrócił się w moją stronę i rzucił: - Cześć, Sig. Jeśli tylko masz czas, zajmij się zbadaniem tego, o czym wcześniej mówiliśmy.

Odwrócił się na pięcie i, nie czekając na Barone'a, ruszył w stronę wejścia do komisariatu.

Zbadanie przeszłości klanu Kruvinskih/Cruvicow.

Rodzinny prawnik zjawiający się osobiście, bo ktoś się zaniepokoił.

Mały Micky wciąż pozostaje jedyną osobą, mającą związek jednocześnie z Hope i z Mandy.

Pojechałem do czytelnicy, by dowiedzieć się czegoś o jego ojcu. Znalazłem piętnaście wzmianek na temat Milana V. Kruvinskigo, pochodzących sprzed mniej więcej dwudziestu lat. Wszystkie z San Francisco. Kilka fotografii przedstawiających mężczyznę o grubo ciosanych rysach, grubym karku i tak samo lekko skośnych oczach jak u syna. Ale jego wygląd był jakby mniej dopracowaną wersją potomka.

Ani jednej wzmianki o nim z okresu pobytu w Bakersfield. Spokojniejsze miasto i spokojniejsze czasy? Albo mniejsze pieniądze, nie budzące zainteresowania prasy.

Większość informacji z San Francisco mówiła o rozmaitych naruszeniach prawa. „Impresario erotyczny i znana w półświatku persona” w latach siedemdziesiątych i na początku lat osiemdziesiątych był wielokrotnie aresztowany. Zbyt wiele nagości w pokazach, niedopuszczalny kontakt tancerek z klientami, podawanie alkoholu nieletnim...

Przypomniałem sobie słowa Cruvica, wypowiedziane w jego klinice w Beverly Hills:

„Skala problemów z bezpłodnością wzrosła z powodu rewolucji lat siedemdziesiątych”.

Wiedza z pierwszej ręki.

W artykułach pisano o wielu aresztowaniach, ale nie było nawet słowa o jakimkolwiek wyroku skazującym. Zawsze zwalniano go z braku dowodów.

Organa ścigania były na niego tak zawzięte, że spróbowano osiągnąć go z innej strony, oskarżając o oszustwa podatkowe. Ale Kruvinski wybronił się i z tych zarzutów, udowadniając, że większość jego dochodów pochodziła z działalności rolnej w Central Valley, która była nawet subsydiowana z budżetu federalnego. Jego lokale na O'Tarrell i Polk zostały w końcu zamknięte, ale nie z powodu wejścia właściciela w konflikt z prawem.

Niemal żadnych cytatów bądź omówienia wypowiedzi Kruvinskigo, ilekroć bowiem kontaktował się z prasą, robił to za pośrednictwem Roberta Barone'a. W końcu udało mi się odszukać jedno streszczenie spotkania z Dużym Mickym, pochodzące sprzed dziesięciu lat.

Dziennikarz rozmawiał z Kruvinskim w jego domu, starając się uzyskać odpowiedź na pytanie, skąd bierze się nagły spadek zainteresowania pornograficznymi show na żywo.

„Przerzuciliśmy się na filmy wideo”, oświadczył Micky Kruvinski - jeden z niegdysiejszych rekinów pornobiznesu. „Ludzie nie chcieli chodzić już do lokali. Woleli zostać w domach”.

Z typową dla siebie hojnością i słowiańskim, szerokim uśmiechem zaproponował mi dwudziestojednoletnią whisky, chociaż sam nie mógł się napić. Problemy z wątrobą, sercem i nerkami. Ubiegłoroczna transplantacja była dla niego ogromną nadzieją, ale niestety przeszczep został odrzucony przez organizm.

Podziękowałem za alkohol, ale Micky nie chciał słyszeć o mojej abstynencji, uważając, że podyktowana jest współczuciem. Zawołał „kochanie” i natychmiast pojawiła się pani Kruvinski - eksaktorka Brooke Hastings, wciąż piękna i o nienagannej figurze.

„Mąż uwielbia przyglądać się lwom morskim”, powiedziała nalewając mi do szklaneczki podwójną whisky. „Każdego ranka każe przywozić im świeże ryby. Kocha zwierzęta. Wszystko co żywe. To jedna z cech, które tak mnie w nim zafascynowały”.

Czule pocałowała tyśnię Micky’ego, który uśmiechnął się w odpowiedzi i zamyślony patrzył w ogromne okno. Ekspanna H. objęła go ramionami, ale on wciąż patrzył w dal rozmarzonym wzrokiem. Jakby oglądał jakiś film. Zapewne niejeden z tych, które sam produkował, ale jakiś ckliwy romans. Ja tymczasem napiłem się wysmienitej whisky, która swym ciepłem rozchodzącym się po całym ciele przywiodła mi na myśl gorącą lawę...

Brooke Hastings. „Aktorka” o pseudonimie analogicznym jak nazwa kierowanej przez Kruvinskiego firmy. Niezły żart. Ciekawe, czy wiedziała, do czego zostało wykorzystane jej przybrane nazwisko?

Junior okazał równie wyrobione poczucie humoru, tą samą nazwą obdarzając instytut, z którym podobno miał się związać po opuszczeniu Uniwersytetu Waszyngtońskiego.

Dokończyłem czytać artykuł. Ani słowa o pierwszej żonie, synu ani jakichkolwiek krewnych. Na zakończenie opisano problemy zdrowotne Dużego Micky’ego, co zajęło kilka rozbudowanych akapitów.

Gdzie teraz mógł być stary? Przeprowadził się do Los Angeles, żeby junior mógł się nim opiekować? Może mieszkał w domu na Mulholland, zaszyty w cichym i ustronnym miejscu?

Ale nieprawidłowe funkcjonowanie nerek niesło za sobą konieczność dializy. Czyli odpowiedni sprzęt i stały nadzór medyczny.

Domowa klinika?

Czy właśnie dlatego pojechała tam siostra Anna w towarzystwie Lockinga?

Prywatna pielęgniarka szczególnie ważnego pacjenta?

Junior opiekował się ojcem...

Ale przecież Cruvic był podobno ginekologiem. Czy więc miał wystarczające kwalifikacje?

Ginekolog, któremu nie udało się zostać chirurgiem.

Dlaczego rzucił studia na Uniwersytecie Waszyngtońskim?

I co naprawdę robił podczas tego zmarnowanego roku?

Wróciłem do domu i zatelefonowałem do Seattle.

Szefem wydziału chirurgicznego okazał się doktor Arnold Swenson, ale od jego sekretarki dowiedziałem się, że zaledwie rok temu zmienił barwy uczelniane.

- A pamięta pani może, kto pełnił tę funkcję czternaście lat temu?

- Nie, bo i ja jeszcze tu nie pracowałam. Ale zaraz przełączę pana do bardziej kompetentnej w tej kwestii osoby.

Kilka chwil później odezwała się kobieta, sądząc z brzmienia głosu, znacznie starsza.

- Inga Blank. Słucham?

Powtórzyłem pytanie.

- Chodzi zapewne o doktora Johna Burwassera.

- Nadal praktykuje?

- Nie, odszedł już na emeryturę. Mogę zapytać, o co dokładnie chodzi?

- Współpracuję z policją Los Angeles w sprawie zabójstwa. Próbuje uzyskać informacje na temat jednego z waszych byłych studentów.

- Zabójstwo? - zapytała z przejęciem w głosie. - O którego studenta chodzi?

- Doktora Milana Cruvica.

Jej milczenie znaczyło więcej niż słowa.

- Panno Blank?

- Co on zrobił?

- Usiłujemy jedynie zdobyć informacje na temat jego przeszłości.

- Był z nami związany dość krótko.

- Ale widać dobrze go pani zapamiętała.

Znów długa cisza.

- Nie mogę podać numeru doktora Burwassera, ale jeżeli zostawi mi pan swój, przekażę mu wiadomość.

- Dziękuję. A czy pani może mi udzielić jakichś informacji na temat doktora Cruvica?

- Przykro mi.

- Ale wyraźnie nie dziwi pani, że policja się nim zainteresowała.

Doszło do mnie głośnie chrząknięcie.

- Dzisiaj bardzo niewiele mnie już dziwi.

Rozłączyła się. Nie było więc sensu liczyć, że odpowie. Należało spróbować dotrzeć do prawdy za pośrednictwem Milo, ale on zapewne rozmawiał jeszcze z Barone'em, więc przebrałem się w strój sportowy i wyszedłem, by biegając zostawić za sobą rozczarowanie.

Dzwonek telefonu rozległ się akurat w momencie, gdy zamykałem frontowe drzwi. Pędem wróciłem do aparatu i zdążyłem odebrać tuż przed włączeniem się automatycznej sekretarki.

- Doktor Delaware.

- Mówi doktor Burwasser - usłyszałem w słuchawce. - Czego chciałby się pan dowiedzieć?

Zacząłem wyjaśniać.

- Brzmi mi to dosyć fałszywie... - stwierdził.

- Jeśli pan sobie życzy, poproszę detektywa Sturgisa, by się z panem skontaktował. ..

- Nie, nie ma sensu tracić czasu. Crivic studiował u nas zaledwie rok, czternaście lat temu.

Cóż za pamięć.

- Dlaczego odszedł? - zapytałem.

- Nikogo nie powinno to interesować.

- Niestety, interesuje. Łączyły go bliskie stosunki z kobietą, która została zamordowana, i jest potencjalnym podejrzanym. Im więcej wysiłku będzie nas kosztowało zdobycie koniecznych informacji, tym większe prawdopodobieństwo, że mogą dowiedzieć się o tym dziennikarze.

- To groźba?

- Ależ skąd. Po prostu stwierdzenie oczywistego faktu, doktorze Burwasser. Czy Crivic zrobił coś, co uniemożliwiło mu kontynuację nauki?

Zamiast odpowiedzieć na pytanie, mój rozmówca rzekł:

- Czyjaś śmierć nie robi na mnie wrażenia. Pracując, widywałem ją wystarczająco często.

- Co zrobił Crivic? - nie ustępowałem.

- U nas nikogo nie zamordował.

- A zrobił to gdzieś indziej?

- Nie, oczywiście, że nie... czy nagrywa pan tę rozmowę?

- Nie.

- Właściwie to bez znaczenia, bo nie mam się czego obawiać. Wszystko znajduje się w aktach.

- Cieszę się.

Cisza.

- Co on zrobił, doktorze?

- Dopuścił się kradzieży.

- Kogo okradł?

- Nie udzielę odpowiedzi na to pytanie, bo zmarłym należy się choć odrobina czci.

Upłynęła chwila, zanim zrozumiałem, co ma na myśli.

- Okradł nieboszczyka?

- Próbował.

- Ile chciał zabrać?

Lekarz roześmiał się głośno.

- Trudno podać cenę rynkową.

- Chodziło o biżuterię?

- Poniekąd. - Znów śmiech. - Autorstwa rodziców. Organy. Złapaliśmy tego drania, kiedy usiłował usunąć serce. Problem tylko w tym, że dawca nie był jeszcze tak naprawdę nieboszczykiem.

- Mój Boże!

- Proszę nie dramatyzować. Przecież powiedziałem, że to nie było morderstwo. Pacjent nie przejawiał już żadnych oznak życia. Mieliśmy zamiar odłączyć go od urządzeń podtrzymujących życie, lecz wynikły trudności z odszukaniem rodziny, by wyraziła na to zgodę.

- Ale serce wciąż pracowało?

- Oczywiście. W przeciwnym razie po co w ogóle miałby się nim interesować? Było w idealnym stanie. Młody facet miał wypadek na motocyklu i doznał poważnego urazu głowy. Okazało się, że był turystą z Niemiec. Ten idiota Cruvic mógł doprowadzić do skandalu o międzynarodowym zasięgu.

- Dla kogo chciał ukraść to serce?

- Nie dla kogo, a do czego. Do badań. Pod pozorem badań anatomicznych psów i pisania pracy na ten temat, Cruvicowi udało się uzyskać dostęp do laboratorium.

- Pod pozorem?

- To był tylko pretekst, by mógł zająć się nielegalnymi badaniami nad transplantacją ludzkich organów. Ten idiota wyobrażał sobie, że będzie transplantologiem sławą dorównującym Christiaanowi Barnardowi. Pomimo pewnych nacisków, wylałem mu na głowę kubel zimnej wody.

- Nacisków z czyjej strony?

- Kalifornijskich polityków - rzekł doktor z wyraźnym niesmakiem.

- Konkretnie z San Francisco?

- Zgadza się. Mnóstwo telefonów od grubych ryb. Widocznie jego stary miał duże wpływy. Ale mnie to nie obchodziło. Powiedziałem mu: zrobiłeś coś takiego, więc jako chirurg jesteś skończony.

- Jak to ujawniono?

- Jedna z pielęgniarek złapała go na gorącym uczynku. W środku nocy. Przy łóżku pacjenta przygotował sobie zestaw chirurgiczny i zrobił już nawet pierwsze cięcie. Bóg jeden wie, co sobie wyobrażał. Że nikt nie zauważy, co zrobił... Ale dość już tego. Nie mam ochoty dalej wałkować tej sprawy. Proszę pomęczyć Swensona.

Kradzież ludzkich organów.

Sterylizacja nieletnich.

Najzdolniejszy chłopiec.

Sam ustalał dla siebie zasady. Nic dziwnego. Dorastając, widział, jak ojciec robił jeszcze gorsze rzeczy,

Wiele lat później nadal ciągnęło go do konfliktu z prawem.

Ale jaką rolę odgrywała w tym Devane?

I jeszcze jedno pytanie: dlaczego zamordowano Hope i Caseya Lockinga, a Cravic nadal żył?

Bo święcie wierzyłem, że on był ogniwem łączącym tych dwoje. Barone zjawił się na policji, bo Cravic wiedział, że pętla coraz bardziej zaciera mu się na szyi.

Bał się?

Ale nie policji... Bał się o siebie. Może dopiero zabójstwo Lockinga uzmysłowiło mu, że jest poważnie zagrożony.

Ale dlaczego dopiero teraz?

Co sprawiło, że Cravic poczuł się bezbronny?

Napaść Darrella Ballitsera? Ujawnione opinii publicznej informacje, sugerujące jego powiązania z Hope?

Czyżby dopiero po tym wszystkim morderca zidentyfikował go?

Ale o co w takim razie mogło chodzić zabójcy?

Załóżmy, że zainteresował się Cravicem dopiero po zejściu z Ballitserem... Widział doktora w towarzystwie Lockinga? W Mulholland?

Ale przecież mogłem podążać zupełnie fałszywym tropem. Przecież także Cravic mógł zabić Hope i Lockinga, żeby ich uciszyć.

Ale w takim razie po co posyłałby swojego adwokata do Milo?

Im dłużej próbowałem usystematyzować kłębiące się w głowie myśli, tym bardziej utwierdzałem się w przekonaniu, że obecnie Cravic będzie celem potencjalnego ataku i sam doskonale zdaje sobie z tego sprawę.

Przez całe lata doktorowi uchodziło na sucho wielokrotne naruszanie etyki lekarskiej i działanie poza prawem, dopóki nie zadarł z niewłaściwą osobą.

Współpracując przy tym właśnie z Lockingiem i Hope Devane.

Nieprzestrzeganie zasad etyki lekarskiej... nielegalne sterylizacje... kradzież ludzkich organów.

Dom w Mulholland.

Prywatna klinika.

Coś, w czym palce maczał także Locking...

I nagle przyszło olśnienie.

To takie proste.

Ale gdzie tu jest miejsce dla Mandy Wright? Dla pracującej dziewczyny?

Kilka dni przed śmiercią była podobno w Los Angeles. Wcześniej zaś spotkała się z Cruvicem oraz jego ojcem w Vegas i w ich towarzystwie opuściła kasyno.

Ale nie chodziło o seks.

Miała więc inną robotę.

Powiedziała Barnaby: „To jak aktorstwo”.

A jak Milo określił „Club None”? „Idealne miejsce dla idealnych ludzi”.

Mandy była tam w swoim żywiole.

Jej towarzysz także?

Biedna kelnerka Kathy DiNapoli. Zamordowana tylko dlatego, że podawała drinki w nieodpowiednim miejscu o niewłaściwej porze.

Idealni ludzie o idealnych ciałach.

Mandy została zatrudniona, by wywabić stamtąd kogoś.

Szczególnego faceta.

Powoli, lecz konsekwentnie drobne elementy układanki łączyły się w całość. Stopniowo docierała do mnie prawda.

Prawda, w której było miejsce zarówno dla Hope i Lockinga, jak też Mandy i Kathy.

Myślami wróciłem do talk-show Morry Mayhew, w którym występowała Devane. Jak nazywała się asystentka producentki? Suzette Band. Obiecałem skontaktować się z nią, gdybym dowiedział się czegoś.

Stara jak świat wymiana informacji.

Ale zanim wyciągnie ode mnie prawdziwe rewelacje, będzie musiała na nie zasłużyć...

Następny przystanek: Mullholland Drive.

W świetle dnia dom prezentował się okazale. Współczesna, wielobarwna budowla, wykonana głównie z ciemnej cegły klinkierowej.

Pozostałem w przepoconej po joggingu koszulce, a dżinsy zamieniłem na krótkie spodenki. W rękę trzymałem torbę z zakupami, dokonanymi wcześniej w aptece w Beverly Hills. Była tam pasta do zębów, nitki do ich czyszczenia i witamina C. Seville, zaparkowana na poboczu, była wystarczająco stara, by przypominać wóz dostawcy. Sam byłem w zbyt zaawansowanym wieku jak na posłańca w większości miast, ale Los Angeles aż roiło się od nieudaczników, którzy chwyтали się wszystkiego, co dawało możliwość zarobienia kilku dolarów.

Nacisnąłem dzwonek przy bramie. Po chwili odezwał się głośnik:

- Tak?

- Przesyłka.

- Chwileczkę.

Otworzyły się drzwi frontowe, z których wyszedł mężczyzna w czarnej koszuli i tego samego koloru dżinsach. Przyjrzał mi się uważnie i podszedł ciężkim krokiem.

Był przed czterdziestką, niski, barczysty, z przerzedzonymi już ciemnymi włosami zaczesanymi do tyłu i spiętymi w krótki kucyk. Miał baczki, ciemną karnację, okulary w metalowych oprawkach i grubo ciosane rysy.

Wyglądał na zaspanego, ale swych świńskich oczek ani na moment ze mnie nie spuszczał.

Miał jedwabną koszulę, zbyt obszerną, a prawą rękę trzymał przed sobą, jakby coś osłaniał. Policjanci w cywilu nosili się w ten sposób, aby ukryć broń. Temu gościowi chodziło zapewne o to samo.

- Tak? - warknął.

- Przesyłka dla pana Kruvinskiego.

Na potwierdzenie wyciągnąłem przed siebie torbę z nadrukiem apteki.

- Co tam jest?

- Chyba lekarstwa.

- Dostaje je od swojego lekarza.

Wzruszyłem ramionami.

- Pokaż - polecił.

Wręczyłem mu torbę. Zajrzał do środka i wyjął z niej niewielką fiolkę pełną żółtych pastylek. Właściwy kolor, ale w rzeczywistości tabletki imuranu wyglądały inaczej. W środku

znajdowała się bowiem zwykła witamina C. Ale facet nie zwrócił na to uwagi. Liczyłem na to, że nie będzie aż tak spostrzegawczy.

Etykieta była istnym dziełem sztuki. Odkleiłem starą z penicyliny i wywabiłem niemal wszystkie adnotacje. Następnie przekserowałem ją, wpisałem nowe dane i przykleiłem do fiolki.

Przyglądał się jej chwilę. Widać doszedł do informacji o przepisującym lek, bo zacisnął usta i pokiwał głową. W rubryce tej widniało m. Cruvic, a dalej numer jego licencji, ustalony w radzie lekarskiej.

Na niezbyt inteligentnej twarzy goryla widziałem zdziwienie i niepewność.

- Mamy już całe pudła tego gów... kto to zamówił?

Zamiast próbować się tłumaczyć, udałem irytację.

- Co mnie to obchodzi. Robię, co mi każą. Mam to zabrać?

Bez słowa wrzucił fiolkę do torby i odwrócił się w stronę domu.

- Hej! - zawołałem za nim.

Zatrzymał się i obejrzał na mnie przez ramię. Z tyłu jego plecy wyglądały naprawdę potężnie. Przez włosy na czaszce przeświecała skóra, a kucyk składał się dosłownie z kilku włosów.

- Masz jakiś problem?

- Kto za to zapłaci?

Musiałem przecież zadbać, by moja wizyta przebiegała w typowy sposób, choć już dowiedziałem się wszystkiego, czego chciałem.

Uniósł wolną rękę i wycelował we mnie palcem.

- Czeka tu, frajerze.

Posłuchałem. Ale tylko do chwili, gdy wszedł do środka i zamknął za sobą drzwi.

Puściłem się biegiem do Seville i już odjeżdżałem, gdy znów wyszedł. Tym razem w towarzystwie siostry Anny.

Oboje popatrzyli za mną zdziwieni.

Większość tego, co wiąże się z filmowym interesem, jest tak naprawdę bezbarwna i pozbawiona jakiegokolwiek charakteru. Widać to było na pierwszy rzut oka po studiu castingowym.

Szara bryła mieszczącego je parterowego budynku na Washington Boulevard w Culver City znajdowała się pomiędzy kubańską restauracją a chińską pralnią. Tylko miejscami ściany były czyste, nie zamalowane różnobarwnymi sprayowymi malunkami. Żadnych okien, tylko wypaczone drzwi.

Wchodziło się do obskurnej poczekalni, w której teraz było mnóstwo pełnych nadziei, idealnych pod względem fizycznym przedstawicieli obu płci. Siedzieli na składanych krzeselkach, przeglądali wyłożone pisma, marzyli o sławie, bogactwie, a także zemście na wszystkich, którzy uniemożliwiali im dotychczas rozwinięcie skrzydeł i zrobienie kariery.

Właściwe pomieszczenie było znacznie większe, ale znajdował się w nim tylko stolik, silnie oświetlone dwa krzesła, a w ścianie fenickie lustro.

Ja tkwiłem w klitce za lustrem i uważnie obserwowałem, co działo się w pokoju.

Przy stoliku siedzieli dwaj szefowie castingu: potężny, puciołowaty, zaniedbany mężczyzna z krostami na twarzy i brudnymi włosami, w hawajskiej koszulce i wojskowych spodniach, oraz szczupła kobieta w ciemnej peruce, mająca wspaniałe, błękitne oczy.

Przed nimi stały tabliczki z nazwiskami:

BRAD RABE PAIGE BANDURA

Obok dwie butelki wody mineralnej, paczka winstonów i popielniczka, ale żadne z nich nie paliło.

- Następny - rzucił Rabę.

Wszedł kolejny kandydat. Numer szósty z grupy męskiej.

Popatrzył na Rabe'a oraz Bandurę i wysilił się na, jak mu się chyba wydawało, ciepły uśmiech.

Na jego twarzy odbijało się napięcie, obawa i pogarda jednocześnie.

O czym myślał?

Co to za para durniów?

Kim są, żeby mieć prawo go oceniać? Oboje ubrani jak pajace, ale to przecież typowe. Ubierają się tak, żeby podkreślić, że im wszystko wolno.

Kandydat miał już doświadczenie w kontaktach z podobnymi ludźmi... Czyżby?

Czekał trzy godziny w tym zoo, by uzyskać audiencję i stanąć przed sędziami, którzy uśmiechali się z pobłażaniem, kiwali głowami i nadzwyczaj sztucznie wyrażali swe fałszywie pochlebne opinie.

Jak prawdziwy sąd.

- W porządku - przemówiła Paige Bandura, zerkając na swego partnera. Może scena z czterdziestej szóstej strony?

- Oczywiście. - Kandydat uśmiechnął się z wdziękiem i przewrócił kartki scenariusza. - Od „Ależ Celine, ty i ja?”

- Nie, troszkę dalej... od słów: „O co naprawdę ci chodzi?”

Kandydat kiwnął głową, odetchnął głęboko, starając się, by tego nie zauważono. Na moment przymknął oczy i zerknął na scenopis. Musiał im pokazać, że jest w stanie bezbłędnie zapamiętać rolę.

Następnie popatrzył prosto w oczy Paige, bo ocenił, że u niej ma większe szansę.

- „O co naprawdę ci chodzi, Celine? Wydawało mi się, że nasza przyjaźń przerodziła się w coś więcej”. Mam wygłosić i jej kwestię?

- Nie - odpowiedziała Paige. - Ja to zrobię.

Ciepły, szczery uśmiech. Może...

Sięgnęła po swój scenariusz i przeczytała.

- „Może masz rację, Dirk. A może nie... Rzecz w tym, że potrzebuję mężczyzny, a ty mógłbyś się nadać”.

Bezbarwny głos. Słaba dykcja, sprawiająca, że słowa zlały się w jedno.

Ci, do których należała ocena, zazwyczaj byli zupełnie beznadziejni. Kandydat nienawidził tego.

- „Dlaczego tak mówisz?” - ciągnął, ścisząc głos. - „Wydawało mi się, że między nami jest coś więcej, Celine. Czuję to i sędzę, że ty też. O, tutaj”. - Wymownie dotknął miejsca, gdzie znajdowało się serce.

- „Naprawdę, Dirk?”

- „Naprawdę, Celine”. - Znow uśmiechnął się do niej. - Według scenariusza kładę dłoń na pani...

- W porządku - odparła Paige z uśmiechem. - Pomińmy to. Dobra, co jest dalej... „Ależ Dirk...”

- „Czuję, jak mocno bije ci serce, Celine. Czyż nie ma w nim choć odrobiny miłości?”

Opuścił ręce. Gest nadziei i poddania. Stał tak bez ruchu i czekał.

Paige znów uśmiechnęła się do niego i zerknęła na Brada.

Ten zmierzył aktora wzrokiem. Dłonią przetarł twarz. Mruknął coś pod nosem.

- Nieźle - rzekł wreszcie.

- Ja powiedziałabym, że wspaniale.

- W porządku, całkiem dobrze - zgodził się po chwili Brad.

- Jeśli państwo sobie życzą, mogę czytać dalej - zaproponował kandydat.

Przesłuchujący wymienili spojrzenia.

- Nie, wystarczy. Było naprawdę dobrze.

Aktor wzruszył ramionami. Jak zdziwiony chłopiec. Jego uśmiech także był typowo chłopięcy.

Znów popatrzył prosto w oczy Paige.

- Przejdźmy dalej - zaproponowała. - Do spraw praktycznych. Program będzie dość odważny jak na dzienną porę. Mnóstwo scen miłosnych... Nie zniechęca to pana?

- Ależ skąd - odpowiedział pospiesznie, lecz dostrzegłem jego narastające napięcie, które starał się ukryć.

- Trzeba pokazać trochę ciała - wyjaśnił Brad. - Chodzi o kablówkę, więc możemy sobie pozwolić na więcej niż normalnie. Oczywiście wszystko w granicach prawa, ale trzeba będzie trochę się porozbierać. Może zdejmie pan koszulę?

Kandydat milczał. Tętno skoczyło mu chyba powyżej stu dwudziestu. A przecież był w tak świetnej kondycji fizycznej... Kurwa.

- Coś nie tak? - zapytała Paige.

Patrzyła na niego z wyraźną nadzieją. Może jednak jakoś się uda...

- Nie, ale mam bliźnę. Niektórzy są zdania, że nie wygląda najładniej...

- Gdzie?

- Niewielkiego...

- Gdzie?

- Na plecach.

Brad zmarszczył brwi.

Aktor zmuszony był szybko myśleć. Skupić się na Paige, udawać, że nic się nie stało... Grać i wykazać się intelektem!

- Poniżej pasa, więc jeśli chodzi tylko o częściowe...

- Zobaczymy, jak to wygląda - mruknął Brad. - Proszę zdjąć koszulę.

Kandydat popatrzył na Paige z nadzieją, że z jej strony przyjdzie pomoc.

Pokiwała głową, patrząc na niego bez wyraźnego zainteresowania.

A to suka!

Rozpiął dwa górne guziki i ściągnął koszulę przez głowę.

- Proszę się odwrócić i zsunąć spodnie na tyle, żebyśmy mogli zobaczyć tę bliznę - rzekł Brad.

Aktor posłuchał.

Przedłużające się milczenie.

Wiedział dlaczego.

Oboje patrzyli w jedno miejsce rozszerzonymi oczami.

Wsparł dłonie na biodrach, starając się przenieść ich uwagę na potężne, idealnie wyrzeźbione mięśnie ramion i pleców. Napiał je i rozluźnił. Miał nad nimi idealną kontrolę.

- Skąd ją pan ma? - zapytał Brad.

- Ze wspinaczki. Odpadłem od ściany i plecami trafiłem na występ skalny. Musieli mnie szyc.

- Nie wyszło im to najlepiej - mruknął Brad.

Kandydat świetnie wiedział, o co mu chodzi. Co oboje sobie pomyśleli:

Wstrętna.

Bo rzeczywiście tak było. Czerwona, pomarszczona i lśniąca. A najgorsze, że kontrastowała z gładką i równo opaloną skórą wokół.

Okropne zmiany keloidalne spowodowane niewłaściwą terapią. W Afryce bliznowce dodawały urody...

Ale ja jestem biały!

W okolicie rany wstrzyknięto mu duże ilości kortyzonu. Teraz było już zbyt późno, by coś zrobić. Jediną nadzieję stanowiła operacja plastyczna, i to poważna. A on nie mógł sobie na nią jeszcze pozwolić. I to nie tylko z powodów finansowych...

- Musiał pan spaść z dużej wysokości - zauważył Brad. W jego głosie dało się wyczuć zaczepkę.

Uwaga wywołała niemiłe wspomnienia.

W kandydacie zawrzała trudna do powstrzymania wściekłość. Wędrowała od żołądka w stronę serca. Jak zawał, ale przeżył już całe noce katuszy i targającej nim wściekłości, więc wiedział, że serce wytrzyma. Jego serce...

Dłonie samoistnie próbowały zacisnąć się w pięści, ale zdołał się opanować. I usiłował zrobić wszystko, by na czoło nie wystąpiły krople potu.

Przedłużało się kłopotliwe milczenie.

Aktor wciąż stał tyłem do przesłuchujących, wiedząc, że najmniejsza choćby oznaka wściekłości zniweczy szansę na otrzymanie tej roli.

Jakby w ogóle je miał. Ale musiał próbować. W tym interesie nie da się inaczej...

W porządku, dzięki, skarbie. Ciao.

Proszę czekać, aż się do pana odezwiemy.

- Czy to ma jakieś znaczenie? - zapytał kandydat, siląc się na bez troskę. Zsunął koszulę i odwrócił się przodem do siedzących za stołem.

I aż zatoczył się ze zdziwienia.

Bo Brad i Paige mierzyli z niego z pistoletów, a w wolnych rękach trzymali policyjne odznaki.

- Wygląda mi to bardziej na bliznę po operacji - mruknął Brad. - I to całkiem poważnej. Czy to nie w tym właśnie miejscu znajduje się nerka?

Kandydat milczał.

- Oskar należy się... Dobra, ręce na kark, panie Muscadine. I bez żadnych numerów.

Policjant wciąż uśmiechał się lekko i patrzył na niego jak sędzia.

Aktor przestał już ukrywać gotującą się w nim wściekłość. Uśmiech zniknął z ust Brada, a w jego zielonych oczach pojawił się chłód. Kandydat nie wyobrażał sobie nawet, że ludzki wzrok może być aż tak lodowaty... Zrobił krok w tył.

- Spokojnie, koleś - ostrzegł Brad. - Tylko spokojnie.

- Ręce na kark, Reed - ponagliła Paige. Ostry głos, wroga, już nie po jego stronie. Nigdy po niej nie była.

Stał bez ruchu. I patrzył na policjantów.

Marne typy. Żalotne.

Był wielki i silny. Mógł spróbować ataku.

Chociaż właściwie byłoby to zupełnie bez sensu.

Ale z drugiej strony nie miał już właściwie nic do stracenia.

Tygrysim skokiem rzucił się na Paige.

Bo naprawdę nie lubił kobiet.

Wymierzył cios, mający zgruchotać jej szczękę, lecz za ledwie musnął tę cholerną twarz, bo Brad trafił go w podstawę czaszki i stracił przytomność.

Kiedy mundurowi zabrali Reeda Muscadine'a, wyszedłem ze swego schowka.

Milo napił się wody mineralnej i z niesmakiem popatrzył na swoją hawajską koszulkę.

- Gustowna, co? - mruknął.

- Bardzo ci w niej do twarzy, Brad - orzekła ze śmiechem detektyw Paige Bandura.

- Naprawdę?

- Jasne. Wyglądasz w niej jak Beachboy.

Milo popatrzył w moją stronę.

- A ty co o tym sądzisz?

- Mógłbyś zrobić prawdziwą karierę. Gdybyś tylko się postarał, to bez wątpienia ty dostałbyś rolę Dirka.

- Oszczędź sobie.

- Naprawdę wyglądasz szalowo - powiedziała Paige, zdejmując perukę i palcami rozczesując kasztanowe włosy. - Będę ci jeszcze do czegoś potrzebna, Milo?

- Nie. Dziękuję.

- Do usług. Zawsze marzyłam o aktorstwie. Jak wypadłam, doktorze?

- Świetnie - pochwaliłem.

- Nie grałam od czasów szkoły. Wystąpiłam kiedyś w „Piratach z Penzance”. Chciałam być Mabel, ale zrobili mnie piratką.

- Była pani naprawdę wspaniała skłamałem.

Uśmiechnęła się, wyraźnie z siebie zadowolona i odeszła sprężystym, kocim krokiem.

- Czym się zazwyczaj zajmuje? - zapytałem.

- Sprawami dotyczącymi kradzieży samochodów. - Milo opadł na to samo krzesło, które zajmował jako szef castingu.

W pomieszczeniu zostaliśmy już tylko my. Powietrze było gorące i duszne.

- Dobra robota, Sig - pochwalił mnie.

- Miałem wyjątkowo dużo szczęścia.

- Przede wszystkim wpadłeś na świetny pomysł. I miałeś jasną koncepcję jego reakcji.

Wiesz, że zawsze traktuję poważnie wszelkie przemyślane działania.

Hipoteza.

Pozwalająca powiązać ze sobą Hope, Lockinga i Cruvica.

I jeszcze dołączyć do tego komisję.

Pewien specyficzny przypadek. Jeden z oskarżonych zmuszony do wykonania badania krwi.

Sprawdziłem to.

Upewniłem się, że Duży Micky zażywał imuran - najpopularniejsze lekarstwo zapobiegające odrzutowi przeszczepionego organu. A to znaczyło, że nie wymagał dializowania. Po raz kolejny widać przeszczepiono mu nerkę.

Później powoli ustalałem następne szczegóły: strój Reeda Muscadine'a, kiedy rozmawialiśmy w jego mieszkaniu. Szorty, odpowiednie na tak upalny dzień, oraz zupełnie do nich nie pasująca gruba bluza. Obciął jej rękawy, ale wyraźnie starał się osłonić tułów.

Pani Green wygadała się, że Reed z powodu kłopotów „z plecami” leżał w łóżku cały miesiąc.

Muscadine wyjaśnił to, twierdząc, że odniósł poważną kontuzję podczas wyciskania sztangi. Ból był taki, jakby ktoś dźgnął go nożem.

Ta uwaga wymknęła mu się? Czy też igrał ze mną?

Grał?

Był naprawdę dobrym aktorem. Jednym z najzdolniejszych uczniów profesora Dirkhoffa. Ale porzucił studia, by przyjąć rolę w jakiejś operze mydlanej.

Wydawało się, że praca już była zaklepana.

Ale nie uzyskał jej.

Był niewątpliwie bardzo inteligentny i błyskotliwy, a jednak nie pamiętał tytułu owego serialu. Mało prawdopodobne. Jako aktor, desperacko poszukujący pracy, powinien był znać każdy szczegół dotyczący roli, którą chciał zdobyć.

Ale odpowiedział wymijająco, choć na tyle rozsądnie, że nie wzbudził moich podejrzeń. Coś o szpiegach i dyplomatach z zagranicznych ambasad.

Informacja ta na szczęście zawęziła poszukiwania, jakich podjęła się Suzette Band, na tyle, że szybko znalazła, to, czego szukaliśmy.

„Ambasada”. Zdobyła dla mnie numer telefonu do szefowej castingu tego serialu - Chloe Gold. Skontaktowałem się z nią, występując w roli nowego agenta Muscadine'a. Zapytałem, czy dadzą mu jeszcze jedną szansę, bo chłopak naprawdę ma talent.

Zajrzała do swoich notatek i odparła:

- Nie, przykro mi, ale został odrzucony z powodu mankamentu natury fizycznej.

- Jakiego mankamentu?

- Nie wie pan? Jest pan przecież jego agentem.

- Nie miałem...

- Proszę go zapytać. Do widzenia.

Fizyczny mankament.

Badanie krwi, nie tylko na obecność wirusa HIV, ale i sprawdzenie ogólnego stanu zdrowia oraz zgodności grupy krwi. Hope miała odpowiednie uprawnienia, by uzyskać dostęp do wyniku badań.

Grupa była odpowiednia.

To jeszcze żaden dowód, ale wystarczyło, by potwierdzić moją hipotezę.

Prawdziwa klinika Cruvica znajdowała się w domu przy Mullholland Drive.

Czcij ojca swego...

Milo opróżnił butelkę i skrzywił się.

- Szkoda tylko, że policja nie zwróci kosztów wynajmu pomieszczeń do naszego castingu i ogłoszenia w „Variety”.

- Opłaciłeś to wszystko z własnej kieszeni?

- Moi przełożeni nie zgadzają się na finansowanie strzałów W ciemno, uzasadnionych tylko przypuszczeniami, a nie chciałem zmarnować pół roku na przedzieranie się przez gąszcz biurokracji. Nie miałem wyboru. Także prokurator odmówił wydania nakazu udostępnienia danych medycznych Muscadine’a i rewizji w jego mieszkaniu tylko na podstawie jakichś tam hipotez. To znaczy, że gdybym podszedł do tego dupka i ściągnął mu koszulę, zrobiłbym to niezgodnie z prawem i blizna nie stanowiłaby żadnego dowodu. Nie mówiąc już o zmuszeniu go do poddania się prześwietleniu dla stwierdzenia, czy rzeczywiście usunięto mu nerkę. Poza tym ten frajer Barone oświadczył, że nasz doktor ukrył się za granicą. Biorąc zaś pod uwagę nawał pracy policji, poczekamy nieco na oskarżenie go o naruszenie zasad etyki lekarskiej i prawa. Ale nie mam wątpliwości, że będzie spalony nie tylko w Beverly Hills, ale w całym kraju.

- Jakie są szanse, że trafi za kratki?

Wzruszył ramionami.

- Przymusowa emerytura nie musi zaraz być dla Cruvica tragedią - stwierdziłem. - Przecież zapewnił już sobie byt do końca życia. Przerwanie praktyki może jednak być dla niego przykre ze względów ambicjonalnych bądź psychologicznych. Miejmy nadzieję, że boleśnie to odczuje.

- Dlaczego tak sądzisz?

- Ukradł Muscadine’owi nerkę, ale zaszył go i pozwolił żyć. Okazało się to śmiertelnym błędem dla Hope, Mandy i Lockinga, a gdyby Muscadine wcześniej dowiedział się, kto go operował, także i dla niego. Ale przynajmniej we własnym mniemaniu pozostał człowiekiem służącym innym, a nie zabójcą. Starał się walczyć z przeszłością, podobnie jak Hope.

- Hope - ciągnął Milo kręcąc głową. - Podprowadziła Muscadine’a pod nóż niczym barana.

- Najzdolniejsi dziewczynka i chłopiec, razem spiskujący, by ratować Dużego Micky’ego. Wspólnie przeszli długą drogę. Łączyły ich silne więzy. Może dlatego, że Cruvic z własnego

doświadczenia wiedział, jak to jest być najlepszym studentem i równocześnie synem rodzica permanentnie naruszającego prawo. Wciąż dusić w głębi serca tajemnicę. Założę się, że to Duży Micky opłacał rachunki medyczne Lottie Devane w Stanford. Właśnie z tej placówki pochodziła jedna z jego nerek. A pieniądze za konsultacje, które Devane otrzymywała od juniora i Barone'a, były zapewne formą wyrażenia wdzięczności przez starego. Przed wydaniem książki były to dla niej całkiem istotne sumy.

- Spłata zobowiązań zaciągniętych w przeszłości - mruknął. - A Mandy stanowiła przynętę. Tylko gdzie tu miejsce dla Lockinga?

- Nie wiem, ale wkrótce i tego się dowiemy.

- Kolejny mały geniusz. Uważasz, że cała ta sprawa z komisją była pretekstem dla znalezienia dawcy dla tatusia?

- Nie - odparłem. - Wydaje mi się, że Hope w to naprawdę wierzyła. Ale wraz z Cruvicem zapewne już od dłuższego czasu zastanawiali się, jak pomóc staremu. Od lekarzy w Stanford wiemy już, że Duży Micky próbował załatwić sobie kolejny przeszczep, ale po dwóch odrzuconych, w jego wieku nie było dużych szans na powodzenie kolejnych operacji. Może rozważali nawet posłużenie się jedną z kobiet odwiedzających klinikę jako dawczynią. Podczas sterylizacji, niejako przy okazji, można było załatwić jeszcze i tę sprawę. Może czekali na właściwą, samotną dziewczynę. Aż tu nagle Hope natrafiła na potężnego, silnego faceta, który nie miał nikogo bliskiego. Poza tym była przekonana, iż ma do czynienia z gwałcicielem, który wykręci się od odpowiedzialności na sucho. Miała więc w swoim mniemaniu moralną wymówkę dla tego, co robiła. Pobrali mu krew, sprawdzili, czy nie jest na nic chory, i porównali grupy. Pasowały. Właściwie nic w tym niezwykłego, bo obaj mieli bardzo popularną grupę 0 Rh+.

- Chryste -jęknął Milo. - Z tego, co mi wiadomo, spróbowali już tego wcześniej z jakąś biedną dziewczyną, ale im się nie udało. Kiedy sprawa zostanie ujawniona, możemy dowiedzieć się o całym mnóstwie ludzi z bliznami na plecach.

- Stary musi być już bardzo słaby. Każda kolejna operacja stanowiła dla niego coraz to większe zagrożenie. Ta była zapewne ostatnią szansą. Właśnie dlatego musieli znaleźć idealnego dawcę.

- Muscadine...

- Którego profesor Steinberger nigdy nie poznała, bo wycofała się z komisji, zanim doszło do rozpatrywania jego sprawy.

- Hope nie darzyła także sympatią Storma, ale ten miał bliską rodzinę.

- I to dość wpływową. A pomijając ułomność charakteru Kenny'ego, jego wina nie była taka oczywista. Może Hope mimo wszystko nosiła w sobie jakieś poczucie sprawiedliwości.

- Może... - Milo ponownie pokręcił głową. - Stworzyli sytuację, w której Muscadine nieświadomie wyzbył się części swego ciała. To straszne. Niemal czuję dla niego współczucie.

- To musiałyby być okropne przeżycie dla każdego - zgodziłem się. - A dla kogoś pokroju Muscadine'a, kto szczególnie dbał o swe ciało i wiązał z nim ogromne nadzieje, musiał to być szczególnie dotkliwy cios. Kiedy rozmawiałem z nim, powiedział, że proces i badanie były iście kafkowskie. A ból pleców odczuwał tak, jakby ktoś przebijał go nożem. Kpił sobie ze mnie, czy użył takiego porównania nieświadomie, starając się wyrzucić z siebie to, co go tak bardzo dręczyło?

- Autoterapia?

- Dlaczego nie? Czy nie uczą tego aktorów? By wykorzystać odpowiedni moment?

Duży Micky był kupką skóry i kości.

Siedział przed nami pod olbrzymim dębem. Listowie drzewa było tak gęste, że nic pod nim nie rosło. Otaczały nas idealnie utrzymane trawniki, a nieco dalej znajdował się dwudziestopięciometrowy basen i fontanna w kształcie delfina. Wokół jeszcze kilka rzeźb, rabaty azalii i kilka dużych drzew. W oddali, jak za mgłą, widać było San Gabriels. Nawet duże pieniądze nie były w stanie zagwarantować czystego powietrza.

Stary wyglądał jak kurczak i jego dawne przezwisko w zestawieniu z obecną posturą brzmiało wprost karykaturalnie. Był tak skurczony, że głowa zdawała się wyrastać bezpośrednio z tułowia. Skórę miał żółtą, wokół zamglonych oczu pomarszczoną i poznaczoną ciemnymi plamami. Zaczerwieniony, nieproporcjonalnie długi nos sięgał niemal poszarzałej górnej wargi. Ani na chwilę nie przestawał poruszać szczęką. Jedyne włosy sprawiały wrażenie, że należą do młodzieńca: gęste, nadal ciemne, tylko gdzieś przetykane nitkami siwizny.

Na podstawie nakazu rewizji otworzyliśmy bramę prowadzącą do posesji, ale nikt nie wyszedł nam na powitanie. Milo wyjął broń i przodem puścił mundurowych policjantów. Dopiero gdy stanęliśmy przed drzwiami wejściowymi, te otworzyły się i stanął w nich mężczyzna z kucykiem. Oparł się o futrynę i usiłował robić dobrą minę do złej gry.

Milo dosyć brutalnie pchnął go pod ścianę, skuł i przeszukał. Zabrał pistolet i portfel, z którego wyjął prawo jazdy.

- Armand Jacsyc, chyba się zgadza. Kto jeszcze jest w domu, Armandzie?

- Tylko pan K. I pielęgniarka.

- Jesteś pewien?

- Tak - warknął i dopiero w tym momencie zauważył mnie. Skrzywił się i odwrócił głowę.

Do wnętrza domu weszli mundurowi. Po chwili wrócił sierżant i oświadczył:

- Nikogo tam nie ma. Ale znaleźliśmy cały arsenał. Zabieramy go ze sobą.

Inny policjant wyszedł, prowadząc siostrę Annę. Jej pozbawiona wyrazu twarz błyszczała od potu, a obcisły wełniany sweterek podkreślał wydatny biust.

Przechodząc obok nas, zwiesiła głowę.

- W porządku - skwitował Milo. - Zostawcie mi kilku chłopaków, żeby przetrząsnęli cały teren w poszukiwaniu narkotyków.

- Jak dotąd nic z tych rzeczy.

- Szukajcie dalej. I sprawdźcie tego tu, czy nie ma jeszcze czegoś lepiej ukrytego.

„Kucyk” został odprowadzony, a my weszliśmy do wnętrza. Środkową część domu zajmowało duże pomieszczenie z wysokim sufitem i ciemną podłogą, przykrytą złocistym dywanem. Stało tu kilka sof w zielono-brązowej tonacji, ceramiczne lampy z ozdobnymi abażurami oraz ciężkie, rzeźbione stoły zastawione dekoracyjną porcelaną i szkłem. Na ścianach wisiały dość tandetne obrazy olejne, przedstawiające zakątki Paryża. Tylną ścianę zasłaniały oliwkowe story.

Gdzieś z głębi domu rozległ się piskliwy, pełen irytacji krzyk:

- No, gdzie ta woda, Armand!

Wózek stał obok rekonstrukcji komody z epoki Ludwika XIV, z bogato inkrustowanym frontem. Na marmurowym blacie widoczna była cała armada pojemników z lekami. Ale nie takich jak fiołka, którą sam tu dostarczyłem. Nie oznaczonych pudełeczek, fiolek i butelek - próbek pochodzących bezpośrednio z fabryk.

- Armand!

- Nie ma go - wyjaśnił spokojnie Milo. - Siostry Anny także.

Stary zamrugał zaskoczony i spróbował się odwrócić. Z wysiłku aż zzieleniał, ale i tak nic z tego nie wyszło.

- Kim, do diabła, jesteście?

- Policja. - Milo machnął swoją odznaką. Zwrócił się do dwóch policjantów, którzy akurat się pojawili: - Tutaj. - Wskazał wejście do przestronnej kuchni. Błat był zastawiony butelkami po wodzie, puszkami z napojami, kartonami i brudnymi naczyniami.

- Kurwa, co tu robicie? - zapiszczał stary.

Jego akcent był niezwykle oryginalny: połączenie naleciałości z okolic Bakersfield z miękką, słowiańską wymową.

- Daj mi wody, durniu.

Milo napełnił szklanekę i podał ją wraz z nakazem rewizji.

- Co to?

- Szukamy narkotyków.

Stary przyjął szklanekę, lecz zignorował nakaz.

Napił się, z trudem trzymając naczynie. Płyn ściekał mu po brodzie. Spróbował odstawić szklanekę na stół, ale nie był w stanie. Nie protestował, kiedy wyręczył go w tym Milo.

- Narkotyki? - warknął. - Trafiłeś pod zły adres, durniu. Ale róbcie sobie, co chcecie. Możecie wywrócić ten dom do góry nogami, bo i tak jest wynajęty.

Wynajęty od pana. Od Triage Properties.

Micky przymknął oczy.

- Triage - powtórzył Milo. - Firma powiązana kapitałowo z Peninsula Group i Northern Light Investments. Ta ostatnia jest częścią Excalibur Properties, powiązanej z Revelle Recreation, a ta z kolei należy do Brooke-Hastings Entertainment. Pański pomobiznes. A wcześniej rzeźnia. Musiał pan naprawdę lubić tą nazwę, skoro tak samo nazywały się pańska druga żona i rzekoma instytucja charytatywna w San Francisco. Pomagała ulicznikom, które synek leczył z chorób wenerycznych i którym usuwał nie chciane cięższe, a co lepszym pan proponował zatrudnienie w swoich klubach.

- To lepsze niż dom opieki społecznej.

- Więc co junior robił podczas rocznej pracy w tym „instytucie”? Doskonalił swe umiejętności chirurgiczne?

Dłonie starego drżały z wściekłości.

- No dalej, durniu, kończ. A później wracaj, skąd przyszedłeś, i powiedz swoim szefom, że nic nie znalazłeś. I pieprz się.

- Wolałbym pomówić.

- O czym?

- O Bakersfield i San Francisco.

- To ładne miasta. Chcesz wiedzieć, gdzie można tam dobrze zjeść?

Milo odruchowo dotknął ręką brzucha.

- Nie chodzi o jedzenie.

- Nie? - stary udał zdziwienie. - Widzę, że lubisz dobrze zjeść. Zapamiętaj sobie: odstaw mięso. Zobacz, jak ja skończyłem. - Z wysiłkiem uniósł dłoń i klepnął się po policzku okrytym skórą, przypominającą zżółkły papier.

- Pan je lubił?

- O tak. Mięso, wciąż mięso. - Purpurowy język przesunął się po sinej wardze. - Jadłem najlepsze kęski. I uwielbiałem wszystko co tłuste. A teraz siedzę tu bezradny, znosząc towarzystwo takiego durnia jak ty.

- To trudne, co?

Stary uśmiechnął się.

- Cieszę się, że mnie rozumiesz.

Milo odpowiedział szelmowskim uśmiechem.

- Więc nowa nerka nie ułatwia życia?

Sine wargi zbieleły.

- Chciałbym też pomówić o juniorze - ciągnął policjant. - O jego nagłych wakacjach.

- Pieprz się.

- Mamy również nakaz rewizji w jego klinice w Beverly Hills. Tej legalnej. No, prawie, bo jedno z pomieszczeń było pełne pornosów już gotowych do rozprowadzenia. - Znow się uśmiechnął. - No i ta sala operacyjna. Jej wyposażenie musiało kosztować fortunę.

Stary nacisnął przycisk na podłokietniku wózka i ten zaczął się obracać. Milo chwycił go zdecydowanie i kółka kręciły się w miejscu.

- Jeszcze nie skończyliśmy naszej rozmowy, panie Kruvinski.

- Dajcie mi telefon. Mam prawo do pieprzonego telefonu.

- Jakie prawo? Przecież nie został pan aresztowany.

- Puszczaj!

- Oczywiście. - Milo nacisnął inny przycisk, blokując koła.

- Masz poważne kłopoty, dupku - ostrzegł Micky. - Pokaż ten papier.

Detektyw rozłożył nakaz i wręczył go.

- Potrzebuję okularów.

Milo ani drgnął.

- Dawaj okulary!

- Czy wyglądam jak Armand?

Klnąc i krzywiąc się, stary wyciągnął papier na pełną długość ramion. Trwało to tylko chwilę, bo ręce odmówiły mu posłuszeństwa i dokument spadł na podłogę.

Podniosłem go i usiłowałem ponownie mu podać.

Przecząco pokręcił głową.

- Jesteście nikim. Nie macie honoru - zapisał.

- Doprawdy? - zapytał Milo. - Chyba honoru przestępcy? Proszę sobie oszczędzić.

- Czego chcecie!?

- Tylko pomówić.

- Więc idźcie do psychiatry!

Milo uśmiechnął się wesoło, zerkając w moją stronę.

- Pieprz się, klaunie - rzucił Kruvinski.

- Po co te nerwy? Może będziemy w stanie pomóc sobie nawzajem.

- Chyba w piekle.

- Tam może też.

Policjant pochylił się nad starym.

- Czy tacy ojcowie chrzestni jak pan nie mają zwyczaju okazywać wdzięczności? Otóż patrzy pan na faceta, który uratował życie pańskiemu synowi.

W wyblakłych oczach pojawił się błysk.

- Niestety, nie udało mi się ocalić Hope Devane. Ani wnuka pańskiej siostry, małego Caseya. Ale wiem już, kto jest zabójcą, i powstrzymałem go, zanim dopadł juniora.

Oczy starego człowieka patrzyły teraz przenikliwie.

- Kto to? Jak się nazywa?

Milo spokojnie przyłożył wskazujący palec do ust.

- To nie znaczy, że zapomnę o sprawkach pańskiego syna. Co zapewne morderca wykorzysta dla własnej obrony. I ma duże szansę, że ława przysięgłych będzie mu szczerze współczuć. Szczególnie w przypadku tych naszych miejscowych idiotów. Albo w ogóle nie dojdzie do procesu, bo śledztwo zostanie umorzona. Rzecz w tym, iż prędzej czy później sprawca wyjdzie na wolność i proszę zgadnąć, kogo będzie chciał dopaść? Więc jeśli synek nie planuje już zawsze korzystać z wakacji, często będzie musiał spoglądać za siebie.

Stary uśmiechnął się.

- Założę się...

- A więc miałem rację przerwał mu Milo. - Jest pan jak Don Corleone.

Milczenie.

- Czego ode mnie chcecie? - szepnął wreszcie.

- Chcemy wiedzieć, ile i jakich organów pobrał dla pana junior. I co łączyło pańską rodzinę z Hope? Czym sobie zasłużyła na takie poważanie?

Cisza.

- I tak to ustalimy. Lepiej jednak, żeby prokuratora dowiedziała się o wszystkim przed obroną.

- Tak, może jeszcze powiesz, że jesteśmy po tej samej stronie. - Micky chciał splunąć, ale zaślinił sobie tylko podbródek.

Z kuchni dobiegły nas ciche rozmowy. Po chwili zaś hałas otwieranych i zamykanych szafek.

- Cicho tam! - zaskrzeczał stary, lecz bezskutecznie.

- Pańskich ludzi już tu nie ma - oświadczył Milo. - Armanda i małej panny Anny, ongiś Storm Breeze. Czy miała kiedykolwiek coś wspólnego ze służbą zdrowia, poza główną rolą w pańskim filmie „Gorące pielęgniarki”? To junior nauczył ją, jak zajmować się pacjentem z niewydolnymi nerkami?

Milczenie.

- Rzeczywistość to jedno, a marzenia to drugie, co, panie Kruvinski? Jak ta klinika w Beverly Hills. Wszystkie te dyplomy, sukcesy w leczeniu bezpłodności, tylko niestety brak pacjentek. Czego jednak się nie robi dla dziecka, żeby było szczęśliwe, prawda?

- Zabierzcie mnie na dwór - powiedział stary po kolejnym długim milczeniu. - Pod drzewo.
Wykręconym przez gościec palcem wskazał oliwkowe zasłony.

- Które?

- Za storami, durniu. Rozsuń je i wyprowadź mnie na świeże powietrze.

Już w cieniu dębu powiedział:

- Jak on się nazywa?

- Nie zna pan nazwiska swojego dawcy?

- Nie.

- Na pewno? W takim razie proszę spodziewać się przesłuchania z prawdziwego zdarzenia.

- Na jakiej podstawie?

- Jestem pewien, że coś się znajdzie.

- Powodzenia - warknął stary, a szczeka zaczęła drgać jeszcze szybciej.

- Ile jeszcze nerek zdobył dla pana syn?

- Chyba zwariowałeś.

- Proszę udawać dalej - rzekł spokojnie Milo. - Jeśli ujawnią się inne ofiary, pański syn będzie miał poważne kłopoty, a morderca wyjdzie w rezultacie na bohatera. Może nie zależało panu na Hope, bo przecież to dziecko zwykłej prostytutki. Ale mały Casey... Proszę to wytłumaczyć jego babce, pańskiej siostrze Soni. Gliniarze z San Francisco doskonale wiedzą, że wyciągnął go pan ze sprawy narkotyków w Berkeley, wybielił życiorys i skłonił Hope, żeby mu pomogła. Co wcale nie nastęrczało większych trudności. Był sprytny i mądry, jak Hope. I jak pański syn. Ale proszę zobaczyć, dokąd ich to wszystkich zaprowadziło.

Stary wznosił głowę. Promyk światła przebił zasłonę z liści i zalał jasnością jego pomarszczoną twarz.

- Kiedy wyjdzie na jaw, że Casey zginął z powodu związków z juniorem, jak zamierza pan wyjaśnić to swej siostrze i siostrzenicy Cheryl? - ciągnął policjant. - Przecież powierzyły go panu. Jak wyjaśni pan to, że leży teraz w chłodni, zamiast kontynuować wspaniale zapowiadającą się karierę naukową?

Micky przeniósł spojrzenie na basen. Jego ciemne dno powodowało, że nie dawało się ocenić głębokości. Ta moda była popularna jakieś dziesięć lat temu. Po utonięciu kilkorga dzieci, których nikt nie zauważył na ciemnym tle, prędko z niej zrezygnowano.

- Powiązania rodzinne. Ale Don Corleone troszczył się także o swoich ludzi.

- Mój syn jest... - zaczął starzec. - Ty nigdy nie będziesz miał tak wspaniałego potomka.

- Amen.

W oczach Micky'ego rozjarzyła się wściekłość.

- Pieprz się! Przychodzisz tutaj i wydaje ci się, że wszystko wiesz...

- Nie, nie wiem.

- Ale wydaje ci się, że wiesz. Posłuchaj, durniu... Hope była dobrym człowiekiem. Jej matka także. Nie znieważaj ludzi, których nie znasz. Nie wiesz, więc się zamknij!

- Ona też należała do rodziny?

- Włączyłem ją do rodziny. Jak ci się wydaje, kto, do diabła, opłacił jej edukację? Kto wyciągnął jej matkę z dna i powierzył zarządzanie klubem? No kto? Jakiś pieprzony pracownik socjalny?

Jego palec wyprostował się na tyle, na ile to było możliwe, i wycelował w zapadniętą pierś.

- Całe życie pomagałem ludziom! A jedną z osób, które zawdzięczały mi najwięcej, była matka tej dziewczyny. Kiedy okazało się, że ma raka, zrobiłem wszystko, żeby jej pomóc. A kiedy umarła, to ja zorganizowałem wspaniały pogrzeb.

- Dlaczego?

- Bo to byli dobrzy ludzie.

- Aha.

- Dziewczyna też. Mała, zgrabna blondyneczka... Myślicie, że nie mogłem posłać jej do któregoś z klubów? Ale nie. Wiedziałem, że zasługuje na coś więcej. Miała głowę nie od parady. Więc powiedziałem Lottie, że będziemy ją trzymać z dala od interesów i zajmiemy się jej edukacją. Postanowiłem, że oboje z Mike'em zostaną lekarzami. Razem będą zajmować się badaniami naukowymi. Dziewczyna zmieniła zdanie i zapragnęła zostać psychologiem, więc zgodziłem się, bo to prawie to samo co lekarz. Traktowałem ją jak własną córkę.

- Najzdolniejszy chłopiec i dziewczynka - mruknąłem.

Stary posłał mi wściekle spojrzenie.

- Żebyś wiedział, koleś. Mój Mike był najinteligentniejszym dzieckiem, jakie znałem. Nauczył się czytać, kiedy miał trzy lata. A wiecie, skąd się bierze taka inteligencja? Przenosi się w genach. To dowiedzione. Wszystkie dzieci w mojej rodzinie są wybitne. Casey musiał pominąć dwie klasy, a jego brat studiuje na MIT fizykę jądrową. Przyjechałem do tego kraju z pustymi kieszeniami i nikt nie wierzył, że do czegoś dojdę. Ale to najwspanialsze miejsce na świecie. Jeśli tylko masz głowę na karku i potrafisz ciężko pracować, osiągniesz wszystko, co chcesz.

- Dlaczego przyjął pan Hope do rodziny? - zapytał Milo. - Dlatego, że, hm... lubił pan jej matkę?

- Wyciągnij łeb z rynsztoka. Gdyby chodziło mi o to, mogłem mieć wiele innych dziewczyn. Chcesz wiedzieć? To ci powiem. Pomogła Mike'owi. Obie mu pomogły. Lottie i Hope. Później... zostały przyjęte do rodziny.

- Pomogły mu w jaki sposób?

- Chłopak miał wypadek. Na pikniku w dzień zaduszy. Tego dnia zawsze organizowałem spotkanie pracowników, barbecue w mojej posiadłości nad rzeką Kern. Hot dogi, kiełbaski, najlepsze steki z naszej rzeźni. - Uśmiechnął się do wspomnień. - Mówiłem już, że lubiłem dobrze zjeść...

Ponownie oblizał wargi i zwiesił głowę, jakby przysnął. Po chwili wyprostował ją. Spróbowałem wyobrazić go sobie takiego, jakim go opisywano: dobrze zbudowanego, o grubym karku, grasującego w nocy po rzeźni. Bezskutecznie.

- Zorganizowaliśmy wyścigi - ciągnął słabym głosem. - W workach. Wynająłem zespół. Wszędzie wokół flagi i balony... najlepsze przyjęcie w mieście. Mike miał wtedy trzynaście lat. Poszedł się wykapać tam, gdzie był najsilniejszy nurt. Był wspaniałym pływakiem... występował w szkolnej drużynie. Ale uderzył o coś głową i prąd zaczął go gwałtownie znosić. Jego krzyki usłyszały tylko Lottie i Hope, bo odłączyły od reszty, żeby pomówić nad rzeką. Obie wskoczyły do wody i wyciągnęły go. Same omal nie przypląciły tego życiem. Chłopak opił się mnóstwem wody, ale zrobiły mu sztuczne oddychanie i odzyskał przytomność. Kiedy dotarłem na miejsce, już wrócił do życia.

W jego oczach zalśniły łzy.

- Od tego czasu Lottie była moją królową, a Hope małą księżniczką! Taka śliczna blondyneczka... mogła zostać gwiazdą filmową, ale powiedziałem, że lepiej niech korzysta ze swojego umysłu. Ufundowałem im te nagrody naukowe. Zasłużyli na nie. Mike miał zawsze same A, nigdy nie trzeba mu było pomagać w lekcjach, a na teście końcowym zdobył tysiąc czterysta punktów. Poza tym grał w koszykówkę, biegał, pływał... Tak przedstawia się prawda, panie glino. Żadnych świństw. To były po prostu bardzo zdolne dzieci.

- Do czasu, aż Mike napytał sobie kłopotów w Seattle.

Na twarzy starego pojawiły się wreszcie kolory, które świadczyły, że mamy do czynienia z żywym człowiekiem. Policzki wyraźnie mu się zaróżowiły. A wzrok stał się idealnie ostry. Skutki terapii czy wściekłość?

- Durnie! Co takiego zrobił? Wziął jakiegoś sztywniaka, bo chciał, żeby jeszcze na coś się przydał.

- Szkopuł w tym, że gość jeszcze całkiem nie zeszywniał.

- Kurwa, przecież jego mózg dawno już nie pracował. Wszystko to gówno prawda! Gość był trupem. Codziennie takich kroją. A kogo niby dają studentom? Ich panny? Dają im właśnie takich sztywniaków! Mają ich całe setki, upchnięte w lodówkach jak sardynki. Dziela ich na kawałki i wyrzucają to, co zostanie. Jakież przestępstwo popełnił Mike? Nie wypisał właściwego formularza? Wielkie mi co. To była zмова. Nie lubili go od samego początku, bo był dla nich zbyt mądry i wciąż wytykał im błędy. Chciałem pojechać tam osobiście i załatwić tę sprawę jak należało, ale Mike się nie zgodził. Już wcześniej miał dość i nie chciał mieć już z nimi nic wspólnego.

- Więc opuścił uczelnię i następny rok spędził w instytucie Brooke-Hastings?

- Bo tak było, do kurwy nędzy. Zajmował się głodującymi dziewczynami z Tenderloin, rżniętymi w zaułkach przez czarnuchów i zboczeńców. Myliśmy je, karmiliśmy i zapewnialiśmy opiekę medyczną... Mike jest cholernie dobrym lekarzem.

- Przygotowanie do zawodu - mruknął Milo. - Żebyście sami mogli brać pieniądze od tych zboczeńców?

Stary jeszcze raz spróbował splunąć.

- Aleś ty mądry, durniu... Jeśli rzeczywiście były wykorzystywane, dlaczego nikt nas nie oskarżył? Miasto wiedziało, że wyręczamy ich pracowników socjalnych. Te, które miały talent, rzeczywiście zachęcaliśmy do występów na scenie. I co z tego? Inne wysyłaliśmy do szkół... Piętnaście, dwadzieścia dziewczyn poszło do college'u albo szkoły dla sekretarek. A co wy, skurwysyny, zrobiliście kiedykolwiek dla społeczeństwa?

- Nic - odpowiedział Milo, krzywiąc się. - Jesteśmy zwykłymi darmozjadami.

- Święta racja.

- Dlaczego Mike przerzucił się z chirurgii na ginekologię? - zapytałem.

- Lubił przyjmować na ten świat dzieci... Odebrał całe ich setki. A wy pomogliście w narodzinach choć jednego dziecka?

- Zajmował się przyjmowaniem porodów, ale oprócz tego aborcjami i sterylizacjami.

- No to co? Nie uważasz, że kobieta ma prawo do swobodnego wyboru?

- Dokąd trafił po opuszczeniu Fidelity?

- Wrócił do mnie. Pomagał mi w prowadzeniu interesu, opiekował się dziewczynami i zajął się organizowaniem prywatnej praktyki. Później, kiedy podupadłem na zdrowiu, cały czas i wiedzę poświęcał mnie. Staralem się go namówić, żeby zatroszczył się o swoje sprawy. Mówiłem: Mike, masz własne życie, a ja i tak jestem już stary. Ale on uporczywie powtarzał, że ma przed sobą jeszcze tyle lat, że ich część może poświęcić własnemu ojcu.

Znów zerknął na basen.

- Pieprzcie się - powtórzył, tym razem szeptem, niemal dobrotliwie. - Pieprzcie się ze swoim nakazem rewizji i swoim życiem. Nie macie prawa przychodzić tu pod byle pretekstem i obrażać moją rodzinę.

- Pomówmy o wzajemnej pomocy.

- Jakiej pomocy? Przecież ten sukinsyn jest wciąż groźny.

- Jeśli Mike ma na sumieniu większą liczbę kradzieży ludzkich organów, to z pewnością może się obawiać.

- Jest naprawdę dobrym chłopakiem. Mówicie, że kradł. A ja, że to gówno prawda. Podobno najlepsi specjaliści kroili mnie dwukrotnie i dali gówno warte nerki. Byłem podłączony do tej pieprzonej maszynerii i tylko robiłem pod siebie. Pewnego dnia Mike powiedział, że wcale nie musi tak dalej być.

- Tak po prostu?

- Tak po prostu.

- Jaką więc rolę odegrała w tym Hope?

- A kto mówi, że miała?

- Odwiedziła pana po operacji?

- I to zabronione?

- Casey też?

- Przecież miał do tego prawo.

- Co więc wspólnego z operacją miał Casey?

- A miał? Dość już tego! Dłużej nie będę z wami rozmawiał.

Machnął ręką.

- Gdzie ukrywa się Mike?

Milczenie.

- W starym kraju?

Nic.

- Czy w ogóle ma zamiar wrócić?

Cisza.

Stary zamknął oczy.

- Proszę bardzo - rzekł Milo. - Ale wciąż ma pan poważny problem.

Kruvinski uśmiechnął się, nie otwierając oczu.

- Każdy problem da się jakoś rozwiązać.

Po powrocie do domu zastanawiałem się, jaki będzie koniec tej sprawy.

Prokurator stwierdził, że chociaż posłużenie się naborem kandydatów do nowego serialu było bardzo sprytnie, to pozwoliło jedynie ustalić, że Muscadine ma bliznę na wysokości nerek. Ponadto opona roweru znalezionej w jego garażu odpowiadała odciskowi zabezpieczonemu nieopodal miejsca zbrodni. Całe szczęście, że atak na Paige Bandura okazał się na tyle korzystny, że znalazł się powód do przetrzymania go w areszcie i zapewnienia nam dodatkowego czasu na zbieranie dowodów.

Ale niewykluczone, że będzie musiał zostać zwolniony, mimo że ma na sumieniu cztery morderstwa.

Oraz gwałt. Bo im dłużej myślałem o przerażeniu Tessy Bowlby i jej stanie psychicznym, tym bardziej byłem przekonany, że rzeczywiście wyrządził jej krzywdę.

Wówczas w jej obronie stanęła Hope.

Teraz nie miała nikogo.

Czy wycofała oskarżenia? Ze strachu przed Muscadine'em?

Kilkakrotnie próbowałem skontaktować się z jej rodzicami, wczoraj i dziś. Nikt nie odbierał, więc zostawiłem wiadomość u doktora Emersona. On nie mógł rozmawiać o swojej pacjentce, ale przecież byłem w stanie przedstawić fakty, które pomogą mu w terapii...

Nagle rozległ się dzwonek telefonu.

- Doktor Delaware? - rozległo się w słuchawce. -Nazywam się Ronald Oster. Jestem obrońcą z urzędu, reprezentującym interesy pana Reeda Muscadine'a.

- Rozumiem.

- Pan Muscadine poprosił mnie o rozmowę z panem.

- Na temat?

- Pan Muscadine wie, że występuje pan w tej sprawie jako policyjny konsultant, i ma nadzieję, że pańska wiedza fachowa pomoże sądowi zrozumieć kierujące nim motywy.

- Chce pan, żebym pomógł w udowodnieniu jego ograniczonej poczytalności?

Chwila milczenia.

- Niekoniecznie, doktorze.

- Ale chodzi panu o znalezienie jakiejś wymówki o podłożu psychologicznym.

- Nie wymówki, doktorze, lecz poważnej okoliczności łagodzącej. Ważnego motywu. Bo zgodzi się pan, że to, co zrobiono panu Muscadine'owi, mogło wywołać silny i długotrwały stres.

Więc Oster wiedział o kradzieży nerki. Milo twierdził, że biuro prokuratora wstrzymuje się z jakimikolwiek działaniami, mając nadzieję na uzyskanie bardziej konkretnych dowodów. Obowiązywały je określone zasady postępowania.

Reed mógł opowiedzieć swojemu obrońcy o dokonanej na nim operacji. Ale przecież nie wiedział, komu został wszczepiony jego organ. Jeśli informacja ta nie zostanie ujawniona przez prokuraturę, a Oster nie będzie potrafił dotrzeć do prawdy, być może Muscadine nigdy się o tym nie dowie.

Z drugiej strony, jeśli nasz aktor nie przyzna się do winy, trudno będzie znaleźć przeciw niemu wiarygodne dowody. Brak przecież narzędzia zbrodni, świadków, śladów pozostawionych na miejscu zbrodni.

Prokuratura miała poważny zgryz, jakie informacje ujawnić, a co ukryć.

Leah Schwartz - zastępczyni prokuratora - wciąż nie wiedziała, jaką strategię przyjąć. Brała pod uwagę możliwość ugody, a nawet konieczność zwolnienia z aresztu. Dysponowaliśmy zaledwie czterdziestoma ósmioma godzinami na sformułowanie stosownych zarzutów, bo później zatrzymany z urzędu miał prawo wyjść na wolność za kaucją.

Czyżby telefon Oстера oznaczał, że nie zorientował się jeszcze do końca w słabości argumentów świadczących na niekorzyść jego klienta?

- Zgodzi się więc pan z nim spotkać, doktorze? - zapytał.

- Nie wydaje mi się.

- Dlaczego?

- Sprzeczność interesów.

Widać spodziewał się takiej odpowiedzi, bo jego dalsze słowa aż ociekały złośliwością.

- W porządku, doktorze Delaware. Proszę się poważnie zastanowić nad moją propozycją. Jeśli powołam pana na świadka jako eksperta, otrzyma pan za to stosowne wynagrodzenie. Jeśli zaś zrobię to bez pana zgody, to i tak będzie trzeba stawić się przed sądem jako zwykły świadek, a wtedy nie zobaczy pan nawet centa.

- To brzmi jak groźba.

- Nie, po prostu jasne postawienie sprawy. Dla pańskiego dobra.

- To niewątpliwa satysfakcja wiedzieć, że ktoś troszczy się o mój interes zauważyłem zgryźliwie. - Życzę miłego dnia.

Zadzwoniłem do Milo i zrelacjonowałem mu tę rozmowę.

- Leah powiedziała mi, że twoje nazwisko padło dzisiaj podczas jej spotkania z Osterem.

Widać Muscadine mówił mu o twojej wizycie u niego, a Oster wykombinował, że posłuży się tobą

do udowodnienia, że wiedzieliśmy, iż jego klient znajdował się pod ogromną presją psychiczną. Musi cię tylko zmusić do współpracy. To stara taktyka, wykorzystać konsultanta przeciwnej strony do własnych celów. Jeśli nie uda mu się, spróbuje cię upokorzyć i maksymalnie ograniczyć twoją przydatność dla nas.

- Czy Reedowi zostało już przedstawione oficjalne oskarżenie?

- Nie, ale posunęliśmy się do przodu. Dziś rano w jego mieszkaniu znaleźliśmy sporą ilość sterydów anabolicznych. Bez wątpienia fakt ten zostanie wykorzystany przez obronę: zwiększona agresywność spowodowana środkami farmakologicznymi. Ale jednocześnie dało nam to podstawę do dłuższego zatrzymania go w areszcie. Mimo wszystko Leah wciąż skłania się ku ugodzie z obawy, że ława przysięgłych będzie sympatyzować z Muscadine'em.

- A co z Kathy DiNapoli? - zapytałem. - Jeśli zabił ją tylko dlatego, że widziała go w towarzystwie Mandy Wright, czy można nie uznać go za wyrachowanego zabójcę?

- Tak, ale nie mamy żadnych dowodów, że to on zabił Kathy. Kiedy wspomniałem o niej, uśmiechnął się tylko.

- Na czym ma polegać ewentualna ugoda?

- Na przyznaniu się do zabicia Hope. Leah będzie się domagać wyroku za morderstwo z premedytacją, Oster w afekcie, ale zapewne dojdą do porozumienia.

- Jeśli są tak słabe dowody, dlaczego Oster w ogóle chce iść na ugodę?

- Wcale nie powiedziane, że chce. Ale Leah trzyma w zanadrzu Dużego Micky'ego i może o nim wspomnieć w stosownym momencie, żeby wystraszyć Reeda. Jeśli ten znajdzie się na wolności, natychmiast dopadnie go mafia. Leah ma nadzieję, że skłoni to Muscadine'a do zgody na skrócony wyrok w warunkach względnego bezpieczeństwa.

- Niezły układ jak dla czterokrotnego mordercy - zauważyłem z sarkazmem. - Ale czy telefon od Oстера nie znaczy, że dość poważnie obawia się o swoje szansę w procesie?

- Trudno powiedzieć. To jeden z tych nowych zarozumiałych inteligencików, wychowanych na książkach o Perry Masonie. Leah ma obiekcje, czy nie uda mu się obalić oskarżenia z powodu niewystarczającego materiału dowodowego. Gdybyśmy znaleźli narzędzie zbrodni, cokolwiek materialnego... ale jak dotąd nie ma nic. Jedyne nóż, znaleziony u niego w mieszkaniu, służył do smarowania masła. Żadnej innej broni. Facet sprytnie zataił wszelkie ślady.

- Głodujący aktor - mruknąłem i nagle coś przyszło mi do głowy. - Kiedy rozmawiałem z panią Green, właścicielką mieszkania, które wynajmuje, wygadała się, że ma w domu pistolet, tak dla własnego bezpieczeństwa. Poza tym Muscadine opiekował się jej psem, kiedy wyjeżdżała. A to oznacza, że miał dostęp do zajmowanej przez nią części domu. Może zamiast kupować broń, postanowił ją pożyczyć?

- Pożyczył i odłożył na miejsce, żeby się nie zorientowała?

- Czemu nie? Nie zamierzał przecież wzbudzać podejrzeń pani Green. Założę się, że zarejestrowała pistolet, więc nawet jeśli nie uda się go znaleźć, będzie to jakiś dowód wskazujący na Muscadine'a, bo praktycznie tylko on miał dostęp do jej mieszkania. A przecież balistycy wiedzą, z jakiego rodzaju broni strzelano. Nie będzie to jakiś rewelacyjny dowód, ale nieco pokrzyżuje szyki obrony.

- Masz rację. Trzeba spróbować... Pani Green? I tak miałem się z nią skontaktować.

Zadzwoił ponownie za kwadrans, i tym razem w jego głosie słychać było triumf:

- Amerykański derringer, model numer jeden, kaliber dwadzieścia dwa, na amunicję typu magnum. Z takiej właśnie broni zabito Lockinga. Podobno nie był używany od czasu, gdy dwa lata temu pobierała lekcje strzelania. A Muscadine rzeczywiście miał klucze. Zaraz pobiegła do stołu w kuchni, żeby sprawdzić, czy broń wciąż tam jest. Znalazła ją na miejscu, ale wyglądała na czystsza niż wtedy, gdy tam ją chowano. Pani Green była przerażona. Powiedziałem, żeby niczego nie ruszała.

- Wyczyścił ją. Wydawało mu się, że jest naprawdę sprytny.

- Nie wyciągajmy na razie pochopnych wniosków. Sam zabiorę od niej ten pistolet i natychmiast oddam do badań balistycznych. Dziękuję, wasza ekscelencjo. Salaam, salaam.

- A co mam zrobić z Osterem?

- Na razie czekać.

Dwie godziny później Milo znów się do mnie odezwał.

- To ta broń. Panna Schwartz chciałaby zamienić z tobą słówko.

Znałem ją z poprzedniej sprawy. Młoda i inteligentna, z wijącymi się blond włosami, dużymi niebieskimi oczami i, gdy było trzeba, ciętym języku. Przejęła słuchawkę i odezwała się wyraźnie podekscytowana:

- Witam. Dziękuję za wskazówkę na temat broni. Powinieneś dla nas pracować.

- Wątpię, żeby było was na to stać.

Roześmiała się.

- Chyba masz rację. Jeśli chodzi o Ronny'ego Ostera, powinieneś zgodzić się na rozmowę z nim. Szczególnie teraz, kiedy mamy pierwszy ważny dowód.

- Dlaczego?

- Bo Muscadine odmawia jakichkolwiek wyjaśnień. Może ty nakłonisz go do zeznań.

- Jeśli nawet coś powie, to będzie mnie obowiązywać tajemnica.

- Ale nie w sytuacji, kiedy Oster zmusi cię do zeznawania. Bo fakty poznane podczas wstępnego śledztwa są do dyspozycji obu stron. Jeśli więc Oster poruszy sprawę stanu psychicznego Muscadine'a, przepytam cię i będziesz mógł przed ławą przysięgłych i sędzią powiedzieć wszystko, czego się dowiedziałeś.

- A jeśli Oster nie zechce, żebym zeznawał?

- A dlaczego miałby na to nie pójść?

- Bo wie, że nie zgodzę się na uznanie, że Muscadine jest niepoczytalny.

- Jasne, że Oster dobrze o tym wie i zapewne właśnie dlatego wspominał o obciążeniu psychicznym. Już ja postaram się obalić tę linię obrony. Poza tym możesz sporządzić pisemny raport, jeśli Oster nie okaże się na tyle sprytny, by wyraźnie poprosić cię o rezygnację z tego. Wykorzystaj szansę, bo kiedy tylko zostanie napisany, automatycznie włączy się go do materiałów dowodowych. Jeśli Oster umieści cię na liście świadków albo wykorzysta w przesłuchaniach wstępnych, zaproponuj, by Muscadine został umieszczony na obserwacji w szpitalu psychiatrycznym. To chyba uczciwe wobec obu stron.

- Zapewne.

- Nikt nie namawia cię do kłamstwa. Facet rzeczywiście był pod dużą presją. Ale to w żadnym razie nie tłumaczy czterech morderstw. W obecnej sytuacji możemy oskarżyć go przed sądem o popełnienie dwóch: zabicie Devane i Lockinga. Nie wiem jak tobie, ale mnie nie daje spokoju, że nigdy nie odpowie za zabicie Mandy Wright i DiNapoli. Wiele zależy od ciebie. Wykorzystaj swoje umiejętności i skłoń Muscadine'a do otwarcia się. Przecież sami zaprosili cię do współpracy, a właściwie Oster zmusił cię do niej. Postaraj się, może wówczas uzyskamy skierowanie pana Reeda na badania z urzędu.

- A jeśli Muscadine w trakcie rozmowy ze mną przyzna się do winy, ale Oster zablokuje pisanie raportu i nie powoła mnie na świadka?

- Wtedy też właściwie nic nie tracimy, a należność za wystąpienie w roli eksperta podreperuje twój budżet. Oprzemy się na śladach opon oraz broni i, być może, zdołamy wygrać sprawę tylko dzięki tym dowodom. Ale możesz zwiększyć nasze szansę, pozornie dając się wykorzystać. Zbadaj Muscadine'a i powiedz Osterowi prawdę: jego klient przeszedł istne piekło. Tylko nie zgódź się od razu na współpracę. Poczekać dzień lub dwa i wreszcie, z ociąganiem, ustąp.

- Więc jestem tylko nędznym pionkiem w tej grze.

Roześmiała się.

- Ale w imię sprawiedliwości.

Tego wieczora, tuż po dwudziestej pierwszej, zadzwonił do mnie doktor Albert Emerson.

- Tessa usiłowała popełnić samobójstwo - poinformował tym swoim młodzieńczym głosem, lecz tym razem wyraźnie zatroskanym. - Wsadziłem ją na siedemdziesiąt dwie godziny do Flint Hills Cottages. Wie pan, gdzie to jest?

- W La Canada.

- Zgadza się. Mają jeden z najlepszych oddziałów dla młodzieży z problemami.

- Jak do tego doszło? - zapytałem.

- Podcięła sobie żyły.

- Poważna sprawa, czy tylko niemy krzyk o pomoc?

- Poważna. Ojciec zatamował krwotok.

- Cholera. Skontaktowałem się z panem, bo martwię się o nią.

- A ja oddzwoniłem, bo potrafię to docenić, podobnie jak jej rodzice. Lubią pana. Co chciał mi pan powiedzieć?

- Że wierzę Tessie, iż tym razem naprawdę została zgwałcona. Pomyślałem, że chciałyby to od kogoś usłyszeć.

- Dlaczego dopiero teraz?

- Pojawiły się nowe fakty.

- Chłopak znów został oskarżony o to samo?

- Powiedzmy, że jej wersja znalazła potwierdzenie.

- W porządku. I tak dowiem się od żony. Pracuje w biurze prokuratora okręgowego.

- Niekoniecznie. Wynikła dość skomplikowana sytuacja. Obiecuję, że gdy tylko będę mógł o tym mówić, skontaktuję się z panem.

- Dziękuję... chwileczkę, jej ojciec chciałby z panem mówić.

- Doktorze? - rozległo się po chwili w słuchawce. - Mówi Walt Bowlby.

- Przykro mi słyszeć, co zrobiła Tessa.

- Dziękuję za pamięć. - Głos mu zadrżał. - Doktor Emerson mówi, że Tessa się z tego wylize. Powinienem... powinienem jej uwierzyć.

- To nie pańska wina...

- Najgorsze jest to, że sprawiała wrażenie, jakby czuła się lepiej. Więcej czasu spędzała z Robbiem, rozmaite rzeczy ją cieszyły. I nagle się zmieniła. Powiedziała, że nie chce się już nim zajmować, a nawet przebywać w jego towarzystwie. Całymi dniami siedziała w swoim pokoju, za zamkniętymi drzwiami. Wczoraj poszedłem, żeby z nią pomówić, i znalazłem ją w łazience. Dzięki

Bogu... nie dzwoniłem do pana, bo ani słowem nie wspominała o tej profesorce. Do dzisiaj. Zamierzałem się z panem skontaktować, ale mieliśmy mnóstwo spraw na głowie.

- Co o niej powiedziała?

- Że to była jej prawdziwa przyjaciółka, bo tylko ona jedna jej wierzyła. Że ten drań związał ją i nikt nie rozumiał tego poza panią profesor.

- Związał ją?

- Tak. Gdybym go tylko dopadł, wyrzuciłbym mu jaja.

- Panie Bowlby...

- Wiem, wiem, żona powtarza, że jestem głupi, mówiąc w ten sposób, i chyba ma rację. Ale kiedy pomyślę, co zrobił mojej dziewczynce... Może istnieje piekło... Ale najważniejsze, że Tessa żyje. Wszystkim innym zajmę się później. Dziękuję za pamięć, doktorze.

- Nie będzie państwu przeszkadzać, jeśli odwiedzę Tessę?

- Po co?

- Żeby powiedzieć, że i ja jej wierzę.

- Mnie to nie przeszkadza, ale proszę jeszcze zapytać doktora Emersona.

- Jest tam jeszcze?

- Wszedł na korytarz. Zawołać go?

- Jeśli można.

- Jasne. I tak nie mam nic do roboty.

O dwudziestej drugiej trzydziści byłem w Glendale, a kilka następnych minut zajęło mi dotarcie do La Canada.

Flint Hills Cottages przy Verdugo Road rozmieszczone było na stoku wzgórza, na skraju ekskluzywnej dzielnicy. Przy bramie wjazdowej dostrzegłem tylko niewielką tabliczkę. Z budki uśmiechnął się do mnie strażnik w marynarce i krawacie.

Nie było tu jednego, centralnego budynku, a tylko bungalowy, rozrzucone w cieniu stuletnich jaworów i cedrów. Dyskretne oświetlenie ogrodowe i bluszcz porastający ściany sprawiały, że miejsce to wyglądało jak stylowe uzdrowisko.

Emerson mówił, że Tessa leży w pawilonie C, który znajdował się naprzeciw parkingu. Drzwi wejściowe były zamknięte i musiałem chwilę poczekać, zanim otworzyła mi pielęgniarka.

- Jestem doktor Delaware. Przyszedłem do Tessy Bowlby.

Przyjrzała mi się krytycznie.

- Doktor Emerson czeka na mnie - dodałem.

- Jest w dyżurce.

Podążyłem za nią przez pomalowany na żółto hol. Nowa, czekoladowa wykładzina, na ścianach obrazki w ramach i plakaty z koncertów rockowych. Siedem par drzwi, wszystkie zamknięte. W pokoiku, na końcu korytarza, za biurkiem siedział młody mężczyzna.

Popatrzył na mnie i wstał.

- Doktor Delaware? Al Emerson.

Miał trzydzieści parę lat, faliste, długie blond włosy opadały mu na ramiona, a gęsta długa broda była równo przystrzyżona. Ubrany był w tweedową marynarkę, brązowe wełniane spodnie, lnianą koszulę i niebieski krawat.

Zdecydowanym ruchem uściśnął mi dłoń.

- Dziękuję, Glorio - rzekł do pielęgniarki i ta natychmiast odeszła. Na karcie leżącej na biurku odczytałem nazwisko Tessy.

- Spokojnie tu, prawda? - zagadnął.

- Jak ona się czuje?

- Zaczyna okazywać skrucę, co jest pozytywnym objawem.

- Jej ojciec nadal tu jest?

- Nie, niedawno wyszedł. Wpadł do niej, ale tylko na chwilę. Dziewczyna jest na niego wściekła.

- Dlatego, że jej nie uwierzył?

Przytaknął ruchem głowy.

- To bardzo sympatyczni ludzie. Szczerzy i dobrzy. Ale prości. Nie głupi, tylko zwyczajnie prości.

- Tessa do nich nie pasuje!

- Ona ma bardzo skomplikowaną osobowość. Jest obdarowana niepospolitą wyobraźnią i duszą artystki. Interesują ją problemy egzystencjalne. W swojej rodzinie jest jak ferrari oddane pod opiekę mechanikom od najprostszyc fordów.

- Czasami los płata takie figle - stwierdziłem. - Zgodzi się ze mną mówić? Czuję, że i ja w jakiejś części ponoszę odpowiedzialność za to, co się stało.

- Nie pytałem jej jeszcze. Zaraz się przekonamy.

- Tylko proszę zbytnio nie naciskać. Dwukrotnie już próbowałem i za każdym razem wpadała w panikę.

- Ale teraz to pan ma jej przecież coś do powiedzenia. A moja żona słyszała plotkę, że macie już studenta podejrzanego o zamordowanie Devane. Jeśli właśnie on zgwałcił Tessę, to mała ucieszy się, że czeka go proces.

- Zapewne do niego dojdzie, ale biuro prokuratora zdecydowało wstrzymać się jeszcze przez parę dni.

- Chyba zdołam nakłonić Tessę, żeby jeszcze tu została. Powiedziała mi, że jest jej tutaj dobrze.

- A jeśli po rozmowie ze mną jej stan znów się pogorszy?

- Lepiej tu niż gdziekolwiek indziej, bo będę ją miał pod stałą kontrolą. Najwyżej przyjdzie mi spędzić przy niej kolejną noc. - Uśmiechnął się. - Taka praca. To chyba lepsze niż siedzenie z piwem przed telewizorem, co?

Roześmiałem się.

Emerson nagle spowaźniał.

- Więc próbujemy? - zapytał.

- Dobrze, ale czy może to zostać wyłącznie między nami?

- Dziewczyna nie ma telefonu, a ja nie zwykłem papać o wszystkim na prawo i lewo.

- Dziękuję.

- W takim razie zapraszam. Jest pod trójką.

Wiele wysiłku zostało włożone, by nadać pokojowi przytulny charakter: biała tapeta z niebieskimi, abstrakcyjnymi paskami, drewniane meble, duże okno, kwiaty w wazonie. Dopiero po chwili dostrzegłem miękką wyściółkę pod tapetą, zaokrąglone narożniki mebli, nierozbieralny żyrandol bez jakichkolwiek występów i drewniane kraty w oknie. Plastikowy wazon był przytwierdzony do stołu, a w nim nietrujące lilie.

Tessa siedziała na łóżku i czytała „The Atlantic Monthly”. Inne jeszcze pisma leżały obok. Miała na sobie koszulkę z emblematem uczelni i bawełniane spodenki. Kiedy widziałem ją poprzednio, była ubrana od stóp do głów na czarno. Jej nogi były długie i bardzo szczupłe, prawie tak białe jak ściany. Spod lewego rękawa wystawał bandaż.

Nie przerwała czytania.

Była taka bezbronna...

- Witam jeszcze raz - odezwał się Emerson.

Uniosła głowę, zobaczyła mnie i w jej oczach znów dojrzałem przerażenie.

- Wszystko w porządku, Tesso - rzekł uspokajająco lekarz. - Doktor Delaware to dobry człowiek. Ręczę za niego.

Jej dolna warga zadrżała.

Uśmiechnąłem się ciepło.

Wróciła do czytanego tekstu.

- Interesujący artykuł? - zapytał Emerson.

Nie odpowiedziała. Oddychała szybko.

Doktor podszedł bliżej i zajrzał jej przez ramię.

- Ponowne zalesianie Wschodniego Wybrzeża - odczytał. - Piszą tu, że sadzą nowe drzewa, które nie będą już chorować. To chyba dobra wiadomość.

Tessa przygryzła wargę.

- Drzewa przestały chorować, bo gospodarka kuleje - powiedziała. - Przemysł podupada, a ludzie wyprowadzają się z tamtych okolic. Dlatego właśnie środowisko jest w stanie się zregenerować.

Aha. A więc to zła informacja?

- Sam niech pan zdecyduje.

- A ty jak sądzisz?

- Nie chcę z nim rozmawiać.

- Ale on ma ci coś do powiedzenia.

- Na jaki temat?

Emerson spojrzał na mnie zachęcająco.

- O tym, co zrobił ci Reed Muscadine - powiedziałem. - Teraz wiem, że to była prawda. To gnojek. Obecnie jest już pod kluczem.

Ze zdziwienia aż otworzyła usta.

- Dlaczego?

- Zapewne przykro ci będzie to słyszeć, Tesso, ale i tak wkrótce byś się dowiedziała. Jest głównym podejrzanym w sprawie zabójstwa profesor Hope Devane.

W jej oczach pojawiło się szaleństwo.

- Och! - okrzyk był bardziej zwierzęcy niż ludzki.

Poderwała się na równe nogi, palce wczepiła we włosy i szybkim krokiem zaczęła chodzić po pokoju.

Nagle zatrzymała się i krzyknęła:

- Och, Boże... Boże, Robbie!

- Co z nim? - zaniepokoił się Emerson.

- Gdzie on jest?

- W domu, z twoją mamą, Tesso.

- Skąd pan wie?

- A gdzie miałby być?

Wyciągnęła przed siebie ręce z palcami zakrzywionymi jak szpony.

- Telefon! - wrzasnęła.

- Chcesz zadzwonić do domu? - zapytał spokojnie doktor. - Upewnić się, że z Robbiem wszystko w porządku?

- Chcę zadzwonić! Muszę z nim mówić!

- Jest już prawie jedenasta, Tesso. Na pewno Robbie już śpi...

- Muszę... Muszę... Proszę, doktorze. Proszę pozwolić mi zatelefonować! Proszę... - zaczęła płakać. - Pozwólcie mi mówić z moim małym Robbiem...

- W porządku, kochanie. - Emerson spróbował objąć ją ramieniem, ale cofnęła się. W jego ruchach widoczne było niezdecydowanie, gdy otwierał drzwi i wypuszczał ją na korytarz.

W dyżurce przełączył telefon na miejskie numery i obaj patrzyliśmy, jak Tessa łączy się z domem.

- Mamo? Gdzie Robbie? Jesteś pewna? Idź... proszę, mamo. Mamo... zrób to!

Czekała, niespokojnie szarpiąc włosy, szczypiąc skórę na policzku i przestępując z nogi na nogę.

Emerson obserwował ją jednocześnie ze współczuciem i profesjonalną satysfakcją.

- Jesteś pewna... Sprawdziłaś, czy na pewno oddycha? Co? Mówię poważnie... z dyżurki. Pozwolił mi. Jest obok... tak... nie, nie jestem zmęczona... Czytałam. Co? Niedługo... tak... Na pewno wszystko z nim w porządku, mamo? Wiem... wiem... Przepraszam, mamo. Przepraszam za kłopot... Co? Tak, dziękuję. Nie gniewaj się na mnie. Opiekuj się nim... Ja ciebie też.

Odłożyła słuchawkę. Westchnęła ciężko i przeciągnęła dłońmi po policzkach. Wreszcie odwróciła się do nas.

- Możemy wracać.

Już w pokoju zapytałem:

- Robbie był obiektem szantażu Muscadine'a, prawda? Zagroził, że zabije chłopca, jeśli nie wycofasz przeciw niemu oskarżenia?

Popatrzyła na mnie, jak mi się wydało, z szacunkiem.

I pokiwała głową.

Powstrzymałem się przed zadaniem cisnącego mi się na usta pytania: dlaczego nie powiedziała o tym policji?

Bo znałem odpowiedź: gdyby powiedziała, uznano by, że kłamie.

Jego słowa przeciwko jej słowom.

- Teraz nie może już zrobić nic złego Robbiemu - powiedziałem uspokajająco. Sam nie byłem już tego taki pewny. W głębi ducha liczyłem nawet, że Muscadine wyjdzie na wolność, a wtedy Duży Micky wymierzy sprawiedliwość według swoich kryteriów.

Dziewczyna skuliła się i znów zaczęła płakać.

Emerson dopiero po długiej chwili dał jej chusteczkę.

W jej oczach lśnił ból, ale widać, że sobie z nim radziła.

Być może natrafiłem na ważny dla oskarżenia fakt...

Wreszcie przestała i uniosła głowę.

- Zabił ją przeze mnie.

- Na pewno nie - odparłem. - Jej śmierć nie ma z tobą nic wspólnego. To sprawa wyłącznie między nią a profesor Devane.

Chciałabym panu wierzyć.

- Kiedy ujawnione zostaną fakty, przekonasz się, że mam rację.

- Robbie... - szepnęła.

- Staralaś się go chronić. Poświęcając się przy tym.

Milczała.

- Czy profesor Devane wiedziała o tej groźbie?

Przeczący ruch głową.

- Nie mogłam... Nie chciałam... Ona mnie rozumiała, ale nie chciałam... nie chciałam, żeby ktokolwiek miał z mojego powodu kłopoty.

- Ale przyznałaś się jej, że zostałam związana.

Długa cisza. I wreszcie potakujący ruch głową.

Nagle zaskoczyła mnie szerokim, szczerym uśmiechem. Emerson także wyglądał na zaszokowanego. Zaczął nawijać na palec kosmyk włosów ze swojej brody.

- Co się stało, Tesso? - zapytał ostrożnie.

- Zostałam uznana za męczennicę - powiedziała. - Nareszcie.

Jadąc pustymi o tej porze alejkami, spróbowałem wyobrazić sobie, co się zdarzyło.

Muscadine oczarował Tessę. Traktował ją dobrze, nawet z przesadną kurtuazją, dopóki nie znaleźli się u niego.

Wtedy radykalnie zmienił zachowanie.

Obezwładnił ją.

Skrepował.

Opowiedziała o tym Hope.

Ta słuchała. Była wspaniałą słuchaczką, opanowaną i pełną współczucia.

Ta historia znaczyła dla niej znacznie więcej, niż tylko kolejny przypadek molestowania seksualnego.

Z miejsca znienawidziła Muscadine'a. Był taki duży i silny...

I zdrowy.

Na pewno miał wspaniałe, sprawne nerki, z których jedna świetnie będzie się spisywać w organizmie drobnego staruszka, traktującego ją jak członka najbliższej rodziny.

Był idealnym dawcą, nawet wbrew własnej woli.

I związał Tessę.

Wiedziała, co się w takich sytuacjach czuje.

Chociaż ani słowem nie wspomniała o tym dziewczynie.

Współczucie miało też swoje granice.

Ronald Oster był według mnie zbyt młody na tak dojrzały cynizm, z jakim zetknąłem się z jego strony.

Miał około dwudziestu ośmiu lat, płomiennorude włosy oraz twarz usianą piegami. Nosił przyciasny granatowy garnitur.

Spotkaliśmy się przed bramą więzienia okręgowego, w pobliżu długiej kolejki kobiet, jak co dzień oczekujących pory odwiedzin. Kilka z nich popatrzyło na nas z zainteresowaniem, ale palący cygaretkę Oster nie zwracał na nie najmniejszej uwagi.

- Dlaczego zmienił pan zdanie?

- Mój adwokat powiedział, że może mnie pan zmusić do współpracy. Jeśli już mam zmarnować swój czas, wolę nie robić tego za darmo.

Ani na moment nie spuszczał mnie z oka.

- Aha, biorę trzysta siedemdziesiąt pięć dolarów za godzinę - ciągnąłem. Przyślę panu rachunek i spodziewam się uregulowania go w ciągu trzydziestu dni. Oczekuj ę także umowy, która nabierze mocy prawnej w ciągu najbliższych trzech dni.

Wręczyłem mu swoją wizytówkę.

- A więc chodzi o pieniądze - mruknął, wsuwając kciuk do kieszonki w kamizelce.

- Wolałbym w ogóle być od tej sprawy jak najdalej, ale jeśli już muszę, z pewnością nie zrobię tego z sympatii do pańskiego klienta.

Adwokat zgniół w palcach płaską cygaretkę.

- Wyjaśnijmy sobie jedno, doktorze. Od tej chwili, jeśli będzie pan pracował dla kogokolwiek, to tylko dla mojego klienta. Wszystko, co panu powie, podobnie zresztą jak ja, będzie objęte obowiązującą pana tajemnicą zawodową. Włącznie z obecną rozmową.

- Kiedy podpiszemy umowę.

- Na pewno się dogadamy. Jeśli chodzi o pieniądze, jestem tylko urzędnikiem państwowym. Przekażę pańskie żądania gdzie trzeba, i na tym koniec.

- Proszę zrobić wszystko co w pańskiej mocy. Aha, i jeszcze jedno. Jeśli pański klient w jakikolwiek sposób spróbuje wywierać na mnie presję, będzie to podpadać pod ustawę Tarasoffa, więc natychmiast złożę stosowne doniesienie.

Poruszył się niespokojnie, ale po chwili znów był uśmiechnięty.

- Ta ustawa odnosi się do gróźb wobec osób trzecich.

- Nikt nie powiedział, że nie może nią być terapeuta.

- W pańskich słowach wyczuwam wrogość, doktorze.

- Tylko ostrożność.

- Dlaczego w ogóle mój klient miałby panu grozić?

- Niewykluczone, że jest sprawcą co najmniej kilku morderstw. Rozpatruję tylko sytuację teoretyczną, aby była jasność co do obowiązujących nas zasad.

- Czy podobną procedurę stosuje pan wobec każdego prawnika, z którym pan współpracuje?

- Nie mam z nimi zbyt często do czynienia.

- Słyszałem, że jest pan bardzo aktywny w sądzie rodzinnym.

- Owszem, ale tam moja rola jest zupełnie inna, występuję w imieniu sądu.

- Rozumiem... a więc obawia się pan Muscadine'a. Skąd to się bierze?

- Nie odczuwam strachu, tylko jestem ostrożny i zapobiegliwy. Może pan być pewien, że bez dokładnych badań nie sformułuję wniosków, których oczekuje ode mnie pański klient. Jeżeli rzeczywiście zabił wszystkich tych ludzi, to tylko dowód, że bardzo źle odbiera rozczarowanie.

- Rozczarowanie? - powtórzył. - To dosyć oryginalne określenie utraty jednego z ważnych organów wewnętrznych.

Zerknąłem na zegarek.

- Według mnie to, co zrobiono temu człowiekowi, nosi znamiona gwałtu, doktorze.

- Jak według niego do tego doszło?

- Pozwólmy, aby sam przedstawił opis wydarzeń. Zakładając, że w ogóle pozwolę panu z nim rozmawiać. Jeżeli nawet nie zgodzi się, otrzyma pan swój kontrakt i pieniądze za dzisiejszy dzień.

- To znaczy, że jestem od pana zależny i nie mogę dodatkowo współpracować z policją.

Uśmiechnął się.

- W porządku - zgodziłem się, jeszcze raz spoglądając na zegarek. - Z mojego punktu widzenia im mniej będę miał do czynienia z całą sprawą, tym lepiej.

Kolejka kobiet powoli zaczęła się przesuwać.

- Może się to panu nie udać - rzekł.

- Wszystko zależy od pana.

- Interesuje mnie pańska opinia jako profesjonalisty, bo według mnie to ewidentny przypadek działania w efekcie wywartej presji psychicznej; to podobna sytuacja jak z bitymi żonami. Ale nie jestem pewien, biorąc pod uwagę pańską współpracę z policją, czy podzieli pan tę opinię.

- Jeśli będę dysponował dostatecznymi argumentami, zgodzę się z panem. Ale gdyby potrzebny był panu ktoś, kto tylko podpisze się pod pańskimi gołosłownymi twierdzeniami, to trafił pan pod zły adres.

Popatrzył na moją wizytówkę.

- Jest pan wyraźnie po stronie oskarżenia.

- Proszę to interpretować, jak pan sobie chce.

- Nie skłania się pan ku argumentom drugiej strony? - zapytał.

- Cenię sobie prawo do samodzielnego myślenia. Jeśli potrzebuje pan dziwki, proszę przejechać się po Hollywood Boulevard z dwudziestką w dłoni.

Jego piegi stały się jeszcze wyraźniejsze, gdy poczerwieniał. I roześmiał się głośno.

- Dobrze. Podoba mi się. W porządku, biorę pana. Bo owa presja psychiczna jest na tyle ewidentna, że nawet pan ją dostrzeże. A przedstawienie takiej opinii przed sądem pańskimi ustami zrobi naprawdę duże wrażenie. Przecież w końcu jest pan konsultantem policyjnym.

Podał mi rękę na zgodę. Kobiety spoglądały na nas zaintrygowane i zastanowiłem się, co sobie o nas pomyślały.

- Chodźmy spotkać się z Reedem - powiedział. - I proszę się nie obawiać, nic panu nie zrobi.

Psychoanaliza - rzekł Muscadine, uśmiechając się i odgarniając włosy. - Co za luksus dla głodującego aktora.

- Czy kiedykolwiek byłeś już jej poddawany? - zapytałem.

- Uczestniczyłem tylko w ćwiczeniach intelektualnych podczas warsztatów aktorskich.

Chociaż pewnie powinienem.

- Dlaczego?

- Ze względu na moje problemy emocjonalne, które ma pan potwierdzić, prawda?

- Przede wszystkim chcę wiedzieć o tobie, ile się tylko da, Reed.

- To brzmi jak komplement. - Znów odgarnął włosy z twarzy. Był w czarnej koszulce i dzinsach. Odgradzała go ode mnie zbrojona szyba. Kilka dni przebywania w zamknięciu nie zmieniło jego wyglądu. Mięśnie wciąż były potężne i wyraźnie zarysowane. Zapewne i w celi starał się zachować dobrą kondycję.

Strażnik w rogu sali odwiedzin odwrócił się w naszą stronę. Muscadine uśmiechnął się do niego, lecz ten w odpowiedzi pokazał mu plecy.

- Jak cię tu traktują? - zapytałem.

- Jak dotąd nieźle. Oczywiście jestem idealnym więźniem. Nie ma powodu, żeby tak nie było... Mam opowiedzieć panu o swojej matce? To dopiero była babka.

- Dojdziemy do tego. Ale najpierw powiedz coś o swojej miłości do zwierząt.

Uśmiech na chwilę zniknął z jego twarzy, a gdy powrócił, był już wyraźnie wymuszony. Wyobraziłem sobie, jak reżyser krzyczy na niego w takiej sytuacji: „Rozluźnij się, daj się nieść uczuciom, Reed!”

- No cóż, naprawdę mnie kochają - stwierdził, zakładając nogę na nogę.

- Wiem. Pytam o to dlatego, że zauważyłem, jak bardzo lubi cię bullmastiff pani Green.

- Jesteśmy z Samanthą bardzo zaprzyjaźnieni.

- Pani Green twierdzi, że Samanthą jest niezwykle opiekuńcza.

- Bo to prawda.

- Ale tylko wobec niej.

- Mieszkałem tam, więc widać, zaakceptowała mnie jako integralną część jej otoczenia. Ale tak, ma pan rację. Mam szczególny stosunek do zwierząt. Może dlatego, że wyczuwają, jak je traktuję.

- Miałeś jakieś zwierzątka jako dziecko?

- Nie. Przez mamę.

- Nie pozwalała ci mieć żadnego?

Pokręcił głową.

- Nigdy. - Uśmiechnął się, odsłaniając białe zęby. - Mama była wyjątkowo czystą osobą.

- A kiedy opuściłeś dom? Ile miałeś lat?

- Kiedy poszedłem do college'u. Osiemnaście.

- Wróciłeś jeszcze do rodziców?

- Nie.

- Nie kupiłeś sobie zwierzęcia, kiedy już mieszkałeś sam?

- Nie mogłem. Nie pozwalały na to warunki. Później zacząłem pracować.

- Księgowość?

Pokiwał głową.

- Dzień w dzień praca od dziewiętej do siedemnastej. Nie miałem serca, by na tak długo zostawiać zwierzę samo w domu. Kiedy wróciłem do szkoły i poważnie zająłem się aktorstwem, było tak samo. Ale przez pewien czas zajmowałem się końmi.

- Naprawdę?

- Tak, choć tylko przez kilka miesięcy. To jeden z wielu zawodów, jakich się miałem, żeby zarobić na życie.

- Głodujący aktor...

- Tak, wiem, że to slogan, ale nic na to nie poradzę.

- Będąc psychologiem z Miasta Aniołów, jestem w podobnej sytuacji.

Zachichotał.

- Ten kontakt z końmi musiał nauczyć cię, jak w ogóle postępować ze zwierzętami.

- Tak, i to dużo. Dowiedziałem się, jak należy je dotykać i jak do nich mówić. W przypadku obcowania z czworonogami chodzi przede wszystkim o opanowanie umiejętności komunikowania się bez słów. Wystarczy okazać łagodność i nieco uczucia, a one świetnie to odczytają. Jednocześnie nauczyłem się rozpoznawać ich uczucia i nastroje.

- Wiedziałeś, które z nich są wobec ciebie wrogie, a które przyjazne?

- Tak.

- I wszystko bez użycia słów? Interesujące. Czy łatwo było przewidzieć reakcje rortweilera Hope Devane?

Utkwił wzrok w podłodze. I po raz kolejny odgarnął włosy.

- Przejdziemy od razu do tego?

- Widzisz jakieś przeciwwskazania?

- Sam nie wiem. Oster mówi, że mogę rozmawiać z panem otwarcie, ale to tylko obrońca z urzędu.

- Nie masz do niego zaufania?

- Wydaje się w porządku, ale...

- Nie wierzysz mu?

- Oczywiście, że wierzę. Tylko z zasady nie lubię prawników. Właściwie jest sprytniejszy niż przeciętny papuga z urzędu. Poza tym jaki mam wybór? Naprawdę jestem głodującym aktorem.

Gdy skończyłem robić notatki, znów podniosłem na niego wzrok.

- Wróćmy do tego rottweilera. Jak sobie z nią dałeś radę? Wiedziałaś, że to była suka?

- Tak. - Znów się uśmiechnął. - Dałem jej kawałek mięsa nafaszerowany środkami odurzającymi.

- Przez bramę?

Pokiwał głową.

- Po prostu wzięła go i zjadła?

- Tak. Okazało się to zadziwiająco proste. Bo kiedy wcześniej przechodziłem obok ogrodzenia, strasznie szczekała. Ale musiała wyczuć mięso, bo nie wydała z siebie nawet warknięcia. Gdy podszedłem do bramy, siedziała spokojnie z wywieszonym językiem. I jednym chapsnięciem pożarła cały kawałek.

- Zrobiłeś to w dzień, czy już wieczorem?

- Wieczorem. Około ósmej.

- Tego właśnie wieczoru, gdy profesor Devane zginęła? - z rozmysłem użyłem strony biernej, nie chcąc go drażnić.

Przytaknięcie.

- Czy ktoś jeszcze był wówczas w domu?

- Byli oboje. - Szeroki uśmiech. - To właśnie było wspaniałe. Na ulicy ciemno, bo światło zasłaniały te wielkie drzewa, a w pobliżu żadnego przechodnia. Oparłem rower o pień, podszedłem do bramy, rzuciłem mięso i najspokojniej w świecie odjechałem.

Długie milczenie.

- Tak po prostu - dodał.

Pokiwałem głową.

- Później tam wróciłeś, prawda?

- Tak.

- Kiedy?

- O jakiejś dziesiątej.

- Bo wtedy wychodziła na wieczorny spacer?

Uśmiech zgasł.

- Zawsze wychodziła pospacerować między dziesiątą trzydzieści a jedenastą trzydzieści. Wędrowała tą samą trasą, raz w czarnej bluzie, raz w szarej. I tak na przemian. Szara, czarna, szara, czarna... Jak automat. Nie wiedziałem, czy bez psa także wyjdzie. Ale pojawiła się... Nie uważa pan, że takie postępowanie świadczy o tym, jaką osobą była? Biedny piesek rzyga własnymi flakami, a ona najspokojniej w świecie wychodzi sobie pospacerować. Gdyby w tej sytuacji zmieniła zwykły plan dnia, kto wie, czy w ogóle bym już nie zrezygnował.

- Naprawdę?

Popatrzył na mnie uważnie, a potem roześmiał się wesoło, jak nigdy dotąd.

- Nie, w końcu i tak bym to zrobił.

- Zgodnie z własnym scenariuszem, prawda?

Znów spuścił wzrok.

- Tak, dobrze pan to ujął.

- Jeśli nie masz nic przeciwko temu, wróćmy do nieco wcześniejszych zdarzeń.

- Jakich?

- Do Mandy Wright.

- Mandy jak?

Nie mogłem powstrzymać się od ironicznego uśmiechu.

- Odczuwasz w związku z nią większe skrupuły niż w przypadku Hope?

- Nie. - Muscadine westchnął głośno. - Czego chce się pan dowiedzieć?

- Opowiedz, co się zdarzyło. Jak cię wystawiła.

Wygiął splecione palce tak mocno, że strzeliły kostkami, aż strażnik się odwrócił. Muscadine odgarnął włosy, rozczesał je palcami i pozwolił swobodnie opaść na ramiona.

Wartownik po chwili znów przestał się nami interesować.

- No cóż...

- Nadal ciężko ci o tym mówić?

- Tak... to jak wbijanie gwoźdźcia w czubek głowy. Najgorsza jest ta pułapka. Ta pieprzona komisja.

- Badanie krwi, tak?

- Tak. Devane znenawidziła mnie błyskawicznie z sobie tylko znanych powodów. I od razu musiała podjąć decyzję, w jaki sposób mnie ukarać. To jak nocny koszmar... Przez całe miesiące żyłem w złym śnie.

- Spróbuj o tym opowiedzieć.
- O tym koszmarze?
- O wszystkim po kolei. Zaczynaj od Mandy.
- Mandy - powtórzył. - Mandy to zwykła kurwa. Mnie powiedziała, że ma na imię Desiree.
- Znałeś ją przed spotkaniem w „Club None”?
- Nie, ale znałem setki takich jak ona.
- Czyli jakich?
- L.A. Woman - odpowiedział. - Jak z piosenki The Doors.
- Poderwała cię.
- Teraz mogę powiedzieć, że tak. Ale wtedy byłem przekonany, że to moja inicjatywa.
- Gdzie to było?
- W „Club None”.
- Często tam chodziłeś?
- Mniej więcej raz w tygodniu. Miałem wieczorne warsztaty aktorskie w Brentwood i

zwykłem wtedy wracać przez Sunset. Czasami wpadałem na piwko. Musieli mnie obserwować. Śledzić mnie.

Ukrył twarz w dłoniach i zaczął płakać.

- Cholera - szepnął. - Żeby być jak zwierzyna...
- To przykre...
- Aż mi się robi niedobrze na samą myśl.

Uniósł wzrok.

Lekko pokiwałem głową.

- To kompletny upadek wszelkich wartości - ciągnął. - Poniżyli mnie. Ja nie potraktowałbym w ten sposób nawet psa.

Odczekałem chwilę, zanim powiedziałem:

- Wszedłeś więc do „Club None” i zobaczyłeś Mandy - Desiree...

- Była przy barze. Popatrzyliśmy sobie w oczy i uśmiechnęła się. Pochyliła się i jakby przypadkiem pokazała cucky. Naprawdę ładne. Podeszedłem do niej, nawiązaliśmy rozmowę i przenieśliśmy się do stolika. Postawiłem jej drinka, sam wziąłem jeszcze jedno piwo. Po jakimś czasie położyła mi dłoń na kolanie i zaproponowała, żebyśmy pojechali do niej. Wcześniej już zdarzały mi się podobne sytuacje, więc nie widziałem w tym niczego podejrzanego.

- Rzeczywiście pojechaliście do niej?

- Nigdy tam nie dotarliśmy. Musiała dosypać coś do piwa, kiedy akurat nie patrzyłem, bo ostatnią rzeczą, jaką pamiętałem, było wsiadanie do jej samochodu... a później... Boże, ciągle nie mogę uwierzyć, że tak mnie wypieprzyli!

Jego potężne ramiona zadrżały spazmatycznie.

Czyżby grał? Trudno to było orzec.

- Co dalej, Reed?

- Ocknąłem się w śmietniku, w alejce o przecznicy od mojego domu, z tym cholernym bólem.

- Która to była godzina?

- Mniej więcej czwarta rano, bo było jeszcze ciemno. Słyszałem wokół siebie szczury i czułem smród odpadków... Wyrzucili mnie jak śmieć!

Pokręciłem głową.

- Niewyobrażalne.

- Iście kafkowskie. Spróbowałem wstać, ale nie mogłem. Plecy bolały mnie jak diabli. Przewiercający, tępy ból, tuż nad miednicą. I zupełnie mnie ścięło, jakby ktoś ścisnął mnie tam z ogromną siłą. Sięgnąłem do tamtego miejsca i palcami natrafiłem na coś miękkiego. Gaza. Byłem nią cały okręcony. Jak mumia. Wtedy zaczęły mi drżeć ręce. Z trudem podciągnąłem rękaw koszuli i zobaczyłem sino-niebieskie ślady po nakłuciach. - Odruchowo dotknął zgięcia w łokciu. Na początku myślałem, że zrobili mi też coś z głową... Dali jakiś narkotyk, chociaż nie miałem pojęcia dlaczego. Później zorientowałem się, że to były skutki znieczulenia. Kręciło mi się w głowie, chciało wymiotować i długo leżałem bez ruchu, zanim objawy nieco ustąpiły. Wreszcie zdołałem wstać i jakoś dotarłem do mieszkania. Zwałem się do łóżka i cały dzień spałem. Kiedy się obudziłem, wciąż miałem wrażenie, że śnię. Ból był wprost nie do zniesienia i prawdopodobnie miałem wysoką gorączkę. Jakoś doczłapałem do samochodu i pojechałem do kliniki. Kiedy lekarz zdjął bandaż, zobaczyłem, że jest przerażony. Nie mógł zrozumieć, jak to możliwe, że w ogóle chodzę. I wyjaśnił mi, że przeszedłem operację. Zapytał, czy cokolwiek z niej pamiętam. Wściekłem się. Pomógł mi podejść do lustra, żebym mógł zobaczyć szwy. Widok był straszny.

Znów zajął się swoimi włosami, przetarł oczy i pokręcił głową.

- Człowieku... To było jak... Nie da się tego opisać. To straszne. Tamten lekarz powiedział, że miałem operację, a ja zareagowałem stanowczym zaprzeczeniem. Chyba pomyślał, że ma do czynienia ze świrem. Wszystko jak z filmu Hitchcocka.

- Z filmu Hitchcocka? -powtórzyłem.

- Klasyczny wątek kryminalny w jego stylu: niewinny człowiek wciągnięty w brudne interesy. Tylko że główna postać nie została poinformowana o odgrywanej roli. Musiał improwizować.

- Rzeczywiście to straszne - zgodziłem się.

- Wprost nieprawdopodobne. Później zacząłem przypominać sobie jakieś strzępy, jak obserwowane sceny z niemego filmu. Wsiadamy do jej samochodu... Ona pochyła się nade mną, całuje, wpycha mi język głęboko w usta... a później czarna plama. Nic.

Znów przysłonił dłonią oczy.

- Lekarz zaczął mnie uspokajać, tłumaczyć, że mam gorączkę i próbował odesłać do szpitala.

- Czy określił, jaką przeszedłeś operację?

- Spytał, czy kiedykolwiek miałem jakieś problemy z nerkami, a kiedy zaprzeczyłem i zapytałem, co za bzdury wygaduje, pokazał mi prześwietlenie. I wyjaśnił, co na nim widać. Zalecił, żebym na kilka dni poszedł do szpitala.

- Posłuchałeś go?

- Po co? Nie miałem ubezpieczenia.

- A pomoc społeczna?

- Nie. Nie chciałem być jak żebrak... a poza tym po co afiszować się z tym, co już się stało? Chciałem jak najszybciej wrócić do domu. Bo już zacząłem myśleć.

- O zemście?

- O odzyskaniu szacunku dla siebie. Wtedy chodziło mi tylko o Desiree... o Mandy. Ale wiedziałem, że była jedynie przynętą.

- Podejrzywałeś profesor Devane?

- Wówczas jeszcze nie. Nie podejrzewałem nikogo. Ale byłem pewien, że w końcu dowiem się, kto za tym stoi.

- I co zrobiłeś?

- Poprosiłem lekarza o receptę na środki przeciwbólowe i antybiotyki i wróciłem do domu.

- Nie obawiałeś się, że lekarz zawiadomi policję?

- Obiecał, że tego nie zrobi. Dało się z nim dogadać.

- A więc całą rekonwalescencję przeszedłeś w domu. Pani Green powiedziałaś, że odniosłeś kontuzję pleców. Co ze szwami?

Skrzywił się.

- Sam je zdjąłem. Naszpikowałem się środkami przeciwbólowymi, ranę posmarowałem neosporinem i wyciągnąłem je, patrząc w lustro. Bolało jak diabli, ale nie chciałem, żeby ktokolwiek więcej wiedział, co się stało.

- Więc nie odwiedziłeś już żadnego lekarza?

- Nie. Chociaż chyba powinienem, bo rana źle się goiła. To się nazywa keloid. Pewnego dnia, kiedy będzie mnie na to stać, zrobię sobie operację plastyczną.

Znów zapisałem kilka linijek uwag i spostrzeżeń.

- Ciągle trudno mi o tym mówić - wyznał.

- Wyobrażam sobie.

- Oster zapytał, czy przeżywałem presję psychiczną. Musiałem bardzo uważać, żeby nie roześmiać mu się prosto w twarz.

Pokiwałem głową.

- W porządku, idźmy dalej. Jak znalazłeś Mandy?

- Kilka tygodni później, kiedy już mogłem chodzić, poszedłem do tego klubu i zobaczyłem kelnerkę, która nas wtedy obsługiwała.

Wsparł dłonie na karku i poruszył głową na wszystkie strony.

- Czuję, że mięśnie mi sztywnieją. Każdego ranka się rozciągam, ale straszna tu wilgoć.

- To stary budynek. A więc zobaczyłeś kelnerkę. Co później?

Opuścił ręce i pochylił się w stronę oddzielającej nas szyby. Uśmiechnął się i znów przeciągnął.

- Poczekaj, aż skończy pracę. Parkowała w bocznej alejce... Jest jeszcze na tym świecie sprawiedliwość, co? Teraz ja wystąpiłem w roli dzikiego kota. Miau.

Paznokciami przeciągnął po szklanej tafli. Strażnik odwrócił się, zerknął na zegar ścienny i powiedział:

- Jeszcze dwadzieścia minut.

- Więc już w nocy pojawiła się w alejce...

- A ja już na nią czekałem. - Szeroki uśmiech. - Rola myśliwego odpowiada mi znacznie bardziej niż zwierzyny... Zakryłem jej usta dłonią, kolanem pchnąłem w plecy, żeby się przewróciła, i wykręciłem jej rękę do tyłu. Zaciągnąłem za śmietnik i powiedziałem: odsłoń ci teraz usta, kochanie, ale jeśli tylko krzykniesz, natychmiast cię zabiję. Zaczęła coraz głośniejsz odychać. Poradziłem, żeby się zamknęła, bo poderżnę jej gardło. Nie miałem co prawda przy sobie noża ani żadnego innego ostrego narzędzia. Wyjaśniłem, że chodzi mi tylko o informację o dziewczynie, z którą byłem tu kilka tygodni temu. O Desiree. Przysięgała, że nie zna nikogo o tym imieniu. Powiedziałem, że to może nie jest jej prawdziwe imię, ale powinna ją pamiętać. Mnie też.

Dałem jej duży napiwek. Zawsze tak robię, bo sam pracuję przecież jako kelner, więc wiem, jak to jest. Wciąż twierdziła, że nas nie pamięta, więc podałem jej kilka szczegółów: miała na sobie obcisłą białą sukienkę, piła manhattan, a ja sama adamsa. Z praktyki wiedziałem, że często zapamiętuje się ludzi po tym, co zamawiają. Wreszcie przyznała, że ją pamięta, ale nie wie, kto to jest. Wykręciłem więc mocniej ramię i zakryłem usta i nos, żeby nie mogła oddychać. Zaczęła się dusić, więc ją puściłem i znowu zapytałem, kim jest ta dziewczyna i czy rzeczywiście warto dla niej cierpieć. Bo z ich zachowania w knajpie wynikało, że się znały. Zaczęła płakać, zachłysnęła się kilka razy i wreszcie zdradziła, że dziewczyna naprawdę nazywa się Mandy i pochodzi z Vegas. Nic więcej o niej nie wie. Wykręciłem jej rękę tak, że prawie ją złamałem, ale błagała tylko, żebym przestał, i powtarzała, że naprawdę nic więcej już nie wie. Podziękowałem więc, położyłem dłonie na jej gardle i zacisnąłem.

- Dlatego, że była kelnerką?

- Nie. Dlatego, że w tym uczestniczyła. Cały klub był w to zamieszany. Powinienem wysadzić całą tą pieprzoną budę. Może nawet bym to zrobił.

- Gdyby...?

- Gdybym nie znalazł się tutaj.

Strażnik ponownie znacząco popatrzył na zegar.

- Mandy z Vegas - przypomniałem. - Pojechałeś tam?

- Miałem mnóstwo czasu. Nic do roboty. Rzuciłem szkołę, żeby dostać rolę w „Ambasadzie”, ale się nie udało.

- Przez tę bliznę.

- Tylko i wyłącznie. Zanim ją zobaczyli, byłem zdecydowanie najpewniejszym kandydatem. Choć to serial tylko dla kablówki, ale mnie postawiłby na nogi. Mogłem się przecież spodziewać niemałych pieniędzy. Już myślałem o przeprowadzce, może do jakiegoś ładnego mieszkania przy samej plaży.

Zacisnął zęby tak, że wyraźnie zarysowały się potężne mięśnie szczęk.

- Więc pojechałeś do Vegas. I co tam robiłeś?

- Pojechałem autobusem i chodziłem od kasyna do kasyna. Bo domyślałem się, że dziwka o tak atrakcyjnym wyglądzie pracuje właśnie w którymś z nich. I miałem rację... Wie pan, to właśnie jest dziwne w tym wszystkim.

- Co takiego?

- Jak łatwo mi poszło.

- Wyszukiwanie ludzi?

- Wyszukiwanie i... zajmowanie się nimi. To znaczy, nigdy wcześniej nawet nie myślałem o zrobieniu komuś tego, co tej dziewczynie w alejce. - Pstryknął palcami. - Miałem już trudniejsze role do odegrania.

- Z Mandy też poszło tak łatwo?

- Nawet łatwiej. Bo w stosunku do niej miałem większą motywację. A i ona ułatwiła mi zadanie, jeżdżąc po mieście odkrytym ferrari. Lubiała się pokazać. Mała dziwka. I widać wcale nie obawiała się zemsty. Zobaczyłem ją, jak zaparkowała wóz przed jednym z kasyn i dała dozorującemu duży napiwek. Zacząłem ją śledzić. Obserwowałem dwa dni i dowiedziałem się, gdzie mieszka. Wyczekałem, kiedy sama wróciła do domu, i zaskoczyłem ją.

- W ten sam sposób? - zapytałem. - Dłoń na usta i kolanem w plecy, żeby przewrócić?

- Po co zmieniać sprawdzone metody? Była na tyle głupia, że już trzymała klucze w ręku. Zaczynijmy od tego, że była na haju. Naćpała się czegoś. Chyba koki, bo miała zaczerwieniony nos. Przyłożyłem jej nóż do gardła i zagroziłem, że odfiletuję ją, jeśli tylko będzie próbować jakichś numerów...

- Tym razem miałeś ze sobą nóż.

- Tak.

- To musiał być właśnie nóż, prawda?

- O tak. - Znow poprawił włosy.

- Bo...?

- Musiałem odpłacić tym samym. Jak w tej policyjnej piosence. Oni strzelają do mnie, to i ja do ich.

- To jakieś wytłumaczenie - mruknąłem.

- I to jakie. Wystarczyło tylko, że gwałtowniej się poruszyłem albo dotknąłem rany, żeby znaleźć motywację. A do tego wspomnienie „Ambasady” i wszystkiego, co związane z rolą, której nie otrzymałem.

Jego oczy przypominały szparki. Znow przybliżył twarz do szyby i powiedział:

- Mówi się, że do życia wystarczy tylko jedna nerka. Można z nią dożyć setki. Ale jej brak sprawia, że poczułem się bezbronny. Bo mógłbym przecież zachorować i stracić tę, która mi została.

- Zatem chciałeś pokazać Mandy, jak to jest poczuć się bezbronny?

- Nie poczuć się, ale być bezbronny.

- Być - powtórzyłem. - Co dalej?

- Złała się w majtki. To dopiero twarda call girl. Związałem ją linką od roweru, którą ze sobą zabrałem, i zacząłem przesłuchanie. Twierdziła, iż jakaś profesorka psychologii zatrudniła ją

do wystawienia mnie i kazała wsypać mi głupiego jasia do piwa. Ale podobno nie miała pojęcia dlaczego. Jakby to ją w ogóle tłumaczyło. Zapytałem, co to za profesorka, ale nie odpowiadała. Zakryłem jej ręką nos i usta, jak tamtej kelnerce, i wreszcie wyśpiewała, co chciałem. Chociaż właściwie już wiedziałem, o kogo chodzi, bo jakaż inna profesorka mnie nienawidziła?

- Powiedziała, skąd znała Devane?

- Tak. Devane zatrudniała ją wcześniej.

- Chodziło o seks?

- Nazwała to zabawami. Hope lubiła igraszki sado-maso. Przede wszystkim wiązanie. Zobaczyła Mandy, tańczącą gdzieś w San Francisco, i upatrzyła ją sobie. To chore, co? Taka popaprana psycholog.

- Co dalej?

- Rozwiązałem ją wreszcie i podziękowałem za szczerość. Chciałem w ten sposób uspić jej czujność. Wyprowadziłem ją z powrotem przed dom i powiedziałem, że puszcze, jeśli tylko obieca, że nikomu nie powie, co zaszło. Uspokoiło ją to całkowicie. Zaczęła mi dziękować, próbowała całować i wyraźnie miała chęć iść ze mną do łóżka. Przypomniałem sobie, jak całowała mnie w samochodzie, tuż przed tym, jak straciłem przytomność. Nikogo nie było w pobliżu, więc chwyciłem ją za rękę, żeby nie mogła mnie dotykać. I dałem jej posmakować stali.

- Gdzie zadałeś cios?

- Najpierw w serce, bo złamała mi serce, uszkadzając ciało. Pozbawiła mnie przyszłości. Później w szparę, bo z jej pomocą zastawiła na mnie pułapkę. I wreszcie odwróciłem ją na brzuch i wbiłem nóż z tyłu. Tak jak ona zrobiła to mnie. Prosto w nerkę.

Odchylił się i skrzywił.

- Przez tyle lat nie wiedziałem nawet, gdzie dokładnie się znajduje.

- Wciąż boli?

- Nawet kiedy siedzę - odpowiedział. - Ile jeszcze mamy czasu?

- Dziesięć minut. Kiedy więc wyciągnąłeś od Mandy personalia Devane, przyszedł czas zając się i nią?

- Jasne.

- Posłużyłeś się tym samym schematem: serce, krocze, plecy.

- Zgadza się. Jedyna różnica polegała na tym, że Hope próbowała się bronić. Oczywiście w niczym jej to nie pomogło, ale zdenerwowało mnie. Chciałem wyciągnąć od niej nazwisko tego pieprzonego chirurga, ale obawiałem się, że zacznie krzyczeć. Nie próbowałem więc.

- Kiedy dowiedziałeś się, kto przeprowadził operację?

- Dopiero w ubiegłym tygodniu, jak zaatakował go ten dzieciak i rozeszła się wieść, że znał Devane. Wtedy przyszło olśnienie. Przecież dwa plus dwa to cztery. Zacząłem go więc obserwować i opłaciło się. Dopadłem tego śmiecia.

- Caseya Lockinga?

- Mojego drugiego sędziego. Nie miałem pewności, czy uczestniczył w spisku, ale podejrzewałem to, bo przez cały czas przypochlebiał się Devane. Kiedy uzyskałem pewność, musiała spotkać go także zasłużona kara. Zdobyłem jego dane na wydziale psychologii i udałem się do domu, w którym mieszkał. Wiedziałem już, gdzie mieszka Cruvic, bo właśnie tam widziałem go w towarzystwie tego śmiecia, w domu przy Mulholland. Zacząłem więc obserwować Lockinga.

- Żeby zostawić Cruvica na deser?

- Zgadza się.

- Powiedz coś więcej o Lockingu.

- Kolejna łatwizna... Wszystko szło tak łatwo.

- Zapewne trudniej było grać, choćby przede mną.

- O tak... o czym to mówiłem?

- O Lockingu.

- Aha, o Lockingu. Poszedłem za nim do domu, wszedłem i po prostu go zastrzeliłem.

- Dlaczego wybrałeś pistolet, a nie nóż?

- Z trzech powodów - odpowiedział szybko. - Po pierwsze, zdawałem sobie sprawę, że gliny zainteresowały się sposobem dokonania tamtych zabójstw i nie chciałem ułatwić im roboty pokazując, że ta sama osoba załatwiła tego gnoja. Po drugie, nóż był zarezerwowany dla kobiet. Do niego po prostu nie pasował. A po trzecie, już wcześniej się go pozbyłem.

- Gdzie?

- Wyrzuciłem z molo w Santa Monica.

- Mogłeś sobie kupić inny.

- Hej, zapomniał pan, że jestem głodującym aktorem - rzekł ze śmiechem.

- A co miały znaczyć zdjęcia rozłożone wokół ciała Lockinga?

- Kolejna premia. W ten sposób mogłem pokazać światu, jakim człowiekiem była... jacy byli oni wszyscy. Widział pan, co robili? To nienormalne.

- Jakie miałeś dalsze plany? Dopaść Cruvica?

- Jego i tego dupka, który dostał moją nerkę. Wiedziałem, że w końcu dowiem się wszystkiego. I sam zamierzałem przeprowadzić małą operację, żeby odzyskać, co moje.

- Dwie minuty - rzucił strażnik.

Muscadine szepnął w jego stronę „pieprz się” i uśmiechnął się do mnie.

- Jak nam idzie?
- Dobrze - odpowiedziałem. - Cenię sobie twoją szczerość.
- Wreszcie musiałem komuś powiedzieć. Jak fajnie to z siebie wyrzucić.

Oster czekał przed wejściem do więzienia, nieopodal mniejszej już kolejki.

- No i?
 - No i co?
 - Poradziłem mu, żeby z panem współpracował.
 - Posłuchał pana.
 - I co pan sądzi?
 - To straszne.
 - A więc zgadza się pan?
 - Z czym?
 - Że mamy do czynienia z działaniem wynikającym z napięcia psychicznego.
 - Bez wątplenia - przyznałem, kręcąc głową.
 - To dobrze - skwitował. - Wspaniale. Muszę lecieć. Jeszcze pomówimy.
- Pospiesznym krokiem ruszył do bramy.

Zamiast wrócić do domu, pojechałem do restauracji na Szóstej Ulicy i zamówiłem lunch: sałatkę cesarską, średnio wypieczony stek, domowe frytki, szpinak i kieliszek najlepszego burgunda.

Czekając na posiłek, otworzyłem neseser i wyjąłem swój żółty notatnik.

Napiłem się wina i zacząłem:

OPINIA PSYCHOLOGICZNA:

REED MUSCADINE

WIĘZIEŃ NR 46455532

BADAJĄCY: DOKTOR PSYCHOLOGII ALEXANDER DELAWARE

I zabrałem się do pisania.